

Shute Nevil

Requiem dla dziewczyny

Historia wielkiej miłości córki wykładowcy uniwersytetu w Oxfordzie i syna właścicieli posiadłości ziemskiej w Australii. Ich losy połączyła wojna; niestety, na krótko. Po stracie ukochanego jedynym dla Janet miejscem na świecie jest jego rodzinny dom w Australii. Przebywa tam incognito i przyjmuje posadę pokojówki, stając się wkrótce ulubienicą wszystkich, niemal członkiem rodziny. Dlaczego zatem popełnia samobójstwo? Powracający po kilkuletniej nieobecności brat nieżyjącego Billa usiłuje rozwiązać tajemniczą zagadkę.

Mimo sensacyjnej fabuły powieść jest przede wszystkim pięknym romansem, w którym wielkie uczucie pozostaje wartością najwyższą, ponadczasową.

Rozdział I

Nad lotniskiem w Essendon trafiliśmy na warstwę cumulusa z pokryciem około siedmiu dziesiątych a pułapem na wysokości mniej więcej pięciu tysięcy stóp. Wydobyliśmy się z niej na dwóch tysiącach, z prądem zstępującym, mając lotnisko po prawej stronie. Utkwiłem oczy w szybie patrząc na Melbourne, moje miasto rodzinne, bo przecie wracałem do ojczyzny po pięcioletniej nieobecności. Od krajobrazu oderwała mnie stewardessa dotykając lekko mego ramienia i polecając zapiąć pasy. Nie zwróciłem poprzednio uwagi na sygnał świetlny.

— Przepraszam — powiedziałem.

— Czy można panu pomóc przy zejściu ze schodków? — zapytała z uśmiechem.

Odmówiłem jej.

— Poczekam, aż wszyscy wyjdą — powiedziałem. — Sam sobie doskonale radzę, jeżeli tylko nie potrzebuję się śpieszyć.

Skinęła mi głową i odeszła, wzór uprzejmości i właściwego pojmowania swoich obowiązków. Ciekaw byłem, skąd wiedziała, że schody to dla mnie najtrudniejszy numer; może domyślność należała do jej wyszkolenia, a może w Sydney rozmawiała o mnie ze stewardessami linii z San Francisco. Odwróciłem się znowu do okna, aby obserwować podjazd do bieżni i lądowanie; pochłonęła mnie technika tych czynności aż do chwili, kiedy maszyna znieruchomiła przed budynkiem dworcowym i zamilkły silniki.

Pasażerowie zaczęli wychodzić, a ja siedziałem dalej przy oknie i starałem się dojrzeć, kto przyjechał na moje spotkanie. Może ojciec? Co prawda nie dałem znać zawczasu i o godzinie przyjazdu zatelegrafowałem dopiero po wylądowaniu w Sydney poprzedniego wieczoru. A teraz była zaledwie druga po południu. Nie spodziewali się mnie wcześniej jak za cztery dni, a przecież do lotniska jest od nas sto dwadzieścia mil. Wprawdzie skrzydło zasłaniało mi znaczną część terenu, ale nie zobaczyłem żadnej znajomej twarzy.

Wypadnie może pojechać do miasta i z klubu zatelefonować do domu.

W ślad za ostatnim pasażerem skierowałem się wzdłuż przejścia ku drzwiom i mijając stewardessy pożegnałem się z nimi. Zejście ze schodków zabrało mi sporo czasu, ale na płaskim terenie odzyskałem pewność siebie i pomaszerowałem do wyjścia. Wtedy dopiero spostrzegłem znajomą twarz. Czekał na mnie Harry Drew, nasz rządca. W ten wiosenny, ciepły, prawie letni dzień, Harry wyglądał nadzwyczaj elegancko. Był to mężczyzna około czterdziestki, o ciemnych, wijących się włosach i młodzieńczej figurze. Wobec ciepłej pogody nie miał na sobie marynarki, tylko brązową, zasobnie wyglądającą amerykański) koszulę, zapiętą pod samą szyję, bez krawata. Zielonawobrunatne spodnie, ja kie noszą w Australii hodowcy owiec, były wyczyszczone, świeżo zaprasowane i ściągnięte nowiutkim pasem z wytłaczanej skóry, z dużą błyszcząca klamrą. Harry też mnie zauważył i pozdrowił ruchem ręki.

Gdy mijalem bramę, ruszył na moje spotkanie.

— Dzień dobry, panie Drew — powiedziałem. — Co u pana słychać?

— W porządku. Ale pana nie spodziewaliśmy się przed piątkiem — rzekł zabierając ode mnie torbę podróżną.

— Droga zajęła mi trochę mniej czasu, niż początkowo sądziłem. Harry był wyraźnie zaintrygowany moim telegramem, tak zresztą jak prawdopodobnie wszyscy w domu.

— Czy pan przyjechał innym statkiem? — zapytał. — Myśleliśmy, że przyleci pan z Fremantle w sobotę rano.

— Przyjechałem z innej strony — objaśniłem — bo wypadło mi zostać trochę dłużej w Londynie. Cały czas leciałem samolotem: przez Nowy Jork i San Francisco aż do Sydney.

— Czyli z innej strony i naokoło?

— Właśnie. — Weszliśmy do poczekalni. — Jak się miewa moja matka. Nie przyjechała po mnie, prawda?

— Nie. Pani pułkownikowa wychodzi co dzień, gdy jest ładna pogoda, ale przeważnie siedzi sobie przez cały czas na krzeselku. A wyjeżdża teraz bardzo rzadko. Nie była w Melbourne chyba ze trzy miesiące albo i więcej.

Harry zatrzymał się przy kiosku z gazetami.

— A pan pułkownik wybierał się na pana spotkanie, ale w domu przydarzyło się nieszczęście.

— Nieszczęście? Jakie nieszczęście? — zapytałem.

— Z pokojówką — powiedział Harry. — Wygląda na to, że popełniła samobójstwo czy coś w tym rodzaju. W każdym razie nie żyje. Patrzyłem na niego zdumiony.

— Na miłość boską! Jak to się stało?

— Prawdę mówiąc, sam nie bardzo wiem. Zdarzyło się to akurat dziś rano, a ja wyjechałem po pana już około wpół do jedenastej.

Dziewczyna zażyła proszki czy coś takiego, co doktorzy zapisują na sen.

— Tej nocy?

— Tak jest.

- Kto ja znalazł?

— Nie zeszła na dół do roboty. We dworze służba schodzi do kuchni o szóstej czy kwadrans po szóstej na filiżankę herbaty. Gdy dziewczyna się nie pokazała do siódmej, Annie poszła po nią na górę.

— To znaczy, że znalazła ją stara Annie?

— Tak jest. Nie żyła już. Pan pułkownik zatelefonował po mnie, a wkrótce po moim przybyciu do dworu przyjechał doktor Stanley. Pan pułkownik musiał go pewnie wezwać telefonicznie. Ale doktor mc już nie poradził: dziewczyna nie żyła. Więc zawiadomiło się policję i właśnie wtedy przyszedł telegram z Sydney z wiadomością, że pan wyjeżdża dziś. Pan pułkownik nie mógł oddalić się z domu wobec tego wszystkiego, co się tam działo, więc kazał mi wziąć Jaguara i pojechać po pana w jego zastępstwie.

Stałem przy kiosku z gazetami obok przelewającego się tłumy. Cała ta historia była niezmiernie przykra i serdecznie współczułem rodzicom. Ojciec miał już powyżej siedemdziesiątki, a matka niewiele mniej i żadne z nich nie

cieszyło się zbyt dobrym zdrowiem. To fatalne, że jeszcze tego rodzaju zgryzota musiała się na nich zwalić.

— Dlaczego to zrobiła? — zapytałem. — Jakaś historia z mężczyzną?

— Nie sądzę — odparł Harry marszcząc czoło. — Coombargana to mała miejscowość i niełatwo się z niej wydostać bez własnego samochodu, którego ona nie miała. A z żadnym z coombargańskich chłopaków nie mogła chodzić tak, żeby nikt tego nie zauważył. Nie, nie przypuszczam, żeby to było coś w tym rodzaju.

— Jak długo ta dziewczyna u nas służyła?

— Około roku. Może trochę dłużej. To była Angielka.

To mnie nie zdziwiło. Musiała być Angielką, Holenderką albo Niemką; australijska pokojówka jest zaiste rzadkością.

— W każdym razie wielka szkoda, że biedaczka nie wybrała sobie innego dnia na tę całą historię — zauważyłem. Harry uśmiechnął się i wyszliśmy na plac, gdzie stały autobusy, żeby odebrać mój bagaż.

Nasz Jaguar był kupiony dwa lata temu, ale wyglądał jeszcze zupełnie przyzwoicie, bo rodzice coraz rzadziej ruszali się z domu, w miarę jak przybywało im lat. Mieli również Buicka, którego ciągle używali. Sprowadzili go przez Singapoore jeszcze przed moim wyjazdem do Anglii.

Wpakowaliśmy walizki do bagażnika i Harry zapytał, czy miałbym ochotę prowadzić.

Ale tego pierwszego dnia po powrocie w rodzinne strony chciałem przypatrywać się swobodnie krajobrazowi, więc odmówiłem.

— Niech pan prowadzi. Jak długo jechał pan w tę stronę?

— Mniej więcej dwie godziny i kwadrans. Bałem się spóźnić. Główne szosy w Australii są proste i w dobrym stanie, a także względnie puste, ale nawet w tych warunkach przeciętna ponad pięćdziesiąt mil była całkiem niezłą.

— Jadł pan obiad? — zapytałem.

— Przekąsiłem coś niecoś czekając na samolot. Ale może pan chce zajechać do miasta?

— Nie, jedźmy prosto, muszę sam zobaczyć, jak wygląda ta cała historia w domu.

Wsiadliśmy do wozu i opuściliśmy teren lotniska. Harry skierował się skrótem ku Szosie Zachodniej przez podmiejskie drogi, których nie znałem. Odkąd wyjechałem do Anglii, sporo domów wyrosło na peryferiach miasta. Nie zaczynałem rozmowy z Harry'm, dopóki nie minęliśmy zabudowań i nie pomknęliśmy szybko po szosie w stronę Bacchus Marsh; wtedy dopiero jąłem zarzucać go pytaniami o gospodarstwo.

— Zaraz, zaraz — powiedział. — To chyba już po pana wyjeździe pan pułkownik sprzedał Komisji ten kiepski grunt na wzgórzach na osadnictwo wojskowe. Wyzbył się pięciu tysięcy dwustu akrów dla żołnierzy-kolonistów. Poszedł cały ten szmat ziemi z drugiej strony szosy, od rozstaju aż do domu Siiu-lain

— Ach, tak?

— Podzielono ten grunt na jedenaście działek, z jedenastoma domami, w siedmiu już te chłopaki mieszkają, a cztery domy jeszcze nic są wykończone.

Harry zwolnił na chwilę do czterdziestu mil, by wyminąć ciągnik z przyczepą, a następnie dodał gazu i wróciliśmy znowu do siedemdziesięciu pięciu.

— Żal mi było, gdy pan pułkownik się na to zdecydował, ale po zastanowieniu pomyślałem, że może i miał rację. Została sama dobra ziemia, a i tak mamy jej dosyć.

— To znaczy, że zostało nam około trzynastu tysięcy akrów?

— Trzyście tysięcy trzysta osiemdziesiąt siedem — odparł. — A jak z inwentarzem?

— Wszystkiego razem mamy trzydzieści siedem tysięcy osiemset czterdzieści merynosów. To jest, oczywiście, licząc z tegorocznymi jagniętami. I sześćset osiemdziesiąt dwie sztuki bydła, herefordów.

Zanotowałem sobie te cyfry w pamięci. Odtąd te sprawy miały wejść w zakres moich obowiązków, a daleko poza mną było już wszystko, z czym zetknąłem się w Europie, i moje własne poczynania.

— Strzyż skończona? — zapytałem.

— Tak jest. Tydzień minął w zeszły piątek.

— Jak wypadła?

— Dobrze — powiedział Harry. — Nastrzygliśmy siedemset szesnaście beli w tym roku.

Bela wełny waży trzysta funtów i przy cenach, które, jak wiedziałem, obowiązywały obecnie, przedstawiała przeciętną wartość około stu sześćdziesięciu funtów. A więc nasza wełna z ostatniej strzyży powinna przynieść sto piętnaście tysięcy funtów czy coś koło tego, a do tej sumy dojdzie jeszcze dochód ze sprzedaży bydła i jagniąt. Odliczywszy koszty prowadzenia gospodarstwa, powiedzmy trzydzieści albo czterdzieści tysięcy funtów, zostanie nam ponad sto tysięcy na podatki. Podobny stan rzeczy trwał od kilku lat.

— Dobra — powiedziałem. — A ile mieliśmy wełny w zeszłym roku?

— Sześćset siedemdziesiąt osiem beli. Tegoroczną nadwyżkę zawdzięczamy poprawie pastwisk. Obsieliśmy znowu pięćset akrów zeszłej jesieni, wie pan, ten kawałek za rzeką, skąd przez bagna ciągnie się pas przeciwpożarowy do głównej szosy.

— Aż do domu Harrisona?

— Tak, tylko że Harrison tam już nie mieszka. Objął inną farmę koło Ararat. Tutaj jego ziemia poszła na osadnictwo wojskowe.

Gdy posuwaliśmy się coraz dalej w głąb Zachodniego Okręgu przez Bacchus Marsh i w stronę Ballarat, Harry powtarzał mi wszystkie nowiny z Coom-bargany. Ojciec mój sporą część dochodów inwestował z powrotem w majątek odkładając resztę na podatek spadkowy. Postanowił zwiększyć dochodowość przez mechanizację, obsiewanie pastwisk i silosowanie paszy. Przechowywanie paszy na zimę było prowadzone na wielką skalę, co stanowiło nowość od czasu mojego ostatniego pobytu w domu. Nowością również były cztery wielkie ciągniki z motorami Diesla, z których jeden — gąsienicowy. Konie używane były nadal przez polowych objeżdżających granice, ale jako siła pociągowa znikły z Coombargany zupełnie, a mój ojciec objeżdżał majątek samochodem marki Land Rover, zamiast konno, tak jak za czasów mojej młodości. Odpowiadało mi to, bo sztuczne stopy są jednak pewną przeszkodą

w konnej jeździe. Zdawałem sobie sprawę, że jeszcze wielu rzeczy przyjdzie mi się nauczyć w dziedzinie gospodarstwa, zanim zdołam ulżyć trochę rodzicom, i pilno mi było zacząć. Ale przede wszystkim trzeba będzie wyjaśnić tę całą piekielną sprawę z pokojówką. Minęliśmy Bacchus Marsh i wspięliśmy się na Wzgórza Pentlandzkie. W ten piękny i słoneczny, ciepły dzień październikowy powietrze było jak wino, pełne blasku i zapachów wiosennych. Z wierzchołka wzgórze widok był przepyszny; dostrzegałem w zasięgu czterdziestu mil każdy szczegół krajobrazu, het, aż do Geelong, aż do błękitnej, wygiętej linii zatoki okalającej Oueenscliff i Heads. Przed nami, ku zachodowi, długi niebieskawy grzbiet łańcucha Grampian ukazywał się już na horyzoncie w odległości przeszło stu mil od miejsca, gdzie się znajdowaliśmy, a około dwudziestu mil od Coombargany. Zsunęliśmy się z wyniosłości z szybkością osiemdziesięciu mil na godzinę, pędząc ku Ballarat wzdłuż żywopłotów z janowca w pełnym kwiecie, którym obsadzają drogi tutejsi farmerzy. Ciągnęły się one milami i, rozgrzane słońcem, napełniały wonią całą okolicę.

Patrząc na moją rodzinną ziemię cieszyłem się z powrotu. Gdy poprzednim razem wróciłem do domu, wszystko wydawało mi się nienawistne i dopóty szarpałem się w przygnębiających nastrojach, dopóki nie wyjechałem znowu. Było to w roku 1946, zaraz po wyjściu ze szpitala w Anglii, który opuściłem kusząc niepewnie na protezach. Na statku spróbowałem ruszać się o wiele śmieiej, niż pozwalały na to moje możliwości, i parę razy przewróciłem się w czasie burzliwej pogody w Zatoce. Po tych nieudanych próbach, zły i zawiedziony, siedziałem przeważnie w kabinie. W domu wszystko wydało mi się zbyt łatwe i przyjemne. Trawił mnie ciągle niepokój okresu wojny i charakterystyczne dla Europy poczucie zmagania się i napięcia. W dodatku, przy swoim kalectwie, mało co istotnie pożytecznego mogłem zrobić w Coombarganie. Ojciec był ciągle jeszcze czynny i doskonale mógł się beze mnie obejść. Wytrzymałem tę sytuację przez trzy lata, bo sądziłem, że po śmierci Billa i zamażpójściu Heleny powinienem siedzieć na miejscu i uczyć się prowadzić gospodarstwo, ale jakoś to nie grało. Wprawdzie w 1948 roku czułem się już pewnie na nogach i mogłem poruszać się normalnie, ale miałem wtedy trzydzieści cztery lata i zdawało mi się, że życie przechodzi obok mnie. W tym wieku nie mogłem się zdecydować na pogrzebanie żywcem w Coombarganie po wszystkim tym, czym byłem i co zdziałałem w czasie wojny; miałem wrażenie, że zwariuję, jeżeli nie wyjadę stąd znowu do Anglii, gdzie jednak ciągle coś się działo. Sądzę, że rodzice rozumieli, o co mi chodzi, bo nie oponowali, kiedy wspomniałem, że trzeba by wrócić do Oksfordu na rok i uzyskać dyplom. Od tego czasu minęło już pięć lat.

Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że to nie do Anglii wrywałem się właściwie: tęskniłem po prostu za utraconą młodością. Tym razem wracałem do domu z większym spokojem w duszy. Młodość była już poza mną i postawiłem na niej krzyżyk. Blisko czterdziestki, w średnim wieku, dojrzały, byłem zdolny zdać sobie sprawę z faktu i pozytywnie go ocenić, że rzeczy ważne dzieją się nie tylko w Anglii: rzeczy płodne w na stępstwa i o wysokiej wartości dzieją się nawet w Australii. Również praca,

ktora przedtem miałem w pogardzie — gospodarka w Coombarganie w celu produkowania z roku na rok coraz większej ilości mięsa i wełny- wydawała mi się obecnie warta trudu. Nie było to zajęcie, którym można olsnić świat lub złowić tytuł szlachecki, ale robota w granicach moich możliwości i godna zachodu, chociaż spokojna i nieefektowna. Wraciałem do domu głównie ze względu na rodziców, bo byli coraz bardziej zmęczeni życiem, starzeli się i coraz często niedomagali: teraz kiedy już byłem na miejscu, cieszyłem się z powrotu.

Wjechaliśmy w obręb przedmieść Ballaratu i posuwaliśmy się pomалу niczym stary, dwudziestoletni model Austin Siedem. Zwróciłem się znowu do Harry'ego.

-Nawiązując do tej nieszczęsnej pokojówki — zacząłem przerwana rozmowę - powiada pan, że to była Angielka. Czy miała jakichś krewnych w Australii?

- Nigdy nie słyszałem, żeby tu kogoś miała z rodziny — odparł Harry.

Może pański tata będzie wiedział.

— Czy rodzice dostali ją przez biuro pośrednictwa pracy

- Nie — odpowiedział. — Przyjechała pewnego dnia do Hotelu Poczтового chyba autobusem z Ballarat. Wędrowała tak podobno naokoło świata z plecakiem, jakby robiła wycieczkę. Pracowała w hotelu u pani Collins przez tydzień czy dwa, a potem wybrała się kiedyś z listonoszem do Coom-bargany, ot tak, na spacer. We dworze pracowało wtedy małżeństwo Polacy ale on był zawsze pod gazem i w końcu pański tatuś im wymówił. Wtedy właśnie zjawiła się ta dziewczyna i zaproponowała, że obejmie posadę, a pani pułkownikowa ją przyjęła.

— Kiedy to było?

— Zaraz — zastanowił się Harry. — To było w zimie, chyba w sierpniu.

W sierpniu zeszłego roku.

Rozważałem to przez chwilę.

— Ciekaw jestem, gdzie spędziła urlop?

— Nie zdaje mi się, żeby brała urlop w tym okresie, kiedy pracowała w Coombarganie.

— Jak się nazywała? - Jessie Proctor.

Harry zręcznie przeprowadził Jaguara wśród miejskiego ruchu, wyjechał Aleją Zasłużonych i skręcił na szosę prowadzącą do Skipton.

— Zastanie pan rodziców dosyć przygnębionych — uprzedził mnie. — Ta dziewczyna była najlepszą służącą, jaką mieli, odkąd mieszkam w Coombarganie. W dodatku zdaje mi się, że ją bardzo polubili.

— Tak?

Zatrzymał się i dodał niezgrabnie:

— Chyba lepiej, żeby pan o tym wiedział, bo inaczej mógłby pan powiedzieć o niej coś nieprzyjemnego.

Przyznałem mu rację.

Dziękuję, że mnie pan uprzedził. . Jechaliśmy dalej w milczeniu. Przetrawiałem w myśli to, czego dowiedziałem się od Harry'ego.

— Ale, jeżeli ta dziewczyna dobrze się tu czuła, co ją mogło skłonić do podobnego kroku?

— Nie mam pojęcia — odparł Harry. — Nie mam pojęcia, co skłania dziewczęta do podobnego kroku.

Siedziałem w milczeniu, ciągle rozważając całą sprawę. Jeśli moja matka przywiązała się do tej dziewczyny, pogarszało to jeszcze sytuację; dziewczyna prawdopodobnie była przyzwoita. W ostatnich czasach artretyzm unieruchomił matkę, nie mogła się wiele ruszać, a więc rzadko spotykała się z ludźmi i być może czuła się samotna. To zresztą było jednym z powodów mego powrotu do domu. W takim dużym dworze jak coombargański, który wymaga licznego personelu, nieodpowiednia służba może stanowić źródło ustawicznej troski i kłopotów dla osoby w takim stanie zdrowia jak moja matka. U rodziców służył długi szereg następujących po sobie par małżeńskich; ci ludzie pojawiali się na parę dni, a potem znikali bez uprzedzenia, bo okolica wydawała im się pusta i nudna, lub też kłócili się z Annie, naszą starą kucharką, albo upijali się, albo kradli. Jeżeli w końcu zjawiła się w Coombarganie dziewczyna, która rzetelnie pracowała i nie sprawiała kłopotu, mogło być zupełnie prawdopodobne, że matka coraz bardziej jej ufała i może nawet traktowała ją bardziej jako towarzyszkę niż jako służącą. Młoda Angielka wędrująca dookoła świata mogła być osobą z pewnym wykształceniem, a nawet dobrze wychowaną. Mogła wnieść wiele dobrego w życie mojej matki.

Siedziałem w milczeniu rozmyślając o tej sprawie i o wielu innych, kiedy minąwszy Skipton wjechaliśmy w falistą, sielską okolicę, moje rodzinne strony przypominające nieco hrabstwo Wiltshire w Anglii, ale bardzo słabo zaludnione. Można stanąć na wierzchołku każdego nieomal wzgórza, rozejrzeć się naokoło wzdłuż linii horyzontu i nie zobaczyć nic innego jak tylko pastwiska i owce, natomiast żadnych śladów obecności człowieka, co najwyżej jakieś ogrodzenie w dużej odległości. Są tu płytkie jeziora i potoki obfitujące w pstrągi, ale prawie nikt nie przyjeżdża na połów, bo zbyt wielka odległość dzieli je od miasta, a że większość gospodarstw umieściła się nad wodą, amatorzy rybołówstwa mogą złowić pstrąga na muszkę czy robaka w promieniu paruset metrów od swego domu. Dla ludzi nie zainteresowanych ziemią jest to pustkowie ponure zimą, przy obfitych opadach śnieżnych, a w lecie okolicy stale zagraża pożar stepów. Dużo czasu i energii poświęca się na tworzenie zapór przeciwpożarowych obsiewając szerokie pasy zielonymi uprawami, jak na przykład rzepakiem. Latem, nie opanowany pożar w tych stronach może pochłonąć w ciągu paru dni cały plon pastwisk i owce wartości pięćdziesięciu tysięcy funtów. Jest to kraj, gdzie istnieje niewiele bodźców umysłowych poza gospodarką rolną, toteż ci, którzy nas nie lubią i nazywają magnatami wełny, powiadają, że wszyscy tutaj schodzimy do poziomu owiec, a także stajemy się do nich podobni. Dotarliśmy do Forfar, jednego z naszych folwarków o sześć mil od Coombargany; jest to mała osada złożona z jednej długiej ulicy obok szosy. Niewiele się tu zmieniło; przez okres mojej nieobecności przybyło tylko pan; nowych sklepów i założono elektryczność. Reszta pozostała bez zmian, zobaczyłem przy pompie Toma Hicksa, właściciela garażu, i pozdrowiłem go

ruchem ręki. Wkrótce skręciliśmy już na wyżwirowaną drogę w stronę Coombargany.

Po chwili ukazał się dwór na tle wysokich świerków osłaniających go od zachodu, z rzeką wijącą się od frontu. Coombargana jest moim domem rodzinnym i nie chciałbym mieszkać nigdzie indziej, ale muszę przyznać, że architektonicznie nie każdemu może przypaść do gustu. Dwór zbudował mój dziadek Alan Duncan, około 1897 roku. Urodził się on w Ellon, między Peterhead i Aberdeen, w roku 1845, jako syn drobnego farmera. Wyjechał do Australii w wieku lat dwudziestu zdobywać fortunę w kopalniach złota w Ballarat, ale w tych czasach poszukiwanie złota stało się już przemysłem na wielką skalę i wkrótce znużyła dziadka praca najemna w kopalni. Po roku udał się w głąb kraju zamierzając pracować na roli i wraz z pierwszymi osadnikami objął ziemię w Coombarganie. Gdy miał około pięćdziesiątki, prowadził już hodowlę owiec na trzydziestu tysiącach akrów i stać go było na to, co nazywał pańskim domem. W 1895 pojechał odwiedzić rodzinę i w czasie pobytu w Ellon zrobił wycieczkę do Balmoral, aby obejrzeć rezydencję królowej. Powrócił do Coombargany z pocztówką przedstawiającą zamek i zabrał się do budowy domu według tego wzoru, tylko na mniejszą skalę. Nie było na wsi architekta, który by mógł mu pomóc, a jedynym osiągalnym materiałem budowlanym była wyjątkowo brzydka czerwona cegła. Dom, który powstał z tego materiału, był to rzeczywiście zamek, ale taki, jakiego dotąd oko ludzkie nie oglądało. Był jednakże wygodny i dobrze rozplanowany — dom przyjemny do mieszkania. Przetrwał w tej formie do śmierci dziadka, to znaczy do 1922 roku, i takim go dobrze pamiętam z czasów dzieciństwa. Gdy Coombargana przeszła na ojca, zwalił on natychmiast jedenaście małych wieżyczek, które ozdabiały strzelnice, i obsadził ściany pnącymi roślinami, aby stonować nieco kolor murów; ale wtedy opopy zaczęły korzystać z pnączy, żeby wdrapywać się na dach. Ojciec kazał więc usunąć rośliny i pomalować cały dom na kremowy kolor, co w każdym razie niejako ochłodziło jego wygląd, zwłaszcza latem, a gdy w roku 1938 rodzice spędzili kilka miesięcy w Europie i matka wróciła przepojona zasadami nowoczesnej dekoracji, pomalowała na czerwono wszystkie zewnętrzne framugi drzwi i okien.

I tak wygląda teraz Coombargana, mój dom rodzinny, i takim go lubię.

Minąwszy drewniany most na rzece skręciliśmy ku podjazdowi przed domem między potężnymi, mchem porośniętymi filarami z betonu, które tworzyły bramę. Otoczenie było starannie utrzymane, bo rodzice zatrudniali na stałe dwóch ogrodników; olbrzymie żywopłoty z makrokarpy były równiutko przycięte w prostokątne wzory, podjazd i żwirowana ścieżka wiodące do samego domu — świeżo wygracowane i zagrabione. W Anglii jest wiele domów ładniejszych niż Coombargana, ale mało gdzie otoczenie jest tak dobrze utrzymane. W słońcu lśniły klomby narcyzów, całe masy narcyzów, a za krzewami japońskich kasztanów kamelie w kwiecie grały gamą jaskrawych kolorów.

Nasz Jaguar podjechał pod wejście, podziękowałem więc Harry'emu i wysiadłem. Otworzyły się czerwone drzwi i ojciec wyszedł na schody na moje spotkanie. Zdawałem sobie sprawę, oczywiście, że zastanę go starszym niż w chwili wyjazdu do Anglii, ale w ogóle nie wyobrażałem sobie tatusia w wieku

podeszłym; ludzi zachowuje się zawsze w pamięci takimi, jakimi się ich ostatnio widziało. Ojciec był teraz dużo szczuplejszy, a cera jego miała biały, bladawy odcień, który mi się wcale nie podobał. Ale zawsze był to ten sam stary, kochany tatuś.

— Halo, Alan! — powiedział. — Przyjechałeś wcześniej, niż się spodziewaliśmy.

— Tak — odrzekłem. — Różne sprawy zatrzymały mnie dłużej w Londynie i nie zdążyłem na statek. Przeleciałem samolotem przez Amerykę.

— A więc to tak było! Przypuszczaliśmy właśnie, że musiałeś wybrać podróż samolotem. Ale jak zdobyłeś dolary, żeby jechać via Ameryka?

— Na wszystko znajdują się sposoby — odparłem ze śmiechem. Ojciec roześmiał się.

— No, to chodź przywitać się z matką.

Harry wyładowywał moje dwie walizki z bagażnika.

— Wnieś je tylko do środka, Harry, a zaraz zawołam Jana, żeby je zabrał. Nie wolno mi teraz nic dźwigać — dodał zwracając się do mnie.

— Sam to zrobię — powiedziałem. — Mogę je zabrać na górę po jednej.

— Dasz sobie radę? — Zapytał ojciec niepewnie.

— Oczywiście. Lubię robić sam, co tylko mogę.

— To świetnie.

- Ojciec nie powiedział nic więcej o moim kalectwie, tylko polecił Harry'emu odprowadzić wóz. Weszliśmy razem do obszernego hallu.

— Doskonale wyglądasz — rzekł.

— Szkoda, że nie mogę tego samego powiedzieć o tobie, tatusiu — wtrąciłem z uśmiechem. — Nie wyglądasz zbyt dobrze.

— Ach — odparł — nikt z nas przecież nie młodnieje, a dzisiejszy dzień był raczej ciężki. Harry opowiedział ci pewnie o naszym strapieniu.

— Tak. Bardzo się tym przejąłem.

— Pomówimy o tym później — rzekł ojciec. — A teraz chodź zobaczyć się z matką. Zatrzymałem ją dzisiaj w łóżku. — Zamilkł i dodał po chwili. — Czy wiesz, że sypiamy teraz na parterze?

— Nie — zdziwiłem się.

— Tak — zaczął mi tłumaczyć. — Matka nie może chodzić sama po schodach, więc pozostawało albo przenieść się na dół, albo założyć windę. Z bilardowego pokoju zrobiliśmy sypialnię, ubieralnię dla mnie z myśliwskiego pokoju, a stół bilardowy przeniosło się do naszej dawnej sypialni. Całkiem to dobrze wyszło i nawet wolę to nowe urządzenie.

Poprowadził mnie do dawnego bilardowego pokoju. Rodzice go odnowili i było tu słonecznie i miło dzięki oszklonym drzwiom otwierającym się wprost na trawnik. Matka siedziała w łóżku, na pozór niezbyt zmieniona. Podeszedłem i ucałowałem ją.

— Nareszcie wróciłem. Dobrze wyglądasz, mamó. Przytrzymała mnie przez chwilę w uścisku.

— Och, Alan, moje kochanie — powiedziała. — Jak to dobrze mieć cię znowu! Ale jak to się stało, że tak szybko dojechałeś?

Opowiedziałem jej całą historię, jak nie mogłem wyjechać w porę z Lon-

dynu, żeby trafić na statek, a potem pochwaliłem urządzenie pokoju. Ojciec wyszedł, a matka zapytała mnie o Helenę i przez parę minut odpowiadałem na pytania dotyczące mojej siostry, która stale mieszkała w Londynie.

Helena była najmłodsza z rodzeństwa. Pojechała do Angin w 1946 roku mając dwadzieścia cztery lata, gnana pragnieniem ucieczki w szerszy świat, jak wiele młodych Australijek. W Anglii nabrała pretensji do życia artystycznego i przy tej okazji odkryła młodego człowieka Laurence'a Hiltona z BBC, który wystawiał sztuki w Trzecim Programie. Wyszła za niego w 1947 i od tej pory nie była ani razu w domu; mieli jedno dziecko, dość nieprzyjemnego chłopczyka. Usiłowałem polubić Laurence'a i jakoś się z nim zbliżyć, ale niewiele mieliśmy ze sobą wspólnego. W głębi duszy uważałem go za bufona i podejrzewałem, że złapał Helenkę po prostu dlatego, że miała co nieco forsy. Jednakże wyglądało na to, że siostra jest z nim szczęśliwa; przejęła większość jego poglądów, między innymi i ten, że Australia jest pustynią kulturalną, gdzie żadnej przyzwoitej osobie nawet by się nie śniło zamieszkać. Możliwości zarobkowe Hiltona były naturalnie zupełnie nie dostosowane do życia, jakie chcieli prowadzić. Mieli bardzo miły domek na Cheyne Walk, nad rzeką, gdzie przyjmowali mnóstwo gości ze świata pięknoduchów, a Coombargana za wszystko płaciła.

Bardzo kiedyś zirytowałem Laurence'a określając mego ojca jako mecenasa sztuki. Ojciec prawdopodobnie także byłby się zirytował, gdyby o tym wiedział. .

Dałem matce różowe i odpowiednio spreparowane sprawozdanie o Helence, Laurence'ie i ich stylu życia, podkreślając olbrzymie znaczenie tego stylu i rozgłos, jaki Laurence Hilton zdobywał sobie w świecie artystycznym. Wtedy wrócił ojciec tocząc przed sobą stolik na kółkach z podwieczorkiem; rodzice żyli i jadali na modłę angielską, z obiadem o ósmej wieczorem. Trochę było kłopotu z tym podwieczorkiem, bo ojciec przyniósł nie te filiżanki, co trzeba, zapomniał o sitku do herbaty i dzbanku z wrzątkiem, toteż matka odesłała go po to z powrotem.

— Wszystko dzisiaj jest bez ładu i składu. Od tak dawna me potrzebowałem troszczyć się o te rzeczy.

— Wiem. Harry mi wszystko powiedział. Bardzo się zmartwiłem, mamó. . .

— Tak — rzekła cicho matka. — Był to dla nas wielki cios, synku. I tak mi przykro, że musiało się to stać właśnie w dzień twego powrotu do domu.

— Nie martw się, mamó. W pewnym sensie jestem zadowolony, że to się stało teraz, jeśli w ogóle miało się stać. Tatuś nie wygląda zbyt dobrze.

— Myślę, że po prostu jest dzisiaj zmęczony — powiedziała matka. — Pamiętasz, że przechodził operację w zeszłym roku? Pamiętałem oczywiście.

— Specjaliści zapewniali nas, że to nie było nic złośliwego. Myślę, że dzisiaj jest po prostu zmęczony i zdenerwowany.

— Pewnie — zgodziłem się, ale wcale nie byłem przekonany. Powiedz mi, czy będzie jakieś śledztwo?

— Tak. Będzie je prowadził doktor Bateman. Przyjedzie jutro rano ra-

zem z policją. Doktor Stanley był tu znowu dziś po południu. Przypuszczam, że będą musieli zrobić sekcję.

— Dlaczego ona to zrobiła, mamó? — zapytałem. — Czy była w stanie depresji?

— Nie sądzę — odparła matka. — Zachowywała się chyba tak jak zwykle. To była dziewczyna pełna niezwykłej rezerwy, Alanie.

Nigdy nie mówiła o sobie ani o swoich sprawach tak jak większość kobiet. Nie wiedziało się właściwie, co myśli o różnych rzeczach.

Zachowywała się zawsze mniej więcej jednakowo.

— Czy mogła się podobać, mamó? To znaczy podobać mężczyznom? Matka zaprzeczyła.

— Nie zdaje mi się. Była raczej nieładna. Na pewno nie wchodziły tu w grę sprawy tego rodzaju.

Wszystko to wyglądało zagadkowo; zdawało się, że doszliśmy do martwego punktu w naszych przypuszczeniach.

— Czy masz jakąś koncepcję, mamó? Dlaczego to zrobiła?

— Myślę, Alanie, że to był wypadek — powiedziała matka. — Na pewno, to musiał być wypadek. Przy jej łóżku stał flakon z tabletkami nasennymi; dosyć duży flakon, a tylko dwie tabletki zostały na dnie. Doktor Stanley mówi, że musiała zażyć co najmniej dwadzieścia.

I dodała po przerwie:

— Może wzięła jedną tabletkę idąc spać, a potem męczyła ją jakaś zmora senna, wstała i w stanie zamroczenia zażyła proszek za proszkiem. Jestem pewna, że to był wypadek.

Mogło tak być rzeczywiście.

— We flakonie zostały dwie tabletki?

— Tak.

— Gdyby miała zamiar popełnić samobójstwo, zażyłaby pewnie całą zawartość. Byłaby to zrobiła dla większej pewności. Czy myślisz, mamó, że miała jakiś powód, żeby odebrać sobie życie?

— Jestem pewna, Alanie, że nie miała. Zachowywała się tak jak zwykle. Zastanawiałem się przez chwilę.

— Czy nie otrzymała wczoraj listu?

— Nigdy nie dostawała listów.

— Nigdy nie dostawała listów?

Wrócił ojciec z sitkiem i dzbankiem z gorącą wodą i postawił je na tacy.

— Opowiadałam Alanowi o Jessie — powiedziała matka i teraz dopiero pojawił się w jej oczach poblask łez, a głos załamał się przy tym. — Alan pytał, czy wczoraj dostała coś z poczty.

— Z tego, co mówi Annie, ta dziewczyna nigdy nie otrzymywała żadnych listów — powiedział ojciec. — Ani ja, ani Annie nie widzieliśmy ani razu listu zaadresowanego do niej.

— Ja również — dodała matka.

— To jest rzeczywiście niezwykle. Czy i ona nie pisywała do nikogo?

— Chyba nie — powiedział ojciec. — To ja zawsze zabieram ze sobą pocztę, ale ona nigdy nie dawała mi żadnego listu. Nie znam nawet jej charak-

teru pisma. Annie powiada, że Jessie nigdy nie pisała listów i ani jednego tutaj nie otrzymała.

— A może nie umiała pisać? — zapytałem. — Służba domowa jest czasem niepiśmienna.

— Ależ naturalnie że umiała! To była starannie wychowana dziewczyna — powiedziała matka. — Bardzo starannie. Ja znałam jej charakter pisma. Przy rozmowach telefonicznych robiła potrzebne notatki na bloczku w hallu. Ty przecież także widywałeś te notatki, Ryszardzie. Więc znasz jej charakter pisma.

— No tak, oczywiście — odparł ojciec. — Ale widywałem je wyłącznie na tym bloczku.

Matka wychyliła się z łóżka i naląła herbatę.

— Czy rodzice coś wiedzą o jej rodzinie? — zapytałem. — Czy został wysłany telegram?

— Nie wysłaliśmy telegramu, Alanie — odpowiedział ojciec. — Nie było skrawka jakiegokolwiek dokumentu w jej pokoju, z którego można by się dowiedzieć, kim właściwie była.

Moje myśli naturalnym biegiem krążyły jeszcze ciągle wokół szczegółów podróży.

— Musiała przecież mieć jakieś papiery — powiedziałem. — Świadczenia szczepienia na przykład. Musiała także mieć paszport.

— Nie było zupełnie nic, Alanie — rzekł ojciec. — Ani śladu żadnego dokumentu w jej pokoju. Znaleźliśmy tylko jej ubranie i parę powieści. A poza tym wszystkie te książki też są nasze.

— No tak — potwierdziła matka i znowu głos jej zadrżał. — Pozwoliłam jej czytać wszystko, na co miała ochotę.

Podawała mi filiżankę herbaty, którą w milczeniu trzymałem w rękach. Nie chciałem mówić, że to właśnie jest oczywistym dowodem samobójstwa, bo matka chciała wierzyć w wypadek i było prawdopodobnie lepiej, że w to wierzyła. Ale jeśli przed śmiercią dziewczyna zadała sobie trud usunięcia wszelkich śladów dowodzących, kim była, znaczyło to, że na śmierć zdecydowała się wcześniej. Musiało to być samobójstwo.

Rzuciłem okiem na ojca.

— Więc nie ma żadnego adresu, pod który można by wysłać depezę i zawiadomić o jej śmierci? Nie wiemy, kim była ani skąd się tu wzięła?

— Nie, Alanie — odparł ojciec. — Nie wiemy, kim była ani skąd się tu wzięła. Przyszła z Hotelu Pocztowego... —i zaczął opowiadać to, co już wiedziałem.

— Annie mówi, że Jessie pracowała przedtem w Sydney — powiedziała matka. — Przypuszcza, że dziewczyna przyjechała z Anglii już kilka lat temu. Ale nie zdaje mi się, żeby to było możliwe. Jessie kiedyś mówiła, że wylądowała w Australii na kilka tygodni przed przybyciem do nas z Forfar.

— Czy nigdy nie mówiła nikomu, co robiła, zanim dotarła do Forfar i do hotelu? — zapytałem.

Matka potrząsnęła głową.

— Nigdy nic o sobie nie mówiła.

— Była prawdopodobnie zameżna — powiedziałem. Rodzice spojrzeli na mnie zdumieni.

— Nieudane małżeństwo, tu w Australii; chciała o nim zapomnieć — mówiłem powoli. — To by wyjaśniało, dlaczego dziewczyna nie wspominała

o swojej przeszłości. Jeśli wszystkie jej papiery były na nazwisko męża, wyjaśniałoby to, czemu je zniszczyła. Może chciała wystartować w życiu od nowa.

— To jest zupełnie nowa koncepcja — powiedział ojciec i zamilkł. — Rzeczywiście pasuje do faktów.

Ciągnąłem dalej moją linię rozumowania.

— Proctor to na pewno jej nazwisko panińskie. Musimy spróbować znaleźć jej męża albo zrobi to policja. Sądzę, że to raczej ich rola. Trzeba go znaleźć i zawiadomić o jej śmierci. Policja musi zacząć poszukiwanie człowieka, który ożenił się z dziewczyną z Anglii, Jessie Proctor, prawdopodobnie w Sydney i prawdopodobnie dwa czy trzy lata temu, i który przypuszczalnie porzucił ją jakieś półtora roku temu, na krótko przedtem, zanim zatrzymała się w Forfar i zjawiła tutaj. Będzie to dla policji nie lada zadanie, ale nie powinno im zająć zbyt wiele czasu.

Ojciec westchnął z ulgą.

— Myślę, Alanie, że trafiłeś w sedno — powiedział. — Jak do tej pory, jest to najbardziej prawdopodobna koncepcja, która wszystko uwzględnia. Nie będę przed tobą ukrywał — zwrócił się do mnie — że gnębiła mnie ta sprawa. Śledztwo zaczyna się już jutro i możemy mieć dużo nieprzyjemności wobec tego, że nie wiemy, kim ona była.

— Nie martw się, tatusiu — powiedziałem. Stan ojca wydawał mi się taki, że nie należało go niczym obarczać i że po to właśnie wróciłem do domu, żeby mu ująć trosk. — Ja się stawię na śledztwie.

— Ja także będę się jednak musiał tam pokazać — powiedział ojciec. — Ale twoja obecność bardzo mi wszystko ułatwi. Zdaje mi się, że życie na wsi pozbawia człowieka kontaktu ze światem. Nigdy bym nie wpadł na pomysł, że Jessie mogła być mężatką.

Matka nie odezwała się i odczułem, że dość już długo mówimy o tej nieprzyjemnej historii. Zacząłem zadawać rodzicom pytania dotyczące posiadłości. Okazało się, że liczba królików osiągnęła dopuszczalne rozmiary wskutek energii ojca i myxomatozy. W rezultacie wzrastała liczba owiec po części dzięki lepszym pastwiskom, ale głównie, jak sądziłem, dzięki tępieniu królików. Stary Jim Plowden, który w chwili mojego wyjazdu był polowym objeżdżającym granice majątku, spadł z konia parę lat temu i złamał sobie kość udową; ponieważ miał już sześćdziesiąt lat z okładem, ojciec powierzył mu sforę psów służących do polowania na króliki; była to niejednolita kolekcja około trzydziestu kundli trzymanyh w psiarni i dowodzonych jak zdyscyplinowana armia w wojnie z królikami. Wojna ta trwała ustawicznie przy użyciu mechanicznie poruszanych kolców do niszczenia nor, bomb dymnych i lasic, ale przede wszystkim przy współudziale sfory psów, które goniły i dusiły szkodniki wypłoszone z jam. Siedem królików zje tyle co jedna owca, a w Coombarganie musiało być chyba ze sto tysięcy królików lub nawet więcej na skutek zaniedbania gospodarki w czasie wojny.

Ojciec prowadził doświadczenia z rozsiewaniem superfosfatu z samolotu na pastwiska, które były zbyt nierówne i kamieniste, aby rozsiewanie z ciężarówki było możliwe. To również podniosło wydajność ziemi. Dwa samoloty typu Tiger Moth skutecznie i gładko poradziły sobie z tą robotą i ojciec projektował zastosować ten sam system do dalszych pastwisk w ciągu przyszłego lata. Wkrótce po moim wyjeździe postawił nowe pomieszczenia dla robotników pracujących przy strzyży, których oczywiście nie mogłem znać, a w ubiegłym roku przebudował szopę przeznaczoną na stryż i zainstalował wszędzie nową aparaturę. Zbudował także cztery drewniane domy dla robotników rolnych, aby zastąpić ostatni ze starych, dwuizbowych baraków z czasów dziadka. A parę lat temu postawił sporą elektrownię poruszaną motorem Diesla o mocy ni mniej ni więcej, tylko sześćdziesięciu koni, żeby dostarczyć prądu nie tylko do dworu, ale także do wszystkich jedenastu domów w majątku.

W czasie podwieczorku ojciec mógł mi dać tylko ogólny zarys wszystkich tych poczynąń, a znowu matka chciała naturalnie wiedzieć wszystko o moim pobycie w Londynie, mieliśmy więc mnóstwo tematów do rozmowy. Matka ogromnie się ożywiła po podwieczorku i oznajmiła swój zamiar wstania do obiadu; byłem zdania, że będzie to dużo zdrowiej dla niej niż leżeć w łóżku i rozmyślać o zmarłej pokojówce na górze. Umówiliśmy się, że przed obiadem ojciec zabierze mnie samochodem na objazd majątku, a przez ten czas matka wstanie, ubierze się i zajmie się obiadem razem z Annie, naszą starą kucharką, i panią Plowden, którą wzywało się do pomocy przy zmywaniu w okresach domowych kryzysów.

Po skończonym podwieczorku odstawiliśmy filiżanki i talerzyki na tacę, którą ojciec wytoczył wzdłuż długiego, otoczonego galerią hallu aż do kredensu. Zostałem jeszcze chwilę z matką, zanim zabrałem się do przenoszenia walizek do mojego pokoju na piętrze.

— Zdaje mi się, że mylisz się, Alanie, co do Jessie — powiedziała matka.

— Co do czego, mamó? — zapytałem. — Mylę się co do czego?

— Że była mężatką — rzekła spokojnie matka. — Jestem pewna, że nie była zamężna.

Zamilkłem, bo trudno było nieżonatemu mężczyźnie spierać się o to z kobietą w wieku mojej matki.

— Czy mówiła ci kiedy, że nie była zamężna? — zapytałem w końcu. Matka potrząsnęła przecząco głową.

— Nigdy nic nie mówiła o swoich osobistych sprawach. Ale jestem zupełnie pewna, że nie była mężatką.

Rozdział II

Moi rodzice zmniejszyli na starość osobiste wydatki do zupełnie znikomego procentu swoich dochodów. Nigdy nie trzymali koni wyścigowych tak jak wielu naszych sąsiadów i wyrosli już z wieku, kiedy wydawanie pieniędzy sprawia przyjemność. Co miesiąc dostawali książkę za pośrednictwem Klubu Książki i za każdą bytnością w Melbourne kupowali kilka płyt gramofonowych, ale w miarę jak przybywało im lat i coraz gorzej się czuli, więcej radości dawały im rzeczy dawne niż nowe — dawne książki, które przeczytali piętnaście czy dwadzieścia lat temu i do których powracali z przyjemnością, dawne płyty czy meble, które kupili przed trzydziestu laty, kiedy obejmowali Coombarganę.

Renta Heleny i moja pochłaniały sporą część ich czystego dochodu po zapłaceniu podatków, które w ostatnich latach wahały się pomiędzy dwudziestoma a trzydziestoma tysiącami rocznie. Z pozostałej sumy sporo oszczędzali i rozważnie lokowali z myślą o podatku spadkowym, który w razie śmierci ojca mógłby wynieść nawet ćwierć miliona funtów. Ale ta rezerwa w gotówce była obecnie dostateczna, aby ewentualnie sprostać każdej potrzebie. W innych krajach i w innym środowisku zamożność taka jak nasza mogłaby iść w parze z dzikimi hulankami w mieście, z nagą dziewczyną w wiadrze szampana na środku stołu i z tuzinem rozbitych samochodów następnego ranka. W naszym Zachodnim Okręgu takie rzeczy nigdy się nie zdarzały. Zamożność wypływająca z gospodarki rolnej nie daje, być może, takich konsekwencji. Australijscy producenci wełny, którzy przetrzymali ciężkie czasy lat trzydziestych, kiedy wełna spadła do szylinga za funt, z całą pewnością najedli się takiego stracha, jeśli chodzi o sprawy gospodarcze, że wystarczyło to, aby ich utrzymać na resztę życia na prostej i wąskiej ścieżce oszczędności i rozwagi. Ręczę za to, że pieniądze zrobione w Coombarganie i wszystkich innych farmach hodowlanych, jakie znam, wydaje się w sposób ostrożny i rozsądny.

Ojciec interesował się przede wszystkim majątkiem i wszystkie zbywające pieniądze wkładał w różne ulepszenia. Gdziekolwiek spojrzę, gdy objeżdżaliśmy majątek Land Roverem, wszędzie widziało się coś nowego: nowe magazyny, nowe urządzenia do mycia owiec, nowe pojazdy, nowe wodociągi, nowe turbiny, nowe domy, nowe ogrodzenia, nowe wiatraki i nowe tamy. W ciężkim okresie przed drugą wojną światową, kiedy byłem niedorośłym chłopcem, większość tych wydatków uznano by za ekstrawagancję, ale czasy się zmieniły i ojciec był na tyle przewidujący, że zmienił się wraz z nimi. Koszta robocizny wzrosły trzykrotnie od lat trzydziestych, a wydajność majątku tylko dwukrotnie, a więc każda maszyna zdolna oszczędzić godzinę czasu pracy człowieka była obecnie pożądana. Weszliśmy do długiej szopy, gdzie strzygło się owce. Była teraz pusta i

czysto wymieciona, bo okres strzyży już minął i do następnego roku budynek miał pozostać nieużywany. Ojciec pokazał mi, w jaki sposób zmienił położenie zagród, stołów i wańtuchów na wełnę, po czym obejrzelśmy razem nowe mechaniczne urządzenia.

Zorganizował to doskonale; mogłem sobie wyobrazić, jak wygląda, że tak powiem, produkcja, gdy interes idzie całą parą i strzyż postępuje z szybkością trzystu owiec na godzinę. Byłem niezmiernie zainteresowany wszystkim, co ojciec zrobił, bo odtąd miało to należeć do moich obowiązków, ale przez cały czas myśl o śmierci pokojówki tkwiła w głębi mojego mózgu.

Odpoczywaliśmy przez chwilę w długim chłodnym skrzydle szopy oparci o stół i rozglądając się naokoło.

— Matce nie bardzo się podoba moja koncepcja, że ta dziewczyna była zamężna — powiedziałem.

— Tak?

— Właśnie.

— Dla mnie także byłoby dziwne, gdyby była mężatką — zauważył ojciec. — Ale, oczywiście, mogła nią być.

— W jakim mogła być wieku?

— Chyba dwadzieścia osiem czy trzydzieści. Trudno określić.

— Harry mówił, że nigdy nie brała urlopu.

— Chyba nie. Może parę razy pojechała do Ballarat po sprawunki, ale poza tym nie zdaje mi się, żeby wyjeżdżała z Coombargany przez cały czas pobytu u nas.

— A co robiła, kiedy miała wychodne? Ojciec zastanowił się przez chwilę.

— Zdaje mi się, interesowała się gospodarstwem — powiedział. — Chodziła z Jimem Plowdenem i psami do polowania na króliki.

Musiała bardzo lubić psy. Lubiała także strzelać. Niewiele z nią miałem do czynienia poza domem; zresztą ona była bardzo na miejscu.

Nasi ludzie mówili, że świetnie strzela do królików ze strzelby czy z karabinu. Mówilli, że nigdy nie pudłuje.

Zamilkł na chwilę.

— Nawet zastanawiałem się, czy czasem jej ojciec, tam w Anglii, nie był farmerem.

— Nie wie tatuś, z jakiej części Anglii pochodziła?

— Nie wiem. Annie sędzi, że była z Londynu, ale nie zdaje mi się, żeby Annie rzeczywiście coś o tym wiedziała.

— To by się nie bardzo zgadzało z tym ojcem farmerem.

— Właśnie.

Milczeliśmy znowu przez chwilę. Potem spojrzałem na ojca i zapytałem:

— Sędzia śledczy będzie tu jutro razem z policją, prawda? Ojciec potwierdził.

— Powinni dać zezwolenie na pogrzeb. Ale śledztwo oczywiście musi się odbyć.

— Trochę dziwna sytuacja, że nie wiemy, kim ta dziewczyna była. Ojciec przygryzł wargę.

— Wiem — powiedział. Spojrzałem znowu na niego i po raz pierwszy

spozregłem starcze drzenie głowy. — Wygląda na to, że... no, że nie dbaliśmy o nią.

— Ja bym tak do tego nie podchodził, tatusiu — zauważyłem. — To nie była młoda dziewczyna, za którą powinienes być odpowiedzialny. To była dorosła kobieta.

Ojciec podniósł rękę ku brodzie, tak jakby chciał powstrzymać jej drzenie.

— Wiem — odparł — ale niemniej to wygląda fatalnie. Tak jakby jej los nic nas nie obchodził.

Zwrócił się teraz ku mnie.

— Jak to dobrze dla matki, Alanie, że wróciłeś. Twój powrót trochę odwróci jej uwagę od tego nieszczęścia. Bądź z nią jak najwięcej, dopóki nie skończy się z pogrzebem. Opowiadaj jej o Anglii, cokolwiek zresztą.

— Mama bardzo odczuje brak tej dziewczyny, prawda?

— Tak, ogromnie to odczuje — potwierdził. — Gdy kobieta starzeje się i niezbyt jest zdrowa, wielką dla niej ulgę stanowi obecność rozsądnej i odpowiedzialnej młodej osoby. To ciężka strata dla twojej matki, Alanie.

— Mama ją lubiła?

— Tak sądzę. Tak, na pewno ją lubiła — powiedział ojciec. — Dziewczyna nie była wylewna, ale obmyślała różne rzeczy zawczasu i przewidywała życzenia, zanim matka zdążyła o coś poprosić. Rozumiesz, co mam na myśli? Ogromnie dbała o matkę.

Jeżeli dziewczyna dbała o moją matkę, mogło to wskazywać, że dobrze się czuła w Coombarganie; w istocie wszystko, o czym się dowadywałem, na to wskazywało. Nawet nigdy nie postarała się o urlop. Ale w takim razie dlaczego odebrała sobie życie? Spojrzałem na ojca.

— A co sądzisz o teorii matki, że to był wypadek? — zapytałem. — Nie chciałem o tym za dużo mówić przy mamie. Czy uważałbyś ją za typ samobójczyni?

— Naprawdę nie wiem, Alanie — odpowiedział. — Nie mam pojęcia, jak wyglądają ludzie ze skłonnościami do samobójstwa. Według mnie była to zwyczajna, przyzwoita dziewczyna, niezbyt ładna. Nie byłbym jej posądzał o samobójstwo. Powiedziałbym, że była na to zanadto zrównoważona. Ale co tu można wiedzieć?

— Czy myślisz, tatusiu, że to był wypadek? — powtórzyłem. — Jak żyję, nie slyszalem, zeby ktos zażył przez pomyłkę nadmierną dozę tabletek na sen. Bo przecież trzeba połknąć tego tak dużo i opić się tyle wody. Co doktor powiedział? Ile musiała wziąć tych tabletek?

— Powyżej dwudziestu.

— Na miłość boską, przecież nie mogła tego zrobić przez pomyłkę! Nie można łykać tabletki po tabletkie, aż do dwudziestu przez pomyłkę. Dwie czy trzy — to byłoby możliwe. Ale nie dwadzieścia!

— Jeżeli zrobiła to świadomie — powiedział ojciec — nie byłaby zostawiła dwóch tabletek we flakonie, no nie? Dla pewności zażyłaby wszystkie.

Nastąpiła pauza w naszej rozmowie.

— Nie mogę tego uznać za wypadek — powiedziałem wreszcie. — Żałuję bardzo, tatusiu, ale według mnie, musiała to zrobić świadomie.

Ojciec wstał i strasznie mi się go zrobiło żal, bo wyglądał tak niezmiernie staro.

— W każdym razie nie mów o tym matce — rzekł. — Lepiej, że będzie to uważała za wypadek. Mam nadzieję, że jutro rano uda nam się przekonać o tym sędziego śledczego. Jeżeli to samobójstwo — prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się powodu, nie ma więc sensu mnożyć kłopotów.

Opuściliśmy szopę i wszedłszy na powrót do samochodu, objeżdżaliśmy dalej majątek. Już pod wieczór dotarliśmy do wylęgarni pstrągów na rzece; ojciec prowadził ją w szeregu małych sadzawek, z wodą przepływającą przez małe śluzy i utrzymywaną na odpowiednim poziomie. Woda szła z rzeki, nad którą pochylały się wierzby płaczące. Kiedy zawiadomiłem rodziców, że wiosną projektuję wrócić, ojciec kazał uporządkować nie używaną od dawna pstrągarnię i zabrał się do hodowli około tysiąca sztuk zarybku, którym chciał zarybić rzekę przed moim przyjazdem. Miał zamiar przetrzymać zarybek parę miesięcy dłużej i potem wypuścić go do głównego strumienia. W przyszłym roku rybołówstwo powinno być tutaj doskonałe.

Zatrzymaliśmy się przy sadzawkach, wśród bulgoczącego szmeru stale ciekącej wody, i ojciec zaczął mnie wypytywać o okres spędzony w Anglii. Uzyskałem stopień naukowy w Oksfordzie, ale nie dało mi to wiele satysfakcji.

Przypominało to trochę historię Ripa van Winkle, tatusiu — mówiłem. — Byłem przecież o tyle starszy od innych studentów i czasy tak się ogromnie zmieniły. Gdybym od razu po wojnie wrócił na studia, dajmy na to w 1945 czy 1946, kiedy w Oksfordzie byli i inni wojskowi, wyglądałoby to inaczej. Ale w 1948 roku nie było nikogo lub prawie nikogo w moim wieku, a już naprawdę żywej duszy na moje podobieństwo w 1950, kiedy kończyłem. Wszyscy ci chłopcy przyszli wprost ze szkoły średniej z rządowymi stypendiami. I najlepiej mogłem się dogadać z młodymi „donami”.

— Z chęcią zaprosiłbym tutaj paru z nich — dodałem po chwili — ale to trudna historia, bo wszyscy mają mało pieniędzy.

— To zawsze stanowi trudność — potwierdził ojciec. — Ale gości z Anglii nigdy nie udaje się do nas sprowadzić. I to nie tylko kwestia pieniędzy.

Opowiadałem ojcu dalej o moim życiu w Lincoln's Inn.

— Nie wiem właściwie, czy nie straciłem czasu — stwierdziłem w końcu z całym spokojem. — Nie wiem, czy fakt, że zdobyłem prawo praktyki adwokackiej, przyda mi się na co w prowadzeniu Coombargany.

Ojciec uśmiechnął się.

— Czy to znaczy, że wolałbyś wrócić i mieszkać na stałe w Anglii? — zapytał.

— Chyba nie — odparłem. — Już mi to przeszło. Chciałbym tam znowu kiedy pojechać, ot tak, dla przyjemności, dajmy na to za dziesięć lat czy coś koło tego, i zobaczyć, jak tam wszystko idzie. Ale nie chcę już tam mieszkać na stałe. Chyba nie.

— Zupełnie odwrotnie niż Helenka?

— Właśnie.

— Jaki jest właściwie Laurence? — zapytał ojciec. Nie znał zięcia, bo

oboje rodzice, w miarę jak im przybywało lat, nie czuli się na siłach opuścić Coombargany i udać się w podróż do Anglii. Wśród innych niewyjawianych pretensji i to także miałem za złe mojej siostrze, że nie przyszło jej do głowy przywieźć z sobą męża do Australii i przedstawić go mamie i ojcu. A zresztą może tak było i lepiej.

— Nic mu nie można zarzucić — odparłem. — Ale niewiele mnie z nim łączy i nie sędzę, tatusiu, abys ty także znalazł z nim coś wspólnego.

W czasie pierwszej wojny ojciec mój służył cały czas w Gallipoli i we Francji, a w ciągu drugiej przez trzy lata w pocie czoła organizował transport motorowy w upalnym Obszarze Północnym mając wtedy ponad sześćdziesiąt lat. Tymczasem Laurence miał jakieś kłopoty ze zdrowiem i całą wojnę spędził na służbie w BBC.

— Nic mu nie można zarzucić. Zaczyna nawet mieć rozgłos jako krytyk teatralny. Uważany jest za bardzo zdolnego.

Spojrzałem z boku na ojca.

— Posądzam go, że lubi iść po linii najmniejszego oporu, ale on prawdopodobnie myśli to samo o nas.

— Czy chociaż jest dobrym mężem? Czy nie ma w jego życiu zbyt wielu kobiet, to znaczy zbyt wielu ponad pewną rozsądną ilość? — zapytał ojciec z uśmiechem.

Śmiałem się wraz z nim.

— Nie zdaje mi się, żeby istniały kłopoty w tej dziedzinie.

I nie wyglądało na to, aby pojawiły się w przyszłości, bo Helenka ma mocny charakter i sprawuje władzę nad własnymi pieniędzmi.

Laurence zaś nie jest typem, który by poświęcił wszystko dla miłości.

— A jak twoje sprawy, Alanie? — zapytał ojciec. — Czy nigdy nie pomyślałeś, żeby się ożenić?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

— Powinieneś o tym pomyśleć. Lata idą, synku. Ile to już ich masz? Trzydzieści dziewięć?

Potwierdziłem to obliczenie.

— Ale jakoś nigdy nie trafiła mi się okazja, tatusiu.

— Powinieneś o tym pomyśleć — powtórzył ojciec. — Poczujesz się bardzo samotny, gdy przyjdzie ci gospodarować tutaj i gdy nas już nie będzie.

— Nie tak łatwo znaleźć żonę, kiedy się jest kaleką — odpowiedziałem. — Trzeba wyjątkowych cech charakteru u młodej kobiety, żeby zdecydowała się na małżeństwo z człowiekiem bez nóg.

— Ale pomyśl o tym — powtórzył znowu ojciec z pewnym już wahaniem. I dodał: — Przypuszczam, że nigdy nie ciągnęło cię już do latania.

— Właściwie tak — odparłem. — Oczywiście, nie na Typhoonach. Sporo latałem w Londyńskim Aero Klubie w Panshanger na Tiger Mothach i Austersach. Nie pisałem o tym w listach, bo bałem się, że mama będzie się denerwować.

— Czy tutaj projektujesz także latać?

— Raczej nie. Tam chciałem tylko przekonać siebie samego, że się nie boję i nadal potrafię, nawet z protezami zamiast nóg. W sumie zrobiłem

około stu godzin. Ale nie zamierzam dalej uprawiać tego sportu, chyba żeby był jakiś cel. A celu teraz nie ma. Ojciec uśmiechnął się.

— Jakie miałeś uczucie, gdy pierwszy raz wszedłeś do maszyny? — zapytał z zainteresowaniem. — Czy bałeś się?

— Troszkę — przyznałem się. Prawie tyle samo, co w czasie pierwszego lotu solo. Ale, oczywiście, wiadomo było z góry, że w takiej zabawce jest bezpiecznie jak we własnym łóżku.

Odeszliśmy od sadzawek z małymi pstrągami i wolnym krokiem wróciliśmy do samochodu.

— Matka od rana przygotowuje dla ciebie jakiś nadzwyczajny obiad — powiedział ojciec. — Czy chcesz się przebrać?

— Mama wolałaby pewnie, żebym się przebrał, prawda? A jak ty robisz na co dzień, tatusiu? — zapytałem.

— Ja zwykle kładę smoking w zimie, kiedy w porze obiadowej jest już ciemno — odpowiedział ojciec. — Ale w lecie, kiedy się czasem jeszcze wychodzi na dwór po obiedzie, kładę po prostu lepsze ubranie.

— Mam smoking w walizce. Chociaż jest prawdopodobnie trochę wy-miętoszony po tej podróży naokoło świata. Przebierzmy się. Mama na pewno będzie z tego rada.

Zastaliśmy matkę w salonie, usadowioną przed kominkiem, gdzie palił się ogień z polan. Miała na sobie długą czarną suknię wieczorową z szalem zarzuconym na ramiona. Pogadaliśmy chwilkę o Londynie i Helence popijając różowy dzin i grzejąc się przy ogniu, bo wieczór stawał się chłodny. Potem poszedłem przebrać się do mojego pokoju na górze. W sypialni ktoś zapalił na kominku i zostawił wielki kosz pełen polan drzewa gumowego, które przesycało powietrze wonią palącego się eukaliptusa. Ktoś, może stara Annie, rozpakował jedną z moich walizek i rozłożył ubranie na łóżku.

Gdy rozpakowywałem drugą walizkę w tym starym tak dobrze znajomym pokoju i wdychałem atmosferę mego dawnego otoczenia, uderzyła mnie nagle świadomość, że będę dzisiaj nocował zupełnie sam na piętrze. Ojciec i mama, których sypialnia, ubieralnia i łazienka były dawniej obok mojego pokoju, teraz przenieśli się do pokoju bilardowego na parterze. Na górze, z drugiej strony korytarza, był pokój narożny, dawniej Heleny, a obecnie nie-zajęty, a obok, oddzielony od niego łazienką, pokój gościnny, także dzisiaj pusty. Przy moim pokoju była druga łazienka i z niej wchodziło się do dawnego pokoju Billa używanego teraz niezmiernie rzadko. Bill zginął w Normandii wiosną 1944 roku. Zanim wróciłem do Coombargany, rodzice zabrali stąd wszystkie rzeczy i obrazy Billa, po czym odnowili i przemeblowali ten pokój urządzając go jako drugi gościnny. Sądziłem prawdopodobnie, że lepiej dla mnie nie mieć obok siebie nic takiego, co by mi przypominało zbyt natarczywie brata i wojnę. Po Billu nic już tutaj nie zostało, ale rodzice zapomnieli o łazience i od 1946 roku nie zdarzyło się nigdy, abym siedział w kąpieli i nie patrzył na drzwi do sąsiedniego pokoju oczekując, że za chwilę się otworzą i wpadnie Bill, siedemnasto- czy osiemnastoletni chłopak, w skąpych szatkach albo w ogóle nagi.

Takie wrażenie miałem i dzisiaj siedząc w wannie przed obiadem. Bill ciągle jeszcze był bardzo realną osobą w moim życiu, chociaż minęło już dziesięć lat od chwili, kiedy widziałem go po raz ostatni w Lymington, w hrabstwie Hampshire, a szesnaście, odkąd dzieliliśmy tę wspólną łazienkę. Nie tak łatwo zapomnieć o swoim jedynym bracie.

Gdy siedziałem w kąpieli snując te różne myśli i rozkoszując się błogosławieństwem gorącej wody po paru dniach spędzonych w samolocie i w hotelu w Sydney, poczułem się trochę samotny, bez żywej duszy na całym piętrze. Oczywiście nie byłem zupełnie sam. Za schodami i galerią, która otaczała duży, główny hall, znajdowało się ponad kuchnią skrzydło służbowe, oddzielone wahadłowymi drzwiami od naszej części domu. Były tam cztery służbowe pokoje, pozostałość dawnych czasów i licznej służby; tej nocy w jednym z nich będzie spała Annie, nasza stara kucharka. W drugim — spi już teraz pokojówka.

Nie zaciągnąłem stor i gdy ubierałem się przed kominkiem, na dworze było jeszcze jasno. Stałem przez chwilę patrząc na gasnący dzień, zanim odwróciłem się do lustra, żeby zawiązać krawat. Na dole szerokie trawniki bieły spadziście ku rzece, z ogrodem kwiatowym na prawo; po lewej kępa dębów, drzew gumowych, akacji i sosen osłaniała budynki gospodarskie. Za rzeką i het, za wzniesieniem leżały pastwiska, a daleko na horyzoncie długi grzbiet łańcucha Grampian odcinał się czarno od blasku zachodu. Panował tu pogodny spokój wykluczający wojnę i groźbę wojny, wykluczający samoloty czołgi i żołnierzy. Na tej ziemi można było uczciwie pracować w pokoju i ciszy, gdy przeżyło się swoją porcję wielkiej wojny i jej wstrząsów. Zawierucha wojenna może kiedyś wybuchnąć znowu i znowu trzeba mi będzie porzucić to ciche życie i spełnić swój obowiązek, tak jak to zrobił przede mną mój ojciec, ale na razie rad byłem, że wyostałem się z tamtego życia i jestem z powrotem w Coombarganie w roli hodowcy owiec.

Skończyłem się ubierać i zszedłem do salonu. Oboje rodzice już czekali i najpierw wybadali mnie, czy wszystko w moim pokoju zostało przygotowane, jak należy.

— Wspaniale — powiedziałem. — Tak jakbym opuścił go wczoraj, a me pięć lat temu. — I roześmiałem się. W istocie człowiek zmienia się po pięciu latach i w pokoju niejedno nadawało się do jak najszybszej zmiany. Były tam rzeczy niepotrzebne mi obecnie, jak na przykład drążek sterowy z mojego roztrzaskanego Typhoona czy kompas z pierwszego Messerschmitta 109, który zestrzeliłem nad Wittering. Jeszcze w 1946 roku przedmioty te przynosiły mi pewną ulgę w moich złych nastrojach, ale od tego czasu minęło lat osiem; nie potrzebuję ich teraz i lepiej będzie, gdy zostaną usunięte.

Wypiliśmy z ojcem po jeszcze jednym różowym dżinie i wtedy oznajmiono że obiad podany. Głowa pani Plowden ukazała się w uchylonych drzwiach. Pani Plowden była jak zwykle niechlujna, z kosmykiem siwych włosów opadającym na twarz. Rękawy miała zakasane do łokci, a całą postać okrywał gruby fartuch. .

— Wszystko jest gotowe na stole, pani pułkownikowo — powiedziała wesoło. Matka podziękowała jej i głowa pani Plowden znikła.

Zauważyłem spojrzenie, które mama rzuciła ojcu. Ich oczy spotkały się na ułamek sekundy. Wszystko musiało inaczej wyglądać, gdy żyła pokojówka: starszankowie musieli teraz przystosowywać się do nowych zwyczajów.

Przeszliśmy do jadalnego pokoju. Politurowany stół bez obrusa, z koronkowymi serwetkami i srebrną zastawą, wydał mi się ładnie nakryty, ale matka uważała, że wszystko jest na niewłaściwym miejscu, i kusztowała naokoło przesuwając solniczki i kieliszki do wina i przestawiając półmiski ze stołu na boczny kredens, dopóki nakrycie nie stało się takim, do jakiego przywykła.

— Obawiam się, Alanie, że wszystko jest dzisiaj bez ładu i składu — powiedziała. — Za parę dni może jakoś zorganizujemy na nowo tryb życia.

— Ależ wszystko wydaje mi się w zupełnym porządku, mamo.

— Główna rzecz w tym, jak sędzę, że przez ostatni rok byliśmy trochę psuci. Zapomniałam prawie zupełnie o tych czasach, kiedy trzeba było uczyć kogoś, jak się ładnie nakrywa.

— Ta dziewczyna była dobrą służącą?

— To była inteligentna dziewczyna — odparła matka — i wystarczyło raz jej pokazać, jak się co robi. Musiała pochodzić z przyzwoitej rodziny, która mieszkała w ładnym otoczeniu.

— Jessie nastawiała dla nas adapter — powiedział ojciec.

— Tak?

— Ile razy obchodziliśmy jakąś małą uroczystość, na przykład moje urodziny albo dobre wiadomości o sprzedaży wełny, do obiadu mieliśmy butelkę szampana i trochę muzyki. Ojciec zakładał w salonie długo grającą płytę, na przykład *Oklahomę* czy *Południowy Pacyfik*, czy coś w tym rodzaju i zostawialiśmy drzwi otwarte, żeby mieć muzykę w czasie obiadu. A potem okazało się, że Jessie umie zmieniać płyty, a że znała już te, które lubiliśmy — nie potrzebowaliśmy zaprzętać sobie głowy adapterem.

— Znała wszystkie nasze przyzwyczajenia — powiedział ojciec. — Pamiętasz — zwrócił się do matki — jak to było, kiedy przyszła wiadomość, że Alan wraca? Jessie skończyła podawać przekąski i zapytała, czy może założyć płytę.

Matka przytaknęła.

— Nieprędko znajdziemy służącą taką jak Jessie.

Wkraczaliśmy znowu na niebezpieczny temat. Zacząłem pośpiesznie szukać czegoś nowego, co by odciągnęło matkę od wspomnień o zmarłej dziewczynie, ale okazało się, że większość nowin już opowiedziałem. Przyszedł mi na myśl Bill i nowe szczegóły, których dowiedziałem się o jego śmierci, ale ten temat lepiej było odłożyć na kiedy indziej. Natomiast moja podróż, o której jeszcze nie opowiadałem, mogła ją zabawić i odwrócić uwagę od tamtej przykrej sprawy.

— Zatrzymałem się na kilka dni w Nowym Jorku — powiedziałem. — To jest właściwie podniecające miasto, ale nie miałbym ochoty tam pracować.

Ojciec od razu podchwycił wymyślony przeze mnie wybieg.

— Jak naprawdę wygląda Nowy Jork? — zapytał. — Czy odpowiada temu wyobrażeniu, jakie się ma o nim z filmów?

— Chyba tak, to znaczy zewnątrz. Wie się mniej więcej, jak to będzie wyglądało, zanim się przyjedzie. Ale jeśli chodzi o ludzi, nie spotkałem ni gdy Amerykanina, który by przypominał postaci z kina, i tym razem powlo-rzyło się to samo. Chociaż widocznie są i tacy kinowi Amerykanie.

— Prawdopodobnie w filmie i na scenie przedstawiają z przesadą swój własny charakter — powiedziała matka. — My robimy to samo. We wszystkich krajach tak się dzieje. Ale nieczęsto spotyka się ludzi, którzy zachowują się tak jak aktorzy na scenie.

Ojciec w dalszym ciągu nadawał kierunek rozmowie.

— Przypuszczam, że na ekranie muszą przedstawiać wszystkie te cechy w powiększeniu. Czy byłeś w Los Angeles?

— Nie — odparłem. — Spędziłem tylko parę dni u znajomego w San Francisco.

Mówiłem dalej o Stanach i ten temat wystarczył na cały czas obiadu. Rodzice jadali niewiele, ale lubili dobrą kuchnię, i Annie, nasza stara kucharka, najwidoczniej specjalnie wystąpiła przy tej okazji, chociaż nie pamiętam już teraz, co wchodziło w skład menu, oprócz świeżych szparagów i duszonego zająca. Sprawilem mamie przyjemność chwając obiad i obiecałem jej, że pochwalę także Annie.

Mnóstwo starania włożono, żeby zgromadzić razem dania, które lubiłem. Ojciec otworzył szczególnie dobrą butelkę burgunda, a kieliszek południowoaustralijskiego porta przy deserze był rzeczywiście wyśmienity.

Po obiedzie przeszliśmy do salonu. Rodzice zawsze kładli się spać wcześniej; to ogólny zwyczaj na wsi, gdzie trzeba wcześniej wstawać i kręcić się od siódmej rano przy gospodarstwie, żeby dopilnować robotników. Od czasu operacji lekarz zalecił ojcu kłaść się spać o dziewiątej, a wraz ze wzrastającym kalectwem matki oboje nabrali zwyczaju udawania się na spoczynek o tej porze, chociaż przed snem czytali zwykle w łóżku około godziny. Gdy byłem w domu zaraz po wojnie, rozgrywałem często z mamą partię szachów po obiedzie. Od tamtych czasów nie grywałem wcale i prawie wyleciały mi z głowy pravidła i ruchy, ale dzisiaj, żeby rozproszyć jej przykre myśli, zaproponowałem partyjkę dla uczczenia mojego powrotu. Mamę, zdaje się, ucieszył ten pomysł, chociaż i ona nie grała wiele w okresie mojej nieobecności; przyniosłem więc inkrustowany stolik do szachów, który rodzice kupili w Paryżu przed wojną. Stał on pewnie kiedyś w jakimś dworze wiejskim w Ture-nii, a teraz znalazł się w dość podobnym otoczeniu w australijskim Zachodnim Okręgu.

Odszukałem także pudełko z osiemnastowiecznymi rzeźbionymi figurami i pionkami z kości słoniowej i rozstawiłem je przy krześle matki przed kominkiem. Zagraliśmy dwie partie i tak zeszło do dziesiątej, kiedy nastąpiła pora pójścia do łóżka.

Odsunąłem stolik i szachy i pomogłem matce wstać z krzesła.

— To strasznie wczesna godzina na pójście spać w pierwszy wieczór po twoim powrocie — powiedziała. — Bardzo tego nie lubię, Alanie, ale doktor Stanley mówi, że musimy kłaść się wcześniej, zwłaszcza że ojciec tak tano wstaje.

— Nalej sobie whisky, Alanie — powiedział ojciec. A tu jest gazeta

— Nie martwcie się o mnie — odparłem z uśmiechem. — Za parę dni sam się pewnie zacznę kłaść wcześniej i wstawać o świcie. To najodpowiedniejszy tryb życia w Australii.

Towarzyszyłem matce, która powoli kusztykała ku drzwiom, i otworzyłem je przed nią.

— Jak to dobrze mieć cię znowu w domu, Alanie — powiedziała, gdy szliśmy razem przez hall do jej pokoju. — Nawet nie wiesz, jak bardzo czekaliśmy na twój przyjazd.

Zatrzymała się i dorzuciła po chwili:

— Wszystko to razem jest już za wielkim ciężarem dla ojca. I jeszcze to nieszczęście...

— Nie martw się, mamó — powiedziałem. — Po paru dniach wszystko dojdzie do normy.

— Może — powiedziała cicho. Zrobiła z trudem jeszcze parę kroków i dodała: — Pomyśl, jak ona musiała być strasznie nieszczęśliwa, żeby odebrać sobie życie, a ja o tym nie miałam pojęcia. Powinnam była wiedzieć, że jest jej źle, a ja wcale tego nie zauważyłam. Czuję się bardzo winna, tak jakbym nie spełniła czegoś, co do mnie należało, albo jakbym to ja nieświadomie sprawiła, że ta dziewczyna cierpiała. Ale nie mogę sobie wyobrazić, co by to mogło być...

— Nie martw się, mamó — powtórzyłem. — Przecież ta sprawa nie ma żadnego związku z twoją osobą. Wszyscy uważamy, że to musiał być wypadek.

— Może i tak. Chciałabym naprawdę móc to uważać za wypadek.

— Dobranoc, mamó — powiedziałem, gdy doszliśmy do drzwi jej pokoju, i pocałowałem ją.

Przytrzymała mnie chwilę przy sobie.

— Dobranoc, synku. Tak bardzo się cieszę, że jesteś z nami.

Gdy rodzice poszli do siebie, wróciłem do salonu i przez chwilę stałem przed kominkiem w głębokiej zadumie. Moja matka była najwidoczniej bardzo zgnębiona śmiercią pokojówki i im więcej myślałem o całej tej sprawie, tym bardziej wydawała mi się zagadkowa. Nie mogłem pogodzić się z myślą, że matka mogła unieszczęśliwić dziewczynę. Chorzy mają nieraz przykre usposobienie i bywają kłótlivi. Nie było mnie w domu przez pięć lat i czułem wobec tego, że jestem w stanie spojrzeć na matkę obiektywnie; nigdy nie uważałem, aby miała przykre usposobienie, i nie wyglądała na to i teraz. Jakikolwiek były powody samobójstwa dziewczyny, byłem zupełnie pewny, że matka nie miała z nim nic wspólnego. A jednak musiało to być samobójstwo, a nie wypadek, bo inaczej ta dziewczyna nie byłaby zniszczyła swych dokumentów i papierów. Ciekaw byłem, co z nimi zrobiła.

Naturalnie myśl o morderstwie przemknęła mi również przez głowę, ale odrzuciłem ją od razu. Czytamy za wiele powieści detektywistycznych, które kierują rozumowanie na najbardziej nieprawdopodobne tory. W tym wypadku nic nie wskazywało na jakikolwiek powód do morderstwa ani na okazję popełnienia go we dworze coombargańskim.

Annie mogła wiedzieć coś, czego nie powiedziała moim rodzicom, i nale-

żało teraz z nią pomówić. Annie przyjechała do Coombargany jeszcze przed moim urodzeniem. Pochodziła ze Szkocji, z jakiejś wioski niedaleko Peterhead, i jako młoda dziewczyna pracowała przy połowie, patroszeniu i pakowaniu śledzi na nabrzeżach. Przypuszczam, że mój dziadek będąc jeszcze chłopcem musiał znać jej ojca, starego McConchie, albo może zetknął się z nim, kiedy odwiedzał swoje rodzinne strony w 1895 roku. W każdym razie Annie razem ze swym bratem Jakubem przyjechała do Australii i zaczęła pracować u dziadka w 1908 czy 1910 roku mając wtedy pewnie ze dwadzieścia lat. Kiedy byłem dzieckiem, Jakub ciągle pracował u nas przy inwentarzu, a Annie jako pomoc w kuchni. Ale około 1920 roku Jakub przeniósł się na własną farmę w pobliżu Mortlake, nabytą przy pomocy dziadka, który poręczył za niego w banku. I Jakub, i Annie jako Szkoci żyli oszczędnie i odkładali każdy grosz, który wpadł im w rękę, a rezultat był taki, że w czasie kryzysu w trzydziestych latach, kiedy wszyscy bankrutowali i majątki szły na licytację za psi grosz, rodzeństwo McConchie zapobiegliwie kupowało ziemię. Jim McConchie miał teraz dwa tysiące akrów koło Mortlake i hodował merynosy i bydło zarodowe rasy Angus. Co dwa czy trzy lata jeździł do starego kraju po materiał rozplodowy, a w zeszłym roku na Królewskiej Wystawie Rolniczej zapłacił trzy tysiące pięćset funtów za byka Angus. Annie nadal pracowała u nas we dworze. Nie wyszła za mąż i niechętnie żyłaby na łasce Jakuba, chociaż ogromnie była dumna z jego życiowego sukcesu. Ciekaw byłem, czy Annie jeszcze nie śpi. Z salonu poszedłem przez jadalny; w kuchni ciągle się świeciło. Pchnąłem drzwi wahadłowe i zastałem Annie stojącą przy stole.

— Dobry wieczór, Annie — powiedziałem. — Co u ciebie słyhać? Niewiele się zmieniła; trochę może wydawała się mniejsza i przerzedziły

się jej siwe włosy.

— Wszystko po staremu — odparła. — A co u pana? Jak to dobrze, że pan wrócił!

— Trzymam się jako tako i bardzo się cieszę, że jestem w domu.

— Jak to dobrze — powtórzyła. — Bo co prawda, to prawda: wszędzie dobrze, a w domu najlepiej. Jak pan zastał rodziców?

— Nie zanadto dobrze. Najwyższy był czas, abym wrócił. Nie zdawałem sobie sprawy, że się tak staruszkowie posunęli.

— Cóż robić? Nikt z nas nie młodnieje.

— Ale ty, Annie, niewiele się zmieniłaś — powiedziałem.

— Nieźle się trzymam — odparła. — Od czasu do czasu męczy mnie reumatyzm, ale trzymam się nieźle.

— Przypuszczam, że to dzisiejsze nieszczęście bardzo matkę zdenerwowało — zauważyłem.

— Na pewno — odparła Annie. — To wielki wstrząs dla pani domu, gdy coś takiego się u niej przytrafi.

Oparłem się o lśniący, metalowy zlew.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego ta dziewczyna to zrobiła. Jak myślisz, może źle się tutaj czuła?

— Nie powiedziałabym tego — odparła. — Przez te ostatnie parę dni była bardzo cicha. Ale ona zawsze była taka.

Szukałem jakiegoś klucza do tej zagadki.

— Czy miała może ponure usposobienie?

— Nie — zaprzeczyła Annie. — Miała bardzo równe usposobienie, bardzo gładko się z nią współżyło, ale nigdy nie mówiła o sobie.

Rozumiałyśmy się dobrze, bo ja, zdaje się, mam podobny charakter. Nigdy nie pakowałam nosa w jej sprawy ani ona w moje.

— Czy wiedziałaś o tym, że ona zażywa jakieś środki nasenne? — zapytałem. — Czy to był taki typ kobiety, co to ciągle bierze jakieś leki?

Annie znowu zaprzeczyła.

— Na jej umywalni był flakon soli owocowych „Eno” i tubka weganiny. A przy łóżku stał właśnie ten flakon, który doktor zabrał ze sobą.

— Nie wiesz czasem, co to były za tabletki?

— Nie.

— A w jej pokoju nie było żadnych listów ani papierów?

— Ani kawałeczka. Nie było ani strzępka zapisanego papieru oprócz paru książek z domowej biblioteki.

Rzuciłem okiem na Annie.

— To bardzo dziwne — powiedziałem. — Przecież musiała mieć jakieś dokumenty. Musiała mieć paszport na przyjazd tutaj z Anglii.

Co się z tym wszystkim stało? Annie wzruszyła ramionami.

— Może wszystko wyrzuciła, gdy postanowiła ze sobą skończyć.

— A więc uważasz, że postanowiła się zabić? Że to nie był wypadek?

— Nie ja będę o tym rozstrzygać, panie Alanie. Ale gdyby to był wypadek, sądzę, że jakieś papiery czy listy zostałyby na wierzchu.

Zastanawiałem się przez chwilę.

— Gdzie mogła spalić te rzeczy?

— W piecu koksowym, tam, za domem — odparła Annie. Miała na myśli piec do centralnego ogrzewania. — Tam mogła je spalić.

— Czy mogła to zrobić niepostrzeżenie?

— O, tak. Ogień rozpala się rano, w południe i wieczór, ale w międzyczasie nikt tam nie chodzi.

Spojrzałem na ogień palący się niezbyt ostro w piecu kuchennym.

— A może tutaj? Annie potrząsnęła głową.

— Ja sama pilnuję komina i zaraz bym zauważyła, gdyby były jakieś papiery. Nie zdaje mi się, żeby tutaj mogła cośkolwiek spalić.

Stałem przez chwilę w milczeniu łamiąc sobie głowę nad tą zagadką, potem spojrzałem na Annie.

— Czy rzeczywiście nie ma w jej rzeczach nic, co by mogło nam powiedzieć, kim ona była? Żadnego medalika, biżuterii... rzeczywiście nic? Annie potrząsnęła przecząco głową.

— Może by pan zajrzał do jej pokoju?

Zawahałem się, pełen oporu. Wydawało mi się, że szukanie w tym poko-

ju rzeczy, które dziewczyna najwidoczniej wolała przed nami ukryć, jest jednoznaczne z wkraczaniem w jej osobiste życie. Ale ktoś przecież już tam wchodził; ojciec na pewno, a być może i matka. Była tu policja i niewprawnymi rękami przerzuciła jej bieliznę i suknie. Wątpiłem, czy uda mi się dorzucić jakiś wkład do tego, co dotychczas osiągnięto, i nie miałem ochoty tam wchodzić, ale odmowa miałaby w sobie coś z tchórzostwa.

— Ona tam leży? — zapytałem.

— Tak, leży tam — odpowiedziała Annie. — Jest nakryta prześcieradłem.

Spojrzała na mnie przypominając sobie, być może, małego Alana, który biegał po coombargańskim dworze za czasów jej młodości. — Nie ma czego się bać, panie Alanie.

— Wiem. Ale nie należy narzucać się nikomu, chyba że zachodzi wyraźna potrzeba. Tym razem jednak uważam, że muszę tam zajrzeć.

— Pójdę z panem — powiedziała.

Chciała mnie puścić przodem, ale wolałem, żeby ona prowadziła, i przez kredens weszliśmy po nie froterowanych schodach bez chodnika do części służbowej. Krótki korytarz z dwoma pokojami po każdej stronie kończył się wahadłowymi drzwiami łączącymi go z główną częścią domu, gdzie zaraz obok była moja sypialnia. Nie pamiętałem zbyt dobrze tego skrzydła, choć przecież bywałem tu nieraz jako dziecko.

Annie skierowała się ku drugim drzwiom na lewo. Zatrzymałem ją, zanim zdążyła je otworzyć.

— Czy to jej pokój? — zapytałem.

— Tak.

— A w którym pokoju ty sypiasz?

Wskazała na następne drzwi po tej samej stronie.

— Tutaj, panie Alanie. Pani powiedziała, żeby używać tych pokoi, bo mają więcej światła i ładny widok. Tamte są trochę ciemne.

Rzeczywiście, te dwa pokoje służbowe miały taki sam widok jak mój, na Coombarganę i na góry. W głównym skrzydle domu sypialnia Billa i łazienka leżały pomiędzy moim pokojem i pokojem zmarłej dziewczyny.

— Czy zeszłej nocy nie słyhać było jakiegoś niezwyklego ruchu?

— Nie — zaprzeczyła Annie. — Zupełnie nic.

Zatrzymała się chwilkę, a potem otworzyła drzwi i zapaliła światło. Weszliśmy. Pokój miał nagie ściany pomalowane na kremowo, a framugi okien i drzwi były białe. Umebłowany był wygodnie, ale prosto; tani garnitur sypialni z australijskiego dębu składał się z łóżka, komody z lustrem i szafy. Był tu także stół i krzesło. Na łóżku leżała zmarła dziewczyna przykryta prześcieradłem.

Na stole stał mały składany budzik podróży, najwidoczniej amerykańskiego pochodzenia, i buteleczka atramentu do wiecznego pióra. Myśląc ciągle o listach i dokumentach odkręciłem pokrywkę z zupełną łatwością, bule leczka była napełniona do połowy. Odwróciłem się do Annie.

— Czy miała wieczne pióro?

Mimo woli mówiłem cicho jak w kościele.

— Tak odparła Annie. — Widziałam pióro w jej torebce. Otworzyła lewą szufladkę w komodzie i wyjęła dosyć zniszczoną, dużą torbę z granatowej skóry. Otworzywszy ją wyciągnęła ze środka pióro. Był to granatowy Parker 51, w dobrym stanie; atrament na końcu stalówki był jeszcze świeży. Pióro musiało być używane całkiem niedawno.

Włożyłem je do torby z powrotem i obejrzałem resztę zawartości. Była tu puderniczka, portmonetka i trochę pieniędzy, ale żadnych papierów; poza tym przedmioty, jakie kobieta zwykle nosi przy sobie, a więc grzebień, kredka do ust, trzy klucze na kółku i nieużywana chusteczka, która musiała leżeć w torebce już od dłuższego czasu. Niczego nie można się było z tego dowiedzieć. Zajrzałem do szuflady: były tu przeważnie chustki do nosa i pończochy. Nie mówiło mi to nic. Znowu wziąłem do ręki portmonetkę i otworzyłem ją.

— Co robiła ze swymi pieniędzmi? — zapytałem takim samym ścisłym tonem. — Czy to wszystko, co miała?

— Miała konto oszczędnościowe na poczcie. Jeździła do Forfar co pewien czas i wpłacała tam pieniądze.

— A gdzie w takim razie jest jej książeczka? — zapytałem. — Czy jest gdzieś tutaj?

— Chyba nie. Nie widziałam, a przecież byłam obecna, kiedy policja robiła rewizję.

— Czy nie wiesz czasem, ile miała pieniędzy w banku?

— Nie wiem.

Na komodzie leżały książki, ale ich tytuły także nic nie powiedziały. *Ostatnie dni Hitlera* były wciśnięte między *Anię z Zielonego Wzgórza* i *Hokus-Pokus*. Rozglądałem się za Pismem Świętym czy książką do nabożeństwa, ale nic takiego nie znalazłem.

— Czy pan chce zobaczyć jej suknie? — zapytała Annie i dotknęła pierwszej szuflady.

Instynktownie cofnąłem się przed tą niedyskrecją.

— Nic tam takiego nie ma, prawda? Wszystko było już przejrzone?

— O, tak — powiedziała. — Policja obejrzała każdą rzecz bardzo starannie.

— Zostawmy to — powiedziałem. — Odsunąłem się od komody i rozejrzałem po całym pokoju. W kącie leżały dwie walizki jedna na drugiej. Podeszedłem bliżej i zbadałem je. Obie były stare, a jedna w niezwykłym stylu, może zagraniczna; były puste, bez żadnej nalepki. — Czy to cały bagaż, jaki miała? — zapytałem.

Annie zawahała się.

— Chyba tak — powiedziała wreszcie. — Chociaż właśnie zastanawiałam się, czy nie było czasem jeszcze jednej walizki.

Przypominam sobie, że Jessie musiała obrócić kilka razy, gdy przynosiła tu swoje rzeczy sprzed drzwi wejściowych. Nie mogła nieść więcej niż po jednej walizce na raz po tych wąskich schodach. Może zresztą zeszła i weszła z powrotem tylko dwa razy. Już sporo czasu upłynęło od jej przyjazdu, a ja akurat byłam wtedy zajęta w kuchni i nie zwracałam na nią specjalnej uwagi.

— Nie przychodziłaś tu często?

— Ani razu nie weszłam do jej pokoju ani ona do mojego. Tylko pani zagląda od czasu do czasu do naszych pokoi, żeby sprawdzić, czy jest czysto i porządnie.

Stałem ciągle rozglądając się po pokoju, chociaż właściwie nie było już nic do oglądania. Znajdowała się tu jeszcze wmontowana w ścianę umywalnia z bieżącą wodą, a na niej mydło i pasta do zębów pospolitej marki. Obok na półeczce stały sole „Eno” i weganina, ale nie widać było żadnych lekarstw ani nawet kosmetyków czy płynów do zmywania twarzy, co wydawało mi się dziwne w pokoju zamieszkiwanym przez kobietę.

Nie było celu stać dalej — niczego więcej nie uda się już dowiedzieć. Annie zatrzymała się przy łóżku i zapytała cicho:

— Nie chce pan jej zobaczyć? — I ręka jej zbliżyła się do prześcieradła. Zaprzeczyłem ruchem głowy; nic by się przez to nie zyskało, a dosyć już

popelniliśmy niedyskrecji.

— Zostaw ją. Czy nie było medalika czy czegoś w tym rodzaju pod poduszką?

— Nic takiego nie było, panie Alanie. Przeszukaliśmy wszystko dokładnie, gdy była tu policja.

Wyszedłem na korytarz, Annie za mną.

— Dziękuję, Annie — powiedziałem. — Rad bym, żeby już się to wszystko skończyło i życie wróciło do normy.

— O, tak — potaknęła. — Wszyscy się zdenerwowali. Rodzice pewnie bardzo się cieszą, że pan wrócił?

— Ja się cieszę, że wróciłem w porę, aby pomóc im w tej historii. No to dobranoc, Annie — powiedziałem po chwili. — Dziękuję za pomoc.

— Nie ma za co — odparła. — Dobranoc, panie Alanie.

Przez wahadłowe drzwi przeszedłem do głównej części domu, do siebie. Ogień dogasał. Dorzuciłem parę polan i zszedłem wolno na dół po whisky, żeby połazić trochę po domu przed pójściem spać.

Nalałem sobie kieliszek i stanąłem przed gasnącym już zarzewiem na kominku w salonie, wśród ciszy ogarniającej cały dom.

Zadowolony byłem, że jestem tu znowu, że zabiorę się do roboty, która do mnie należy, a którą odepchnąłem od siebie przed pięciu laty, ale całą przyjemność do tego stopnia mąciła mi i tłumiała historia tej zmarłej pokojówki, że o niczym innym nie byłem w stanie myśleć.

W tej atmosferze wygody i domowego ciepła tkwiła jakaś głęboka i utajona troska, o której nikt nie miał pojęcia, tak głęboka, że dziewczynę uważaną za normalną i zrównoważoną doprowadziła do samobójstwa. Było to coś zupełnie nie pasującego do Coombargany. Takie rzeczy zdarzają się od czasu do czasu w dużych miastach, gdzie ludzie żyją w zbyt wielkim pośpiechu i napięciu, żeby mogli zwracać uwagę na cudze cierpienie, ale tego rodzaju tajemne tragedie doprowadzające do katastrofy nie trafiają się w małych, wiejskich społecznościach takich jak nasza, kierowana przez tak rozsądnych i tolerancyjnych ludzi jak moi rodzice, wśród służby starannie dobieranej w ciągu lat. Za mojej pamięci w Coombarganie zdarzały się tylko małe troski. Nigdy przedtem nie trafiła się

podobna historia jak ta dzisiejsza. Może w tym wolnym od trudności, wygodnym otoczeniu tkwiło jakieś zło, coś, czego nikt nie podejrzewał, coś, co nikomu z nas nawet nie przychodziło na myśl? Czulem, że niezmiernie mi zależy na uzyskaniu odpowiedzi na to pytanie. I właściwie znaleźć ją było moim obowiązkiem.

Nie byłem w stanie skoncentrować uwagi na interesach majątkowych, nie byłem w stanie myśleć o czymkolwiek innym, jak o tym nieszczęściu. Co za dziwny impuls powodował tą dziewczyną, że spaliła każdy strzępek dowodu swojej tożsamości, że spaliła nawet swoją książeczkę oszczędnościową. Oczywiście, mogło wcale nie być pieniędzy na jej koncie; może podjęła wszystko, co miała, i wydała w ten czy inny sposób. Policja będzie musiała to sprawdzić. W każdym razie żyła bardzo spokojnie, właściwie nic nie wydając. Domyślałem się, jaką mniej więcej mogła pobierać pensję; w ciągu piętnastu miesięcy była w stanie zaoszczędzić dwieście do trzystu funtów. Co się stało z tymi pieniędzmi? Może bank dokonał przelewu z jej konta i to nas skieruje na jakiś ślad? Czy istnieje możliwość, że jakiś prawnik, może w Bal-larat, sporządził jej testament? Można było przypuszczać, chociaż nie wyglądało to zbyt prawdopodobnie, że zrobiła testament.

Jak to wszystko było starannie zaplanowane, jak przemyślane! Jak pewnie ta kobieta szła ku śmierci wśród wszystkich swoich poczynań! Nie zostawiła właściwie nic osobistego. Paszport mogła przecie rzucić na pastwę ognia; nie będzie go więcej potrzebowała. Listy i papiery również, bo od jutra nie będzie ich przeglądała. Na co jej fotografie i pamiątki, skoro nie zostanie po niej żadne uczucie, które by mogły pobudzać — a więc w ogień! Książeczka oszczędnościowa — nie potrzebne jej pieniądze na podróż, w którą wyruszyła; niechże się także spali. Uporządkowała swoje życie tak, jak się porządkuje przed wyjazdem dom czy pokój, gdzie się mieszkało. Zdawało się, że u każdej normalnej osoby tylu ofiarom złożonym ogniovi powinien towarzyszyć jakiś olbrzymi wstrząs emocjonalny, ale w tym wypadku nic podobnego nie miało miejsca, przynajmniej pozornie. W każdym razie, jeśli świadomie wybrała śmierć, poszła ku niej pogodnie, ze spokojem, pełna ukojenia. I mojej matce, i Annie wydała się nie zmieniona, chociaż obie zauważyły, że była jak gdyby cichsza niż zwykle.

Przyszła mi dziwaczna myśl do głowy, że gdyby tabletki nasenne nie podziałały, dziewczyna znalazłaby się w niełatwej sytuacji po zniszczeniu paszportu, książeczki bankowej i innych papierów. Jeśli znaleziono by ją, zanim proszki odniosłyby swój śmiertelny skutek, jeżeli zostałaby pośpiesznie przewieziona do szpitala i przywrócona życiu, wtedy spadłaby gwałtownie z wyżyn wzniosłości w śmieszność i mogłaby natknąć się na mnóstwo biurokratycznych trudności przy odbieraniu pieniędzy i wyrabianiu nowego paszportu. Uśmiechnąłem się cynicznie, ale zaraz stłumiłem uśmiech, bo przecież tę dziewczynę nękała głęboka, tajemna troska i nie było powodu do drwin. Jak mocno jednak ufała ona śmierci!

Ale skąd ta pewność, że śmierć jej nie zawiedzie? Są wprawdzie sposoby popełnienia samobójstwa rzeczywiście niezawodne, lecz tabletki nasenne do nich nie należą. Po zażyciu leku człowiek zasypia, a śmierć, jeśli w ogóle na-

stępuje, przychodzi dopiero po kilku godzinach. I jedynie lekarz, doświadczony w stosowaniu danego specyfiku i znający jego działanie na szerokim kręgu różnorodnych pacjentów, mógł orzec na pewno, czy doza zażyta przez tę dziewczynę będzie w ogóle śmiertelna lub podziąła, zanim ją ktoś znajdzie następnego ranka. To, czego się o niej dowiedziałem, nie wskazywało, aby posiadała bliższą czy solidną znajomość praktycznej medycyny; można było zakładać, że pracowała kiedyś jako pielęgniarka, ale jeśli przypuszczenie było słuszne — nigdy się z tym nie zdradziła wobec mojej matki, która właśnie potrzebowała opieki pielęgniarskiej.

Wszystko, co mówiono mi o niej, świadczyło, że była to dobrze wychowana, inteligentna i zrównoważona osoba. Jak wobec tego mogła być aż tak pewna śmierci, żeby pozbyć się wszystkich tych rzeczy paląc je w piecu? Musiało niewątpliwie przyjść jej do głowy, że forma samobójstwa, którą obrała, bynajmniej nie gwarantuje skutków, chociaż jest łatwa i przyjemna. Widocznie znała specjalne działanie leku, bo inaczej nie byłaby zniszczyła swoich dokumentów.

Myśl tę sformułowałem w odwróconym porządku, za co wina spadała, być może, na whisky, chociaż niewiele piłem. Chodziło mi o to, że dziewczyna nie byłaby zniszczyła swoich dokumentów, gdyby nie znała specjalnych właściwości narkotyku. Byłaby je gdzieś schowała.

Byłaby je schowała, aby móc je odzyskać, w razie gdyby nie zabiły jej tabletki nasenne. Po rozmowie z Annie przyjąłem za pewnik, że wszystko zostało spalone w piecu do centralnego ogrzewania, ale właściwie nie było cienia dowodu, że to w istocie zrobiła. W związku z Annie nasunęła mi się znowu sprawa walizki. Annie w sposób nieokreślony okazała zdziwienie, że w pokoju były tylko dwie walizki. Być może rzeczywiście było ich trzy. Może w tę trzecią dziewczyna zapakowała te wszystkie osobiste rzeczy, które miały dla niej wartość, i umieściła ją w miejscu, skąd mogłaby ją wydostać z powrotem, w razie gdyby uniknęła śmierci. Mogła to być na przykład przechowalnia na dworcu kolejowym.

Ale ta hipoteza wydawała się nieuzasadniona, bo w Coombarganie nie udałoby się niepostrzeżenie wynieść walizki z domu. Żaden autobus czy inny środek lokomocji nie docierał do samej Coombargany ani nawet do sąsiednich miejscowości w promieniu pięciu mil. Musiałaby zabrać walizkę do miasta miejscową ciężarówką czy samochodem. Nie mogłaby nawet niepostrzeżenie wynieść jej z domu nie wywołując komentarzy, a przecież nikt nawet nie wspominał o takim fakcie. Jeżeli Jessie schowała swoje rzeczy do walizki, walizka ta prawdopodobnie nadal znajduje się we dworze coombargańskim; dziewczyna miałaby nawet trudności ze zniesieniem jej ze schodów i wyjściem na zewnątrz w tajemnicy przed Annie. Istniała co najmniej możliwość, że wszystkie dowody, których na próżno dotąd poszukiwano, znajdują się pod tym samym dachem co my.

Nalałem sobie jeszcze jedną, niewielką porcję whisky i zasiadłem w fotelu ojca przed gasnącym kominkiem. Nigdy nie miałem zaufania do gwałtownych rozstrzygnięć, a ta sprawa potrzebowała przemyślenia. Przypuśćmy, że dziewczyna chciała schować walizkę wewnątrz domu. Gdzie by ją umieściła.

Musiałyby to być miejsce, dokąd nikomu nie przyszłoby na myśl zaglądać, miejsce dla niej dostępne, a gdzie nikt by jej nie przyłapał w chwili ukrywania walizki.

Mogło to być całe piętro. Gdy Annie była w kuchni albo na dworze, całe piętro było do dyspozycji, bo rodzice rzadko teraz tam zachodzili. Walizka mogła być w jakiegokolwiek szafie czy skrytce w murze, w którymkolwiek z sypialnych pokoi. Parter był mniej dogodny z powodu obecności Annie i moich rodziców. Dziewczyna miałaby też trudności z wyniesieniem walizki do zabudowań gospodarskich, bo ogrodnicy często się tu kręcili, a jeśli nie oni, to robotnicy folwarczni. Nie mogła liczyć, że nikt jej tu nie zauważy. Ale na górze, tam gdzie w coombargańskim dworze są sypialnie, istniała absolutna pewność, że o każdej porze dnia jej poczynania pozostaną niezauważone.

Gdyby ktoś chciał dokonać przeglądu piętra, skąd by zaczął? Gdzie by najprawdopodobniej schowała walizkę, gdyby chciała ją ukryć? Naprzeciwko jej pokoju i pokoju Annie były dwa puste służbowe pokoje używane, jak wiedziałem, na przechowywanie opału albo kufrów podróżnych. Wśród stosu starych, nieużywanych kufrów walizka mogła leżeć w kurzu latami, zanim ktoś nie odkryłby jej wreszcie przy opróżnianiu pokoju, aby wystać jego zawartość na jakąś licytację rupieci. Przy okazji ten ktoś prawdopodobnie łamałby sobie głowę nad rzeczami, które by zobaczył w walizce, w czasie kiedy nawet samo nazwisko Jessie Proctor byłoby od dawna zapomniane.

Im dłużej nad tym myślałem, tym mocniej byłem przekonany, że te rzeczy mogłyby znajdować się na tym samym korytarzu, naprzeciwko drzwi do jej pokoju. Rozumowanie i zdrowy rozsądek wskazywały, że tam właśnie było odpowiednie na to miejsce. Wyszedłem z salonu i skierowałem się na górę przez pogrążony w ciszy dom. Zajrzałem do siebie i dołożyłem nowe polano do ognia na kominku. Po chwili wahania ze stolika przy łóżku zabrałem latarkę elektryczną, bez której nigdzie się nie ruszam. Potem wróciłem na korytarz i przez wahadłowe drzwi przeszedłem do skrzydła służbowego, zatrzymałem się na chwilę przed pokojem zmarłej dziewczyny, żeby przekonać się, że moja koncepcja jest słuszna, i otworzyłem drzwi do pokoju po przeciwnej stronie korytarza. Dzięki latarce znalazłem kontakt i zapaliłem światło.

Była to także sypialnia, umeblowana skromnie jak pokój służbowy. Tutaj pewnie mieszkała ta para małżeńska, która poprzednio służyła u rodziców. Oprócz mebli nie było tu nic; na łóżkach leżały materace, ale bez pościeli. Otworzyłem szafę i po kolei wszystkie szuflady; rozejrzałem się też za szafą w murze, której nie znalazłem. Tutaj w każdym razie nie znajdowało się nic.

Ale był drugi pokój, naprzeciwko pokoju Annie. Przeszedłem wzdłuż korytarza. Tu właśnie, jak pamiętałem, był skład kufrów. Stały tu rozebrane na części łóżka, spiętrzone przy ścianach, kufry, walizki, meble ogrodowe, leżaki, parasole plażowe, kije do firanek staroświeckiego fasonu, stara komoda, dzidy, bumerangi i wszystkie te graty, które w ciągu lat gromadzą się zwykle w wiejskim dworze. Stałem w drzwiach patrząc na to zawałisko i zastanawiając się, skąd zacząć poszukiwania.

W tej chwili usłyszałem ruch w pokoju za mną, u Annie; zapalono tam światło, które ukazało się w szparze pod drzwiami. Zły i zakłopotany, tkwiłem ciągle w drzwiach do pokoju z kuframi, aż wreszcie Annie wyszła od siebie w spłóviałym, niebieskim szlafroku, z kosmykami rzadkich, siwych włosów spadających na ramiona.

— Nic złego się nie stało, Annie — powiedziałem lekko zirytowanym tonem.— Chciałem tylko tu zajrzeć.

— Bardzo przepraszam, panie Alanie — rzekła Annie. — Usłyszałam jakiś hałas i nie wiedziałam, co to ma znaczyć.

Zrobiła ruch, jakby miała wrócić do siebie, ale potem zatrzymała się.

— Czy pan może czegoś szukał? Zawahałem się chwilę.

— Przyszło mi do głowy, że dziewczyna mogła mieć jeszcze jedną walizkę, którą, być może, schowała w tym pokoju.

— Wątpię — odparła Annie — bo ja tu już zaglądałam po południu. Spojrzałem na Annie. Widocznie rozumowanie nasze biegło po tej samej linii.

— Ach tak? Szukałaś jej tutaj?

— Tak — powiedziała. — Gdy policja odjechała, wpadłam na pomysł, że Jessie mogła zapakować niektóre swoje rzeczy i umieścić w tym pokoju. Przeszukałam tu wszystko bardzo dokładnie.

— I nic nie znalazłaś? Potrząsnęła przecząco głową. Rzuciłem okiem wokoło na stosy gratów.

— A może między tymi walizkami?

— Otwierałam każdą z nich po kolei — odparła.

— A w tej szafie?

— Są tam tylko lichtarze i lampy, których używało się przed założeniem elektryczności.

— Czy zaglądałaś do tamtych dwóch kufrów? Przytaknęła.

— W tym tutaj są tylko firanki, panie Alanie, a w tamtym mundury i tropikalne ubrania pana pułkownika. Ja naprawdę bardzo starannie wszystko przeszukałam.

A więc nie miałem tutaj nic do roboty. Wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi.

— Dobrze, że o tym pomyślałaś, Annie — powiedziałem. — To samo i mnie teraz przyszło do głowy.

— Tak — odparła. — I ja sądziłam, że mogła tutaj zostawić jakieś swoje rzeczy. Ale chyba musiała je spalić, panie Alanie.

— Może i spaliła — powiedziałem i poszedłem wzdłuż korytarza. — Dobranoc, Annie. Przepraszam, że cię obudziłem.

— Dobranoc, panie Alanie.

Przez drzwi wahadłowe wróciłem do siebie mocno zawiedziony, bo spodziewałem się jednak, że coś znajdę w pokoju z kuframi.

Zdawało mi się przecie, że piętro dworu w Coombarganie jest najlepszą kryjówką dla waliz-

ki. Zasiadłem w dużym fotelu przed kominkiem, zapaliłem papierosa i rozluźniłem jedną ze sprzączek protezy pod lewym kolaniem, która mnie trochę uwierała. Siedziałem tak paląc i rozmyślając o miejscach, gdzie walizka mogła być schowana, i wtedy przyszło mi na myśl, że jednak pokój z kuframi nie był znowu taką nadzwyczajną kryjówką. Zanadto przyciągał uwagę. I Annie, i ja wpadliśmy na ten sam pomysł zajrzenia tam po kilku zaledwie godzinach. Widocznie dziewczyna była bardziej przewidująca.

A może po prostu wstawiła walizkę do jednego z niezamieszkanymi pokojów albo nawet do mojego pokoju, wychodząc z założenia, że często nie zauważa się rzeczy umieszczonej na widoku? Nie było to zbyt prawdopodobne przypuszczenie, ale z latarką w ręce obszedłem całe piętro głównego skrzydła domu i wszystkie pokoje, otwierając wszystkie szafy i szuflady. Nie zajęło mi to dużo czasu i nie przyniosło żadnego rezultatu.

Pozostawało jeszcze jedno miejsce odpowiednie na kryjówkę, a mianowicie poddasze. Gdy byłem małym chłopcem, opsy wdrapywały się na dach coombargańskiego dworu i miały tu swoje legowiska. Ale zdaje się, że środki przedsięwzięte przeciwko nim przez mojego ojca odniosły skutek i opsy nie pokazywały się tu już od szeregu lat. Na poddaszu byłem parę razy dwadzieścia pięć lat temu polując na opsy. Wchodziło się tam z korytarza przez kłapę w suficie, akurat naprzeciwko pokoiów Heleny; kłapa znajdowała się mniej więcej o dziesięć stóp ponad podłogą i żeby się do niej dostać, niezbędna była drabina.

Gdzież to ja widziałem drabinę? Dopiero co widziałem przecież jakąś drabinę, drabinę z lekkiego metalu, pomalowaną na czerwono. Była to drabina przeciwpożarowa. Przypomniałem sobie nagle, że wisiała na hakach wzdłuż ściany korytarza służbowego ponad trzema gaśnicami. W razie gdyby pożar odciął osoby mieszkające na piętrze, można było wystawić drabinę przez okno na płaski dach kredensu. Warto było przeszukać poddasze i prawdopodobnie potrafiłbym wejść po drabinie i zejść z niej, jeśli bym uważał i robił to powoli. Otworzyłem szeroko drzwi wahadłowe i wszedłem na korytarz służbowy mając nadzieję, że Annie drugi raz już nie wyjdzie ze swego pokoju; zdjąłem drabinę ze ściany i zabrałem ją do głównej części domu zamknąwszy za sobą drzwi. Ustawiłem ją w korytarzu i górnym końcem uniosłem kłapę. Drabina stała dość pewnie i pod właściwym kątem.

Na poddaszu było z pewnością brudno, a ja miałem na sobie smoking. Ponadto, dla człowieka tak okaleczonego jak ja, wejście po drabinie było wyczynem gimnastycznym wymagającym ogromnego współdziałania rąk; w ciągu ostatnich lat wyrobiłem sobie doskonałe mięśnie rąk i klatki piersiowej, żeby zrekompensować swoje kalectwo. Wróciłem do pokoju, włożyłem parę starych spodni i pulower i wtedy dopiero, z latarką w dłoni, wdrapałem się tam, gdzie chciałem.

Wejście na poddasze nie było zbyt trudne, ale gdy się już tam znalazłem, okazało się, że zaledwie parę desek leży tu luźno w poprzek belek ponad tynkowanym pułapem i nie ma za co się chwycić, w razie gdybym chciał się wyprostować. Rozejrzałem się naokoło i nie zobaczyłem nic ciekawego: jakieś

kadzie i rury, ceglane kominy i przewody elektryczne. Bałem się stanąć i chodzić po deskach, więc na kolanach i rękach odczołgałem się od drabiny i kłapy. Aż wreszcie znalazłem przedmiot moich poszukiwań.

Znajdował się na belkach za jedną z kadzi, w załamaniu utworzonym przez cegły komina; w tej ciasnej, mrocznej kryjówce mógłby leżeć pięćdziesiąt lat przez nikogo nie dostrzeżony. Była to mała walizeczka, dość nowa, nie zakurzona ani brudna, z inicjałami J.P. wyciśniętymi na wieku. Zamknięta była na klucz.

Na belkach leżał kawał sznura, być może z czasu naszych polowań na oposy, i z jego pomocą spuściłem walizkę na korytarz przez otwartą kłapę. Potem kłapę zamknąłem, ostrożnie zsunąłem się po drabinie i zabrałem walizkę do siebie. Przede wszystkim umyłem ręce, bo ubrudziłem się okropnie, następnie umieściłem drabinę na miejscu, w korytarzu służbowym; dopiero wtedy wróciłem do siebie i postawiłem neseser na stole przy kominku.

Wiedziałem oczywiście, gdzie szukać klucza. W torebce dziewczyny były trzy klucze na kółku, ale niechętnie myślałem o powtórnym wejściu do jej pokoju, aby je zabrać. Miałem przy sobie pęk kluczy do moich walizek i kufrów, które wysłałem drogą morską, wypróbowałem więc wszystkie po kolei, aby się przekonać, czy któryś z nich nie będzie pasował.

Żaden klucz niestety się nie nadał. Nie było innej rady — z ciężkim sercem przeszedłem znowu przez drzwi wahadłowe i otworzyłem drzwi do pokoju zmarłej. Wydawało mi się, że to, co robię, jest nikczemne. Tę dziewczynę dotknęło nieszczęście, a teraz leżała martwa pod prześcieradłem. Zadała sobie wiele trudu, żeby utrzymać w tajemnicy swoje osobiste sprawy, a kiedy już nie żyła i nie mogła się bronić, wtargnąłem w krąg jej tajemnicy i dobierałem się do jej torebki, żeby wyciągnąć na jaw te sprawy, które chciała przed nami ukryć.

Gdy stanąłem przy komodzie i otwierałem torbę, zdawało mi się, że czuję zgrozę i protest dziewczyny leżącej za moimi plecami na łóżku, pod białym prześcieradłem. Szepnąłem tylko: „Przepraszam cię za to, co robię”, zabrałem klucze, cisnąłem torbę z powrotem do szuflady, wydostałem się z pokoju i tak szybko, jak tylko mogłem, uciekłem przez drzwi wahadłowe i wpadłem do siebie.

Teraz, kiedy już nie było żadnych przeszkód, me spieszyłem się z otwieraniem walizki. Byłem trochę wytrącony z równowagi i zdenerwowany, a także bynajmniej nie przekonany, że postępuję słusznie. Zostawiłem klucze na walizce i powoli zszedłem na dół do salonu. Na kominku tliło się ciągle trochę żaru napełniając pokój ciepłem; dla uspokojenia nerwów nalałem sobie nową porcję whisky z wodą sodową. Zegar właśnie wydzwaniał jedenasta.

Stojąc ze szklanką w ręce przed kominkiem powoli odzyskiwałem zimną krew. Coś mnie po prostu odpychało od otworzenia walizki. Byłoby to wbrew najświętszemu życzeniu dziewczyny, a życzenia zmarłych powinno się szanować. Prawo przez dużą literę mogłoby nakazać mi to zrobić, ale w mojej mocy było wysłać prawo do diabła, bo nikt prócz mnie nie wiedział o istnieniu neseseru. Nie było żadnych danych, że komukolwiek stanie się naj-

lżejsza krzywda, jeśli wrzucę go głęboko w piec do centralnego ogrzewania. Gdybym to zrobił, z całą pewnością spełniłbym wolę zmarłej.

Z drugiej strony na mnie ciążyła odpowiedzialność za szczęście i spokój naszego małego kółka, w zakresie moich możliwości.

Wewnątrz tego szczupłego grona tkwiło jakieś bezgraniczne, miazdzące nieszczęście, które sprawiło, że ta dziewczyna odebrała sobie życie. Dopóki nie dowiem się, co to było, nieszczęście może spaść na nas powtórnie. Mogło to być coś, co nie dotyczyło jedynie Jessie Proctor. Mogło to być jakieś zło zakorzenione w Coombarganie, które rozwinęło się w miarę, jak ojciec się starzał i rozluźniła się jego mocna władza. Może na terenie majątku mieszkał jakiś sadysta czy zboczeniec? Jeśli nie wyjaśnię tej sprawy do końca, nieszczęście może znowu powalić kogoś innego i ktoś inny będzie cierpiał, być może tak samo, jak cierpiała Jessie

Moim obowiązkiem było otworzyć walizkę i przekonać się, czy nie uda się wykryć źródła tragedii. Kto wie, czy nie trzeba będzie pokazać zawartości sędziemu śledczemu, ale potem wszystko wrzuci się w ogień, a im prędzej się to zrobi, tym lepiej. Na razie jednak trzeba walizkę otworzyć.

Wróciłem do siebie uspokojony wewnątrz. Nie miałem na co czekać. Starannie zamknąłem za sobą drzwi i obróciłem klucz w zamku. Wtedy dopiero podszedłem do stołu przy kominku i otworzyłem walizkę jednym z kluczy należących do dziewczyny.

Było tu pełno papierów porządnie poukładanych. Listy i książeczki czekowe, a na dnie ze dwanaście zeszytów. Przerzuciłem rzeczy na wierzchu i trafiłem na paszport. Wyjąłem go i stanąłem jak wryty na widok nazwiska na okładce. Gdy wreszcie otworzyłem go, z trudnością przerzucałem kartki, bo straciłem czucie w palcach. Spojrzałem na fotografię — patrzyła stąd na mnie szeroka, kanciasta, dobra twarz z ciemnymi, gęstymi brwiami; twarz, którą tak dobrze pamiętałem.

To nie była Jessie Proctor. To była Janet Prentice.

Starsza „wrenka”¹ Janet Prentice, którą poznałem w towarzystwie Billa wiosną 1944 roku, w Lymington, w hrabstwie Hampshire, na krótko przed inwazją Normandii.

1 tak określano kobiety służące w formacji WRENS (Women's Royal Naval Service).

¹ „Wrenka” -

Rozdział III

W ciągu następnych paru minut drobne, mechaniczne czynności oszczędziły mi przymusu myślenia. Zacząłem wypakowywać listy i segregować na stole, żeby je potem systematycznie przejrzeć. Wkrótce natrafiłem na ramkę z fotografiami. Była to mała ramka skórzana z dwiema fotografiami za szybką z celofanu, która otwierała się jak portfel i dawała ustawić na stole. Trzymałem ją przed sobą przez dłuższą chwilę. Jedną z fotografii znałem; Bill kazał ją zrobić jakiemuś nienajlepszeemu fotografowi w Portsmouth, kiedy był na przeszkoleniu w piechocie morskiej w Eastney. Na tej sztywnej i banalnej podobiznie występował w mundurze szeregowca; nie zaawansował jeszcze wtedy na podoficera. Matka miała to zdjęcie i stało w jej pokoju razem z fotografią Heleny i moją. Pomyślałem sobie, co by też mama powiedziała, gdyby wiedziała, że jej pokojówka ma drugą odbitkę.

Fotografia z drugiej strony ramki była bardziej żywa — zdjęcie amatorskie Billa w codziennym mundurze sierżanta piechoty morskiej zrobione na krótko przed jego śmiercią, na dworze, na tle drogi w jakimś wojskowym obozie. Obok Billa stała Janet Prentice w mundurze starszej „wrenki”. Bill otaczał ją ramieniem i oboje byli roześmiani.

O istnieniu tej fotografii wiedziałem, chociaż jej nigdy nie miałem w ręku. Ale matka wcale jej nie знаła. Bill wspomniał, że ma zdjęcie amatorskie swoje i Janet, wtedy gdy spotkaliśmy się wiosną 1944 roku. Po dwóch turach operacyjnych raz na Hurricane'ach, a drugi raz na Spitfire'ach, dostałem przydział do Dowództwa Myślistwa. Nie widziałem brata tak dawno, że gdy trafił mi się wyjazd służbowy i konferencja na lotnisku w Beaulieu, przedłużyłem sobie bezczelnie delegację na dalszą dobę, to znaczy na niedzielę, żeby spędzić ją z Billem. Chciałem go zobaczyć, zanim zacznie się operacja określona kryptonimem „Overlord”, i jak się to mówiło „nie zerwie się balon”. Pewnej soboty wieczorem wyleciałem z Northolt na Spitfire i wylądowałem o zmierzchu. W Beaulieu stacjonował wtedy Tony Patterson i przysłał po mnie samochód, który miał mnie zabrać do Lymington, gdzie zamówiłem pokój w hotelu Roebuck. Bill przyszedł tam do mnie na obiad.

Ledwie zaczęliśmy rozmawiać przy wódce, zanim podano nam jedzenie, Bill powiedział mi, że zna lotnisko w Beaulieu. Minęły już dwa lata od naszego ostatniego spotkania. Zanim mnie przydzielono do Dowództwa, byłem w Egipcie i w Zachodniej Pustyni, a gdy zostałem przerzucony z powrotem do Anglii, Bill tkwił w jakimś obozie ćwiczebnym komandosów na zachodnim wybrzeżu Szkocji. Tyle rzeczy wydarzyło się w tym czasie każdemu z nas, w tak różnych kierunkach poszedł nasz rozwój, że trzeba było dobrej chwili, aby nawiązał się bliski kontakt i aby można było przejść do tematów, które obydwaj pragnęliśmy poruszyć. Ogromnie pomocny okazał się naturalnie dzin.

— Co robiłeś na lotnisku w Beaulieu? — zapytałem. — Nie latasz chyba za dziewczynkami w powietrzu?

— Ach, nie! — zaprzeczył. — Jest tam taki sierżant lotnictwa, który ma pod sobą jednostkę wywiadu fotograficznego. Lotnisko w Beaulieu stanowiło teraz jedno wielkie zbiorowisko myśliwców: Thunderbolty i Typhoony czekały tu w pogotowiu, aby osłaniać lądowanie na tamtej stronie, ale poprzednio Lightningi przeprowadziły wyprawę zwiadowczą dla dokonania zdjęć i ekipa fotografów z całym sprzętem do wywoływania i robienia odbitek ciągle zajmowała jeden z budynków na lotnisku.

— To przyzwoity typ — powiedział Bill. — Oczywiście nikomu tam nie wolno mieć aparatu fotograficznego. Nie wiedziałem o tym, ale prawdopodobnie tak było rzeczywiście wobec daleko idących ostrożności, niezbędnych przed inwazją.

— Za dolara każdemu zrobi zdjęcie i dostarczy odbitek. Są nawet całkiem dobre. Poszedłem do niego z Janet dziś po południu i sfotografował nas razem. Mam odebrać zdjęcia we środę.

To już sprowadzało nas do tematu, który obydwaj pragnęliśmy poruszyć.

— Gdzie jest teraz Janet? — zapytałem. — Czy może także tutaj? Janet zresztą nie znałem osobiście.

— Ach, nie — odparł Bill. — Dostała przepustkę tylko na trzy godziny. Złapała prom na „Mastodonta” akurat naprzeciwko lotniska. Miał na myśli stateczek marynarki wojennej, który kursował między Ly-mington a rezydencją Exbury Hall na rzece Beaulieu, oznaczoną obecnie kryptonimem „Statek Jego Królewskiej Mości Mastodont”.

— Ale jutro Janet ma cały wolny dzień — dodał.

— Macie jakieś konkretne projekty?

— Janet zdobyła łódkę — powiedział Bill. — Kiedy musisz wracać?

— Wystarczy, jeśli wyjadę raniutko w poniedziałek — odparłem. — Jutro wieczorem mam naznaczone spotkanie z Amerykanami. Powinienem być na lotnisku o szóstej. I muszę wpaść tam rano, żeby zadzwonić do biura. Ale to nie zajmie więcej jak pół godziny. Potem będę wolny cały dzień, aż do szóstej.

— Mógłbyś zadzwonić stąd.

— Nie bardzo — zaprzeczyłem. — Linia będzie przeładowana i zajmie to mnóstwo czasu. Mam zamówiony wóz, który zajedzie tu po mnie o wpół do czwartej.

Bill obejrzał mnie od stóp do głów i powiedział ze śmiechem:

— Ach, te cholerne okucia! Przypuszczam, że dają ci wóz, ile razy zechcesz?

Zamówiłem jeszcze dwa dziny.

— Mama pytała w ostatnim liście, czy w ogóle można się spodziewać, że dostaniesz awans na oficera.

— Chyba nie bardzo — odpowiedział. — Dużo zabawniej jest tak, jak jest. Gdybym miał stopień oficerski, nie byłbym poznał Janet.

— Nieprawda — odparłem. — Większość dziewczuszek oficerskich, które się widzi, to szeregowcy. Tym najlepszym wcale nie dają awansów, bo je rezerwują na lepszy los niż dowództwo skrzydła.

— Rezerwują je czasem na prawdziwą robotę — zauważył Bill. Spojrzałem na niego.

— A Janet? Co właściwie robi?

— Mechanik uzbrojenia. Jako starsza „wrenka” dostała przydział na „Mastodonta” i konserwuje działa na jednostkach desantowych przeznaczonych dla czołgów i piechoty. To przeważnie oddziały „Force J” na rzece Beaulieu.

Obejrzałem się naokoło, bo rozmowa była nieostrożna; mógł nas podsłuchiwać jakiś facet z bezpieczeństwa. Ale nie widać było żadnego takiego typu w pobliżu.

— Konserwacja dział, powiadasz?

— Tak. Jeśli zameldują z jakiegoś statku o defekcie w Oerlikonach czy podwójnych Lewisach, Janet musi pójść na pokład i sprawdzić, jak działają, a jeżeli okaże się, że któryś jest nie w porządku, zabiera go na ląd do magazynów i wymienia.

Uniosłem nieco brwi ze zdziwienia. Większość dziewcząt, które spotkałem w wojsku, były to dekoracyjne niewiasty z centrali operacyjnej czy od radaru. Bill roześmiał się.

— Janet to dobry spec.

— Czy jesteś z nią zaręczony?

— Nie — odparł w zamyśleniu. — Właściwie nie. — Stał oparty o ladę baru, przebierając palcami po szklance. — Nie zaręczymy się, dopóki nie zerwie się balon. Wtedy będzie dosyć czasu, żeby o tym pomyśleć.

— Ale masz to w planie? — zapytałem.

— Tak — odparł. — To wspinała dziewczyna.

— Ciekaw jestem, jakby pasowała do mamy i tatusia?

Wojsko brytyjskie, Lymington, Hrabstwo Hampshire — zarówno w myślach, jak i w przestrzeni byliśmy bardzo daleko od Coombargany w australijskim Zachodnim Okręgu.

— Na pewno doskonale.

— Czy też ona wie cośkolwiek o Australii?

— Nic a nic — roześmiał się Bill. — Nikt tu nic nie wie o Australii. Nie warto nawet im tłumaczyć. Powiedziałem Janet, że mamy farmę. To przynajmniej jest zrozumiałe.

Przyznałem mu rację. I ja miałem podobne doświadczenia. Gdy tylko przyjechałem do Anglii, usiłowałem parę razy wyjaśnić ludziom, jak się u nas żyje, ale przekonałem się, że posądzają mnie o błagę. Wkrótce nauczyłem się wcale o tym nie wspominać i utożsamiać się z synem farmera, co zresztą nie było kłamstwem.

— A czy zastanawiasz się czasem, co będziesz robił, kiedy się skończy ta cała zabawa?

— Kiedy co się skończy? „Overlord”?

Przy tym ostatnim słowie zniżył głos, jako że zwykłym śmiertelnikom nie wolno go było głośno wymawiać.

— Nie, mam na myśli wojnę.

— Kiedyż ma nastąpić ten koniec?

— Może już tej jesieni. Z pewnością nie przeciągnie się przez następny rok.

— Czy tak mówią tam, u was?

Potwierdziłem. Ale po pięciu latach i jemu, i mnie trudno było dać temu wiarę.

— Chyba pójdziesz z powrotem do Cirencester? — powiedziałem.

Bill przyjechał do Anglii w lipcu 1939 roku mając wtedy dziewiętnaście lat, żeby studiować w wyższej szkole rolniczej. W Cirencester przebył parę miesięcy, bardzo zresztą niechętnie, w okresie wojny „na niby”, zanim nie zaciągnął się do piechoty morskiej.

— Nie ma tak dobrze — odparł Bill. — Teraz już nie wrócę na szkolną ławę. A jakie ty masz plany?

Ja miałem za sobą dwa lata prawa w Oksfordzie jako stypendysta im. Rhodesa.

— Z chęcią wróciłbym na jakiś czas do Oksfordu, żeby skończyć to, co zacząłem.

— Ale najpierw pojedziemy do domu zobaczyć starych, co?

— No chyba. Najpierw do domu, na miesiąc czy dwa, a potem wracam, żeby skończyć Oksford.

Bill, zamyślony, postawił szklankę na ladzie baru.

— A ja nie — powiedział. — Chciałbym ożenić się z Janet, wrócić do Coombargany na stałe i przez długie, długie lata mieć do czynienia tylko z owcami.

Rzuciłem na niego szybkie spojrzenie.

— Aha! To takie masz plany!

— Coś w tym rodzaju.

Bill w tym okresie był nurkiem. Nie orientowałem się wtedy w całej pełni w zakresie jego pracy, chociaż wiedziałem, że szereg razy podpływał do wybrzeży północnej Francji w głębi nocy, lądował tam i badał tetrahedrony i Elementy C z przytwierdzonymi do nich minami, którymi Niemcy fortyfiko-wali plaże nadające się do lądowania. Widziałem fotografie z lotu ptaka, które przywieźli piloci na Lightningach; zdjęcia były robione w wysokości pięćdziesięciu stóp, gdy lecieli wzdłuż niemieckich pozycji artylerii przeciwlotniczej. Wiedziałem również, że jednym z zadań Billa było podjeżdżać nocą pod brzeg motorówką lub łodzią podwodną, a potem dobijać do plaży kajakiem lub dopływać tam pod samym nosem Niemców, żeby badać te wszystkie urządzenia, a następnie składać o nich meldunki. Miałem wrażenie, że nerwy Billa zaczynają odczuwać napięcie tej roboty, ale absolutnie nic nie mogłem na to poradzić. Ja sam przeżywałem okresy podobnego napięcia.

— W każdym razie jeden z nas powinien wrócić do Coombargany jak najszybciej — powiedział. — Helena pisała, że króliki straszliwie się rozpanoszyły.

Ojciec jako wojskowy był stacjonowany w Północnym Okręgu i majątek prowadziła matka. Helenka oficjalnie miała jej pomagać, ale faktycznie przebywała prawie cały czas w Melbourne pracując w Czerwonym Krzyżu. Mama radziła sobie wspaniale, ale wobec nieobecności połowy mężczyzn, którzy poszli na wojnę, majątek wyraźnie podupadał.

Bill rzucił na mnie niepewne spojrzenie. — A ty nie wrócisz?

— Wracaj ty. Ożeń się z tą dziewczyną, zrób z niej cnotliwą matronę — tu Bill się roześmiał — pojedź do domu i pomagaj tatusiowi doprowadzić wszystko do ładu. Jeżeli ja w ogóle wrócę do Australii, będzie to nieprędko.

Wiedziałem, co Bill miał na myśli: to ja przecież byłem starszym synem.

— Jeżeli zaś kiedykolwiek wrócę — dodałem — Coombargana jest dosyć duża, żeby ją podzielić na dwie części.

— Jeśli my tego nie zrobimy — potwierdził Bill — zrobi to za nas ktoś inny. Za dużo mamy ziemi, żeby ją utrzymać w całości.

— Być może — powiedziałem. — W każdym razie ty wracaj, kiedy tylko będziesz chciał, i gospodaruj. Zabierz ze sobą Janet i zaaplikuj jej kurację wstrząsową.

Bill roześmiał się.

— Wstrząs na pewno nastąpi. Tutaj pod farmą rozumie się jakieś sto akrów.

— Ale słuchaj, Bill, kim ona jest? — zapytałem z zaciekawieniem. — Co to za środowisko?

— Przyzwoita klasa średnia — odparł. — Towarzysko nic efektownego. Zresztą może znasz jej ojca. Jest „donem” czy czymś w tym rodzaju w Oksfordzie.

— Profesor Prentice? A może doktor Prentice? — Nazwisko wydało mi się znajome.

— Przypuszczam, że to właśnie on. Czy znasz go osobiście?

— Ach, nie, przecież tych profesorów są takie tłumy. Czy wiesz, z jakiego on jest college'u?

— Czy jest coś takiego, jak Wyckham albo jakaś podobna nazwa?

— Ach, to on jest w Wyckham?

— Tak mi się zdaje.

— A co wyklada? Bill zaczął się śmiać.

— Semantykę! — powiedział. — Wyuczyłem się tego słowa.

— Jezu Chryste! Czy masz pojęcie, co to znaczy?

— W każdym razie nic żydowskiego — powiedział Bill. — Janet za nic by się na to nie zgodziła. To nauka o słowach czy czymś takim. Nie sądziłem, żeby istniała oddzielna katedra semantyki na uniwersytecie, ale był to może przedmiot badań naukowych. Pan Prentice mógł być profesorem języków nowożytnych albo literatury angielskiej, jeżeli w ogóle był profesorem. W każdym razie panna pochodziła z przyzwoitego środowiska i będzie mogła zająć odpowiednią pozycję wśród kobiecego światka w Zachodnim Okręgu.

— Czy znasz go? — dopytywał się Bill.

— Chyba nie. Jak wygląda?

— Nie mam pojęcia. Nie znam wcale jej rodziny. Pewnie będę musiał im się przedstawić, kiedy wreszcie pofrunie ten cały balon.

Nasze życie zależało od daty operacji „Overlord”, która ciągle była wielką niewiadomą. Dzień ten nie mógł być jeszcze bardzo bliski, bo w ciągu ostatniego tygodnia czy dwóch przed inwazją spodziewana była wielka kon-

centracja wojsk i desantowców, a o żadnej koncentracji jeszcze nie było słyhać. Z drugiej strony nie mógł być zbyt odległy, bo ziemia już dobrze obeschła po zimowych deszczach i czołgi mogły jechać na przełaj, a jeśli jeszcze nie teraz, to w bardzo niedługim czasie. W Dowództwie Myślistwa nikt z nas nie znał tej daty. Na podstawie papierów, które przechodziły przez moje ręce, domyślałem się, że inwazja nastąpi za jakieś sześć tygodni. Ale tego nie mogłem powiedzieć nikomu, nawet Billowi.

Nagle zobaczyłem w wyobraźni człowieka o szerokich barach i szerokiej twarzy w wieku mniej więcej pięćdziesięciu pięciu czy sześćdziesięciu lat, z kanciastą twarzą i bardzo krzaczastymi brwiami, szpakowatymi jak i włosy. To chyba był doktor Prentice, ale zupełnie pewny nie byłem i nie mogłem sobie także przypomnieć, gdzie go poznałem. W każdym razie nie miało to obecnie żadnego znaczenia.

Poszliśmy do jadalni na obiad, kiepski w tym okresie ściśle obserwowanego systemu kartkowego, i napiliśmy się wodnistego piwa. Hotel nie był odpowiedzialny za złe jedzenie, bo cały personel został powołany do wojska i gotował dla armii, ale gdy podano słodkie danie, które wcale nie było słodkie, powiedziałem do Billa:

— Mam nadzieję, że twoja Janet umie gotować.

— Nie zdaje mi się — odparł. — Nie zdaje mi się, żeby kiedykolwiek musiała zajmować się kuchnią.

— He ma lat? .

— Zgłosiła się do WRENS wprost ze szkoły w 1941 roku — powiedział. — Przypuszczam, że miała wtedy osiemnaście lat i pół. Teraz będzie miała dwadzieścia jeden. — Przerwał i dodał po chwili. — Ale wygląda na więcej, zwłaszcza w sposobie bycia z marynarzami. Mają porządnego pietra przed nią na LCT¹.

Uśmiechnąłem się.

— Co ty mówisz, naprawdę?

— Słowo daję! Trzeba ją widzieć, jak wkracza na pokład statku i wykrywa rdzę na działach. Marynarze więcej się boją Janet niż podoficerów.

— To pewnie musi być sławą w swoim rodzaju.

— Żebyś wiedział. Jest chyba jedyną starszą „wrenką” w marynarce, której osobiście pogratulował Pierwszy Lord Admiralicji.

Oderwałem się od tych wspomnień i powróciłem do terażniejszości, do mojego pokoju w Coombarganie. Ogień z polan nie pali się długo. Odłożyłem ramkę z fotografiami na stół i machinalnie podszedłem do kominka, żeby dorzucić trochę drzewa. Nie przeszukiwałem dalej walizki, dosyć będzie na to czasu. Nasuwało się tyle wspomnień o Billu i Janet Prentice...

O Janet i jej życiu we WRENS opowiedzieli mi May Spikins, Viola Dawson i chorąży Waters, gdy po kolei odszukałem ich po wojnie w latach 1950 i 1951. Janet nie utrzymywała już z nimi żadnych stosunków i wobec tego niewiele mi mogli pomóc w moich ówczesnych poszukiwaniach, ale uzupełnili mi obraz dziewczyny, którą poznałem w towarzystwie Billa w tę piękną

1- LCT - nazwa jednostki wojskowej (Landing Craft for Tanks).

kwietniową niedzielę przed operacją „Overlord”. Małą, szarą łodzią molo-rową należącą do marynarki wojennej pojechaliśmy wtedy w dół rzeki aż do Solent i obozowaliśmy na piaszczystym cyplu koło Zamku Hurst.

Janet urodziła się w północnej dzielnicy Oksfordu przy ulicy Crick Road. Byłem tam w 1948 roku, kiedy wróciłem do Oksfordu kończyć prawo, i odnalazłem wtedy stary duży dom, w którym mieszkała. Zarówno ten dom, jak i większość sąsiednich podzielono na szereg mieszkań i tylko jedna starsza pani na tej ulicy pamiętała Prentice'ow. Janet miała siostrę, starszą od siebie o kilka lat, która w 1948 roku była zamężna i prawdopodobnie mieszkała w Singapoore, ale nigdy nie zdołałem dowiedzieć się jej obecnego nazwiska. Braci nie miała. Całe dzieciństwo spędziła w przyjemnej, beztroskiej atmosferze. Oksford za czasów jej dzieciństwa tonął w krzewach laburnum, magnoliach i migdałowym kwieciu, i przesycony był rozmowami o Sitwellach, Debussy'm i Haendlu. Dziewczyna tkwiła w tym życiu aż do roku 1939, w którym skończyła szkołę i kiedy wybuchła wojna.

— Wszystko się wtedy skończyło — powiedziała mi kiedyś Viola Dawson. — W 1941 roku miałem pójść na wyższe studia do Lady Margaret Hall, ale wojna położyła kres wszelkim projektom. Miałam jeszcze kolosalne szczęście, że dostałam się do WRENS. Nie uśmiechało mi się wojsko lądowe czy praca w fabryce. Jeżeli już nie był mi sądzony Oksford, cieszyłam się, że służę we WRENS. Przypuszczam, że wojna zmaćnia ostatni rok pobytu Janet w szkole. Życie studenckie zamarło w Oksfordzie, gdy prawdziwa wojna nastąpiła po okresie wojny „na niby”. Ojciec jej zaciągnął się do Korpusu Obserwacyjnego i spędzał długie godziny, przeważnie w nocy, na punkcie obserwacyjnym na Boars Hill z przytwierdzonymi do beretu słuchawkami telefonicznymi na uszach. Obserwował ruchy samolotów w powietrzu i meldował o nich do centralnej kwatery oddalonej o pięćdziesiąt mil. Po nocy spędzonej w taki sposób ten sześćdziesięcioletni pan nie miał już wiele energii w zapasie, chyba żeby przebrnąć przez konieczne zajęcia w ciągu dnia. Zaniedbał wtedy pracę naukową ograniczając się do wykładów dla małej grupki studentów i dużych grup oficerów z różnych armii, którzy chcieli podciągnąć się w językach obcych.

W ostatnim roku szkolnym dom Prentice'ow pełen był ewakuowanych obcych ludzi, przeważnie drażniących, którzy kręcili się zawsze wtedy, kiedy ich obecność nie była pożądana, i gadali wtedy, kiedy pragnęło się samotności. Nauka Janet cierpiała w tych warunkach, bo wieczorne odrabianie lekcji było nie do pomyślenia w okresie Bitwy o Wielką Brytanię, a poza tym dziewczyna każdą wolną chwilę spędzała w środku Czerwonego Krzyża, gdzie pakowało się i wysyłało paczki. Oksford wcale nie był zabawny w tych czasach.

Z wielką ulgą powitała chwilę, kiedy zaciągnęła się do WRENS. W wieku osiemnastu i pół lat Janet była dużą dziewczyną o kwadratowych ramionach, ciągle jeszcze niezgrabną niezdarnością szczeniaka. Ale ta ulga miała też i nieprzyjemne strony: pierwsze dni przysposobienia wojskowego w Ośrodku Zaciągu i Szkolenia nie były wesołe. Gdy wojsko uformowało później jej

charakter, Janet, jak się okazało, potrafiła współżyć z ludźmi, ale w chwili wstępowania do wojska sytuacja była zupełnie inna. Od czasów dzieciństwa zawsze miała osobny pokój, a teraz musiała spać na górnej pryczy w baraku z trzydziestoma innymi dziewczynami z różnych środowisk społecznych. Musiała poddać się nadzwyczaj szczegółowemu badaniu lekarskiemu ze specjalnie dokładnymi oględzinami głowy i bielizny ze względu na możliwość zaszczepienia. Musiała także opanować tutejszy język. Wyjście poza obręb Ośrodka do miejscowego kina nazywało się „zejściem na ląd”. Dostała kiedyś surową reprimendę od podoficera za nieostrożne odezwanie się o kambuzie jako o kuchni i upłynęło wiele tygodni, zanim zdołała zapamiętać, jaką porę dnia oznajmują cztery dzwony na przedpołudniowej wachcie. Natomiast bardzo szybko pojęła, że jeśli koję przykryje się kapą tak, że kotwica będzie „do góry nogami”, wtedy statkowi grozi zatopienie.

Pod koniec pierwszych dwóch tygodni podstawowego przeszkolenia zaczęła się przyzwyczajać; stopniowo zatracało się poczucie drażniącej szorstkości żołnierskiego życia, i w tym momencie musiała wybrać jakąś określoną kategorię pracy.

Nie miała specjalnej ochoty na karierę kucharki czy stewardessy; była mocna w Wergilim, ale tego nikt tutaj nie potrzebował, natomiast nie знаła stenografii, pisania na maszynie i buchalterii. Chętnie zaciągnęłaby się do załóg łodzi, ale tu była szalona konkurencja, a ona w tym czasie miała słabe pojęcie o statkach w ogóle. Ale żywiła niejasną i nieokreśloną sympatię do wszelkich mechanizmów — lubiła oliwić rower i operować ręczną kosiarką; potrafiła także zastąpić zużyty gięty pancierz w lampie stołowej. Na podstawie tych kwalifikacji wybrała służbę w lotnictwie morskim, a że parę razy wystrzeliła z karabinu maszynowego i nie zlekła się, została przydzielona do uzbrojenia.

Posłano ją do ośrodka artyleryjskiego, gdzie nauczyła się rozbierać, czyścić i wyregulowywać brauning kalibru 300, i zakładać taśmy amunicyjne w samolocie; opanowała tę sztukę bez trudności i z tej fazy edukacji przeszła na dwudziestomilimetrowe działko typu Hispano. Na tym edukacja się skończyła i z całą partią innych „wrenek” tej samej kategorii została wyekspediowana do Ford koło Littlehampton na południowym wybrzeżu Anglii, gdzie osiadła na okres od grudnia 1941 do czerwca 1943 roku, aby tam pracować w swojej specjalności.

Na lotnisku w Ford przeżyła osiemnaście miesięcy, które najwydatniej wpłynęły na ukształtowanie jej osobowości. Przybyła tam jako surowy materiał, jako nierozwinięta jeszcze pensjonarka, niepewna, niezgrabna i pełna wahania. Wyjechała zaś jako starsza „wrenka”, wprawdzie bez wielkich ambicji osiągnięcia wyższej szarży, ale solidna i dobrze spełniająca swoje obowiązki, a także najzupełniej zdolna do samodzielnego życia; jednym słowem jako dojrzała młoda kobieta.

Wyrosła także na miłą pannę i była powszechnie lubiana. Nigdy nie miała pretensji do typu urody gwiazdy filmowej; była po prostu otwartą, wesołą, zdrową dziewczyną, hojnie obdarzoną poczuciem humoru. Wyglądała lepiej w fartuchu roboczym i spodniach marynarskich niż w wydekoltowanej sukni

wieczorowej, a na twarzy częściej miała plamę ze smaru, zostawioną przy odgarnianiu kosmyka włosów z czoła, niż jakikolwiek produkt firmy Elizabeth Arden. Lubili ją piloci eskadry, z którymi pracowała, i mieli zaufanie do konserwowanych przez nią dział. Od czasu do czasu zabierali ją na Sword-fishu czy Barracudzie, żeby sobie wystrzeliła z działka. Zupełnie dobrze strzelała także z ćwiczebnego Lewisa.

Zawsze była barczysta i atletycznie zbudowana, a na skutek dźwigania od rana do nocy pełnych ładowników, taśm amunicyjnych i karnistrów stała się silna jak koń.

Umiała się dostroić do każdego mężczyzny i cały czas musiała to robić, bo na lotnisku w Ford na jedną kobietę przypadało czterech mężczyzn. Co wieczór była potańcówka albo przedstawienie zorganizowane przez ENSA, albo wyprawa do kina w Littlehampton. Janet nauczyła się używać zrozumiałego języka zwracając się do nieśmiałych, młodziutkich podporuczników świeżo wypuszczonych ze szkoły czy do nieokrzesanych, prostych marynarzy, dopiero co przybyłych z ubogiej dzielnicy Liverpoolu. Przy okazji potrafiła mówić o sprawach płci przy pomocy starych, soczystych słów angielskich, które by zgorszyły jej ojca, a matkę wprawiły w osłupienie.

Nauczyła się także przystosowywać sposób mówienia do towarzystwa, w którym się w danej chwili znajdowała.

Wojna ją urobiła i uczyniła tym, czym była. Wkrótce po jej przyjeździe do Ford często nadlatywały nocą niemieckie bombowce i bombardowały lotnisko. Janet spędzała w tym okresie długie, męczące noce w podziemnych schronach. W niedługim czasie wiedziała już, jak wygląda zabity człowiek i jak wygląda zabita młoda dziewczyna. Wiedziała także, jak wygląda rozbity samolot i jak kruchą i lepką substancją jest ludzkie ciało wydobywane spod szczątków maszyny. Gdy zobaczyła to po raz pierwszy, zrobiło jej się niedobrze, a potem miała ochotę płakać, ale bała się, że będzie wyśmiana. Za piątym czy szóstym razem nie było jej ani mdło, ani smutno i tylko starała się pomagać w miarę swoich możliwości przy uprzążaniu całego bałaganu.

Jeździła niekiedy do Oksfordu na urlop i z czasem zaczęła martwić się o rodziców. Wojna dawała im się o wiele bardziej we znaki niż jej. Ona była wesoła, dobrze odżywiona i pełna nadziei, pogodna świadomością, że robota, jaką spełnia, warta jest trudu. Mogła włożyć swoją Kategorię Pierwszą i wystroić się jak lalka, żeby zadawać szyku w rodzinnym mieście. Ale w domu matkę zastawała przemęczoną i wyczerpaną trudnościami aprowizacyjnymi i gotowaniem dla gromady domowników bez żadnej pomocy albo z minimalną pomocą w okresie wzrastających braków i uciemżoną sześciorgiem obcych dzieciaków ewakuowanych z londyńskiego East Endu. Za każdym razem ojciec wydawał się Janet drobniejszy i bardziej siwy: nic w nim już nie zostało z jowialnego „dona”, który brał życie lekko wśród bez troskich rozmów przy dobrym portu w uniwersyteckim klubie pracowników naukowych. Porta w ogóle w Oksfordzie nie było w tym okresie, a na rozmowy nie miało się wiele czasu. Dr. Prentice zresztą nie był zdolny do mówienia o niczym innym, jak tylko o Korpusie Obserwacyjnym, jego administracji, sprawnym działaniu i dyscyplinie. Jeszcze przed upływem pierwszego roku pobytu w Ford Janet

myślała z pewnego rodzaju obawą o następnym urlopie. Przykro jej było patrzeć na starzejącą się matkę i nie móc jej ulżyć i na ojca, który upodabniał się do innych, zwyczajnych starych ludzi.

Wczesnym latem 1943 roku Janet nadarzyła się sposobność zmiany roboty. Opowiedział mi o tym chorąży Waters, kiedy w 1951 roku odwiedziłem go w sklepie z wyrobami tytoniowymi, który prowadził w Portsmouth przy Fratton Road. Starszą „wrenkę” Prentice pamiętał doskonale, była ona nawet bohaterką jednej z jego najlepszych i najczęściej opowiadanych historyjek.

Opowiedział ją i mnie.

— Było to w 1943, w lecie — zaczął. — Rany boskie! Aleśmy mieli frajdę! — I z uśmiechem na ustach rozkoszował się tym wspomnieniem. — Potrzebowali wtedy „wrenek” z kategorii uzbrojenia do konserwacji dział floty inwazyjnej w czasie Połączonych Operacji. Rozesłali wobec tego okólnik do wszystkich ośrodków zaopatrzenia artyleryjskiego poszukując ochotniczek. Dziewuchy, ma się rozumieć, nie miały najmniejszego pojęcia, co to będzie za robota, z powodu tajemnicy wojskowej. Myślały, że to zaciąg do załóg łodzi motorowych, a tymczasem chodziło o jednostki desantowe do przewozu czołgów i tak dalej. Każda taka LCT typu 4 miała dwa Oerlikony, a każda LCS — także samo, a były ich tysiące. Nic dziwnego, że musieli ogołocić z „wrenek” inne działy marynarki. Nie powiem, ile było Oerlikonów w wyprawie normandzkiej — po prostu tysiące a tysiące.

Dwudziestomilimetrowy Oerlikon był dość zbliżony do dwudziestomilimetrowego Hispana, z którym Janet umiała się obchodzić, a więc nowa robota nie nastroczałaby jej trudności. Uśmiechała jej się zmiana zajęcia i poznanie marynarki wojennej z innej strony. Wyglądało to absurdalnie, ale mimo prawie dwuletniego pobytu w wojsku nigdy nie była jeszcze w pobliżu okrętu. Gdy wraz z sześcioma innymi dziewczętami z lotniska w Ford zgłosiła się ochotniczo do nowej służby, najpierw wysłano je na wyspę Whale, aby przeszły krótki kurs przeszkolenia na Oerlikonach.

Wyspa ta leży w obrębie portu Portsmouth i mieści Statek Jego Królewskiej Mości „Excellent”, ośrodek morskiego szkolenia artyleryjskiego i zadek morskiego szkolenia artyleryjskiego i zakład doświadczalny marynarki wojennej. Atmosfera panująca na wyspie Whale była niezwykle poważna. Roilo się tam od ambitnych oficerów zawodowych w czarnych kamaszach na nogach i z surowym marszem na czole; każdy z nich usilnie pragnął wspiąć się wyżej w swojej karierze za pomocą opracowania zupełnie nowego systemu kierowania ogniem artyleryjskim albo też udoskonalenia starych metod. Janet Prentice była dziewięć dni na wyspie Whale i ku jej wielkiej radości program kursu objął dwa popołudnia strzelania z Oerlikona do rękawa ciągniętego przez samolot; ćwiczenia były prowadzone na poligonie w Eastney i ogień kierowano ponad morzem. Uważano za konieczne, aby dziewczęta potrafiły przestrzelać działko, które rozbierały, krótką serią pocisków; aby zaś cała robota wydała im się bardziej interesująca, przechodziły też krótki, elementarny kurs strzelania do ciągniętego celu przez zwykły celownik kołowy.

Kiedy przyszła kolej na Janet w czasie pierwszego popołudnia ćwiczeń

w strzelaniu, cel zaczął w tajemniczy sposób rozpadać się na osobne strzepy. Wystrzeliła około dwudziestu serii i w końcu rękaw odcepił się całkowicie od holującej go linki i sfrunął w morze.

— Inne dziewczyny, jedna po drugiej, pudłowały, co wlezie — w wiele lat później opowiadał mi o tym zdarzeniu chorąży Waters, oparty o kontuar w swoim sklepiku. — Czasami trafia się taki dobry strzelec z urodzenia, ale po raz pierwszy w życiu spotkałem coś podobnego u dziewczyny. W nagrodę zaraz na poligonie dałem jej orzech kokosowy, który miałem w jaszczu. Kanonierzy ze statków wracających z Zachodniej Afryki czy z Indii przywozili mi po parę worków orzechów kokosowych i trzymałem je na podorędziu na wypadek takiej okazji. To zawsze wielka uciecha dla całego kursu. Dodaje im chęci.

W dwa dni później zaprowadzono dziewczęta na strzelnicę na ostatnie ćwiczenia, które zbiegły się z pokazem dla sztabu marynarki wojennej jakiegoś nowego typu holowanego celu mającego zastąpić rękaw. Był to mały skrzydlaty szybowiec, zupełnie podobny do prawdziwego samolotu i robiący wrażenie o wiele większej szybkości w porównaniu z płóciennym rękawem.

Sztab marynarki wojennej dzielił się w tym okresie na dwie szkoły różniące się w poglądach na najlepszą metodę kierowania strzelaniem do nisko lecącego samolotu. Szef artylerii morskiej twierdził, że wszystkie działa powinny być kierowane przyrządem centralnym. Natomiast szef Departamentu Dział Ciężkich uważał, że wszystkie działa powinny być kierowane radarem. Walka między tymi dwiema kategoriami toczyła się bardziej zaciekle niż wojna z Niemcami. Jedynym punktem, co do którego obie szkoły się zgadzały, był uznany fakt, że strzelanie przez zwykły celownik nie ma najmniejszego zastosowania w strącaniu samolotu.

Podczas gdy Piąty Lord Admiralicji chciał przyjrzeć się strzelaniu do skrzydlatego celu, Pierwszy Lord Admiralicji zamierzał sprawdzić, czy rzeczywiście radar może się przydać w wypadku, gdy samolot znajduje się w bliskim zasięgu. Obydwaj natomiast mieli ochotę spędzić jeden dzień nad morzem. Z asystą złożoną z samych wysokich szarż wyjechali paradnie z Admiralicji, spożyli lunch u kapitana Statku Jego Królewskiej Mości „Excellent” i naładowani dobrym jadem i dżinem udali się do Eastney na widowisko, które miało im wypełnić popołudnie.

Komendantem obozu ćwiczebnego był wtedy niejaki komandor Cartwright z marynarki wojennej. Jego statek został storpedowany na północnym Atlantyku przez dwie na raz niemieckie łodzie podwodne, w chwili gdy on sam był w trakcie wypuszczania bomb głębinowych na trzecią łódkę. W pełni zimy dwugodzinna kąpiel w północnym Atlantyku, która nastąpiła w konsekwencji, a potem trzydziestosześciogodzinna podróż w otwartej łodzi nie wyszły mu na dobre. Gdy Cartwright wyzdrowiał, przeniesiono go do służby przybrzeżnej, co wzbudzało w nim niezmierną odrazę. Dostał rozkaz objęcia dowództwa nad operacjami artyleryjskimi właśnie na poligonie w Eastney. Komandor Cartwright był to wilk morski, którego profesję stanowiło dowodzenie okrętem. Nie czuł zbyt wielkiej sympatii dla speców od artylerii i ich zabawek. Według niego prosta broń była bronią dobrą, a broń skompli kowana — bronią złą; tak dalece prostolinijne było jego stanowisko. Jego

władza administracyjna nad obozem ćwiczebnym obejmowała zarówno dziedzinę doświadczalną, jak i szkolenie. Osobiście faworyzował szkolenie, a niecierpliwiły go eksperymenty, zwłaszcza jeżeli kolidowały z zajęciami któregoś z kursów. Dla komandora Cartwrighta wizyta dostojników z Admiralicji w to właśnie popołudnie była oczywistą stratą czasu zapracowanego personelu. Gdy zwał się te grube fisze, trzeba będzie wstrzymać strzelanie ćwiczebne. I zanim skończy się cholerna bzdura z eksperymentami, setka marynarzy i tuzin „wrenek” będą baki zbijać co najmniej przez godzinę.

I w zasięgu czujnych uszu chorążego Watersa powiedział z rozdrażnieniem do swego adiutanta, oficera rezerwy:

— Połowa tych ludzi nie strzeli ani razu, jeśli się w to nie wdamy. Nie mam najmniejszego zamiaru na to pozwolić i nie wypuszczę ani jednego kur-sisty, dopóki każdy po kolei nie odda strzału. Tym baranom z Admiralicji się wydaje, że szkolenie jest nieważne.

Gdy admirałowie i kapitanowie dotarli do poligonu, komandor Cartwright, pozornie sztywny i bez zarzutu w swoich czarnych kamaszach, pienieł się wewnętrznie ze złości. Holownik pojawił się według rozkładu, a daleko za nim sunął na tle nieba jakiś mały opatrzone skrzydłami przedmiot. Grube fisze widziały coś podobnego po raz pierwszy w życiu i nikt nie miał najlżejszego wyobrażenia o wielkości czy szybkości tej rzeczy. Oficerowie techniczni przyglądali się lotowi z pewnym zaciekawieniem. Zwolennicy kierowania ogniem za pomocą przyrządu centralnego szeptem zgłaszali pretensję do szefa artylerii morskiej, że aby kierować pociskami, muszą wiedzieć coś niecoś o rozmiarach celu. Zaś zwolennicy radaru objaśniali szeptem szefa Departamentu Dział Ciężkich, że przedmiocik daje niezwykle słaby odbiór na katodowym ekranie, i wyrażali podejrzenie, że jest z drzewa, co oczywiście było krzywdzące dla przedmiociku.

Obydwaj szefowie z pewnym wahaniem przekazali te obiekcje paru admirałom mniejszego kalibru. Usłyszawszy to Pierwszy Lord Admiralicji zauważył, że spece techniczni będą mieli głos po podwieczorku. Tymczasem już on przypilnuje, aby cel był zestrzelony jak się należy.

Strzelali więc do niego przez godzinę pod różnymi kątami, w ciągu dziesięciokrotnych nadlotów i odlotów. Strzelali z poczwórnych Vickersów, z wielokrotnych pom-pomów, z podwójnego Boforsa kierowanego centralnym przyrządem, z potrójnego Oerlikona kierowanego radarem i z komicznej maszyny, która wystrzeliwała na raz salwy złożone z szesnastu rakiet. Pod koniec tej godziny cel nadal unosił się wesolutko na niebie, gdy tymczasem jedna połowa oficerów śmiała się szatańsko, a drugiej połowie gorzki zawód odbierał mowę.

Komandor Cartwright był wściekły. Jego kursieci stali beczynnymi i drwili z każdego nieudanego strzału, co bezwarunkowo narażało na szwank ich morale. Po takim widowisku nie ostanie się w nich wiele wiary w siebie ani nadziei, że potrafią zestrzelić jakikolwiek samolot, jeśli tym wszystkim specom szło jak z kamienia. Nie można było dłużej tolerować ich obecności w czasie pokazu, który obracał w czyste kpiny jego wysiłki w dziedzinie szkoleniowej .

Instruktor komandora, chorąży Waters, który chlubił się dziesięcioletnim doświadczeniem na poligonie, zwrócił się do dowódcy z nieco zakłopotaną miną.

— Mam tutaj jedną „wrenkę”, która mogłaby to zestrzelić — powiedział kątem warg. — To ta, co w poniedziałek trafiła w rękaw.

Dziewczyna ma wrodzony talent. Ona i w to trafi, panie komandorze.

Oczy komandora zabłyśły.

— Myślicie, że potrafi?

— Tak jest, panie komandorze. Jaką szybkość toto ma? Ze sto osiemdziesiąt węzłów?

— Coś kolo tego.

— Ona nie spudłuje, panie komandorze. Niech pan komandor tylko zapyta, czy ktoś z kursistów nie mógłby strzelić, a reszta to już moja głowa. Komandor Cartwright udał się do wieży obserwacyjnej, ściągnął na siebie uwagę kapitana „Excellent” i elegancko zasalutował.

— Mamy tu trzy kursy, panie kapitanie, które czekają na ostatnie ćwiczenia w strzelaniu. Czy nie dałoby się oszczędzić na czasie i zamiast sprowadzać nowy samolot pozwolić im postrzelać do tego celu?

— To niezła myśl — powiedział kapitan. — Ciekawe będzie porównanie.

— Nie sądzę, żeby można się wiele spodziewać po tym strzelaniu — powiedział szef Departamentu Dział Ciężkich.

Ale tu wmieszał się Pierwszy Lord Admiralicji.

— Ja nie widzę żadnych przeszkód — stwierdził. — Która to godzina? Muszę wyruszyć stąd o wpół do piątej.

A na dole, na poligonie, szef zawołał:

— Wystąpcie, starsza „wrenka” Prentice. Do Oerlikona.

Janet wystąpiła z szeregu, z rozsadzającym serce poczuciem ważności swojej osoby, i wsunęła ramiona w kabłąki, a szef ściągnął do tyłu pas i docisnął go.

— Tylko bez nerw — powiedział cicho. — Najpierw spróbujcie na jakieś 180 węzłów, a jeśli to nie będzie grało, to przesuńcie na gdzieś koło dwustu, tak jak się was uczyło. A teraz czekajcie, póki nie wydam rozkazu.

Janet uśmiechnęła się do niego.

— Dobra, szefie.

Na wieży obserwacyjnej, gdzie skupiły się grube fiske, kontradmirał, który był zastępcą szefa do spraw personalnych (Dział Służby Kobiecej), spojrział w dół, w stronę Oerlikona.

— Cóż to znowu, „wrenka”?

— To kurs w strzelaniu przez celownik, panie admirale — odezwał się tuż koło niego komandor Cartwright. — Damy mają pierwszeństwo.

Na dole zaś Janet przesunęła się w tył na stopnie obrotowe obniżając Oerlikona do zbliżającego się celu. Sto osiemdziesiąt węzłów, dość blisko zewnętrznego koła, ale na dwóch trzecich ku środkowi, bo leciał po przekątnej, trochę niżej poziomu ograniczającego sektor poligonu. Z tym nie miała nigdy najmniejszych trudności; cała rzecz wydawała jej się oparta na zdrowym rozsądku. Obok niej stary podoficer pouczał ją po cichu:

— A teraz czekajcie, aż nadejdzie. Pamiętajcie tylko: nie patrzcie na smugi pocisków, patrzcie stale i wciąż w celownik. I uważajcie na to, co mówiłem. Czekajcie, i tyle.

Wreszcie miała swój cel jak na dłoni między kręgami, mniej więcej na godzinie czwartej, akurat tak, jak chciała. Malutki cel w kształcie szybowca zaczął gwałtownie rosnać w oczach.

— Uwaga: ognia!

Janet nacisnęła spust i działo, z wielkim łoskotem, zaczęło rytmicznie dygotać; otoczył ją dym z corditu. Małeńki szybowiec był już umiejscowiony w celowniku dokładnie tak, jak chciała. Przesuwała się teraz całym ciałem w bok i w dół, żeby utrzymać go w tym samym położeniu, i wraz z nią przesunęło się powoli działo. Naumyślnie przesunęła cel wstecz, do zewnętrznego kręgu, ale bardzo powoli w przewidywaniu gwałtownych podrzutów działa i zbierając się w sobie, żeby okiełznać ten dziki żywioł, który rozpełtała naciśnięciem spustu.

Opanowała ją triumfująca radość. To dopiero było prawdziwe życie! To dopiero była prawdziwa frajda!

I nagle na małym szybowcu ukazały się dwa błyski — jeden na skrzydle, a drugi na kadłubie. Potem szybowiec odwrócił się na plecy, odeszło jedno skrzydło i zaczęło sfruwać ku ziemi. Szef ryknął jej w ucho:

— Przerwać ogień!

Zwolniła spust i klekot działa ustał; Janet otoczona dymem patrzyła przed siebie. Szybowiec pikował gwałtownie i dziko na końcu milowej długości linki, w niesamowicie bezładnym locie. Wreszcie linka puściła, w chwili gdy ją odciął obserwator na holującej maszynie, i cel wirując wpadł w morze z lekkim pluskiem.

Na poligonie cały kurs głośno manifestował swój entuzjazm. Szef uwolnił Janet od tylnego rzemienia. Nastąpiła teraz reakcja i dziewczyna dygotała, jakby ciągle jeszcze strzelała z działa. Szef wydostał z jaszczaka nowy orzech kokosowy, a Janet ze śmiechem wzięła go od niego.

Tymczasem na wieży obserwacyjnej komendant poligonu powiedział sucho do swego kapitana:

— Jednakże coś niecoś przemawia na korzyść starych metod.

— Zapewne — odparł kapitan. — Ale to jest nadzwyczajny wypadek. Ta dziewczyna prawdopodobnie miała pierwszą lokatę z odznaczeniem z matematyki i w cywilu wykłada trygonometrię.

Ważniejsi admirałowie byli w najwyższym zachwycie, zwłaszcza Piąty Lord Admiralicji.

— No, patrzcie, wy tam obydwaj! Artyleria morska i Departament Dział Ciężkich! Co wy na to? Na łeb pobiła was dziewczyna przez głupi celownik! Słowo daję od lat nie miałem tak udanego popołudnia!

Ktoś inny powiedział z zawiścią:

— W cywilu ta panna jest pewnie w ogóle ideałem, panie admirałe. Wtedy odezwał się Pierwszy Lord Admiralicji:

— Ano, właśnie chciałbym wiedzieć, czym ona jest w cywilu. Proszę ją tu na chwilę do mnie zawołać.

Wysłano na poligon jednego z oficerów rezerwy, który biegiem tam ruszył, aby przyprowadzić przed oblicze majestatu chorążego Watersa starszą „wrenkę” Prentice. Janet przez chwilę była w kłopotach, co zrobić z orzechem kokosowym, ale oddała go May Spikins na przechowanie, a potem naprosto-wała kapelusze i wraz z podoficerem weszła na wieżę. Tam została szybko przekazana komandorowi Cartwrightowi, który oddał ją w ręce kapitana H.M.S. „Excellent”, a ten z kolei dostawił ją przed oblicze Pierwszego Lorda Admiralicji. Spojrzała z przestrachem na tego starego pana o czerwonej twarzy, z mnóstwem ciężkich, złotych galonów na rękawie, które zdawały się sięgać aż do łokcia, i z wstążeczkami od medali na piersi, usadzonymi tu jak sałatka owocowa. Janet ciągle jeszcze drżała wewnątrz od dygotania działa, wskutek reakcji po napięciu, a także ze strachu.

Ale stary pan zwrócił się do niej łagodnie:

— Ślicznie pani strzelała, moja panienko. Serdecznie winszuję. Czy często pani strzelała przed wstąpieniem do wojska?

— Strzelałam ze strzelby, panie admirale. Ale tylko dwa razy.

— A dużo pani strzelała, odkąd pani wstąpiła do wojska?

Zawahała się chwilę, bo na lotnisku w Ford „wrenkom” nie było wolno latać. W końcu zdecydowała, że lepiej będzie powiedzieć prawdę.

— Przed kursem byłam w lotnictwie morskim — powiedziała. — Czasami zabierali nas obserwatorzy, żeby przestrzelać ich Lewisy czy Browningi dla kontroli.

— Do czego pani strzelała? Do jakiegoś celu w morzu?

— Tak jest, panie admirale. Do kawałka drzewa czy kępki zielska... Przez cały ten czas wszyscy oficerowie bacznie jej się przyglądali.

— A czym pani była w cywilu? — zapytał Pierwszy Lord Admiralicji.

— Właściwie, panie admirale — odparła nieskładnie — właściwie to niczym. To znaczy, byłam w szkole.

Teraz zadał pytanie kapitan „Excellenta”.

— A jaki przedmiot w szkole szedł pani najlepiej? Zawahała się znowu.

— Chyba najbardziej lubiałam łacinę.

Pytanie to wydało się Janet całkiem idiotyczne i musiało takim być w istocie, skoro paru oficerów parsknęło śmiechem.

— Czy miała pani jakieś trudności ucząc się strzelania przez celownik? — zapytał znowu Pierwszy Lord Admiralicji.

— Nie, panie admirale. — Rzeczywiście miała do tego wrodzoną żyłkę. Przyprawiało to resztę kursu o niezmierne zdumienie, a Janet spędziła kiedyś całą godzinę usiłując nauczyć May Spikins widzieć to, co dla niej samej było jasne jak słońce. — Po prostu robiłam to, czego nas uczył szef.

W tym momencie na arenę wstąpił chorąży Waters. Teraz admirał zadał jemu jeszcze jedno pytanie:

— Czy ta „wrenka”, szefie, jest wyjątkowa, jeśli chodzi o strzelanie?

— Jest lepsza niż ogół kursistów, panie admirale — odparł sztywno Waters. — Powiedziałbym, że ma wrodzone zdolności.

— I dlatego ją właśnie wysunęliście do tego strzału?

— Tak jest, panie admirale.

— A jakie są na ogół biorąc „wrenki” z kategorii uzbrojenia w porównaniu do marynarzy?

— Są lepsze, co do tego nie ma wątpliwości, panie admirale. Są oczywiście bardziej wykształcone niż te roczniki z poboru, które teraz do nas przychodzą.

— Gratuluję, szefie, sukcesu tej młodej osoby — rzekł Pierwszy Lord Admiralicji. — To była pierwszorzędna robota.

Podoficer rozpromienił się z radości notując w niezawodnej pamięci każde słowo, które mi przekazał w bite osiem lat później.

Wycofali się oboje z wieży i razem zeszli na dół do reszty kursistów czekających na poligonie. Waters odesłał Janet z powrotem do szeregu i postawił całą drużynę na baczność.

— A teraz słuchajcie, wy tam „wrenki” — powiedział skandując każde słowo. — Przed chwilą Pierwszy Lord Admiralicji złożył mi gratulacje z powodu tego, co starsza „wrenka” Prentice, numer 3 w pierwszym szeregu, dopiero co zrobiła. I teraz widzicie czarno na białym, co się da zrobić przy strzelaniu przez celownik, jeśli się jedna z drugą postara nauczyć. Każda może zrobić to samo co Prentice, jeśli tylko zada sobie trochę trudu. A w innym przypadku to lepiej zmieńcie kategorię i jazda na kucharki. Spoczniej.

Wszystkie dziewczęta pochyliły się do Janet.

— Widziałaś z bliska Pierwszego Lorda? Co ci powiedział?

— Widziałam — odparła. — Pytał mnie, co robiłam, zanim wstąpiłam do wojska, a ja powiedziałam, że nic. A potem kapitan z „Excellenta” zapytał, co mi najlepiej szło w szkole, a ja powiedziałam, że łacina. To wszystko kupa wariatów, mówię wam. Kuku na muniu jeden w drugiego. Nic dziwnego, że nie mogą trafić w zasmarkany samolot.

Co powiedziała wtedy Janet, dowiedziałem się z relacji May Spikins. Opisała mi cały ten dzień w czasie naszej rozmowy u niej w domu, w nowym osiedlu mieszkaniowym w Harlow. May nazywała się teraz Cunningham i miała już dwuletniego chłopaczka i sześciomiesięczne bobo. Mąż jej, urzędnik w zarządzie miejskim w Enfield, był w biurze, kiedy odwiedziłem ją w 1950 roku. A o istnieniu May powiedział mi sierżant Finch, gdy byłem u niego w sprawie Billa; wobec tego pojechałem do niej w nadziei, że może jest w kontakcie z Janet Prentice albo przynajmniej będzie wiedziała, co się z jej dawną koleżanką stało. Ale May nie wiedziała nic. Janet nie spotkała ani nie korespondowała z nią, odkąd tamta wyszła z wojska. Billa poznała przelotnie jako przyjaciela Janet i gdy powiedziałem jej, że jestem jego bratem i przyjechałem z Australii, zaraz się rozkrochmała, zaprosiła mnie do saloniku, zrobiła cały imbryk herbaty i gadaliśmy długo o tych tak odległych już czasach w Beaulieu, przed „Overlordem”, przed początkiem inwazji.

W tamtym okresie Janet była dziewczyną bardzo bezpośrednią i gdy May Spinkis powtórzyła mi jej słowa, wiedziałem, że są zgodne z prawdą, bo tak właśnie starsza „wrenka” Prentice byłaby się wyraziła. Ta jej cecha charakteru i umiejętność wyrażania się jak męczyzna sprawiły prawdopodobnie,

że prości marynarze z floty inwazyjnej obawiali się jak ognia jej niezadowolenia; onieśmiałą ich pobesztanka ze strony „wrenki”, która zdradzała krzepę podoficera i posługiwała się podoficerskim językiem, a pewna kobieca bezwzględność, jaką w niej wyczuwali, zapowiadała, że swoich gróźb dziewczyna nie zawaha się wprowadzić w czyn.

Tę samą cechę wyczułem w Janet i ja, gdy w kwietniu 1944 roku z Billem i z nią spędziłem niedzielę w Lymington. Była w niej otwartość, bezpośredniość w sposobie wyrażania się i umiejętność dzielenia wspólnych przeżyć, co działało kojąco na mężczyzn o nerwach napiętych w tych przedinwazyjnych tygodniach do ostateczności. Najwidoczniej dobrali się z Billem doskonale. Nie musiał przy niej grać jakiejś roli czy zmuszać się do czegokolwiek. Byłaby go wyśmiała, gdyby przynosił jej kwiaty, a Bill był zanadto zmęczony i zaabsorbowany wyprawami na tamtą stronę, żeby pamiętać o prezentach.

0 łódź motorową na wycieczkę w dół rzeki aż do Solent postarała się właśnie Janet.' Był to mały, na szaro pomalowany stateczek długości piętnastu czy szesnastu stóp; zapewne łódź rybacka przejęta przez Marynarkę Wojenną. Gdy około wpół do jedenastej wróciłem z lotniska w Beaulieu, łódź stała koło oberży okrętowej. Kierowczyni samochodu, „waafka”¹, dowiozła mnie do mołu, gdzie czekał już Bill w battledresie i gumowych butach, jego pies

1 Janet Prentice w brudnawych, jasnogranatowych spodniach, także w gumowych butach, niebieskim swetrze i poplamionej smarami kurtce. Odprawiłem samochód i zszedłem do łodzi.

Bill przedstawił mnie i przywitałem się z Janet. Obejrzała mnie od stóp do głów i rzekła z uśmiechem:

— Bill ma dla pana kombinezon, ale nie wiem, jak to znieśie pana mundur. W tej łodzi jest straszny chlew.

Kawałkiem bawełnianej szmaty, która leżała koło niej przy motorze, wytarła ławkę.

Miałem na sobie najstarszy mundur, powycierany od ciągłego czyszczenia, ze śladami plam z oliwy, które nie chciały zejść.

— Nic nie szkodzi — powiedziałem. — Niech się pani mną nie przejmuje.

— Obawiam się, że pan całkiem ubrudzi ten elegancki mundur — powiedziała Janet. — W każdym razie niech pan lepiej włoży kombinezon. Może trochę pryskać, jeżeli pojedziemy aż do Keyhaven.

— Ee — powiedział Bill — nie ma silnego wiatru. Nie będzie tak źle. Janet odwróciła się do korby, żeby zapuścić motor.

Zaproponowałem, że

ją zastąpię, ale odmówiła i wyczułem, że moja propozycja była nie na miejscu.

— Strasznie to draństwo kopie, jeśli się nie uważa — powiedziała. — Jeden marynarz złamał rękę któregoś dnia, kiedy się do niej zabierał, ale nic nie grozi, gdy się zna jej obyczaje. Już ja to zrobię sama.

Poruszyła stary karburator, schyliła się do rączki i potężnym ruchem obróciła ciężkie koło. Najwidoczniej była bardzo silna. Motor zaczął dygo-

¹ „W a a f k a” — kobieta służąca w formacji WAAF (Women's Auxiliary Air Force).

tać, a wtedy Janet przesunęła się do rufy, odczepiła i wciągnęła linę ociekającą wodą, zręcznie ją zwijając. Bill zrobił to od strony dziobu, a dziewczyna schwyciła za dźwig steru, nogą popchnęła dźwignię gazu i ruszyliśmy w dół rzeki.

Przy południowym wybrzeżu nie widziało się wtedy cywilnych łodzi czy jachtów, ale rzeka roiła się od desantowców w kształcie pudeł ze stali pociągniętej szarą farbą z rampami do opuszczania na dziobie. Leżały na wodzie zacumowane do boi dziobem i rufą. Wewnątrz warczały motory Diesla przy ładowaniu baterii; z rufy zwisały brudnawe flagi, a znudzeni marynarze łapiący ryby ponad burtą gapili się na nas, gdyśmy się koło nich przemykali. Nie znałem ani nazw, ani przeznaczenia tych statków, ale Janet i Bill umieli to na pamięć i w miarę jak mijaliśmy je, objaśniali mi, do czego każdy z nich służy i jak się nazywa. To była LCT 4, typowa i najczęściej spotykana barka desantowa do przewozu czołgów produkcji brytyjskiej. A to typ 5, budowany w Ameryce według amerykańskiego projektu i sprowadzony do Anglii na pokładach okrętów. Były to raczej niesympatyczne stateczki, nie bardzo nawet wyglądające na to, aby mogły przeciwstawić się burzliwym żywiołom. Przeznaczano je na pierwszy ogień natarcia do przewożenia czołgów Sher-mana, które miały potem same dopływać do brzegu, i wozów pancernych Królewskich Saperów. Te ostatnie będą oczyszczać wybrzeże z wszelkich przeszkód, aby umożliwić bezpieczne przybijanie barkom desantowym, roz-minowywać teren i równać okopy wśród diun piaszczystych na tamtej stronie. To znowu był przestarzały typ barki desantowej do przewozu czołgów, przebudowany na statek rakietowy, który za jednym naciśnięciem guzika wypuszczał dziewięćset serii dla unicestwienia obrony przybrzeżnej. A ta jednostka najeżona Boforsami i Oerlikonami należała do osłony artyleryjskiej, dowodzonej i obsługiwanej przez piechotę morską. Ten zaś tutaj potężny i szybki, otwarty desantowiec z napisem „Dirtie Girtie” dumnie widniejącym na rufie, z amerykańską załogą w białych czapkach na otwartym pokładzie, który sunął ku nam pełną parą w górę rzeki, była to jednostka do przewozu piechoty, nadzwyczaj silna i świetnie zaprojektowana w ten sposób, że mogli ją obsługiwać marynarze o minimalnym wyszkoleniu. Te jednostki Bill i Janet znali, ale były też inne statki na Solent, o których nic nie mogli powiedzieć: olbrzymie, do pudeł podobne dziwadła z betonu, większe niż parostatki kursujące po Kanale, zacumowane i bujające się na wodzie albo wparte w wybrzeże, inne — podobne do potwornych rozmiarów szpuli bawełny o średnicy pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu stóp — unoszące się na fali i płaskie tratwy z groteskowymi wspornikami sterczącymi w górę.

Raz Janet zapytała cicho:

— Co, u diabła, będą z tym robić?

Ale żaden z nas nie odezwał się. Bill może coś i wiedział, ale nie puszczał pary z ust, i miał rację. W tych czasach każdy z nas nosił w sobie jakąś tajemnicę, a własna rola w całej tej historii absorbowała uwagę każdego. W pewnej chwili zapytałem nawiasowo:

— Czy dużo tu macie niemieckich samolotów zwiadowczych?

Istniała zawsze możliwość, że nasze biuro nie dopatrzyło czegoś, że prze-

oczyliśmy jakieś informacje i że ludzie miejscowi wiedzą o czymś, co do naszej wiadomości nie dotarło.

— Ani jeden szkop nie pokazał się tu od tygodni, może nawet ze dwa miesiące — odparła dziewczyna pokazując wszystkie zęby w uśmiechu. — Bóg raczy wiedzieć, co oni tam knują. Na zwykły rozum zdawałoby się, że powinni tu nadlatywać dzień w dzień i fotografować cały ten jarmark.

— Tak by się zdawało — powtórzyłem.

Tak było w istocie. Nasze patrole myśliwskie organizowane przez moje Dowództwo górowały nad Niemcami po drugiej stronie Kanału; żaden samolot nam się nie przemknął. Nasze straty dochodziły przeciętnie do trzech maszyn dziennie, wyłącznie w czasie tego zapobiegawczego patrolowania, ale nie przepuściliśmy nic oprócz jednego Messerschmitta 110 jakieś dziesięć dni temu, a i tego zestrzeliliśmy, gdy wracał do bazy. Prawdopodobnie Niemcy ciągle jeszcze niewiele się orientowali, co się na nich tutaj szykuje. Dopływaliśmy do ujścia rzeki i przed nami zajaśniała zachodnia odnoga Solent, błękitna i rozedrgana w blasku kwietniowego słońca. Bill wysunął się na rufę i stanął koło Janet. Chciałem właśnie coś powiedzieć, kiedy zobaczyłem, że oboje patrzą na brzeg wyspy Wight leżącej o cztery mile stąd na morzu.

— A ten sam Sherman ciągle tkwi na plaży — odezwał się Bill.

— Nikt się tym nie przejmuje — powiedziała dziewczyna. — Nie mogą go doholować do skały.

— O czym mówicie? — zapytałem. Wskazali na brzeg w odległym krańcu Kanału.

— Widzisz ten czołg? — powiedział Bill — tam gdzie plaża wrzyna się w morze, pod samą skałą? Na tym odcinku odbywało się ćwiczebne lądowanie z LCT. Ten Sherman jechał po wodzie do brzegu, ale wpadł w jakąś dziurę.

— Cały poszedł pod wodę — dodała dziewczyna odwracając się do mnie od steru. — Jeden człowiek z obsługi utonął — kierowca. Stwierdziła fakt z całą prostotą, bez żadnego emocjonalnego zabarwienia.

— Mogliby co prawda go wydobyć, gdyby zadali sobie trochę trudu — dodał Bill. — Mogliby sprowadzić tu jakąś barcę desantową, doholować czołg do brzegu i zabrać go gdzie indziej.

— Po co? — rzekła dziewczyna. — Violi mówił jakiś Pongo, że kiedy czołg poszedł na dno, woda zalała motor i zniszczyła go: rozsadziła wszystkie głowice silnika. Nie warto sobie zawracać tym głowy. Działo zabrali.

— Kiedy to się stało? — zapytałem.

— Jakies pięć tygodni temu — odparł Bill. Uśmiechnął się do dziewczyny i rzekł nonszalancko: — Przy tej okazji poznałem Janet.

O tym zdarzeniu dowiedziałem się sporo szczegółów, kiedy w sześć lat później poznałem Violę Dawson, a resztę dopowiedział mi sierżant Finch, gdy rozmawiałem z nim o Billu. Było to gdzieś około dwudziestego marca. Janet była stacjonowana na „Mastodencie” już blisko dziewięć miesięcy. Gdy ją tam kierowano, sądziła, że jedzie do bazy sił przybrzeżnych, aby kon-

serwować działa na torpedowcach. Tajemnica wojskowa osłoniła fakt, że Janet była przeznaczona do działań przy koncentracji przed inwazją Normandii.

Okazało się, że statek Jego Królewskiej Mości „Mastodont” w istocie był murowaną fregatą — rezydencją Exbury Hall odległą o mniej więcej trzy mile od Solent w górę rzeki Beaulieu. Płynąc poprzez kraj wybitnie rolniczy rzeka ta gubi się wreszcie w New Forest. Całkiem pokaźna przez pierwsze trzy mile, zasilana morskim przypiływem, zdolna była do pomieszczenia statków do dwustu stóp długości, jeżeli nie miały nic przeciwko temu, aby od czasu do czasu ugrzęznąć w szlamie. Ale za Bucklers Hard rzeka Beaulieu stawała się bardzo płytka przy niskiej wodzie. U ujścia jej leżały boje wyznaczające szlak od strony Solent, rząd nieużywanych już domków straży przybrzeżnej a następnie Lepe House, dom o ścianach z drewnianego wiązania i oknach z widokiem na rzekę. Od Lepe rzeka płynęła przez milę ku zachodowi rozlewając się szeroko między słonymi bagnami, a potem odwracała się ku północy i parła w głąb łąd, żeby w końcu wpłynąć w las, gdzie kryły się piękne siedziby bogaczy. Jeden z tych domów okazał się właśnie statkiem Jego Królewskiej Mości „Mastodont”, co wprawiło w niezmierne zdumienie Janet Prentice i May Spikins, gdy w czerwcu 1943 roku odstawiono je tutaj ciężarowym samochodem.

Zameldowały się u dyżurnego oficera i zostały przekazane podoficerowi WRENS, która zaprowadziła je do baraku wybudowanego na korcie tenisowym. Tutaj miały zamieszkać. Wieczorem dziewczęta krążyły po terenie, pełne sprzecznych uczuć. Złorzeczyły losowi, że rzucił je w to miejsce pozbawione wszelkich operacji wojskowych, a przy tym oddalone o dziesięć mil od najbliższego kina; jednocześnie zdawały sobie sprawę, że marynarka wojenna wysłała je do najbardziej chyba uroczonego dworu wiejskiego w Anglii. Był to murowany dom, nowoczesny, w imponującym stylu, z flagą trzepoczącą na trawniku przed frontem. Całe popołudnie dziewczęta spacerowały po leśnych ścieżkach, wśród gęstych rododendronów w pełnym kwiecie, z których każdy był opatrzony tabliczką. Pod każdą ścieżką ciągnęły się rury wodociągowe z kranami wystającymi nad ziemię w pewnych odstępach, żeby można było podlewać każdy rododendron z osobna. Odkrywały strumyczki i sadzawki obrośnięte starannie pielęgnowanymi paprociami i nenufarami. Odkryły także ogród skalny wielkości połowy Trafalgar Square, stanowiący w tej chwili jeden bukiet kwiatów. Natrafiły także na cedry i gładkie trawniki i na długie szeregi szklarni, dowiadując się ze zgrozą, że sztab ogrodników został zmniejszony z pięćdziesięciu do zaledwie osiemnastu starych ludzi. I wreszcie, błądząc wśród starannie pielęgnowanego lasu, odnalazły wśród drzew rzekę Beaulieu, która tutaj ciągle jeszcze podlegała przypiływom i odpływom morza. Ścieżka urywała się na prywatnym molo z budką i malutkim domeczkiem campingowym na brzegu. Doszły do końca mola i stały patrząc na szeroką rzekę i ruchomą wodę. Późne popołudnie było ciche i słoneczne, nadzwyczaj piękne. Turkawki nawoływały się w lesie, a mewy sunęły na falach. Motorowy kuter wojenny, prowadzony przez dwie „wrenki” w trykotowych bluzkach i marynarskich spodniach rozszerzonych u dołu, ukazał się na rzece i wysadził na molo dwóch oficerów z rezerwy marynarki wojennej.

— Tu jest zupełnie inaczej niż w lotnictwie morskim — odezwała się Janet w zamyśleniu. — Ale to naprawdę prześliczna miejscowość. — Jeśli zrezygnujesz na wieki z kina powiedziała praktycznie May Spikins. — Ale co z okrętami? Myślałam, że będziemy tu obsługiwały Oerlikony, ale jak dotąd, nie widziałam nawet śladu Oerlikona.

Przekonały się wkrótce, że na razie było zaledwie parę jednostek desantowych na rzece, chociaż spodziewano się, że wkrótce będzie ich dużo więcej. Admiralicja wyprzedzała całą zabawę dostarczając najprzód „wrenek” do konserwacji dział. Oficer uzbrojenia był właśnie zajęty budową nowego baraku obok przystani, który miał służyć jako ich warsztat. Był to poważny i zdolny młody oficer rezerwy, ranny rok temu w czasie wyprawy na Dieppe. Miał pod sobą podoficera, którego mógł zatrudnić na budowie, a dwie „wrenki” sprawiły mu po prostu kłopot, o czym szczerze im oznajmił.

— Słuchajcie, niewiasty — powiedział. — Nie mam tu dla was nic do roboty i mieć nie będę przez następne sześć tygodni. Już to załatwiłem, że się was przydzielili na ten czas do załóg łodzi. Pojeździecie sobie z nimi i zaznajomicie się z rzeką i rozkładem boi cumowniczych. Gdy się wam powie, że okręt jest zacumowany przy boi numer 16, będziecie już wiedziały, gdzie go szukać. Na razie będzie tu straszliwe próżniactwo, ale później czeka was kupa roboty. Jeżeli narobicie jakiegokolwiek ambarasu, odeślę was z powrotem do magazynu, a zapotrzebuję dwie inne niewiasty na czas, kiedy zwali się robota. Jeśli nie będziecie się zachowywać przyzwoicie, stracie cholernie dobre zajęcie.

Następne miesiące były dla Janet istną rozkoszą. Prawic tego nie zauważyła, ale osiemnastomiesięczna służba na lotnisku w Ford stanowiła ciężki wysiłek. Była bardziej wyczerpana, niż sobie z tego zdawała sprawę. W tym uroczym zakątku nad rzeką Beaulieu nie odczuwało się wojny i na razie nie było właściwie nic do roboty. Gdyby chciała, mogła była spędzić większą część lata siedząc w słońcu wśród różnych krzewów w ogrodzie i czytając poezje. Ale tego nie żrebiła i według wskazówek oficera przyłączyła się do załogi kutra złożonej ze starszej „wrenki” Violi Dawson, Sheili Cox i Doris Smith i z nimi spędzała większą część dnia. Gdy nowy desantowiec wpływał na rzekę i zakotwiczał się, Viola Dawson podjeżdżała kutrem, wysadzała Janet na pokład statku i zostawiała ją tam na parę godzin. Janet meldowała się u podoficera lub pierwszego oficera i pytała, czy mają jakieś uszkodzenie w działach albo braki w magazynach amunicyjnych. Uszkodzenia i braki zazwyczaj były i dziewczyna przez godzinę rozbierała Oerlikona z paroma marynarzami lub napełniała ładowniki rękami unurzanyymi w mokrej mazi smarów. Posiadała jakiś zmysł do mechaniki i na rdzę na działach reagowała jak na ból fizyczny.

— Popatrzcie tylko na to paskudztwo! — prawiała surowo ogłupiałemu marynarzowi. — Jeżeli jeszcze raz zobaczę tu coś podobnego, przyprowadzę oficera uzbrojenia, żeby rozmówił się z waszym kapitanem. Nie, to nie żadne chi-chy-śmichy. Na pewno to zrobię. Jak żyję, nie widziałam dział w takim stanie.

Młodemu kapitanowi zaś mówiła:

— Widzę, panie kapitanie, że w komorze amunicyjnej ma pan tylko

miejsce na dwa magazynki, a na wszystkich innych jednostkach typu 4 jest miejsce na sześć. Zamelduję o tym porucznikowi Parkesowi. Może uda się znaleźć dla pana kapitana cztery dalsze magazynki, jednakże to już robota dla doków. Ale, ale, jeszcze jedno. Oglądałam z Jonesem lewe działo: jakoś kapkę zardzewiało.

Zawsze zostawała na herbacie z oficerami albo w mesie z marynarzami. Potem kuter znowu podpływał, aby ją zabrać, i na nadbrzeżu meldowała swojemu oficerowi, że na LCT 2306 brakuje czterech magazynków i miejsca na nie, i dopóty naprzykrzała się różnym komórkom marynarki wojennej, dopóki nie znalazła kogoś, kto mógł na to zaradzić.

Działalność w rejonie Beaulieu wzmogła się przez jesień i zimę i jednocześnie zaczęły się dziać różne sekretne sprawy. Lepe House, rezydencja przy ujściu rzeki, została objęta przez marynarkę wojenną i zapełniła się ogromnie tajemniczymi oficerami. Rozeszła się wieść, że jest to część tajnej grupy morskiej zwanej „Force J”. Blisko Lepe House i przy samym ujściu rzeki oddział saperów zabrał się całą parą do budowy pochylni, spadzistej betonowej platformy biegnącej w głąb wody, do której mogły zawijać płaskodenne desantowce, żeby pobrać paliwo i po opuszczeniu rampy załadować pojazdy mechaniczne czy czołgi. Pochylnia była odległa o dwie mile od „Ma-stodonta”. Mniej więcej o milę od wybrzeża inna wiejska posiadłość została zajęta przez tajną grupę marynarki, która wyczyniała przedziwne rzeczy przy pomocy holowników, kabli, kołowrotów i kołyszącej się na fali konstrukcji podobnej do olbrzymiej szpuli bawełny. Była to jednostka „Pluto”, która miała za zadanie przeciągnąć podwodne rurociągi z Anglii do Francji dla zaopatrzenia w benzynę wojsk desantowych w Normandii. Na pobliskiej pustej plaży obozowały tysiące marynarzy zajętych produkcją olbrzymich konstrukcji betonowych zwanych „Feniksami”; był to jeden z wielu tego rodzaju zakładów rozrzuconych wzdłuż wybrzeża. Ludzie dowiedzieli się dopiero po inwazji, że wyrabiano tu części do sztucznego portu „Mulberry” dla północnego wybrzeża Francji.

Na lądzie działo się to samo. Każdy las roił się od pocisków i amunicji w małych bunkrach z karbowanej blachy, których tysiące rozstawiano w regularnych odstępach. Na błoni w Beaulieu założono stacje radarowe, a Boforsy stały w Bucklers Hard; wszędzie znajdowały się radiostacje ze strzelistymi antenami sterczącymi z płotów, stogów siana i ciężarówek. W miarę jak zima przechodziła w wiosnę, nad całą okolicą unosił się bezustannie warkot silników samolotowych, ten symbol nowoczesnej potęgi militarnej.

Mniej więcej w połowie marca, rankiem, Janet czekała przy molo na łódź, która miała ją zabrać w dół rzeki na zwykłą inspekcję jakiejś barki desantowej. Sheila Cox i Doris Smith czekały z nią razem, ale Viola Dawson, sternik, była jeszcze w biurach „Mastodonta” odbierając rozkazy na dzisiejszą robotę. Dziewczęta siedziały rzędem na molo machając nogami nad wodą i paplając o Cary Grancie i potańcówce planowanej na następny tydzień.

Nagle ukazała się Viola biegnąca pędem ku przystani. Był to zupełnie niezwykle widok. Zdumione dziewczęta skoczyły na równe nogi, a Viola wykrztusiła bez tchu:

— Mamy wziąć barcę desantową dla personelu. Zdarzył się jakiś wypadek i trzeba przybić do samej plaży. Prędko, zapuszczajcie motor! Musimy zabrać ekipę ratowniczą z Needs Oar Point.

Po paru minutach płynęły w dół rzeki pełną szybkością. Janet zabrały ze sobą i chciały ją podrzucić na pokład desantowca, gdzie dzisiaj miała robotę. Siedząc przy sterze Viola powoli przestała dyszeć i w drodze opowiedziała koleżankom, czego sama się dowiedziała. Kiedy była na odprawie, odezwało się nagle kilka aparatów radiowych i w pół minuty wszyscy zainteresowani poderwali się do akcji. Jakiś czołg uległ wypadkowi na wyspie Wight, na plaży w pobliżu Newtown, i zatonął. Kilka osób z załogi zostało w nim jak w po-trzasku i prawdopodobnie utonęło. Z Needs Oar Point trzeba było zabrać na pokład coś w rodzaju ekipy ratowniczej z Królewskiej Piechoty Morskiej.

W całej historii było kilka punktów niejasnych. Doris Smith zapytała:

— W jaki sposób czołg mógł zatonać?

— Nie mam pojęcia.

— Co to za ekipa ratownicza? — zapytała Sheila. — Przecież w Needs Oar Point nic takiego nie ma, prawda?

— Nie wiem. Dostałam rozkaz, żeby możliwie jak najszybciej tam dopłynąć, wziąć na pokład ekipę i odebrać od nich rozkazy.

Needs Oar Point leży przy załomie rzeki Beaulieu, o milę od ujścia. Jest to pustkowie wydane na łup wiatrom, wśród płaskich pastwisk i bagien. Dojeżdżając tam dziewczęta zobaczyły wóz ciężarowy marynarki wojennej na końcu szlaku wiodącego ku rzece i czekających na nie trzech młodych wojskowych z piechoty morskiej. Był tam jeden kapitan i dwóch sierżantów. Trzymali oburącz jakiś przedziwny sprzęt, wodoszczelne kombinezony i osobliwe skrzynki z metalowymi cylindrami. Przybijanie do lądu było trudne. Viola ostrożnie nakierowała łódź przodem ku bagnom i młodzi ludzie prze-leźli przez błoto na pokład od strony dziobu. Cofnęła się także z trudnością.

— Wiecie, gdzie jechać? — zapytał oficer.

— Nie, panie kapitanie.

— Znacie Newtown? Pół mili na wschód od wejścia do przystani. Proszę jechać na pełnych obrotach. Jeżeli się pospieszymy, może uda się jeszcze kilku z nich uratować.

Odwrócił się do swoich sierżantów.

— Włączajcie *walkie-talkie*. Trzeba się dowiedzieć, o co chodzi.

— Czy mogę podjechać do desantowca i podrzucić na pokład tę „wren-kę”, panie kapitanie? — zapytała Viola. — Ona jest z uzbrojenia i musi tam być służbowo.

— Nie, proszę jechać wprost na Newtown. Zostawicie ją w drodze powrotnej .

Oficer przeszedł ku rufie do swoich ludzi, którzy tam stali za motorem. Wziął połowy aparat nadawczo-odbiorczy od sierżantów i zaczął na przemian mówić i słuchać. Podoficerowie zaczęli się rozbierać. Oficer na chwilę odwrócił się od swojej roboty.

— A wy, panny, patrzcie teraz prosto przed siebie — powiedział.

Gdy po kwadransie spojrzwały znowu ku rufie, zobaczyły obydwóch sier-

zantów ubranych w obcisłe, lekkie gumowe kombinezony, z gumowymi hełmami przylegającymi do twarzy; okulary mieli jeszcze zsunięte na czoło. Janet słyszała kiedyś jakąś nieostrożną paplaninę o ludziach-żabach, ale nie zetknęła się do tej pory z żadnym z nich i nawet nie przyszło jej do głowy, że w tym okręgu tacy się znajdują. Teraz oficer podszedł do koła sterowego, przy którym stała Viola. — Już wiadomo, o co chodzi, sterniku — powiedział. — Jednostka LCT wysadzała na brzeg czołg Shermana. Wiecie, jak się to robi? Statek podpływa i gruntuje dziobem, kiedy głębokość dosięga około czterech stóp, a wtedy spuszcza rampę, czołg zjeżdża po niej i wali przez wodę do plaży. Otóż była tam jakaś dziura czy coś takiego i czołg zatonął. Podobno wieżyczka trochę wystaje nad powierzchnię wody. Uratowali się wszyscy oprócz kierowcy, który został w środku. Próbowali odholować ten czołg za pomocą innego czołgu, ale ponieważ przekładnia jest włączona, nie mogą go dźwignąć. Próbowali też dostać się do środka, żeby wydobyć kierowcę, ale leży on w poprzek dźwigni od przekładni i zaczepił się o coś. Jednym słowem biedak dotąd tam tkwi.

— Kiedy to się stało, panie kapitanie? — zapytała Viola.

— O dziesiątej pięćdziesiąt.

Spojrzała na zegarek. Było dwadzieścia pięć po jedenastej, a przed nimi jeszcze około dwóch mil, mimo że za jej plecami motor warczał na pełnym gazie i motorówka robiła około piętnastu węzłów.

— Już pewnie nie żyje, prawda?

— Niekoniecznie. A teraz posłuchajcie, co wy macie zrobić. Przyplływ będzie was pchał ku zachodowi. Zbliżycie się do czołgu i wysadzicie moich ludzi na wieżyczkę. Podjedźcie tam od zawietrznej, to znaczy od zachodu, i przybijcie jak najbliżej. Zacumujecie do wieżyczki, jeśli się da, ale jeżeli nie będzie o co zaczepić linki, to trzymajcie motorówkę w takiej pozycji, żeby wieżyczka była akurat pod dziobem. Rozumiecie, o co chodzi?

— Tak jest, panie kapitanie.

Oficer wrócił na rufę do swoich ludzi, a Janet podeszła do Violi i zapytała:

— A co ja mam robić?

— Pomożesz tym sierżantom, jeśli będą chcieli — odpowiedziała. — Sheila i Doris będą mi potrzebne do obsługi motorówki.

Zbliżali się już do brzegu. Pozbyszy się ciężkiego czołgu barka odpłynęła od plaży, cofnęła się i stała teraz nieopodal zakotwiczona rufą. Na połowie drogi między statkiem a piaszczystą plażą zobaczyli coś, co mąciło gładką powierzchnię morza; była to właśnie wieżyczka czołgu zalana wodą, ze sterzącą wysoko cienką anteną radiową. Na brzegu stał drugi czołg i kilkunastu żołnierzy w battledresach, a inni rozebrani do naga i ociekający wodą. Viola zakręciła motorówkę i płynęła wprost na czołg, potem cofnęła się i przez parę ostatnich jardów zbliżała się do niego powoli, mając wieżyczkę po lewej stronie, aż do chwili, kiedy otwarty luk był dokładnie obok koła sterowego, a dziób motorówki oparł się o lufę działa. Potem, na wolnych obrotach, trzymała łódź na miejscu. Był to subtelny i zręczny wyczyn nawigacyjny.

Obydwaj nurkowie znaleźli się momentalnie za burzą, z maskami i okularami opuszczonymi na twarz i z butlami tlenu na piersiach. Jeden z nich przemykał się w dół przez luk, przeginając ciało w prawo i w lewo, żeby ustawić aparat na piersiach; pomagał mu kolega, który po pas w wodzie stał na zatopionym czołgu i zaglądał do wewnątrz przez wieżyczkę. Potem dotarł na sam dół z głową pod wodą i po chwili ukazało się ciało kaprala-kierowcy w kombinezonie, ciągnięte w górę przez podoficera stojącego na wierzchu, a wypychane z dołu przez nurka, który wszedł do wnętrza. Kapitan piechoty morskiej w battledresie przeskoczył przez nadburcie i po pas w wodzie, razem z nurkiem stojącym na wierzchu, wymanewrował ciało kaprala w kierunku motorówki. Janet i Sheila Cox zabrały go z rąk mężczyzn i przeniosły na płaski pokład dziobowy, gdzie Janet położyła go twarzą do ziemi i zaczęła wykonywać ruchy sztucznego oddychania, których ją nauczono w szkole. Był to młody chłopak w kombinezonie roboczym, z małym wąsikiem, sino-białą twarzą, lodowato zimny.

Trzej wojskowi wdrapali się z powrotem na pokład przy pomocy pozostałych dziewcząt. Ten, który dostał się do wnętrza czołgu, powiedział:

— Wyłączyłem motor, panie kapitanie.

Janet wydało się, że mówi z lekkim obcym akcentem, może gwarą londyńską, ale wtedy nie zwróciła na to specjalnej uwagi.

Ociekając wodą stali teraz na bocznym pokładzie; trzymali się poręczy i obserwowali Janet, gdy rytmicznie poruszała ramionami kaprala. Jeden z podoficerów powiedział:

— Nie żyje, co?

Janet spojrzała na niego.

— Chyba nie. Czy ktoś wie, jak się to naprawdę robi? Czy ja to dobrze robię?

— Zdaje mi się, że dobrze — odparł oficer. — Róbcie to dalej. Sternik, proszę dopłynąć do plaży, przeniesiemy go na brzeg.

— Boję się, panie kapitanie, że jeśli podjadę do brzegu, to nie będę mogła ruszyć się z powrotem — powiedziała Viola. — Poziom wody szybko się obniża.

Miała na myśli to, że gdy zostanie przy brzegu dłużej niż parę minut, motorówka będzie unieruchomiona i trzeba będzie czekać na następny przypływ, żeby ruszyć z miejsca.

— Nic nie szkodzi — odparł kapitan. — Już ja to dla was załatwię. Tutaj mają jakieś środki lokomocji, a może lekarzowi uda się jeszcze coś zrobić dla tego chłopca.

Ruszyli naprzód i motorówka zatrzymała się w pewnej odległości od plaży. Jakiś porucznik wojska lądowego w battledresie przedostał się do nich przez wodę i wciągnęli go na pokład od dziobu.

— Niech kto inny się tym teraz zajmie — powiedziała Janet. — Mnie jakoś nic nie wychodzi.

Porucznik zawahał się, a potem przyklęknął i spróbował zastosować sztuczne oddychanie. Janet zaś wstała z jedynym życzeniem oddalenia się od człowieka, którym się dotychczas zajmowała. Podeszła ku rufie, gdzie na-

tknęła się na dwóch sierżantów piechoty morskiej, obnażonych do pasa, wydobywających się niezdarne z gumowych kombinezonów. — Przepraszam — powiedziała i dodała: — Może kto ma papierosa? — Była niezmiernie zadowolona, że pozbyła się trupiego chłodu, który emanował z ciała leżącego na przednim pokładzie, i że jest w towarzystwie żywych, młodych ludzi.

Jeden z sierżantów, jasnowłosy chłopak, ten, który mówił z lekkim obcym akcentem, powiedział:

— Powiniennem mieć coś tutaj.

Obejrzał swój mundur, przeszukał kieszenie battledresu i w końcu podał jej paczkę papierosów i pudełko zapalek. Janet tymczasem usiadła.

— Strasznie dziękuję — powiedziała biorąc od niego papierosy. — Rozbierajcie się. Nie będę patrzeć.

Zapaliła papierosa nieco drżącą ręką, wypuściła wielką chmurę dymu i trochę się odprężyła.

Blondyn odezwał się z dołu, od rufy, gdzie obydwaj się ubierali.

— Nie żyje, prawda?

— Chyba — odparła nie patrząc na mówiącego. — Nie dawał znaku życia.

— Ostatecznie był pod wodą przez większą część tych pięćdziesięciu minut — powiedział młody człowiek. — A to nie wróży nic dobrego.

Siedziała w ciepłe słońca paląc papierosa i patrząc na błękitne morze w odnodze Solent; na płaskim dziobie statku mężczyźni w mundurach khaki ciągle gimnastykowali ciało kierowcy czołgu. Jak na marzec dzień był bardzo ciepły, niósł w sobie obietnicę lata; w taki dzień plaża zawsze nasuwa myśl o kąpiących się, o łódkach i dzieciach, które budują zamki z piasku i taplają się w wodzie, a nie kojarzy się z widokiem zatopionych czołgów Shermana, zmoczonych mundurów i trupów. Jakaś barka desantowa dla czołgów, pierwsza, którą Janet w ogóle tu zobaczyła, wchodziła przez przesmyk koło Needles i kierowała się ku Southampton. Gdy ich mijala, Janet przyjrzała się jej z zajęciem. Klucz Spitfire'ów przeleciał wysoko w drodze do Francji. Tuż obok przeszły trzy motorówki w szyku torowym i parę motorowych poławiaczy min.

Jasnowłosy sierżant stanął koło niej, już w koszuli i spodniach, i poczęstował się swoimi własnymi papierosami. Wydał się jej przystojnym, domytnym chłopcem — Bill oczywiście był przystojny i domyty.

Spojrzał teraz ku przodowi statku.

— Zdaje się, że nic nie mogę poradzić — powiedział.

— I ja tak myślę. — Zawahała się i spojrzała na niego. — Czy ja to dobrze robiłam? Właściwie nigdy przedtem nie robiłam tego na serio.

— Doskonale to pani robiła — powiedział Bill. — Ale on przecież był pod wodą przez blisko godzinę. Po dziesięciu minutach można go było odratować. Ale po godzinie? To już zupełnie co innego. Zrobiła pani wszystko, co się dało zrobić.

Spojrzał teraz na desantowiec, który także wciągał kotwicę, żeby uciekać, zanim odpływ go tutaj uwięzi. Na pokładzie stały jeszcze trzy czołgi. Ćwiczenia widocznie przerwano.

— Powinni jednak zbadać wybrzeże przed takimi ćwiczeniami — powiedział Bill. — Wystarczyłoby, gdyby jeden żołnierz przeszedł po wodzie przed czołgiem. Jeżeli okaże się potrzeba podpłynięcia, to znak, że plaża jest kabłąkowata.

Janet trochę zdziwiło to wyrażenie, ale w tych czasach każda broń miała swoją gwara. Ona na przykład całe wojsko lądowe określała nazwą Pongo.

— Ale tego się nie da robić w czasie operacji ze szkopami na brzegu — odezwał się drugi sierżant.

Ku rufie podszedł teraz ich oficer.

— Sternik powiada, że ugrzęźliśmy tu aż do szóstej po południu. Barka wynurzyła się już porządnie z wody. Za kwadrans będzie można wyjść z niej suchą nogą. Kapitan wziął *walkie-talkie* i nawiązał kontakt z drugim brzegiem Solent polecając przez telefonowanie wiadomości na „Masto-donta”.

Można już było teraz zejść z pokładu na mokry piasek. Podczas gdy omawiali wypadek z żołnierzami, woda dalej opadła obnażając do połowy czołg leżący w podłużnym zbiorniku wody morskiej.

— Była tu przedtem jakaś inna barka desantowa dla czołgów — powiedział oficer — i odjeżdżając, tu właśnie puściła w ruch wszystkie motory. To wszystko robota jej śrub; zgarnęły piasek, a zostawiły dziurę...

Zorganizowano obiad dla oficera i sierżantów piechoty morskiej i dla „wrenek” na pozycji artyleryjskiej na skale, o pół mili dalej w głębi wyspy. Janet i Bill szli razem i zjedli obiad w kantynie pod namiotem, gdy obsługa Boforsów zjadła już swój.

— Gdzie pan stacjonuje? — zapytała. — Nic nie wiedziałam, że wasz oddział jest w okolicy.

— Mieszkamy na Cliffe Farm — odparł. — Mniej więcej dwie mile na zachód od wybrzeża, skądęście nas dzisiaj zabrały. Ja nawet byłem w waszej kwaterze w ubiegłym tygodniu, ale pani nie widziałem.

— Pewnie byłam na rzece — powiedziała.

Zjedli obiad siedząc obok siebie w namiocie; był to kiepski i źle podany posiłek, składający się z gotowanego mięsa i ciastka z marmoladą. Potem wszyscy razem łazili znowu po plaży. Barka, którą przyjechali, leżała na piasku daleko od morza. Na wierzchołku skalnego cypla stał ambulans i sanitariusze wnosili do środka nosze przykryte kocem.

— Jak się pani nazywa? — zapytał sierżant. Janet powiedziała mu swoje imię i nazwisko.

— A pan? — zapytała z kolei.

— Bill Duncan — odparł. — A to jest Bert Finch — dodał wskazując na drugiego sierżanta.

— Jesteście z Londynu?

— On tak, ale ja nie. Jestem z Australii. Czy pani wzięła mnie za londyńczyka?

Zmieszała się trochę, bo nie chciała być niegrzeczna.

— Właściwie nie wiem, dlaczego mi się tak zdawało.

— To na pewno mój akcent — powiedział. — Tam, w kraju ludzie nie

znaleźliby u mnie śladu australijskiego akcentu, ale tutaj to od razu zwraca uwagę.

Janet była zaintrygowana.

— Czy pan od dawna jest w Anglii?

— Przyjechałem przed samą wojną, zaraz po skończeniu szkoły. Byłem w Geelong.

Australijskie Eton nie znalazło w niej żadnego oddźwięku.

— Zapisalem się na kurs rolniczy, kiedy wybuchła wojna. Mamy farmę w Australii.

— Co pana skłoniło, żeby wstąpić do piechoty morskiej? — zapytała.

— Po prostu tu jest ciekawiej niż w zwykłym wojsku — odparł. — Więcej takich specjalnych zadań, jak na przykład to dzisiejsze.

Za dobrze była obznajmiona ze sprawami wojskowymi, żeby dopytywać się, co robił w przerwach między wyciąganiem topielców z wnętrza czołgów.

— Zgłosił się pan ochotniczo, prawda? — zapytała tylko.

— Zawsze lubiłem pływać — powiedział z uśmiechem.

Przeszli razem przez plażę, żeby obejrzeć czołg; leżał w środku podłużnego zagłębienia w piasku, z wierzchem gaśienic ponad wodą. W tej chwili na skalnym cyplu rozległ się klekot gaśienic i ukazało się podwozie Shermana do haubicy. Naładowane żołnierzami i stalowymi linkami, ostrożnie zjeżdżało na plażę z bardzo stromego zbocza. Żołnierze wczepili druty do uchwytów zatopionego Shermana, po czym ruszyli i odholowali go z zagłębienia aż do znaku najwyższego poziomu wody. Potem spróbowali podciągnąć czołg na skałę, ale stromość zbocza na to nie pozwoliła. Odczepiono linki i podwozie wspięło się samo na skalny cypel i odjechało.

Bill został z Janet przez całe popołudnie, z czego była bardzo rada. Uznała go za chłopca nieprzemądrzałego i łatwego w rozmowie, przynajmniej dla niej. Podziwiała go także za ten odruch odwagi przy wtargnięciu do środka zatopionego czołgu. Powiedział jej, że nigdy przedtem nie był we wnętrzu czołgu wydało mu się tam dość ciemno, ale jakoś wymacał sobie przejście. Janet weszła kiedyś do środka czołgu, gdy nie był w ruchu i oczywiście w pełnym oświetleniu dziennym, na lądzie, i wiedziała coś niecoś, jak to się trzeba skręcać w dziesięcioro, żeby w ogóle móc się tam poruszać. W jej pojęciu taki wysiłek podjęty dla człowieka, który już nie żył, był pierwszorzędnym wyczynem i powiedziała to wprost Billowi.

Poszli znowu powoli do kantyny, gdzie wyłudziła od kucharki herbatę, potem wrócili na pokład barki i siedzieli tam paląc papierosy i gadając, dopóki naokoło nie zaczęła zbierać woda. Wkrótce po szóstej łódź spłynęła na morze i Viola zakręciła nią w stronę Beaulieu. Wjechali w długie ujście rzeki pomiędzy słonymi bagnami już w chłodzie zmierzchu poprzedzającego noc marcową. W Needs Oar Point na kapitana i sierżanta czekała ciężarówka przysłana z piechoty morskiej. Gdy zbliżali się do błotnistego brzegu, Janet powiedziała:

— W sobotę urządzamy zabawę. Może byście przyjechali do nas we dwóch?

I tak się to wszystko zaczęło.

Rozdział IV

Zagubiony we wspomnieniach siedziałem przed kominkiem w moim pokoju w Coombarganie przerzucając fotografie. W ciszy nocnej snułem marzenia, jakby to się inaczej potoczyło życie, gdyby Bill nie był zginął. Wróciłby do Coombargany natychmiast po wojnie i chyba na pewno przywiózłby ze sobą Janet Prentice. Byłaby z nich dobrana para, nadająca się doskonale do przejęcia zarządu Coombarganą od rodziców. Bill nigdy nie zdradzał wielkiej chęci wyjazdu do Anglii. Sądzę, że dlatego jedynie poszedł do Cirencester na ten kurs rolniczy, że taki był zwyczaj, że moda w Australii nakazywała młodym ludziom sięgać po rozleglejsze doświadczenia niż te, które mogli zdobyć w rodzinnym kraju. Bill na pewno cieszyłby się z powrotu i osiedlenia w Coombarganie i na pewno byłby lepszym hodowcą niż ja.

A Janet przyjechałaby do Coombargany jako przyszła pani, a nie jako pokojówka. Czekano mnie znowu dalsze wtargnięcie w jej osobiste życie, aby wykryć powód jej przyjazdu. Odpowiedź kryła się chyba niezawodnie tuż przy mnie w neseserze, wśród jej papierów, do obejrzenia których tak niechętnie się zabierałem. Mogłem poczekać z tym jeszcze chwilę, posiedzieć przed ogniem myśląc o dziewczynie, o której już tak dużo wiedziałem.

A wiedziałem o niej, być może, więcej, niż gdyby przyjechała do Coombargany jako żona Billa i mieszkała z nim razem w dawnym pokoju rodziców, na wprost mojej sypialni, po przeciwnej stronie korytarza. Gdyby sprawy wzięły taki właśnie obrót, byłbym także pojechał do Anglii w 1948 roku robić dyplom w Oksfordzie, jak faktycznie pojechałem, ale nie wracałbym tam po to, żeby szukać Janet Prentice. Nie byłbym nigdy spotkał sierżanta Fincha i nie rozmawiał z nim w koszarach w Eastney ani chorążego Watersa przy Fratton Road i nie poznałbym ani May Cunningham, ani Violi Dawson.

Tak dużo wiedziałem o Janet, głównie z opowiadań, a przecie wszystkie te szczegóły odłożyłem, jak mi się wtedy zdawało, na zawsze, siedząc w numerze St. Francis Hotel. Odłożyłem je jakby do jakiegoś kufra, który odstawiłem do lamusa mojego życia, a tymczasem kufer otworzył się nagle przede mną w momencie, kiedy najmniej się tego spodziewałem, i z powrotem w moje życie wprowadził wszystkie te wiadomości i wspomnienia o Janet. Wspomnienia dotyczyły, oczywiście, tego jedynego dnia spędzonego razem w łodzi wkrótce przed inwazją. Dzień ten wyrwał się w mojej pamięci z nadzwyczajną wyrazistością. Po dziesięciu latach pamiętałem dokładnie ruchy i słowa Janet i jej poglądy na różne sprawy, co później ożywiło każdy strzępek wiadomości zebranych o niej wśród innych ludzi. W ciągu pięciu lat pobytu poza domem Bill albo upodobił się bardzo do Anglików, albo też czuł się samotny. Nie przypuszczam bowiem, żeby w Coombarganie wybrał sobie na faworyta takiego kundla jak Dev — był to skrót od de Valera. Dev, którego tylko przez uprzejmość można było nazwać ir-

landzkim terierem, przybłąkał się pewnego dnia do obozu, gdzie stacjonował Bill. Miał prawdopodobnie ze dwa lata i prawdopodobnie przynależał do jakiejś jednostki wojska lądowego czy marynarki wojennej, która ruszyła dalej. Dev uznał Billa za swego pana, a Bill Deva za swego psa i czworonożnego przyjaciela, a teraz piesek dopuścił do towarzystwa i Janet. W Coom-barganie Dev byłby odpowiednim kandydatem do sfory psów używanej do polowania na króliki. Na pewno nie wolno by mu było wchodzić do domu. Chociaż wątpię, czyby się nadał i do polowania, bo brakowało mu dostatecznej zajadłości. Był z gatunku tych lekkomyślnych, wesółych psów, nie nadających się właściwie do niczego, ot, pies odpowiedni dla samotnego mężczyzny czy samotnej panny.

Bill i Janet wzięli z sobą Deva tego dnia, gdy wybraliśmy się na wycieczkę z Lymington do Keyhaven. Pies siedział na dziobie z nastawionymi uszami patrząc przed siebie i najwidoczniej rozkoszując się przejażdżką.

— Przypuszczam, że jest to dziecię miłości, które przyszło na świat w niezbyt udanej rodzinie — powiedziała Janet wyjaśniając mi jego osobowość. — To taki głuptas, że nie można go nie lubić.

Gdy dojechaliliśmy do ujścia rzeki Lymington, Janet zwróciła łódź ku zachodowi i popłynęliśmy teraz wzdłuż bagien na północnym wybrzeżu Solent. Trochę dalej morze było niespokojne, ale płynąc blisko brzegu byliśmy w zasięgu niskiej fali.

— Będziemy trzymać się niedaleko lądu ze względu na pana mundur — powiedziała Janet. — Uważajcie na skały czy pnie sterczące ze szlamu. Wpakuję się w straszliwą kabałę, jeśli wybije dziurę w łodzi w czasie takiej wycieczki. To nie to, co gdybym służyła w załogach łodzi.

Wstaliśmy, Bill i ja, żeby obserwować wodę przed nami.

— A w jaki sposób udało się pani w ogóle zdobyć łódkę? — zapytałem.

— Jestem tutaj na tyle długo, że znam różne sposoby — roześmiała się Janet. — Prawdę mówiąc, nie mają o to specjalnej pretensji w niedzielę, kiedy łodzie stoją beczynnie.

Pogoda nam sprzyjała — było ciepło i słonecznie. Prawie całą godzinę płynęliśmy wzdłuż bagnistej niziny pod osłoną cypla, na którego końcu stoi zamek Hurst, a potem skręciliśmy w stronę Keyhaven, w górę następnej rzeki na zachód od Lymington. Po obu brzegach mieliśmy teraz nisko położone bagna, aż wreszcie dotarliśmy do rozwalonego mola na końcu drogi prowadzącej na przełaj przez łąki.

Janet podprowadziła tam łódź i po jej zacumowaniu wysiedliśmy na brzeg. Mieliśmy ze sobą śniadanie zabrane z hotelu i trzy butelki piwa; niedaleko od łodzi zasiedliśmy do jedzenia, gadania i palenia papierosów, leżąc beczynnie w słońcu na niskiej trawie i patrząc na Solent. W czasie wojny niezmiernie rzadko trafiała mi się okazja spędzenia dnia w ten sposób.

W czasie śniadania Janet zapytała ciekawie:

— Bill mówił mi, że przed wojną pan był w Oksfordzie.

— Tak — potwierdziłem. — Byłem w Christ Church.

— Naprawdę? Co pan studiował?

— Prawo — odparłem. — Pani mieszka stale w Oksfordzie, prawda?

— Tak. Mój ojciec jest „donem” w kolegium Wyckham. Mieszkamy przy Crick Road.

— Znam Crick Road — powiedziałem. — To jest ładna dzielnica.

— Mieszkam tam od urodzenia — powiedziała Janet. — Co pana skłoniło, żeby przyjechać do Oksfordu? Czy w Australii nie można studiować prawa?

— Chodziłem jakiś czas na prawo w Melbourne — odparłem. — Jestem bardzo, bardzo stary. Już właściwie nie pamiętam, dlaczego przyjechałem do Oksfordu, poza tym, że miałem na to ochotę. Przyznano mi stypendium Rhodesa i zdawało się, że nie skorzystać z niego byłoby marnotrawstwem.

Otworzyła szeroko oczy, bo tu już była w domu.

— Ach, to pan jest stypendystą Rhodesa!

— Niech pani sobie wyobrazi, że tak — powiedziałem. — Komisja przyznająca stypendium miała wtedy ciężki orzech do zgryzienia.

— A do lotnictwa wstąpił pan, gdy wybuchła wojna?

— W pewnym sensie w lotnictwie byłem już przedtem. Należałem do dywizjonu uniwersyteckiego.

— Bill mi wspominał, że pan brał udział w Bitwie o Wielką Brytanię.

— Tak by to pani pewnie określiła. Po prostu mam za sobą dwie tury operacyjne na myśliwcach, jeden na wyspę Thorney, a drugi nad Zachodnią Pustynię. W przerwach zabawiałem się trochę instruktazem. Po tej drugiej turze przydzielili mnie do Dowództwa Myślistwa.

— Jest pan zadowolony?

— Nie bardzo. Wolałbym z powrotem brać udział w lotach operacyjnych. Moja obecna robota skończy się zresztą z chwilą, gdy zerwie się balon. I wtedy złożę podanie o przydział do jednostki operacyjnej.

— Dadzą panu skrzydło, co? Roześmiałem się.

— Podpułkownik niekoniecznie dostaje skrzydło, a w każdym razie jestem tylko p. o. dowódcy skrzydła. Będę się musiał zdegradować o jedno oczko. Dobrze pójdzie, jeśli dostanę dowództwo nad jedną eskadrą.

— To trochę nieprzyjemnie wrócić do niższej rangi — powiedziała Janet ze zdziwieniem. — Czy to duża różnica w gaży?

— Dosyć duża — odparłem. — Ale mam po dziurki w nosie biura.

— Wróci pan do Oksfordu po wojnie?

— Nie wiem. Może byłoby niezłe wrócić na pewien czas i zrobić dyplom. Po pierwszej wojnie światowej zorganizowali takie skrócone kursy dla wojskowych.

— Czy po tym wszystkim chodzenie znowu do szkoły nie wyda się panu czymś o straszliwie żółtym tempie?

— Chciałbym jednak doprowadzić do końca to, co zacząłem — powiedziałem. — To nieprzyjemnie zostawić coś niewykończzonego. — Spojrzałem teraz na nią. — A jakie pani ma plany?

— Spróbuję dostać się do Lady Margaret Hall — odparła. — Ale nic wiem, jak to będzie. Teraz jeszcze nie widzę siebie na studiach. Zresztą nie wiem, co będą robić. Nie zastanawiałam się nad tym.

Tu Bill roześmiał się.

— Wszystkich nas diabli wezmą, gdy balon poprunie — powiedział. — Wtedy zadecydują się losy każdego z nas bez naszego udziału. Na Solent ukazał się teraz jakiś nowy typ jednostki desantowej. Nie pamiętam już, co to było; nie miało to wówczas dla mnie żadnego znaczenia, ale wzbudziło wielkie zainteresowanie Janet i Billa. Zaczęli dyskutować o tej jednostce i o innych typach statków, które będą nowością w czasie inwazji, a ja mogłem swobodnie leżeć na trawie w ciepłe słonecznym i obserwować dziewczynę. Zależało mi na tym, żeby się jej przyjrzeć, bo nie ulegało wątpliwości, że zostanie ona moją bratową. Wprawdzie nie wyglądało na to, że są zaręczeni, i Janet nie nosiła żadnego pierścionka, ale sposób, w jaki zwracała się do Billa, i sposób, w jaki on na nią patrzył, jasno wskazywały, że byli w sobie bardzo zakochani.

Gdy inwazja się wreszcie zacznie i oboje będą mieli trochę więcej czasu na swoje osobiste sprawy, zaręczą się na pewno i może pobiorą jeszcze przed końcem wojny. Nasunęła mi się myśl o małżeństwie i uznałem ją za trafną. Bill był przemęczony i wyczerpany nerwowo swoją trudną robotą i długi okres narzeczeństwa tylko by ten stan pogarszał. Spotykałem się z podobnymi wypadkami w lotnictwie i stałem się zaciekłym przeciwnikiem długiego narzeczeństwa w czasie wojny. Jeśli mają się pobrać, niech to zrobią prędko, i spokój. Kiedy się zaręczą albo pobiorą, mama będzie chciała wiedzieć co to za dziewczyna, a przecie nie przyjedzie w czasie wojny z Australii oddalonej o dwanaście tysięcy mil, żeby poznać narzeczoną Billa. A nawet gdyby podróż była możliwa, nie zostawi majątku bez opieki. Mama na pewno zażąda ode mnie zapewnienia, że Bill zrobił dobry wybór. Obserwując nieznacznie Janet, kiedy była zagadana z Billem, doszedłem do wniosku, że będę mógł mamę uspokoić w tym względzie. Janet nie była efektowna. Twarz miała zbyt kwadratową i nieładną, była zanadto barczysta, a ciemne, krótkie jej włosy, chociaż mieniły się ładnym, ciemnozłotym odcieniem, nie układały się w fale. W każdym razie będę mógł zapewnić mamę, że Bill nie zakochał się w jakimś kociaku na pokaz.

Usiłowałem wyobrazić sobie Janet w roli przyszłej dziedziczki Coombar-gany i przewidzieć, jak dalece potrafi się przystosować do życia w Zachodnim Okręgu. Miała mocny charakter i prosty język, co ułatwiłoby jej radzenie sobie z ludźmi. Z pewnością potrafiłaby przypilnować robotników na farmie w razie nieobecności Billa. Dobrze strzelała, co także dodałoby jej prestiżu. Prawdopodobnie nie umie jeździć konno, ale jest młoda i na pewno nauczy się z łatwością. Zresztą konna jazda nie miała teraz takiego znaczenia jak dawniej. Dziewczyna wyglądała na praktyczną i lubiła psy. Były wszelkie dane, że może zainteresować się poważnie bydłem i owcami, a także prowadzeniem gospodarstwa w rozległym majątku.

Jeśli chodzi o stronę towarzyską, była prawdopodobnie na dostatecznie wysokim poziomie. Na pewno nie wykaże nigdy specjalnego zainteresowania życiem światowym; może nawet nie potrafi się dobrze ubrać i nie zagustuje w organizowaniu bali na cele dobroczynne czy zabaw ogrodowych na rzecz

Czerwonego Krzyża. Zamiłowania Janet skupiają się pewnie na życiu rodzinnym; może wyrosnąć na typową żonę-domatorkę. Niewątpliwie będzie zawsze miłą panią domu dla gości przybywających do Coombargany, ale nie zechce wydawać wielkich przyjęć, chyba żeby się bardzo zmieniła. Większe jest prawdopodobieństwo, że rozwiną się w niej zainteresowania Australią jako taką i może zechce dużo podróżować po naszym kraju. Być może, będzie miała ochotę na dalekomorski jacht motorowy albo coś w tym rodzaju, i Coombargana będzie się mogła na to zdobyć.

Mój raport do mamy o Janet Prentice będzie naprawdę bardzo pomyślny. Janet nie była akurat tym typem młodej panny, który by mama wyobrażała sobie lub wybrała na synową, ale byłem przeświadczony, że mama w końcu polubi ją i oceni jej zasadnicze zalety. W przyszłości w Coombarganie Janet będzie dobrą panią domu i dobrą żoną dla Billa. Rozważając to wszystko wówczas, leżąc na trawie w Keyhaven uważałem, że Bill ma szczęście.

Bez wyrzutów sumienia słuchałem tego, co Janet mówiła do Billa, zapomniawszy prawie o mojej obecności. Pies w odruchu sentymentu położył jej głowę na kolanie, a ona głaskała go po uszach.

— Udało ci się, że możesz trzymać psa — mówiła.

— Chciałabym, żeby i nam pozwolili.

— Nie wolno wam?

— Właściwie nie wiem. Chyba żadna u nas nie próbowała. Nie sądzę jednak, żeby kapitan zgodził się na obecność psa na „Mastodencie”. Gdyby się zgodził, wszyscy trzymaliby psy.

— Pewnie — powiedział Bill. — I nam by nie było wolno, żeby nie to, że stacjonujemy na takim pustkowiu. Ale nie wiem, co będzie z Devem, gdy nas przeniosą.

— Czy to ma być już niedługo?

— Nie zdaje mi się — odparł Bill. — Wygląda na to, że każdą akcję możemy przeprowadzić robiąc wypady właśnie stąd. Ale, oczywiście, kiedyś nas przeniosą.

W wojsku nie ma nic stałego. Bill spojrzął na Deva z troską w oczach.

— Mam poważne wątpliwości, czy to ma sens pozwalać nam na trzymanie psów — powiedział w zamyśleniu. — Przy więziesz się do stworzenia, a potem jest tylko zmartwienie, gdy cię przeniosą tam, gdzie psów mieć nie wolno.

— W każdym razie nie możesz go odesłać do domu — powiedziała Janet. — W żadnym razie nie odeślesz go do Australii. Czy nie masz w Anglii jakichś krewnych, którym można by oddać psa na przechowanie?

— Nikogusieńko — rzekł Bill.

— Jeśli nie będziesz miał innego wyjścia — powiedziała kojącem tonem — może uda mi się namówić moją mamę, żeby go wzięła.

— To niełatwa sprawa przy systemie kartkowym — odparł.

— Wiem. Ale jeżeli tatuś będzie w domu, to myślę, że chętnie Deva przyjmie. W każdym razie warto będzie spróbować, jeśli będziesz miał trudności.

— A ja myślałem, że twój ojciec jest cały czas w Oksfordzie — zauważył Bill.

— Ach, zapomniałam ci powiedzieć! — odwróciła się do niego z nagłym ożywieniem. — Gdy wróciłam wczoraj wieczorem, zastałam list od tatusia. Tatuś prawdopodobnie weźmie udział w wyprawie.

— Chyba nie w tej wyprawie? — Bill spojrział na nią zdumiony.

— A właśnie, że w tej — powiedziała ze śmiechem. — Po prostu sam się wprosił. Gdy balon się zerwie, tata wyruszy także.

— Na tamtą stronę? — zapytał z niedowierzaniem.

— Na tamtą stronę — potwierdziła. — W każdym razie zgłosił się. Sam jeszcze nie wie, czy go przyjmą.

— Ale w jakim charakterze?

— Jako indentyfikator samolotów na statku handlowym. Umieszczają po jednym albo po dwóch ludzi z Korpusu Obserwacyjnego na każdym statku handlowym, żeby powstrzymać kanonierów od strzelania do naszych własnych maszyn. Ogłosili zaciąg ochotniczy i tatuś właśnie się zgłosił.

— Ileż lat ma twój ojciec?

— Coś około sześćdziesięciu trzech — powiedziała Janet. — Ale on, zdaje się, uważa, że to nie ma żadnego znaczenia. To chyba najśmieszniejsza historia pod słońcem.

— Alan, czyś ty coś słyszał na ten temat? — zwrócił się do mnie Bill. Wiedziałem o tym właściwie dość dużo, bo niektóre papiery dotyczące tej sprawy przechodziły przez moje ręce. Było tyle wypadków strzelania do naszych własnych myśliwców z zaprzyjaźnionych statków, że musieliśmy wsadzić nos w to wszystko, i ostatecznie zażądaliśmy lepszego identyfikowania samolotów, zanim z naszych myśliwców nie stworzymy silnej eskorty pomocniczej dla tysięcy jednostek morskich. Zdawało mi się nawet, że pomysł przydzielenia członków Królewskiego Korpusu Obserwacyjnego na statki handlowe wyszedł właśnie od nas.

— Coś niecoś o tym słyszałem — przyznałem się.

— To jest dopiero wspaniały wyczyn! — powiedział Bill. — Wspaniały wyczyn dla człowieka sześćdziesięcioletniego.

— To w ogóle przechodzi wszelkie granice przyzwoitości — zaśmiała się dziewczyna. — Służę już we WRENS od trzech lat, a jako żywo nikt mnie nie zapytał, czy miałabym ochotę wziąć udział w zabawie. Tata zjawia się w ostatniej minucie i prościutko trafia tam gdzie trzeba.

— A „wrenki” nie są przewidziane? — zapytałem.

— Nie słyszałam ani o jednej — zaprzeczyła. — Nie chcą nas dopuścić do żadnych działań operacyjnych ani żadnych działań, które by pociągały stacjonowanie na statku. Jesteśmy przyrośnięte do wybrzeży.

Zapytałem Janet, jakie funkcje spełnia w marynarce wojennej, i opisała mi je odpowiadając na pytanie z prostotą wypływającą z fachowej znajomości swojej roboty.

— To nawet jest całkiem zabawne i bliższe właściwej wojnie niż większość zajęć, które przydziela się „wrenkom”. Co prawda nie tak przyjemne jak praca w kobiecych załogach łodzi motorowych, ale zawsze dużo lepsze

niż kucharowanie albo robota stewardessy. Czasami jest trochę próżniactwa, ale jak się wymieni jakieś partackie działo okrętowe, ma się poczucie, że się cośkolwiek pomogło w tym całym interesie.

— Czy miewasz dużo kłopotu z Oerlikonami? — zapytał Bill.

— Nie bardzo — odparła — a i to przeważnie wskutek złej konserwacji. W zeszłym tygodniu zawinęła tu jednostka desantowa i kapitan zameldował, że w lewym dziale zamek zaciął się na amen po dwudziestu seriach, a potem musieli odczekać pół godziny, aż wychłódł, zanim mogli go zwolnić. Rzeczywiście tak było. Wyczyściłam je sama, dojechałam na pokładzie tego statku do Needles, sama z niego strzeliłam i zrobiło się akurat to samo, co zameldowali. Tolerancje były nie w porządku czy coś takiego. To było jedno z pierwszych dział tego typu, jakie wyprodukowano w Anglii. Meldowali o tym kilka razy i nikt nie chciał uwierzyć, że szwankowało nie dlatego, że je zapuścili i pozwolili mu zardzewieć. Wymieniło się teraz to działo na inne, całkiem nowe.

Przez całe prawie popołudnie siedzieliśmy na trawie w Keyhaven gadając o wojsku. Umówiłem się z „waafką”, że zajedzie po mnie o szóstej do hotelu w Lymington, bo wieczorem miałem być na obiedzie na lotnisku z paroma dowódcami grup i jednym pułkownikiem amerykańskiego lotnictwa, a po obiedzie mieliśmy rozpatrzeć różne papierki z mojej teczki. O czwartej trzeba więc było stąd się ruszyć. Odciągnęliśmy Deva z ubłoconym nosem od jamy króliczej między krzewami janowca, wsadziliśmy go do łodzi i odcumowawszy ją od malutkiej przystani popłynęliśmy ku rzece Lymington poprzez otwartą przestrzeń wody, a potem wzdłuż płaskich przybrzeżnych moczarów. I tak dotarliśmy z powrotem do mola.

Pożegnałem się już tutaj z Janet Prentice, bo musiała najpierw odprowadzić łódź w górę rzeki, a potem dopiero miała spotkać się znowu z Billem na resztę wieczoru. Pożegnaliśmy się jeszcze w łodzi uściskiem ręki.

— To był po prostu wspaniały dzień — powiedziałem. — Od lat takiego nie miałem. Dzięki za łódź i za wszystko.

— Łodzie są po to, aby nimi jeździć — zaśmiała się. — Zwłaszcza w niedziele i święta. Do widzenia, panie pułkowniku, i proszę nie wpakować się w jaką krakę w drodze do Londynu.

— To zwykła obelga — powiedziałem śmiejąc się. Zwrot „panie pułkowniku”, użyty z racji mojego munduru, trochę mnie zabolął, ale ostatecznie to była przyjaciółka Billa, a nie moja. — Do widzenia, Janet.

Odbiła od mola kierując się w górę rzeki pod mostem. Dev został z nią w łodzi i tkwił na dziobie wpatrzony przed siebie. Bill i ja obserwowaliśmy dziewczynę, dopóki nie znikła nam z oczu, a wtedy podążyliśmy główną ulicą ku hotelowi.

— No, co o tym myślisz? — zapytał Bill.

— Myślę, że masz cholerne szczęście — odparłem.

— Jestem tego samego zdania — powiedział. — Ale to jeszcze nic przypieczętowanego — dodał.

— Nie rozmawiałeś z nią o tym?

— Owszem, ona wie doskonale. Ustaliliśmy, że pojedziemy razem na ur-

lop, gdy balon się zerwie, i wtedy wszystko omówimy. W tej chwili jesteśmy oboje zanadto zaabsorbowani różnymi sprawami, żeby myśleć o przyszłości.

— Roześmiał się i dodał: — Może zresztą nie będzie żadnej przyszłości. A jeśli będzie, pojedziemy sobie gdzieś razem na urlop. I tak sprawy w tej chwili stoją.

— Mnie się ten projekt podoba. Bill spojrzał na mnie spod oka.

— Czy myślisz, że w domu nie będzie krzyku z tego powodu?

— Nie będzie żadnego krzyku — zapewniłem go. — Zaaprobuja ją.

— Ja też tak myślę. Zawahał się chwilę.

— Ale lepiej nie pisz o niej w listach do domu, dobrze? Ja do tej pory nie pisałem o Janet słówka i nie pisnę, aż wszystko się ustali.

— Dobrze — obiecałem. — Daj mi znać, kiedy wypuścisz swój pierwszy komunikat, to wtedy ja napiszę mamie, że panna jest pierwszorzędna.

— Dobry z ciebie brat — powiedział Bill z wdzięcznością. — To kolosalnie pomoże. Chciałbym, żeby Janet zrobiła dobry start w stosunkach z mamą.

Gdy doszliśmy do hotelu, mój służbowy wóz RAFu czekał już ze swoją „waafką”. Pożegnałem się z Billem na chodniku.

— Nie mam pojęcia, kiedy się teraz znowu zobaczymy — powiedziałem.

— Przed inwazją nie uda mi się już zdobyć drugiego wolnego dnia. Może w jakiś czas potem.

— W jakiś czas potem pójdę na urlop — roześmiał się Bill.

— Dobra — roześmiałem się także. — Nie przyjdę podglądać przez dziurkę od klucza.

I tą nutą zakończyło się nasze spotkanie. Bill zbiegł w dół, żeby zabrać Janet z przystani i spędzić z nią wieczór. Patrzyłem na niego tak długo, aż znikł mi z oczu, nie zwracając uwagi, że „waafka” czeka na mnie przy kierownicy.

I teraz ciągle go widzę.

Zdaje mi się, że Junkers 188 pojawił się nad Beaulieu wkrótce po naszej wycieczce. Sporo szczegółów o tym zdarzeniu dostarczyła mi Viola Dawson, gdy poznałem ją w 1950 roku, a także May Cunningham — dawna May Spi-kins — w czasie naszej rozmowy u niej w Harlow przy herbacie. Potem skontaktowałem się z Tomem Ballantyne, moim kolegą z Dowództwa Myślistwa, który w 1951 roku jako dowódca grupy odbywał służbę w Ministerstwie Lotnictwa. Tom okazał się nadzwyczaj pomocny, zasadił kogoś do grzebania w aktach, odszukał meldunek o wypadku i pokazał mi go u siebie w biurze.

Wyglądało to w ten sposób. W pewien sobotni poranek w końcu kwietnia oficer uzbrojenia z „Mastodonta” wysłał Janet łodzią z czterema Stenami i czterema skrzynkami amunicji dla barek desantowych. Przypuszczano, że po pierwszym desancie w Normandii Niemcy mogą przeprowadzić przeciwnatarcie i odebrać wybrzeże razem z jednostkami dowożącymi czołgi, które tam utkwia. Wobec tego uznano za wskazane, żeby załogi statków miały ja-

kaś broń bardziej odpowiednią niż rewolwery do walki na niewielką odległość. Stenów była obfitość i właśnie po raz pierwszy dostarczono je oficerom na pokład.

Każdy statek miał dostać jeden karabin i jedną skrzynkę z amunicją. Jednostki desantowe stały po dwie, burta w burtę, zacumowane dziobem i rufą do boi, a połowa załogi wyszła na ląd na weekendowe urlopy. Viola Dawson zabrała Janet do miejsca postoju statków niedaleko Needs Oar Point wśród rozległych bagien przy ujściu rzeki i podwiozła ją pod LCT 968. Dowódca statku podszedł do poręczy: był to porucznik rezerwy marynarki wojennej nazwiskiem Craigie.

— Dzień dobry, panie poruczniku! — zawołała Janet z łodzi. — Mam tu po jednym Stenie dla pana i dla numerów 538, 946 i 702.

— Serwus, Janet — powiedział porucznik. — Numer 702 stoi burta w burtę z nami. Dawaj wobec tego dwa Steny. Poczekaj, przyślę ci kogoś do pomocy.

Do łodzi zeszedł marynarz i razem podali karabiny i ciężkie skrzynki z amunicją na pokład jednostki. Potem Janet wskoczyła tam sama. Przekazali jednego Stena i jedną skrzynkę na następny statek, którego kapitan był na urlopie. Janet spotkał przy poręczy podporucznik. Doskonale dawała sobie radę z młodymi oficerami, pozbawionymi pewności siebie i wyglądającymi na niefachowych.

— Muszę dostać na to pokwitowanie — powiedziała wyciągając z kieszeni spodni różowy kwitek. — Niech pan porucznik tylko podpisze w tym miejscu. To tylko po to, żeby stwierdzić, że pan porucznik wszystko otrzymał w dobrym stanie. Tutaj niech pan wpisze numer statku, tutaj datę, a tu, panie poruczniku, proszę się podpisać.

Porucznik wziął od niej kwit i poszedł do mesy oficerskiej po pióro. Janet zwróciła się teraz do porucznika Craigie, który stał koło niej.

— Szkoda, panie poruczniku, że możemy panu dać tylko tego jednego Stena.

— Każda sztuka poprawia sytuację — odpowiedział. — Daj mi znać, jeśli będzie jakaś szansa dostania drugiego karabinu.

— Oczywiście — powiedziała. Poczucie, że zbliża się czas bitwy, ciążyło na niej bardzo dotkliwie; nieznośna byłaby świadomość, że jakakolwiek broń zdatna do użytku została w magazynach w momencie inwazji. — Za parę dni dostaniemy całą masę nowych Stenów. Od strony wyspy Wight, gdzieś spomiędzy Newtown i Yarmouth doszedł odgłos strzałów. Craigie odwrócił się, żeby zobaczyć, co się dzieje, i Janet odwróciła się także. Widać było samolot lecący ku nim całkiem nisko, a była to godzina jedenasta rano w jasny, wiosenny dzień. Wokół samolotu, na błękitnie nieba unosiły się małe obłoczki dymu.

Stali przez chwilę patrząc przed siebie, niezdolni uwierzyć w to, co widziały ich oczy. Upłynęło już wiele miesięcy, odkąd Niemcy zaprzestali podobnych wyskoków. I nagle Craigie wrzasnął:

— Samolot nieprzyjacielski w nadlocie! Obsługa przeciwlotnicza, do dzieła!

Na pokład wysypali się natychmiast marynarze.

Na pokładzie sąsiedniej barki pojawił się podporucznik i kilku marynarzy i wszyscy patrzyli z zainteresowaniem na nadlatujący samolot, który obniżył się na niewiele więcej jak tysiąc stóp. Janet, wściekła na ich ślamazarność, zawołała:

— To niemiecka maszyna! Nastawcież te Oerlikony! Podporucznik rzucił na nią bezradne spojrzenie.

— Nie możemy. Obydwaj kanonierzy są na urlopie.

— Rany boskie! — zawołała dziewczyna i przez poręcz przeskoczyła na pokład tamtego statku.

Za jej plecami Craigie ryknął:

— Dobra, Janet! Zabierz się do lewego działła, a ja wezmę się do prawego.

Wewnętrzne działła obu statków w tej chwili były praktycznie nie do użycia, gdyż inne okręty przesłaniały pole ostrzału.

— Hej! Jamieson! Otwieraj jaszczke i podawaj magazynki! Na co czekacie, do jasnej cholery, zapomnieliście o regulaminie? A gdzie hełmy?

Szybkimi, zręcznymi ruchami Janet pociągnęła za dźwignię i wpuściła na miejsce ciężki ładownik; odsunęła bezpiecznik i ramiona włożyła w kabłąki. Ktoś jej ściągnął rzemienie z tyłu. Nakierowała działło na zbliżający się cel, który jednak skręcił w bok. Strzał byłby bezcelowy, gdyż samolot znajdował się w odległości dwóch tysięcy jardów. Obserwowała go pełna rozczarowania i zawołała do Craigie'go:

— Jak tam u pana porucznika?! W porządku?

— W porządku! — odkrzyknął. — Ale obawiam się, że nam uciekł. Samolot leciał teraz na zachód, ponad środkową częścią Solent; była to ciężka, czarna, dwusilnikowa maszyna z białym krzyżem widocznym na kadłubie. Parę statków otworzyło na nią ogień z dużej odległości, a ze szczytu skały na wschód od Yarmouth odezwał się jakiś Bofors, ale w jednej chwili samolot umknął z pola ostrzału większości dział w tym rejonie.

— Co to za jeden? — zapytała Janet.

— Junkers 188 — odparł Craigie.

— Co tu robi?

— Pewnie bada teren i fotografuje, co się da. Ale ma, cholera, zimną krew.

Maszyna zaczęła teraz skręcać ku północy. Zakręcała dalej i teraz leciała mniej więcej w ich stronę od południowego zachodu. Za plecami Janet, Craigie zawołał:

— Za chwilę zasłoni mi go mostek. Bierz go sobie, Janet!

Junkers obniżył się już prawie do tysiąca stóp i leciał wprost na nich; był to znakomity przykład strzału jak ze szkolnego ćwiczenia. Janet umiejscowiła go poniżej środka celownika, dokładnie tak, jak chciała. Powoli przesuwiała się czekając, aż nadejdzie, i rozkoszując się tą chwilą. Teraz nie mogła nie trafić — czuje się najzupełniej pewna siebie. Naciśnęła spust i otworzyła ogień, działło zaczęło bić rytmicznie, owiał ją naokoło dym z corditu i ze spalonych smarów. Powoli przesuwiała się w dół, aż w końcu opadła prawie na

kolana, ciągle utrzymując samolot we właściwym położeniu w kręgu celownika.

W trakcie strzelania wyszło podwozie; Janet zorientowała się, że coś się dzieje, ale nie zrozumiała znaczenia manewru. Gdy strzelała dalej, zatrzęsł się perspektowy nos kabiny nawigacyjnej, a wewnątrz niej, jedna po drugiej ukazały się szybko trzy błyszczące iskry. Maszyna zadarła się nagle w górę i w ostrym zrywie przeleciała akurat ponad jednostkami desantowymi w kierunku „Mastodonta”. Janet zrobiła pełny obrót działem, żeby osiągnąć ją z przeciwnej strony, ale teraz statek, z którego strzelała, zakrył jej pole ostrzału. Obróciła się na bok, żeby ominąć przeszkodę, i znowu zobaczyła Junkersa. Z wybrzeża jakiś Bofors zaatakował go także, gdy sponad nadrzecznych bagien przelatywał nad ląd. Junkers stracił szybkość i przeszedł w pikę, a gdy padał w dół, Bofors odstrzelił mu ster ogonowy. Wtedy maszyna znurkowała bezwładnie na łękę koło moczarów i roztrzaskała się z potężnym, głuchym hukiem; płomienie trysnęły w niebo wśród olbrzymiej chmury czarnego dymu. Janet stała w kabłąkach Oerlikona przerażona tym widokiem i drżąca. Dookoła niej marynarze krzyczeli i wołali, ale ona ciągle tkwiła bez ruchu i zupełnie oszołomiona dała sobie odpiąć pasy. Nie mogła uwierzyć, że to, co się stało, stało się przez nią. Obok niej Craigie wrzeszczał:

— Wspaniały wyczyn, Janet! Mogę się założyć, że jesteś jedyną „wren-ką”, której udało się coś podobnego!

A głos jakiegoś marynarza dodał:

— Tak jest, panie poruczniku. Janet zapytała głupio:

— To ja? Czy nikt inny nie strzelał?

— Naturalnie, że ty. Moje działo było osłonięte mostem. Trzy razy trafiłaś wabinę pilota. Wspaniale strzelałaś.

— Cztery razy trafiła, panie poruczniku — odezwał się marynarz. — Na własne oczy widziałem. A to, cholera, nigdy jeszcze nie widziałem takich strzałów, co trafiają.

Janet zajęła się teraz oczyszczeniem dział, z którego strzelała, bo obydwaj kanonierzy byli na urlopie. Powiedziała Craigie'mu, że musi się do tego zabrać natychmiast i działo przeczyścić. Psychologowie nazwaliby ten odruch mechanizmem obronnym albo czymś w tym rodzaju. Dziewczyna wróciła do codziennej pracy, zamiast zastanawiać się nad konsekwencjami tego, co zrobiła. Ale oficer zawołał kanoniera ze swego statku i obsadził go przy Oerlikonie. Janet niechętnie zostawiła działo i przeszła z Craigie'm na pokład jego jednostki. Była tam już Viola Dawson i Doris Smith, żeby powinszować jej sukcesu, i przez kilka minut dziewczyna poruszała się wśród załogi w wirze pochwał.

Craigie patrzył na pole przed „Mastodontem” obserwując mały, czarny dymek, który ciągle unosił się stamtąd kłębam.

— Pójdę na ląd obejrzeć to — powiedział. — Może i ty miałabyś ochotę? Ogarnęła ją nagle straszliwa ochota: musi tam pójść i zobaczyć.

— O, tak, bardzo — powiedziała. Craigie zawahał się chwilę.

— Czy masz pojęcie, jak to wszystko wygląda? Może lepiej nie idź?

— Wytrzymam, panie poruczniku. Zanim mnie tu przydzielili, byłam przecież w lotnictwie morskim. Wiem aż za dobrze, jak wygląda rozbita maszyna.

Odetchnął z ulgą.

— W takim razie chodźmy.

Zeszli do motorówki. Rósł przypyływ i Viola ostrożnie wymanewrowała ją przez mały kanał w moczarach do niewielkiego nie używanego mola, skąd łakami poszli na przełaj na miejsce katastrofy.

W momencie zderzenia Junkers właśnie wydobywał się z korkociągu, nie spadał więc prosto. Najpierw rąbnął w małe wzniesienie obrośnięte niskimi krzakami i tu leżał jeden z silników. Samolot zaś wziął wiraż poprzez płot, ścieżkę i następny płot. Tutaj skrzydła oderwały się od kadłuba i zapaliły od paliwa w zbiornikach. To, co pozostało z Junkersa, rozsypało się po łące w postaci strzępów rozdartej blachy duralowej. Nie było już w tym żadnego podobieństwa do samolotu.

Na miejscu było kilkunastu żołnierzy; pod kierunkiem oficera zbierali zwłoki, układali je w jednym rzędzie pod płotem. Zginęła cała załoga i wszyscy byli strasznie zmasakrowani, a wyglądało na to, że było ich w samolocie bardzo wielu. Oficer znalazł dwa zwinięte spadochrony względnie nie uszkodzone i borykał się z nieznanym sobie mechanizmem otwierania, żeby jedwabiem przykryć ciała. Widać było, że nie pierwszy raz spełniał tę funkcję.

Craigie podszedł do niego.

— Czy nie macie nic przeciwko temu, żebyśmy to obejrzel? Samolot został zestrzelony przez tę „wrenkę”.

— Wielka szkoda, że nie zrobiła tego gdzie indziej — powiedział opryskliwie młody człowiek. — Oglądajcie sobie, ile wlezie, mnie to nie przeszkadza. To do mnie nie należy, ale przecież nie można zostawić ich, ot tak, na polu.

— Ilu ich było? — zapytał Craigie.

— Siedmiu.

— Siedmiu? Myślałem, że załoga Ju 188 składa się z czterech ludzi.

— Ja także. Policzcie, jeśli macie ochotę. Musieli być stłoczeni jeden na drugim i siedzieli sobie na kolanach. Telefonowaliśmy już do RAFu, ale przypuszczam, że nie zaraz się zjawią.

Craigie zawahał się, ale potem, powodowany niezdrową ciekawością, podszedł do płotu, żeby zobaczyć zabitych. Janet poszła za nim. Leżały tu nieszczęsne ciała, poszarpane powłoki istot, które niegdyś były ludźmi. Byli to albo kaprale, albo sierżanci w niebieskich mundurach Luftwaffe.

Janet stykała się już przedtem z podobnymi rzeczami i widok ten specjalnie nią nie wstrząsnął; ale jeden rzut oka zupełnie jej wystarczył i odeszła. Trudno jej było skojarzyć te poszarpane, groteskowe strzępki z żywymi ludźmi. Zimno jej się zrobiło na myśl, że to ona sama ich zabiła, ale przecież na lotnisku w Ford widziała swoich przyjaciół i znajomych zabitych przez Niemców w czasie nalotów i zamienionych w zwłoki wyglądające akurat tak samo. Żałowała teraz, że w ogóle zabrała się do strzelania z Oerlikona; szkoda, że nie zrobił tego ktoś inny zamiast niej. Nie miała jednak specjalnego poczucia winy.

Wróciła do motorówki z Craigie'm i Viola Dawson zabrała ich z powrotem do barki desantowej. Craigie wystosował długi meldunek do Lepc House, a także do swojego dowódcy, z kopią dla kapitana „Mastodonta” ze względu na Janet, która także była wmieszana w całą sprawę. Janet zaś kontynuowała swoją robotę, skończyła rozdawanie Stenów i wróciła na „Mastodonta” na obiad.

Po obiedzie była właśnie zajęta w magazynie uzbrojenia, kiedy Trzeci Oficer Collins, jej dowódca we WRENS, telefonicznie kazała jej pójść do baraku, włożyć najlepszy mundur i przyjść do biura, bo kapitan chce z nią pomówić. Po dwudziestu minutach została wprowadzona do kancelarii i stanęła przed nim na baczność. Koło kapitana siedział oncer RAFu, także kapitan.

— Starsza „wrenko” Prentice — powiedział oficer marynarki. — Podobno dziś rano zestrzeliliście niemiecki samolot?

— Strzelałam do niego i trafiłam, panie kapitanie — powiedziała Janet. — Inni także trafili. Nie wiem, czy to właśnie ja go zestrzeliłam.

— Porucznik Craigie powiedział mi, że wasz strzał trafił go po raz pierwszy. Proszę mi powiedzieć, dlaczego w ogóle strzelaliście do tej maszyny? Strzelanie do nieprzyjacielskich samolotów nie należy do waszych obowiązków. Nie należycie do jednostki operacyjnej. W Janet jakby grom uderzył.

— Na statku 702 nie było kanonierów, panie kapitanie, i młodszy oficer nic nie zarządził. Wydawało się właściwe, żeby ktoś obsłużył działa. Zdaje mi się, że pytałam porucznika Craigie, ale nie jestem pewna. — Zawahała się. — Wszystko poszło tak szybko — dodała.

— Wiem. — Kapitan zamilkł i po chwili powiedział: — Możecie stanąć na spocznij, Prentice. Usiądźcie.

Janet usiadła.

— Porucznik Craigie powiedział, że zrobiliście to na jego rozkaz. Ale rzecz w tym, że nie miał prawa wydawać wam żadnych rozkazów. Nie jesteście pod jego komendą i nie mieliście przeszkolenia bojowego. Czy rozumiecie, o co chodzi?

— Tak jest, panie kapitanie — powiedziała cicho.

Oficer marynarki zwrócił się do kapitana lotnictwa, który przechylił się do przodu. Był to oficer wywiadu z lotniska w Beaulieu.

— Podobno maszyna wypuściła podwozie, w momencie kiedy zaczęła pani strzelać — powiedział. — Czy pani to zauważyła?

Dziewczyna zawahała się.

— Chyba tak.

— Nie ma pani zupełnej pewności?

— Zauważyłam, że Junkers wypuścił podwozie, w chwili kiedy przelatował nade mną i leciał w kierunku wybrzeża; to pamiętam, ale myślałam, że to ja je odstrzeliłam.

— Że odstrzeliła pani podwozie?

— Tak, panie kapitanie. Widziałam, że podwozie wyszło wtedy, kiedy strzelałam. Zdaje mi się, że trafiłam co najmniej raz, zanim to się stało, ale nie mam zupełnej pewności.

— Czy strzelała pani dalej, gdy pani zauważyła, że wyszło podwozie?

— Tak — powiedziała. — Zdaje mi się, że tak.

— Czy wie pani, co to znaczy, jeśli nieprzyjacielski samolot wypuszcza podwozie?

Teraz Janet nawiedziła niejasna myśl.

— Czy to znaczy, że samolot chce się poddać?

— Przeważnie tak. W takim wypadku jak dzisiaj trudno było to stwierdzić. Nie ganię pani, ale po prostu muszę ustalić fakt, czy Junkers przedsięwziął coś, żeby się poddać, czy nie.

— Ale mnóstwo innych ludzi strzelało do niego już po wypuszczeniu podwozia, wtedy gdy samolot mijał nas w górze — powiedziała Janet bardzo zgnębiona.

— Wiem. Nie ma pewności, że to właśnie pani jest odpowiedzialna za ten zestrzał. Cała bieda w tym, że w tej chwili przypuszczamy, iż maszyna usiłowała znaleźć lotnisko i wylądować w zamiarach pokojowych.

Janet spojrzała na oficera wywiadu.

— Na jakiej podstawie, panie kapitanie? Wzruszył ramionami.

— W maszynie, gdzie jest miejsce na czterech, siedziało siedmiu ludzi — sami podoficerowie — i ich dowody świadczą, że byli to Polacy albo Czesi. Być może ukradli Junkersa, żeby przylecieć tutaj i poddać się.

— Jeżeli tak było rzeczywiście, to wybrali na lądowanie najgorętszy odcinek południowego wybrzeża — odezwał się kapitan marynarki.

— Możliwe, ale skąd mieli o tym wiedzieć — powiedział lotnik. — Może nie zostali wcale wysłani na ten lot, inaczej nigdy by się nie zjawili w ten sposób. Sądźmy, że prawdopodobnie uciekli od Niemców, żeby przejść na naszą stronę.

I dodał zwracając się do oficera marynarki:

— To wszystko, co chciałem ustalić do meldunku, panie kapitanie. To znaczy, czy podwozie wyszło, zanim ta „wrenka” zaczęła strzelać, czy też potem. Nie ma powodu, żeby historia z tym samolotem spędziła komu sen z powiek. Ja osobiście uważam, że prawdopodobnie maszyna próbowała lądować, ale co tu można wiedzieć na pewno.

— Nie ma pan kapitan już więcej pytań do tej młodej osoby?

— Nie, panie kapitanie. Kapitan zwrócił się teraz do Janet.

— Nie będę wszczynał żadnej akcji dyscyplinarnej przeciwko wam. I nie ganię was za to, coście zrobili. Ale proszę zapamiętać na przyszłość, że nie byliście szkoleni do operacji bojowych i nie znacie się na tym. Nie macie absolutnie prawa strzelać do nieprzyjaciela z jakiegokolwiek działa, bo przy okazji możecie popełnić bardzo poważną omyłkę. Proszę to dobrze zapamiętać. Możecie odejść.

Janet oszołomiona i zgnębiona wróciła do swojego baraku, żeby z powrotem włożyć robocze ubranie. W zwykłym czasie byłaby następnego dnia zobaczyła się z Billem, ponieważ była to niedziela. Mam wrażenie, że to zdarzenie musiało mieć miejsce w następną sobotę po naszej wycieczce do Key-

haven. W normalnej sytuacji żadne z nich nie pracowało w niedzielę i zazwyczaj spotykali się wtedy i spędzali wspólnie większą część dnia. Ale tym razem Bill był nieosiągalny. Uprzedził ją, że w sobotę i niedzielę będzie miał robotę i spotka się z nią dopiero któregoś wieczoru w następnym tygodniu, zaraz po powrocie. Po złożeniu w jedną całość informacji, jakie udało mi się zebrać w sześć lat później w związku z pracą Billa w tygodniach poprzedzających operację „Overlord”, doszedłem do wniosku, że wtedy właśnie zabrali go w nocy łodzią podwodną do St. Mało, a potem dopłynął do brzegu kajakiem, żeby zrobić mapę fortyfikacji na plaży w Dinard.

A więc w ciągu tego weekendu Janet przetrwała samotnie swój postępek. „Bardzo źle to zniosła — powiedziała mi po latach May Cunningham. — Ostatecznie każdej z nas mogło się to przytrafić, a w dodatku nawet nie wiadomo było na pewno, jakie zamiary miał ten samolot. Ale Janet stanowczo zdecydowała wewnętrznie, że lotnicy byli po naszej stronie i że ona ich zabiła. Próbowałam jej wytłumaczyć, właściwie każda z nas próbowała, że Bofors także trafił. Miałam na myśli to, że nawet gdyby ona w ogóle nie zaczęła strzelać, ci ludzie zginęliby również, kimkolwiek byli i jakkolwiek mieli zamiary. Ale ona nie była w stanie w ten sposób na to patrzeć. Nic płakała ani nie rozpaczała. Może nawet byłoby lepiej, gdyby to robiła. Spełniała dalej wszystko, co do niej należało, ale ogromnie przycichła — rzadko się odzywała w ogóle. Wielka szkoda, że jej przyjaciel, brat pana, nie był wtedy przy niej, żeby mogła z nim przedyskutować całą tę sprawę.”

Gdy po dziewięciu latach przeglądałem w Coombarganie papiery Janet, znalazłem dwa listy datowane 29 kwietnia 1944 roku.

Przypuszczam, że były pisane w tę samą sobotę, kiedy zestrzeliła Junkersa, a więc musiała je otrzymać w poniedziałek rano, zaraz po niedzieli zmałonej myślami o katastrofie. Jeden list był od jej matki, a drugi od ojca.

„Kochana córeczko! — pisała pani Prentice. — Tatuś wyjechał wczoraj z panem Grimstonem; mieli zameldować się w kwaterze głównej Korpusu Obserwacyjnego w Londynie, ale nie wiedzieli, dokąd ich później skierują, poza tym, że będzie to prawdopodobnie jakaś miejscowość na wybrzeżu południowym, gdzie będą przeszkoleni, i stamtąd dopiero wysłani na statek. Po wyjeździe tatusia dom wydaje się bardzo pusty, ale oczywiście mam mnóstwo roboty. Przypuszczam, że tatuś napisze do Ciebie, gdy tylko się dowie, dokąd ich wyślą. Biedaczek, był ogromnie niezadowolony, że chociaż zgłosił się już trzy tygodnie temu, odpowiedź przyszła dopiero teraz, a p. Grimston dowiedział się już w sobotę, ale p. Grimston jest o dwa lata młodszy. Tatuś obawiał się, że w ogóle uznają go za zbyt starego. W końcu, w środę, dostał wiadomość, że mają się stawić razem z p. Grimstonem. Jak to dobrze, że będą razem, prawda? Staram się nie myśleć o tym, co się może stać. Chciałabym, żeby pozostał w Anglii, nie narażony na niebezpieczeństwo, tak jak Ty, ale tatuś mówi, że przecież zanim tam dojdą statki handlowe, cała wojna się skończy, a tatuś się boi, że nie będą już mieli nic do roboty.

Ostatecznie jestem zadowolona, że go przyjęli, bo tak bardzo tego pragnął.

Muszę kończyć ten list, bo dostałam siedem funtów agrestu z ogrodu i akurat tyle cukru, żeby zrobić dżem.

Twoja kochająca

Matka"

W ciszy mojego pokoju w Coombarganie, z dala od wojennego zamętu i wieści o wojnie zastanawiałem się, dlaczego Janet zachowała ten właśnie list. Było niewiele innych listów w jej neseserze. A nie przechowywała takich, które nie miały dla niej znaczenia. Sądzę, że może w ten poniedziałkowy ranek odczytywała go z uczuciem pokory; przypuszczam, że musiał na niej wywrzeć duże wrażenie. Trzeba pamiętać, że sukces przy zestrzeleniu samolotu nie przyniósł jej spokoju ducha; była przybita świadomością, że mogła to być koszmarna pomyłka. A teraz znowu przyszła wiadomość, że tatuś postawił na swoim. Tatuś, który nie był w stanie przeczytać jednego słowa bez okularów, którego potarganym siwym włosom nie udawało się skryć łysiny; ten zmęczony stary człowiek, który w ciągu całej wojny wszystko z siebie dawał Królewskiemu Korpusowi Obserwacyjnemu. Tatuś miał ciągle młode serce tak jak każdy z kapitanów obsługiwanych przez nią jednostek desantowych. Ostatecznie wprosił się do towarzystwa i miał wziąć udział w operacji „Overlord”. Myślę, że ten list wzbudził w niej uczucie pokory i może dlatego nie zniszczyła go. Drugi list był od ojca i ten zachowała z innych względów.

„Kochana Janet! — pisał ojciec. — Matka już pewno zawiadomiła Cię, że zgłosiłem się ochotniczo na dwumiesięczną służbę w marynarce handlowej jako identyfikator samolotów. Stacjonujemy w Royal Bath Hotel w Bournemouth, niezbyt daleko od Ciebie, i zostanę tu do piątku wieczorem. Nie mogę się stąd ruszyć, bo mamy pogadanki, wykłady i ćwiczenia praktyczne w identyfikacji samolotów od wczesnego rana aż do szóstej po południu, ale może Tobie uda się wpaść któregoś wieczoru do mnie; zjedlibyśmy razem obiad w tutejszym kasynie. Załatwię dla Ciebie samochód, który po obiedzie odwiezie Cię na «Mastodonta». To chyba nie musi być dalej jak trzydzieści mil. Przyjedź, córeczko, jeżeli tylko będziesz mogła się wyrwać.

Szalenie się cieszę, że dostałem ten przydział, bo przecież, jak wiesz, nie brałem udziału w poprzedniej wojnie. Bałem się, że jestem za stary, ale na kursie jest kilku ludzi starszych ode mnie. Lekarz wojskowy przyjmuje tutaj na najwyższym piętrze siedmiopiętrowego budynku, a windy nie ma. Każdego, kto zdoła wspiąć się do niego po tych schodach, kwalifikuje jako zdolnego do służby wojskowej. Po tygodniu spędzonym tutaj odeślą mnie do jakiegoś portu, z przydziałem na statek, i wtedy nie będzie mowy o urlopie. Jesteśmy tak blisko siebie: przyjedź do mnie, jeśli tylko Cię puszczą.

Twój

Tatuś"

Janet pojechała do Bournemouth zobaczyć się z ojcem w tym samym tygodniu, może we wtorek albo w środę wieczorem. Odwiedziny wywarły na niej głębokie wrażenie i prawdopodobnie odwróciły jej uwagę od własnych kłopotów, bo potem dużo opowiadała Violi Dawson i May Spikins o tym, co zastała w Royal Bath Hotel. One z kolei po sześciu latach powtórzyły mi wszystko, co zdołały zapamiętać. Pana Grimstona odnalazłem w Oksfordzie, kiedy tam byłem po wojnie szukając Janet Prentice. Pan Grimston, który prowadzi sklep kolonialny w Cowley, pamiętał wizytę Janet u ojca i nawet spędził razem z nimi kilkanaście minut. Od niego dowiedziałem się sporo szczegółów o tym, co przez ten tydzień działo się w Royal Bath Hotel. Zajrzałem tam kiedyś bawiąc na południowym wybrzeżu Anglii w 1952 roku i byłem w tamtejszej restauracji, ale wszystko tak się już pozmieniało, że nie odnalazłem nic, co by mogło przypominać Janet Prentice.

Janet dotarła do Royal Bath Hotel około szóstej po południu. Hotel, obszerny i elegancki, był położony na wzniesieniu w środku miasta, ponad zawalonym moło, wśród dobrze utrzymanego ogrodu z widokiem na morze. Starsze panie i zamożni goście znikli stąd bez śladu, wyniesiono też większość umeblowania i w tej chwili hotel roił się od starszych panów i uczniów w jasnoniebieskich lotniczych battledresach Korpusu Obserwacyjnego.

Ojciec czekał w hallu i wybiegł, żeby powitać gościa z zapałem młodego chłopca. Janet ucałowała go, a potem cofnęła się o krok w tył, żeby go obejrzeć. Zdawało się, że ubyło mu dwadzieścia lat, odkąd widziała go ostatnim razem; wyglądał na niewiele więcej ponad czterdziestkę. Jego niebieski mundur już знаła, ale na ramieniu widniała naszywka z napisem „Seaborne”, a na rękawie dwie proste litery R. N. Nie był to już ten dawny ojciec, zmęczony stary człowiek, udręczony nadmierną pracą. W jasnych oczach odbijała się wiara i pewność siebie.

— Tatusiu! Jak świetnie wyglądasz! — zawołała. — Czy jesteś zadowolony?

— Roboty jest po uszy — roześmiał się. — Tutaj mamy być tylko przez tydzień, a mnóstwa rzeczy trzeba się nauczyć.

— Co im przyszło do głowy, żeby wybrać to właśnie miejsce? — zapytała zdziwiona.

— Bo tak będzie poręczniej przy inwazji. Tu właśnie jest nasza stała kwatera główna. Jeżeli statek, na który nas przydzielą, zatonie, musimy zabrać się na pokład jednostek desantowych, przedostać się tutaj i zameldować, żeby pobrać nowy ekwipunek i otrzymać inny przydział. Bo, widzisz, musimy przecie mieć jakąś bazę, a najwygodniej było umieścić ją na południowym wybrzeżu. Ot i cały dowcip. Janet zauważyła, że ranga ojca równała się mniej więcej niższemu oficerowi marynarki. Weszła z nim trochę nieśmiało do kantyny, gdzie zjedli obiad w towarzystwie paru setek wojskowych siedzących przy długich stołach; była tu jedyną młodą kobietą. Większość obecnych mężczyzn miała powyżej pięćdziesiątki, a niektórzy byli naprawdę bardzo starzy. Jednego starszka z białym wąsem, wyprostowanego jak struna, oceniła na siedemdziesiąt pięć lat. Zapytała o niego potem ojca.

— On sam powiada, że ma sześćdziesiąt trzy — odpari. — Ale tutaj nikt ci nie zadaje za wiele pytań, jeśli nie chodzisz o lasce.

Przy stole siedział kolo niej łysy właściciel hotelu letniskowego ze Szkocji-

— Widzi pani — powiedział — było nas czterech w Korpusie Obserwacyjnym: ja, kucharz, kelner i czyściciel butów. Gy przyszło zawiadomienie o zaciągu, powiedziałem, że się zgłaszam, i zapytałem, czy pójdą ze mną. Ale gdzie tam! Powiedzieli, że to zanadto niebezpieczne. Tak ja mówię do żony: „Jeannie, moje kochanie, ja muszę się tam zgłosić”; zamknąłem hotel na cztery spusty, wylałem na pysk tamtych trzech drabów i przyjechałem. Mają, co im się należy za to, że dali nogę z Korpusu Obserwacyjnego. A inna sprawa, że takich facetów nie potrzebujemy w tym interesie.

Janet chciała pomówić z ojcem o Junkersie i rzucić na niego trochę ciężaru troski, która na nią spadła. Przedyskutowała sama ze sobą, czy będzie to sprzeniewierzenie się przepisom tajemnicy wojskowej, jeśli opowie ojcu o tym zdarzeniu, i zdecydowała, że tajemnicę można posłać do diabła. Ale im było później, tym mniej nasuwało się do tego sposobności. Ojciec promieniał blaskiem swojego rychłego zetknięcia się z wojną i nastawiony był całkowicie na identyfikację samolotów.

— W dzisiejszych porannych ćwiczeniach zdobyłem dziewięćdziesiąt sześć procent — powiedział jej z dumą. — Jedyna maszyna, co do której pomyliłem się, to było Me 110, ale widziałem ją tylko od ogona. Stwierdziłem, że to Mitchell. Tylko dwóch ludzi rozpoznało właściwie ten samolot. We wszystkich innych wypadkach trafiłem dobrze.

— Jak to cudnie! — zawołała Janet. — I co, tatusiu, cały dzień na tym ci schodzi?

— Ach, nie! Rano mamy ćwiczenia w żeglarstwie.

Działał tu porucznik rezerwy, który całe życie spędził w marynarce handlowej. Zebrał ich wszystkich w jedną grupę i kazał ćwiczyć zawieszanie

i składanie hamaków oraz wdrapywanie się po sznurowej drabinie zawieszanej przy ścianie hotelu, która miała odgrywać rolę burty okrętu. Porucznik miał poczucie humoru i urozmaicał lekcje zniechęcającymi historyjkami o podłym jedzeniu i nieprzyjemnych dowódcach na statkach handlowych wtajemniczając ich zręcznie wśród wybuchów śmiechu w niemiłe kulisy rzemiosła morskiego. Nauczył ich nazw poszczególnych części okrętu i kursów, aż wreszcie potrafili wrzasnąć tak głośno, że słyszało ich pół Bournemouth: „Samolot nieprzyjacielski po prawej burcie od dziobu!”

Ojciec Janet skoncentrował się wyłącznie na tych sprawach; pozbył się wszystkich drobnych trosk domowych i zawodowych, wszystkich obowiązków normalnego życia. Odłożył je na stronę i dążył ku wojnie z radością w sercu, tak jak i tych dwustu innych starszych panów. W ciągu całej swej marynarskiej kariery Janet nie zetknęła się z takim duchem, jaki tego wieczoru zastała w Royal Bath Hotel. Był to znowu duch Dunkierki, który odciągał od każdego osobistego przywiązania i od wszelkich więzów materialnych, kierując myśl jedynie ku wojnie. Przez parę miesięcy duch ten panował w

Anglii w ciągu 1940 roku i rozkwitł znowu wczesnym latem 1944 w Royal Bath Hotel.

— Staram się dostać przydział na motorowy statek transportowy — powiedział doktor Prentice. — Wiem, że te właśnie statki wyruszą bardzo wcześnie. Mam wrażenie, że dotrę na tamtą stronę wieczorem w *D-day*¹ albo najdalej na drugi dzień po desancie.

Tak dalece był zaabsorbowany swoimi sprawami, że słuchał z roztargnieniem, gdy Janet opowiadała mu o swojej pracy. Po obiedzie, kiedy siedzieli na twardych krzesłach w salonie hotelowym, jakiś sierżant miejscowej Ochotniczej Straży Obywatelskiej zjawił się na trawniku przed oknami dzierżąc w dłoni karabin typu Lewis. Otoczył go szeroki krąg mężczyzn, którzy siedząc lub klęcząc na trawie przyglądali się, jak rozbierał karabin, i słuchali wyjaśnień na temat jego budowy.

— Właściwie powinienem też tam być, ale ostatecznie obejdzie się — powiedział ojciec do Janet.

— Masz ochotę pójść do nich, tatusiu? Proszę cię bardzo. Znam oczywiście ten ćwiczebny Lewis, ale akurat nie ten typ z taką rurą na lufie. Pójdę z tobą, jeżeli można, i także posłucham. Ale może to będzie źle widziane?

— Ach, nie! — odparł z zapalem ojciec. — Wszyscy tu wiedzą, że jesteś „wrenką” z uzbrojenia. Musisz uważać, żeby cię nic naciągnęli na wykład o Oerlikonie.

Poszli więc razem i do zmroku siedzieli na trawie słuchając wykładu sierżanta, który pokazywał im Lewisa, i oglądając poszczególne części karabinu podawane z rąk do rąk.

Nie miała serca mącić jego radości swoimi osobistymi troskami. Nic zresztą nie mógł na nie poradzić i nic nie zyskałaby opowiadając mu teraz całą tę historię. Co najwyżej zmartwiłaby ojca i zepsuła atmosferę radosnego podniecenia, w której żył. Doktor Prentice odłożył wszystkie swoje osobiste troski i zostawił je w domu, w Oksfordzie, razem z żoną. Duchowo był przygotowany do bitwy; nie projektował już zobaczyć się z żoną, zanim nie spełni swego zadania i zanim nie skończy się operacja „Overlord”. Janet czuła, że nie może teraz przerwać tego nastroju i obarczyć go brzemieniem swoich kłopotów. Nie byłoby to honorowe.

— Jutro mamy kurs pierwszej pomocy — powiedział ojciec. — Żaden z tych statków handlowych nie ma lekarza i kapitan zwykle coś niecoś się na tym rozumie, ale cały czas jest oczywiście piekielnie zajęty. Więc chcą wtłoczyć trochę tych wiadomości w nasze głowy. Takie jest mnóstwo rzeczy do nauczenia się, a tak mało na to czasu...

O dziesiątej podjechał po Janet samochód i ojciec wyszedł przed hotel, żeby się z nią pożegnać.

— Pisząc do mamy zawiadam, że czuję się doskonale. Dobrze, córeczko? Trochę się tym gryzłem, że nie powinienem jej tak zostawić samej. Ale po prostu nie mogłem dopuścić, żeby i ta wojna mnie ominęła.

Janet roześmiała się.

-- Naprawdę nie mogłeś, tatusiu. Mama zresztą da sobie radę. Wyślę do niej list zaraz jutro i opiszę, że jesteś zdrow jak rybka i używasz życia jak nigdy przedtem.

— Wiesz, że chyba to prawda — powiedział z pewnym zdziwieniem pan Prentice. — To pewnie dlatego, że po całym życiu spędzonym na obcowaniu z ideami mam teraz do czynienia z konkretnymi rzeczami. I to dopiero jest mierzenie się z czymś określonym. No i jakaś wyraźna robota.

— Nie zechcesz potem wrócić do Oksfordu — powiedziała mu Janet.

— Ach, nie! — odparł. — Wrócę oczywiście. W Oksfordzie idzie długofalowa, wartościowa robota. Skoro udało mi się osiągnąć to, co mam teraz, z wielką radością wrócę do Oksfordu, jeżeli będę mógł zabrać z sobą obecne wrażenia i od czasu do czasu wracać do nich myślą.

— Oglądać je jak zasuszone kwiaty między kartkami książki — wtrąciła Janet.

— Właśnie — przytaknął. — Jak zasuszone kwiaty w książce.

Ucałowała go na pożegnanie i weszła do samochodu, którym ją odwieziono do Lymington. Tutaj musiała samochód odprawić, bo wskutek braku benzyny trasa wynajmowanych wozów została ograniczona do ośmiu mil, ale złapała późny prom na „Mastodonta” i ciężarówką dojechała do swojej kwatery. Janet była teraz zadowolona, że nic nie powiedziała ojcu o historii z Junkersem; zwierzyła się z tego Violi Dawson, gdy kładły się spać. Musiała pewnie niecierpliwie czekać na chwilę, kiedy całą sprawę omówi szczegółowo z Billem.

Ale właściwie wątpię, czy do tego doszło. Nie mam zupełnej pewności, ale zdaje mi się, że Janet nigdy już Billa nie zobaczyła. Wrócił wprawdzie z wyprawy zwiadowczej do Dinard i był w Cliffe Farm przez mniej więcej dwa dni, więc mogli się spotkać, chociaż był to środek zwykłego, roboczego tygodnia. Potem wyjechał znowu, żeby dołączyć się do grupy, która wyruszyła motorówką z Goswort. Utonął w nocy, 5 maja, w normandzkiej miejscowości Le Tirage, dokładnie na miesiąc przed operacją „Overlord”.

Rozdział V

Dopiero gdy przyjechałem powtórnie do Anglii w 1948 roku, udało mi się zdobyć wiarogodną relację o tym, co stało się z Billem. W trzy dni po jego śmierci w Dowództwie Myślistwa wręczono mi telegram zaczynający się od słów: „Admiralicja z żalem zawiadamia...”; w Anglii bowiem byłem najbliższym krewnym Billa. Tak jak każdy byłby to zrobił w moim położeniu, starałem się dowiedzieć, w jaki sposób brat mój zginął, ale natychmiast natknąłem się na nieprzebyty mur tajemnicy wojskowej. W biurach Drugiego Lorda Admiralicji, w pałacu królowej Anny powiedziano mi uprzejmie, ale dość stanowczo, że dopóki wojna się nie skończy, żadne szczegóły o jego śmierci nie będą wyjawione. Na tyle orientowałem się w charakterze jego roboty, że przyznałem temu stanowisku pewną dawkę słuszności. Nie zdaje mi się, żeby wiadomość o śmierci Billa była wtedy dla mnie zupełnie nieoczekiwana, bo w czasie naszego spotkania w Lymington zauważyłem, że jest zmęczony i przedenerwowany. Powinni byli zwolnić go i przenieść do innej roboty, ale było to pewnie niemożliwe w okresie bezpośrednio poprzedzającym operację „Overlord”.

Bill był moim jedynym bratem i do tej pory ogromnie mi go brak.

W chwili zakończenia wojny byłem ciągle jeszcze w szpitalu, a zanim zupełnie przyszedłem do siebie, w 1946 roku wyjechałem do Australii. Do rodziców do Coombargany wysyłałem w listach ostrożne i nie wyczerpujące wiadomości o śmierci Billa, bo i ta garść szczegółów o jego pracy należała w tych czasach do rubryki „ściśle tajne”, a wojna była jeszcze do wygrania. Nie wspomniałem im ani razu o Janet Prentice, bo byłem prawie pewny, że Bill nic o niej jeszcze nie zdążył rodzicom napisać. Matka jej nie знаła i wobec tego w niczym nie mogła jej pomóc; zdawało mi się, że ewentualne listy od mojej matki z Australii mogłyby tylko dziewczynę rozdrażnić i wprawić w zakłopotanie. Przy tego rodzaju tragediach trzeba według mnie uznać fakt, że najlepszą drogą jest zupełne zerwanie stosunków.

Sam miałem zamiar odszukać Janet i zobaczyć się z nią natychmiast po zakończeniu operacji „Overlord”, ale następny wolny dzień dostałem dopiero w sierpniu, a tymczasem od początku inwazji musiałem być trzy razy we Francji. Napisałem do niej proponując spotkanie, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Teraz już wiem, że w tym czasie przestała służyć we WRENS. Wkrótce potem objąłem dowództwo dywizjonu Typhoonów i z tą chwilą Janet usunęła się w odległe rejony mojej pamięci.

W 1948 roku odnalazłem sierżanta Fincha w koszarach Eastney w South-sea i on dopiero opowiedział mi, jak to było z Billem. Relacja Fincha jest niewątpliwie prawdziwa, bo był on razem z Billem w morzu koło Le Tirage, na parę minut przed śmiercią mego brata. Bill i Finch zwykle pracowali razem; w tego rodzaju operacjach jest oczywiście rzeczą cenną, gdy się dokła-

dnie zna swego partnera, i jeśli taki zespół dwóch mężczyzn dobrze się dobierze, przez pewien czas pracują zwykle razem.

A wyglądało to tak. Le Tirage jest małą nadmorską miejsciną na północnym wybrzeżu Normandii, pomiędzy Hawrem a Cherbourgiem. Po miesiącu, w czasie operacji „Overlord” miało być areną jednego z desantów wojska brytyjskiego i kanadyjskiego, ale wtedy, jak opowiadał mi Finch, tajemnica wojskowa była tak ścisła, że ani on, ani Bill nie doceniali ogromnej wagi roboty, którą im powierzono. W Le Tirage do morza wpada mała rzeczka płynąca za miastem wśród płaskiej, bagiennej okolicy. Zbudowano na niej śluzy, żeby zatrzymywać wodę przy odpływie i udostępnić ją w ten sposób dla barek, które w czasie pokoju dowoziły nad morze produkty rolne z rejonów położonych w głębi kraju.

Plany wojenne wymagały, żeby z chwilą inwazji na Normandię śluzy te były zdobyte w stanie nieuszkodzonym i wraz ze spławną rzeką służyły do zaopatrywania armii po wylądowaniu. Do wielkiej liczby płytkich barek stalowych o nośności stu ton i więcej, takich, jakich używa się na Tamizie, wmontowano pośpiesznie motory i sprzęt sterowy. Mogły teraz dopłynąć o własnych siłach do Francji, gdzie już po desancie miały brać udział w koncentracji armii docierając w głąb lądu przez spławne rzeki i kanały, w miarę jak wojsko będzie się posuwało naprzód. Przewidzieli to Niemcy i francuski Ruch Oporu zawiadomił nas, że śluzy w Le Tirage zostały podminowane materiałami wybuchowymi pod wodą, przy samej podstawie. Eksplozję można było wywołać za pomocą prądu elektrycznego kierowanego z pobliskiego budyneczku, gdzie mieścił się mechanizm wprawiający w ruch śluzy. Przy pierwszym alarmie wskazującym na desant, wystarczyło, aby Niemcy włączyli prąd w budyneczku, a śluzy byłyby zniszczone i kanał pozbawiony wody, uniemożliwiając żeglugę naszym barkom.

Otóż z tymi minami trzeba było coś zrobić. Śluzy znajdowały się w odległości mniej więcej pół mili w głębi lądu. Na tym odcinku rzeka była właściwie rowem z minimalną ilością wody przy odpływie, ale przy pełnym przypływie miała dwanaście stóp i więcej głębokości. Cały ten problem przestudiowano w Kwaterze Głównej Połączonych Operacji, jak również omówiono szereg projektów wzięcia śluz w stanie nieuszkodzonym. W trakcie tych badań zreferowano sprawę specjalistom z Cliffe Farm i ci wysunęli propozycję, żeby zneutralizować miny jeszcze przed inwazją używając do tego nurków, którzy by przepłynęli półmilowy odcinek rzeki od wybrzeża morskiego-

Do zneutralizowania min potrzebna była względnie prosta manipulacja elektrotechniczna przy przewodach znajdujących się pod wodą blisko samej miny. Przecięcie przewodów nie stanowiłoby dostatecznego zabezpieczenia, bo tego rodzaju urządzenia są codziennie sprawdzane; przecięty przewód byłby od razu zauważony i naprawiony. Natomiast elektryczny „wichajster” nic większy niż mały palec, przytwierdzony równolegle tuż przy minie, zapewniłby niezmienny opór elektryczny przy próbie, ale mina nie zareagowałaby na prąd mający spowodować jej wybuch. „Wichajster” byłby niewido-

czny, ponieważ miny znajdowały się pod wodą; jeżeli zaś Niemcy wpadli na ślad tej roboty jeszcze przed „Overlordem”, środki przewidziane przez nich zauważy z pewnością Ruch Oporu i przekaże nam wiadomość. Wtedy opracowałoby się inne sposoby zdobycia nie zniszczonych śluz.

Przykręcenie małego przyrządu do każdej miny miało zająć około dziesięciu minut. Według relacji Fincha pierwsza myśl, że to jest robota dla ludzi-żab, wyszła od niego i Billa, gdy całą sprawę omówili między sobą. Sztab nie mógł chyba znaleźć lepszych doradców, ponieważ znali oni dość dobrze Le Tirage. Obydwaj byli tam dwukrotnie w głębi nocy, żeby zbadać urządzenia obronne na wybrzeżu. Finch i Bill nie uważali, żeby niemieckie posterunki w Le Tirage były specjalnie czujne, i sądzili, że jeżeli trafi się ciemna i wietrzna noc i ewentualnie jakaś dywersja wojskowa w okolicy, będą mogli przepłynąć te pół mili aż do śluz obok posterunków przy ujściu rzeczki i dalej, zrobić to, co do nich należało, i wrócić niepostrzeżenie nad morze. Według meldunków nadchodzących od francuskiego Ruchu Oporu, same śluz nie były strzeżone, może dlatego, że służyły również za most drogowy i panował tutaj dość ożywiony ruch. Niemcom nie przychodziło nawet do głowy, że zdołamy wtargnąć na pół mili w głąb lądu od strony morza.

Plan ten rozpatrzono i omówiono w Kwaterze Głównej Połączonych Operacji i wreszcie zapadła decyzja, żeby go przyjąć. Jeśliby się udało, zmiana w obwodzie zapalnym działałaby przez wiele miesięcy. Postanowiono więc wykonać tę robotę mniej więcej na miesiąc przed „Overlordem”, aby w razie wykrycia jej przez nieprzyjaciela można było zastosować jakiś inny sposób zneutralizowania min. A co do dywersji, ponieważ mniej więcej o milę na południe od Le Tirage znajdowała się wyrzutnia pocisków V1, ustalono, że w chwili gdy nurkowie wpłyną w rzekę, zainscenizuje się nocny lot paru bombowców na to miejsce, aby odwrócić uwagę Niemców od frontu morskiego.

Elektryczne „wichajstry”, które miały być przykręcone do min, przygotował oddział wyspecjalizowany w produkcji wybuchowych wiecznych piór i sedesów. Sierżant Finch opowiedział mi, jak obaj z Billem wprawiali się przez kilka dni w przytwierdzaniu ich do podobnej miny niemieckiej, która wpadła im w ręce. Ostatnią część manipulacji przeprowadzali pod wodą i po ciemku w podobnych warunkach, w jakich miała być wykonana rzeczywista operacja. Jednocześnie obserwowano nurków z góry, żeby stwierdzić, czy nie będzie ich widać przy robocie. Gdy już opanowali bez zarzutu tę względnie prostą technikę, wybrano na operację noc bezksiężycową, kiedy o pierw szej po północy w kanale wejściowym będzie połowa zwykłego przyływu.

Noc piątego maja spełniała wszystkie te warunki. Około ósmej wieczorem sierżant Finch i Bill wyjechali z Gosport motorówką zabierając na pokładzie rodzaj kajaku z wodoszczelnego płótna rozpiętego na drewnianej ramie, w którym mieli dopłynąć do plaży. Dotarli na tamtą stronę około północy i, zatrzymawszy się mniej więcej o cztery mile od plaży, spuścili kajak na wodę. Motorówka miała czekać tu przez dwie godziny, to znaczy do 2, a wtedy, gdyby nurkowie jeszcze nie wrócili, wziąć określony kurs w kierunku miasta i posuwać się cicho na małych obrotach. Jeżeli zaś nie byłoby ich widać o 2⁴⁵, motorówka miała powrócić do bazy.

Sierżant Finch i Bill wsiedli do kajaka i powiosłowali w kierunku łądu przybijając o dwieście jardów na zachód od ujścia rzeki. Warunki dla ich przedsięwzięcia były nie najlepsze. Noc była cicha, bezchmurna, księżyc dopiero co zaszedł; jego światło przenikało jeszcze niebo i widoczność była względnie dobra. Woleliby wietrzną, deszczową i chmurną noc, ale mimo wszystko zdecydowali się wykonać zadanie. Przywiązali kajak do jakiejś zapory na wybrzeżu, poprawili cylindry z tlenem na rzemieniach, którymi byli opasani, i weszli w wodę.

Plan był taki: Bill miał przepłynąć pierwszy obok posterunków przy ujściu rzeki i posuwać się przez półmilowy kanał. Po pięciu minutach miał za nim wyruszyć Finch, jeżeli będzie spokojnie; gdyby Bill został spostrzeżony albo gdyby wynikła jakaś strzelanina, Finch miał sam zdecydować, czy wyruszyć, czy poniechać przedsięwzięcia. Bill miał dotrzeć do słuz i załatwić się z obydwoma minami, a Finch — zostać jako rezerwa w wodzie mniej więcej o sto jardów od słuz przy wschodniej ścianie kanału. Jeśliby cała robota poszła tak gładko, jak na to liczyli, albo gdyby Bill poczuł się wyczerpany przed jej końcem, miał wrócić i naradzić się z Finchem. Obliczyli dokładnie czas swoich ruchów, bo zaledwie parę minut czekali w wodzie przy plaży, gdy zaczął się nalot na wyrzutnię V 1. Bill brodził po wodzie, dopóki piasek nie usunął mu się spod nóg, gdy dotarł do pogłębionego koryta rzeki; wtedy dał nurka i płynął pod wodą orientując się w głębokości ciśnieniem w uszach, a w kierunku — dotykaniem od czasu do czasu ściany kanału. Obydwaj przepłynęli w ten sposób dość daleko w głąb kanału, wynurzyli się bez szmeru i ostrożnie posuwali się ku słuzom.

Po chwili Bill zawrócił do Fincha, zatrzymał się przy nim w ciemnościach i szeptem powiedział, że zrobił, co trzeba, ale zużył już większą część swego tlenu, bo był dość długo pod wodą. Finchowi zostało dużo tlenu, ale nie było sposobu przekazania go towarzyszowi. Jednocześnie nalot się skończył i znowu zapanowała cisza.

Zdecydowali, że Bill powinien odpłynąć pierwszy kierując się do kajaka. Miał wejść pod wodę możliwie jak najpóźniej, żeby na pozostałej ilości tlenu pokryć jak największą odległość od posterunków. Finch miał podążyć za nim o parę minut później, bo zostało mu więcej tlenu i mógł dłużej być pod wodą, w razie gdyby posterunek coś zauważył. Mieli się spotkać przy kajaku, gdy będzie spokojnie, i kajakiem wrócić do motorówki. W razie alarmu mieli płynąć wzdłuż kursu, którym powinna nadpłynąć motorówka, i zabrać się na jej pokład. Małe latarki elektryczne przytwierdzone do kombinezonów mogły im służyć jako światło rozpoznawcze w chwili zbliżania się statku.

Finch już więcej Billa nie zobaczył. Bill odpłynął wzdłuż kanału na powierzchni; w pięć minut potem wyruszył za nim Finch. Nie zauważył chwili, kiedy Bill zanurzył się, ale wkrótce potem, zanim dotarł do miejsca, gdzie sam miał zamiar dać nurka, rozległa się strzelanina od strony brzegu skierowana na punkt, z którego Bill byłby się prawdopodobnie wynurzył. Finch od razu zanurzył się i płynął dalej pod wodą.

Bez trudności wypłynął z kanału w rzekę, ale gdy skończyło się wyłobienie w piasku i przestało wskazywać mu kierunek, stracił zupełnie orientację.

Sądził, że wypływa na morze, tymczasem kiedy zapas tlenu wyczerpał mu się niemal całkowicie — znalazł się w płytkiej wodzie. Wysunął się osi rożnie na powierzchnię i zaczerpnął świeżego powietrza; okazało się, że jest przy brzoście naprzeciwko miasta, około dwustu jardów na wschód od ujścia rzeki, to znaczy po przeciwnej stronie niż kajak. Billa nie było widać, natomiast reflektory szperały po wodzie bardzo blisko Fincha. Zanurzył się znowu i płynął ku morzu; wysunął się raz jeszcze, żeby sprawdzić kierunek, i płynął dalej, dopóki nie zużył wszystkiego tlenu.

Wtedy wynurzył się na dobre i okazało się, że znajduje się w odległości ćwierć mili od brzegu. Rozejrzał się za Billem i parę razy, bardzo ostrożnie, zawołał na niego, ale nie było odpowiedzi. Zrzucił uprząż, cylindry tlenowe, maskę i hełm, żeby lżej mu było płynąć, ale bał się wracać po kajak, bo reflektory szperały koło ujścia rzeki i wykrzyki łódki wydawało się nieuniknione. Wobec tego zaczął płynąć kursem, którym powinna nadjechać motorówka; dostrzegł ją wreszcie i zapalił na chwilę swoją latarkę, dopóki nie zwolniła biegu tuż koło niego i załoga nie pomogła mu wejść na pokład po sznurowej drabince.

Mniej więcej w tym czasie motorówkę wymacał reflektor i z wybrzeża otworzono ogień. Nie mogła już dłużej zostać i szukać Billa, więc na pełnych obrotach wyjechała na morze, gdzie już była bezpieczna.

Przypuszczam, że w pewnym momencie Bill mógł być w wodzie całkiem blisko Fincha. W dziesięć dni później Niemcy wyłowili jego ciało niesione prądem w odległości około pięciu mil od Ouistreham. Tak jak Finch, Bill zrzucił cylindry tlenowe i maskę. W lewym ramieniu miał ranę od kuli, ale śmierć nastąpiła wskutek utonięcia.

Taki był koniec mojego jedyne go brata. Po wydobyciu jego ciała z morza zabrano je do Caen i poddano badaniu niemieckiego wywiadu i służby sanitarnej. Następnie, według relacji Francuzów, pochowano je tam. Ale w miesiąc później w Caen toczyły się walki i miasto zostało w dużej części zniszczone, nie udało mi się więc odszukać jego grobu. Pomnikiem dla Billa, który zginął w ciemnym morzu przy wybrzeżu normandzkim z dala od rodzinnej Coombargany, niechaj będą akta wojenne stwierdzające, że dokładnie w miesiąc później, kiedy Kanadyjczycy w natarciu zdobywali Le Tirage, służy wzięto nietknięte i nasze barki zaopatrzeniowe mogły natychmiast kursować po rzece.

Kiedy po latach spotkałem się w Eastney z sierżantem Finchem i od niego dowiedziałem się o przebiegu tych zdarzeń, wspominał mi także, że o śmierci Billa zawiadomił listownie Janet Prentice, a następnie odwiózł psa, Dycva, na „Mastodonta”. List ten odnalazłem w neseserze Janet w Coombarganic wśród innych, które uważała za ważne i warte przechowania. Viola Dawson zaś opowiedziała mi o losach psa. Finch pisał:

„Szanowna Pani!

Nie wiem, czy Pani mnie pamięta, byłem razem z Billem Duncanem przy czołgu, który zatonął koło Newtown. Z wielkim żalem muszę Pani zakomunikować smutną wiadomość. Braliśmy razem udział w pewnej operacji woj-

skowej na tamtej stronie i Bill nie wrócił. Obawiam się, że zginął. To wszystko, co mi wolno powiedzieć; Pani na pewno zrozumie dlaczego.

Jest mi niezmiernie przykro, że przyszło mi napisać ten list, ale sędzę, że biedny Bill życzyłby sobie, żeby Pani dowiedziała się o tym od kogoś z jego przyjaciół, bo przecież wiem, że Pani tak z nim była blisko. Naprawdę jest mi bardzo przykro.

Nie wiemy, co zrobić z psem Billa, Devem, którego tak nazwał od de Valery. Może Pani mogłaby go gdzieś umieścić? Kiedyś wspominał, że gdyby nas przeniesiono, to może Pani zajmie się psem. Kapitan powiedział, żeby go zastrzelić, i zrobiłbym to jak się należy ze względu na Billa, ale przedtem wolę zapytać, czy Pani nie zechce go wziąć. Jeśli tak, to go przywiozę do Pani. Proszę mi dać znać.

Bardzo mi przykro, że musiałem napisać do Pani taki list.

Z poważaniem

Albert Finch"

Od Violi Dawson dowiedziałem się, że Janet pokazała jej ten list w pół godziny po otrzymaniu go. Musiały być z sobą bardzo blisko. Mówiła mi, że Janet była opanowana, bez jednej łzy w oczach, ale zupełnie zgaszona. Janet chyba w ogóle w tedy nie płakała, a Viola zapamiętała to dlatego, że właśnie ten fakt wydał jej się niepokojący. Tłumaczyła to sobie, a po latach i mnie, w ten sposób, że Janet stykała się ze śmiercią częściej niż inne dziewczęta w wojsku i nie miała już tego podejścia „mnie to nie może spotkać”.

Gdy Viola po przeczytaniu oddała jej list i wyraziła swoje współczucie, Janet nie ruszyła się z miejsca, bez słowa obracając kartkę papieru w palcach i spoglądając na nią z góry. Potem oświadczyła Violi z pełnym spokojem, że wszystko jest już dla niej skończone i że nigdy nie wyjdzie za mąż. Viola Dawson mówiła mi, że wolałaby wtedy, żeby Janet po prostu płakała.

Następnie Janet wyszła z baraku, poszła do głównego gmachu i zapytała stewardessę z kasyna, czy może zobaczyć się z Trzecim Oficerem Collins. Panna Collins była mało co starsza od Janet i pochodziła z podobnego środowiska. Gdy się zjawiała, Janet zapytała:

— Czy mogę prosić o rozmowę prywatną?

— Oczywiście.

Zaprowadziła Janet do pokoju biurowego, gdzie urzędowała z inną kobietą oficerem; była to dawna spiżarnia. W tej chwili nie było tu nikogo.

— O co chodzi, Prentice? — zapytała panna Collins. Janet podała jej list.

— Dostałam tę wiadomość o kimś bliskim. Trzeci Oficer Collins przebiegła oczami list.

— Moja droga, jakże serdecznie wam współczuję — powiedziała. — Czy chcecie pójść na urlop?

— Nie — odparła Janet. — Wolę raczej zostać i pracować jak zwykle. Nie ma racji brać urlopu z tego powodu. On pochodził z Australii.

Nie znałam nikogo z jego rodziny — tylko jego jednego. Ale chciałabym z panią pomówić o innej sprawie, o tym psie.

Trzeci Oficer Collins przeczytała powtórnie końcową część listu.

— Ach, tak! Teraz rozumiem...

To jednak była rzecz dużo trudniejsza niż urlop okolicznościowy.

— Czy to znaczy, że chcielibyście wziąć go tutaj?

— Można by to jakoś urządzić, prawda? Pilnowałabym, żeby nikomu nie wchodził w drogę. Tu jest mnóstwo różnych dziur, to znaczy na całym tutaj szym terenie, gdzie by można trzymać psa.

Podporucznik Collins zawahała się chwilę, wściekła na to, co zamierzała powiedzieć. Zebrała całą swoją odwagę, żeby jeszcze zwiększyć brzemię przygniatające dziewczynę, która przed nią stała.

— Nie zdaje mi się, Prentice, żeby kapitan na to pozwolił. W swoim czasie porucznik Foster prosiła kapitana, czyby nie mogła przywieźć tu swego psa, ale się nie zgodził. Kapitan w ogóle nie życzy sobie mieć psów na pokładzie. Bo to, widzicie, wydanie pozwolenia jednej osobie na psa byłoby równoznaczne z pozwoleniem dla wszystkich.

— Wynika z tego, że trzeba będzie go zastrzelić? — zapytała Janet.

— Ach, nie! Ja tylko mam to na myśli, że nie możecie go zabrać tutaj. Czy nie lepiej będzie wziąć urlop okolicznościowy i zawieźć psa do domu? Zostałby z waszą rodziną.

— Nikt go tam nie zechce — odpowiedziała Janet pośpiesznie. — Tatusia nie ma w domu, bo ma przydział do Korpusu Obserwacyjnego na morzu, a mama sama nie poradzi sobie z psem, na dokładkę do tego wszystkiego, co się na nią zważyło. Nie, trzeba będzie go stracić. Napiszę o tym do sierżanta Fincha. Dziękuję.

Trzeci Oficer Collins wróciła do mesy zgryziona i zmartwiona. Porucznik Parkes, oficer uzbrojenia, siedział tam czytając *Tylko dla mężczyzn*. Panna Collins stanęła obok niego.

— Rozmawiałam w tej chwili ze starszą „wrenką” Prentice — powiedziała. — Zginął jej chłopiec.

Porucznik oderwał się od lektury i spojrzał na nią.

— Ten sierżant z piechoty morskiej, który tu po nią przychodził? Rzeczywiście, to przykra historia. Jak się to stało?

— Nie wolno im wszystkiego powiedzieć. Brał udział w połączonych operacjach, to pan porucznik wie. Dostała właśnie list od jego kolegi.

Myśl porucznika zwróciła się do spraw służbowych.

— Pewnie będzie chciała pójść na urlop?

— Nie, nie chce. Chodzi o co innego.

I Trzeci Oficer Collins opowiedziała porucznikowi Parkesowi o psie. Porucznik wściekł się.

— Nie słyszałem, jak żyję, podobnej bzdury! — zawołał. — Tu przecież jest pełno różnych dziur, gdzie by dziewczyna mogła sobie trzymać psa. Ręczę za to, że przed wojną roilo się tu od psów. Jakże, przecie psie budy stoją rzędem za stajniami!

— Ale kapitan nie chciał o tym słyszeć, kiedy porucznik Foster chciała przywieźć tu swojego psa — powiedziała Trzeci Oficer Collins. Parkes wstał.

— A teraz też nic o tym nie usłyszysz.

Porucznik Parkes palił papierosy, to znaczy nie zużywał półfuntowego przydziału tytoniu fajkowego, który miał prawo pobrać co miesiąc z magazynów marynarki wojennej. Okoliczność ta okazywała się przydatna w sprawach służbowych, bo budowa warsztatów i droga, która do nich wiodła, zetknęły go kilkakrotnie z głównym ogrodnikiem. Dom został wynajęty Admiralicji na okres trwania wojny za czynsz czysto symboliczny, ale klauzula w umowie dzierżawnej zastrzegła, że wspaniałe ogrody mają być utrzymywane w porządku i wszelkie naprawy dokonywane przez właścicieli. W czasie pokoju ogrody te, położone na stu akrach, wymagały obsługi blisko pięćdziesięciu ogrodników, a nawet teraz, w 1944 roku, zatrudnionych tu było piętnastu dawnych pracowników; główny ogrodnik zaś był potęgą na statku Jego Królewskiej Mości „Mastodont”. Porucznik zorientował się w sytuacji bardzo wcześnie po swojej nominacji tutaj i utrzymywał się w łaskach pana McAlistera okolicznościowymi darami półfuntowej paczki marynarskiego tytoniu fajkowego. W tej chwili, płonąc z oburzenia, porucznik Parkes udał się z mesy wprost do szklarni.

Stamtąd poszedł do baraku „wrenek”. Zatrzymał jakąś dziewczynę i powiedział:

— Wywołajcie tu do mnie starszą „wrenkę” Prentice. Chcę z nią pomówić. Gdy Janet wyszła, uderzył go kamienny wyraz cierpienia na jej twarzy.

Po tym jednym spojrzeniu unikał już jej oczu.

— Słuchajcie — zaczął. — Trzeci Oficer Collins powiedziała mi, że chcielibyście trzymać psa.

— Nie ma o czym mówić, panie poruczniku. Kapitan się nie zgodzi.

— Naturalnie, że się nie zgodzi. Ale właśnie przed chwilą rozmawiałem z McAlisterem, wiecie, z ogrodnikiem. Potrzebuje psa do pilnowania szklarni. Powiada, że marynarze dobierają się do nich w nocy i kradną. Powiedziałem mu, że mam w ewidencji psa, dobrego stróża, i że przyślę mu paru chłopaków, żeby zbili budę. Kapitanowi nic do psa, którego McAlister ma ochotę sprowadzić do pilnowania szklarni, o ile, ma się rozumieć, będzie to pies McAlistera. A z McAlisterem już to obgadałem. On już powie, że pies należy do niego. Spojrzał z uśmiechem na dziewczynę i przeraził się widząc łzę, która pociekła wzdłuż jej policzka.

— Ogromnie dziękuję, panie poruczniku — szepnęła.

Porucznik wyczuł, że musi szybko zakończyć rozmowę, bo inaczej Janet załamie się publicznie.

— Trzeba przywieźć psa do McAlistera do domu, wiecie, gdzie on mieszka? I niech Mac przyprowadzi go na teren, broń Boże nie wy. Mac będzie na niego czekał i przysięgnie na wszystkie świętości, że to jego własny pies. — Odwrócił się, ale jeszcze dodał: — I wiecie, okropnie mi przykro, że to się wszystko stało...

Gdy poznałem Violę Dawson, dowiedziałem się wielu szczegółów o psie, najpierw w czasie naszego pierwszego wspólnego obiadu u Bruna w Earls Court, a później w ciągu szeregu następnych spotkań.

— Janet zupełnie zwariowała na punkcie tego psa — powiedziała mi kiedyś Viola. — Spędzała z nim każdą wolną chwilę. Właściwie byłam bardzo z tego zadowolona, bo w pewnym sensie oderwało to jej myśl po śmierci brata pana. Prawdopodobnie bardzo jej to pomogło.

Sierżant Finch przyprowadził psa do domu McAlistera i zostawił go tam; Janet nie widział i wcale nie miał na to ochoty.

— Nie mogłem jej udzielić żadnych informacji o bracie pana — powiedział mi. — Wszystko to była tajemnica wojskowa, pan rozumie. A to głupia sytuacja nie móc mówić, a w dodatku przecież ja ją bardzo mało znałem. Po prostu zostawiłem psa u ogrodnika, tak jak mi poleciła listownie, i oddałem mu także paczkę listów i fotografii z walizki Billa, o które prosiła, i wycofałem się.

Po godzinie Janet odnalazła Deva w nowej budzie przy szklarni, którą zrobili marynarze. Pies ją poznał, wyskoczył ku niej i polizał ją w twarz. Naturalnie każda „wrenka” na terenie znała historię Deva, a w kambuzie kucharki odkładały dla niego na kolację olbrzymie porcje resztek, które dawały Janet, bo dziewczyna była ogólnie lubiana i wszyscy jej bardzo współczuli. Pies, który układał się do smacznego snu w nowej budzie, był świetnie odżywiony.

Na trzeci dzień zobaczył go tutaj dowódca „Mastodonta”, starszawy oficer odwołany ze stanu spoczynku. Zapytał, co to za pies. Główny ogrodnik rozwlekłym szkockim dialektem rozpoczął tyradę o zepsuciu marynarzy, którzy kradną kwiaty przeznaczone dla ozdoby mesy oficerskiej, żeby obdarzać nimi swoje dziewczuchy, co spowodowało konieczność trzymania przez niego, McAlistera, własnego psa dla powstrzymania tego łupiestwa. Po kwadransie kapitan przezornie umknął z uszami pełnymi tej gadaniny, a Dev stał się częścią załogi statku Jego Królewskiej Mości „Mastodont”.

Dev nie przemęczał się stróżowaniem, jako że noc w noc spał sobie jak suseł. Większą część dnia spędzał z Janet w warsztacie uzbrojenia czy w okolicy mola. Od czasu do czasu zabierała go z sobą do motorówki, gdy udawała się na inspekcję takiej barki desantowej, gdzie wiedziała na pewno, że pies będzie mile widziany. Nie robiła tego jednak zbyt często, w obawie, że natknie się kiedy na kapitana, który zagadnie ją o psa. W ciągu tych paru weekendów, które pozostały jeszcze przed inwazją, zabierała Deva w niedzielę po południu na długie spacerunki po okolicy; raz, gdy poszli wrzosowiskami w stronę Hythe, towarzyszyła im Viola.

— Janet nie byłaby wtedy odczuła braku mojego towarzystwa — mówiła mi Viola ze śmiechem. — Pies jej zupełnie wystarczał.

W ostatnim miesiącu przed inwazją okolice Beaulieu uległy ogromnym zmianom. Na każdym polu i w każdym lasku szła intensywna robota. Brygady drogowe i buldożery pracowały bez litości nad prostowaniem i rozszerzaniem wiejskich drózek prowadzących do pochylni w Lepe. Rozrywano płoty usuwając je na bok na pola i wyprostowywano zakręty. Wzdłuż każdej drogi, co dwieście lub trzysta jardów, budowano platformy do parkowania czołgów i pojazdów mechanicznych. Prawie przez noc wyrastały prowizoryczne pasy startowe wyłożone płytami stalowymi i gęsto wznosiły się jeden przy drugim. Sprowadziło się tu lotnictwo amerykańskie z Thunderboltami i B.25 S, a w Lymington zaroilo się od amerykańskich żołnierzy i samochodów

ciężarowych. Pospolitym widokiem były formacje złożone z pięćdziesięciu amerykańskich samolotów lecących na raz w górze. Każdy las i zagajnik w okolicy zamieniał się w bunkier na magazyny czy amunicję albo w parking dla czołgów i transportu mechanicznego. Jednocześnie przybyła ruchoma obrona przeciwlotnicza i zdawało się chwilami, że w każdym żywopłocie i w każdej grupie krzaków tkwi zamaskowany Bofors. Ale żaden niemiecki samolot nie pokazał się już więcej za dnia po tym Ju 188, którego zestrzeliła Janet; pilnowały tego nasze myśliwce. Było natomiast parę pomniejszych nocnych nalotów na Southampton, gdzie zgromadzono ponad tysiąc jednostek desantowych, ale zostały odparte z ogromnymi stratami nieprzyjaciela. Luftwaffe traciła już swoją potęgę. Na rzekę wpływały teraz tłumnie barki desantowe; Viola opowiadała mi, że bywało ich czasem jednocześnie ponad siedemdziesiąt. A że w szkoleniu i zaopatrywaniu panował pośpiech, konserwacja statków i dział wyglądała nieszczęśliwie w rękach surowych, niewytrawnych załóg. Praca personelu przybrzeżnego stawała się coraz cięższa. Gdy z nadchodzącym latem przedłużały się dni, dziewczęta pracowały po szesnaście i siedemnaście godzin na dobę, od świtu do zmroku. Od czasu do czasu rzeka pustoszała, bo wszystkie desantowce wypływały na ćwiczenia w lądowaniu na pokład czołgów, dział przenośnych, ciężarówek i brodzących buldożerów przy jednej z pochylni. Nie było ich po dwa lub trzy dni; gdzieś daleko, może przy piaszczystym wybrzeżu koło Slapton w Devonshire, bombardowały pociskami i bombami raketowymi spokojne wsie i wykonywały po kolei wszystkie przepisowe czynności przy lądowaniu na zniszczonym przez siebie brzegu. Potem wracało ich znowu jeszcze więcej niż poprzednio. Tłoczyły się na rzece Beaulieu i wszystkich innych rzekach przy południowym wybrzeżu Anglii obfitując w uszkodzenia i braki, które trzeba było doprowadzać do porządku.

Słońce przygrzewało w ciągu maja i ziemia twardniała po zimowych deszczach. Osoby znajdujące się na rzeczy szeptały między sobą, że grunt jest już dosyć twardy na operacje czołgów, natomiast osoby znajdujące się na rzeczy jeszcze lepiej odpowiadały im także szeptem, że nic podobnego. Obie kategorie zgadzały się jednakże, że „balon wkrótce się zerwie”. Nikt nie śmiał wymówić słowa „inwazja”, a słowo „Overlord” szeptano nadzwyczaj dyskretnie.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni robota zwalniała się na dziewczęta w takich rozmiarach, że nie miały wcale wolnego czasu, a napięcie nerwów tak wzrosło, że żadna z nich nawet tych wolnych chwil nie pragnęła. Drogi na lądzie były zapchane czołgami, podwoziami Shermana i transportem mechanicznym. Stało to wszystko nieprzerwanym szeregiem po jednej stronie każdej wiejskiej drogi. Załoga biwakowała w samochodach, pod nimi lub obok; wszędzie widać było małe ogniska i postacie ludzkie w mundurach khaki. Koło każdego nowego pasa startowego rościło się od samolotów myśliwskich rozstawionych na pobliskich polach, a piloci i reszta załogi mieszkali nieopodal w namiotach. Na morzu, w odnodze Solent, unosiły się na falach potwory wszelkiego gatunku: długie, do tratw podobne jednostki poruszające się ogromnie powoli o własnym napędzie, wysokie spiczaste statki i okręty podobne do kamienic czynszowych bujających na zdumionym morzu.

Janet spędzała prawie cały czas w Lepe, na pochylni, o dwie mile od „Mastodonta”, bo skończył się już okres ćwiczeń na większą skalę i statki wprawiały się teraz przy pochylniach w ładowaniu, wyładowywaniu i pobieraniu paliwa. Musiała przy tym asystować, gdyż z chwilą rozpoczęcia inwazji miała wejść w skład załogi komendanta pochylni. Gdy barki desantowe będą wracały z Francji po nowy ładunek czołgów czy samochodów, robota Janet miała polegać na sprawdzaniu dział na ich pokładzie, wymienianiu pustych taśm amunicyjnych na nowe, pełne, naładowane przez nią na lądzie, na czyszczeniu dział w zastępstwie zmęczonej załogi, a także na łataniu wszystkich braków, które mogły się okazać, i to w ciągu pół godziny, kiedy statek będzie zabierał ładunek i paliwo przed ponownym odpłynięciem z pochylni do Francji. Załatwienie wszystkich powyższych czynności w tak krótkim czasie wymagało ćwiczeń i prób i w ciągu ostatnich paru dni Janet odbywała je z każdą jednostką desantową przybijającą na rzekę Beaulieu.

— Znał ją każdy kapitan — opowiadała mi Viola. — Wiedzieli, że niedawno zginął jej narzeczony, i chyba za to właśnie ją lubili, że pracowała dalej tak, jakby nic się nie stało.

Przeżywała swoje osobiste troski pozostając na zewnątrz tą samą wydajnie pracującą starszą „wrenką”, która cierpliwie tłumaczyła marynarzom ze świeżego zaciągu z głowami jak sito, jakie znaczenie mają różne kolory na pociskach do Oerlikona i w jakim porządku powinny być ładowane do magazynków. Siadała na pokładzie i pracowała razem z nimi, z rękawami zawiniętymi po łokcie i rękami unurzanyymi w smarach.

— Mieli do niej zaufanie — mówiła Viola. — Wierzyli pewnie, że skoro nie załamała się, gdy zginął jej chłopiec, nie załamie się również, gdy zacznie się inwazja.

Viola powiedziała mi także, że kiedyś zapytała Janet o ojca.

— Czy twój ojciec naprawdę weźmie udział w wyprawie? Janet potwierdziła to.

— Właśnie skończył przeszkolenie. Wczoraj dostałam od niego list ze stemplem pocztowym z Wapping. Już ma przydział na statek, ale nie pisze, na jaki. Prawdopodobnie mu nie wolno.

— Ależ to wspaniały wyczyn! Ile lat ma twój ojciec?

— Sześćdziesiąt cztery. Pisał do mnie, że marynarze zdradzają straszliwą ignorancję, jeśli chodzi o samoloty. Żaden nie jest w stanie odróżnić Focke--Wulfa 190 od Thunderbolta, nawet kiedy tatuś pokazał im różnicę na tablicach.

— Zdaje mi się, że ja także bym nie odróżniła — wtrąciła Viola.

— Tatuś jest zdania, że to po prostu skandal. Zadepeszował do mamy, żeby pojechała do Londynu i przywiozła mu epidiaskop i przezroczka. Wszystko to zainstalował na statku i zaczął wykłady dla załogi. Powiada, że wszyscy teraz są pełni zapału w identyfikowaniu. Tatuś każe im identyfikować każdą maszynę, która nad nimi przelatuje.

— Twój ojciec sam musi być pełen zapału.

— To dla niego cały świat — powiedziała Janet z prostotą. — W ten sposób właśnie odnosi się do Korpusu Obserwacyjnego, od chwili gdy się tam

zaciągnął na początku wojny. Udział w wyprawie na tamtą stronę jest dla niego czymś w rodzaju nagrody za całą pracę w Korpusie, odkąd wybuchła wojna. Tak się na to zapatruje.

W końcu maja Janet przeniesiono służbowo do personelu pochylni; nie potrzebowała przy tym zmieniać miejsca zamieszkania, bo z „Mastodonta” do pochylni było zaledwie dwie mile. Co rano zabierała się tam ciężarówką i ciężarówką wracała wieczorem. Między jedną bazą a drugą poruszała się także swobodnie motorówkami, ale główne jej obowiązki skoncentrowały się na pochylni w Lepe, gdzie meldowała się także, ilekroć nie była zajęta.

W sobotę 3 czerwca, wszystkie barki desantowe do przewozu czołgów wypłynęły z rzeki Beaulieu i zakotwiczyły się rufą w Solent. Po południu tego dnia zaczęły podpływać parami do pochylni i ładować na pokład czołgi, podwozia Shermana i pojazdy mechaniczne. W tajemniczy sposób, w jaki tego rodzaju sprawy stają się znane pomimo wszelkich środków ostrożności, wszyscy już wiedzieli, co to oznacza. Zgodnie z codzienną rutyną Janet wchodziła na pokład statków, w miarę jak nadpływały, i meldowała się u pierwszego oficera, ale teraz niewiele miała do roboty. Załogi na desantowcach były teraz nastawione na bitwę; nie czas już było frasować się o pomniejsze braki w zaopatrzeniu czy o rdzę na działach. Tego dnia mogła była dać im wszystko, co chcieli, bez papierków i zapotrzebowań, ale nie mieli dużych wymagań. Przez cały dzień przechodziła ze statku na statek po zgiełkliwych pokładach, wśród warkotu silników w czołgach, omijając marynarzy zajętych przy sprzęcie i czasami ze speszonymi żołnierzami wymieniając naciągnięte żarty. Przez cały dzień wyładowane statki odbijały z pochylni i kierowały się ku Solent, gdzie zakotwiczały się flotyllami.

W środku popołudnia nadjechał kuter z Violą Dawson przy sterze a Devem stojącym w dumnej pozie na dziobie. Viola mi mówiła, że w ciągu dnia ona zajmowała się psem, gdyż Janet cały czas była w Lepe. Dev przyzwyczał się do życia w łodzi i nie sprawiał kłopotu dziewczętom z obsługi. Gdy kuter stał przez chwilę w trakcie wyładowywania jakiegoś sprzętu dla komendanta pochylni, Janet przeszła przez stojący desantowiec, żeby z nimi pogadać, i opuściła się w dół do kutra.

— Zaczyna się chyba, co? — powiedziała Viola.

— Każdy tak myśli — przytaknęła Janet. — Zresztą wszystko inaczej teraz wygląda. Patrz na graty, które teraz zabierają.

Podwozie Shermana, na które wskazała, było wysoko wyładowane skrzynkami z żywnością i sprzętem do kamuflażu. Na boku ktoś napisał kredą objaśnienie: „Pilnuj się, Hitler!”

— Na pewno się zaczyna!

Doris Smith spojrzała na zbitą masę pojazdów mechanicznych, które cał po calu zjeżdżały po pochylni; spojrzała na żołnierzy w hełmach i wyraziła to samo przekonanie.

— Chciałoby się robić coś więcej — powiedziała. — Powinni nam dać więcej roboty.

— Będą pełne ręce pracy, kiedy te wszystkie statki zaczną z powrotem

przybijać po nowy ładunek — powiedziała Janet. Pochyliła się do psa i pogłaskała go po uszach.

Całe popołudnie i wieczór tego dnia spędziła na inspekcji barek desantowych, podczas gdy brały ładunek. Do baraku komendanta pochylni przywożono co jakiś czas jedzenie, kotły z herbatą, kromki chleba grubo przełożone mięsem, herbatniki i dżem. Pod wieczór, w wolnej chwili, Janet chodziła pożywić się biorąc to, na co trafiła. Ładowanie ciągnęło się do siódmej i wtedy zostało na jakiś czas wstrzymane z powodu odpływu, bo przy bardzo niskim poziomie wody statkom trudno było manewrować po wąskiej rzece, żeby dobić do pochylni. Wznowiono pracę o wpół do dziewiątej i ładowano do nocy. Po zapaleniu reflektorów jednostki desantowe ciągle podjeżdżały do pochylni, ładowały pojazdy i ich zmęczoną obsługę i znowu odpływały.

O północy Janet upadała już ze zmęczenia, ale nie było chwili wytchnienia ani dla żołnierzy, ani dla „wrenek”. W ciągu dnia zrobiła dość, aby obecność jej na pochylni nie była daremna. Zastąpiła nowymi dwa uszkodzone celowniki, dostarczyła około pięciuset serii amunicji do Oerlikonów i pokaźną ilość do Stenów. Przyszła z pomocą obsłudze działa na Shermanie przynosząc im bańkę smarów i wielką naręcz szmat bawełnianych. Wiele godzin zeszło jej na chodzeniu na próżno od statku do statku w poszukiwaniu oficera, któremu miała się zameldować; dowiedziała się ostatecznie, że niczego od niej nie potrzebowano.

Ładowanie skończyło się o drugiej nad ranem. Odpłynęła ostatnia jednostka z grupy pierwszego natarcia i reflektory zostały natychmiast zgaszone, żeby ukryć pochylnię przed niemieckim samolotem, który nocą mógł się zapędzić w te strony. Nie było już żadnego środka lokomocji na „Mastodon-ta”, bo stłoczony tabor mechaniczny na drogach tamował ruch powrotny z pochylni. Janet i May Spikins otuliły się płaszczami i ułożywszy się na stosie maskujących siatek trochę się przespały. O piątej rano odnalazła je tutaj Doris Smith, obudziła i zabrała motorówką do mola. Powłokły się do swego baraku i dotarły tam o szóstej w pełnym blasku dnia. Janet wstała ze swojej koi o dziesiątej razem z Violą. Na dworze niebo było zaciągnięte chmurami i szare; zrywał się wiatr chłoszcząc wierzchołki wysokich wiązów. W piżamach stały w oknie z przerażeniem obserwując pogodę. Wreszcie Viola orzekła:

— Pogoda zapowiada się całkiem pieska. — I dodała zniższy głos: — W taki czas nie będą chyba mogli wyruszyć, prawda?

Janet zapytała po cichu:

— Kiedy mają wyruszyć? Kiedy się to zacznie? Viola, czy wiesz?

— Zdaje mi się, że jutro rano — odszepnęła Viola. — Podobno mają odpłynąć dziś wieczorem. Ale w tę pogodę połowa zatonie. W kanale pewnie zdrowo duje.

Ubrały się i zjadły cośkolwiek na śniadanie, a potem Janet włożyła płaszcz i wyruszyły piechotą na pochylnię. Podwiozła ją jakaś mała ciężarówka wojskowa i około jedenastej była na miejscu.

Dzień był ponury i szary z ostrym wiatrem zachodnim. Dalej, na Solent, jednostki desantowe leżały rzędami zakotwiczone rufą, kołysząc się niespo-

kojnie na krótkich, łamiących się falach. Parę z nich odkotwiczyło się i szepotało razem, a teraz usiłowały się odzepić i odwrócić tyłem do wiatru, żeby z powrotem zająć swoje właściwe miejsce. Janet odnalazła komendanta pochylni, żeby mu się zameldować.

— Chyba się nie spóźniłam — powiedziała. — Wczoraj nie było rozkazu co do godziny.

— W porządku — odparł. — Moglibyście byli zostać w łóżku. Wszystko odłożone na dwadzieścia cztery godziny. Nigdy by się nie przeprawili na tamtą stronę w taką pogodę.

Przez parę godzin siedziała na pochylni i zjadła obiad z koleżankami z Lepe House, ale roboty żadnej nie było. Komendant zwolnił ją na resztę dnia, ale polecił nie oddalać się z „Mastodonta” i być gotową na zawołanie, wobec czego poszła z powrotem do wielkiego domu-okrętu, na którym służyła. Na swoich śmieciach poczuła się zmęczona i wyczerpana nerwowo; rozebrała się trochę, położyła na koi i spała niespokojnie przez jakiś czas. Około piątej wstała, poszła do Deva, który siedział sobie w swojej budzie, i posiedziała z nim, gdy jadł. Potem wróciła do baraku po szczotkę do ubrania, żeby wycesać pieska. Lepiej było szczotkować Deva niż siedzieć w napięciu i myśleć o zbliżającej się bitwie.

W nocy, kiedy położyła się do łóżka, zerwała się burza z zacinającym, siekącym deszczem. Mało która „wrenka” w baraku Janet spała tej nocy; były to wszystko młode kobiety i większość miała przyjaciół, narzeczonych czy nawet mężów na pokładach jednostek, które w ciemnościach nocy chwiały się niespokojnie na Solent i zrywały kotwice. Dziewczeta leżały na kojach wsłuchując się w huk wiatru i bicie deszczu o szyby, skoncentrowawszy myśli na mężczyznach, zmoczonych, zziębniętych i bezustannie narażonych na niebezpieczeństwo, w ciągłej walce o utrzymanie na powierzchni morza tych przeladowanych, kapryśnych statków aż do chwili, kiedy pogoda się ustali i będzie można przeprawić się do Francji. Tam znowu, na przeciwległym wybrzeżu, czekała ich walka z Niemcami.

Przez całą tę noc Janet starała się zasnąć, ale prawie do świtu nie mogła zmrzyć oka. Odbierała jej siły straszliwa groza, lęk przed tym, co się zbliżało, i nękała ją poczucie olbrzymiej nadchodzącej katastrofy. Nie trapiła się nawet specjalnie losem ojca, bo wiedziała, że statki handlowe dopóty nie zostaną skierowane do zajętego wybrzeża, dopóki nieprzyjaciel nie będzie odparty daleko w głąb łądu.

Przenikała ją bardziej obawa, że na tamtej stronie całą wyprawę spotka porażka i koniec wśród klęskowej rzezi. Z tym uczuciem łączyło się dokuczliwe wspomnienie Niemców z Junkersa 188, których zabiła, zmasakrowanych zwłok, jakie ujrzała na polu, tam gdzie zestrzeliła samolot, wspomnienie ludzi przyjaźnie do nas usposobionych, którzy byli po naszej stronie. Ciężko na niej dotkliwie poczucie winy, jakie chyba nie opuściło jej do śmierci. Ponad tym wszystkim tkwiła pamięć o Billu, moim bracie. Bill ją kochał i byłaby jego żoną, ale znikł z jej życia na zawsze, zostawiając po sobie jedno nagie i okrutne słowo: śmierć. Zabiła bezmyślnie siedmiu przyjaźnie nastawionych Niemców i dlatego straciła Billa, bo sąd Boży jest nieubłagany.

Przed samym świtem zapadła w męczący, niespokojny sen, pełen kosz marnych majaków.

Gdy pobudka podoficera postawiła cały barak na nogi, słońce przebijało się przez chmury. Przy śniadaniu nie ulegało już wątpliwości, że wiatr przycicha. Janet poszła na pochylnię i zameldowała się u swego oficera. Wyglądało na to, powiedział jej, że inwazja została przełożona na następny dzień, to znaczy na 6 czerwca. Przed południem polecił jej wykonać szereg różnych drobnych czynności, a w porze obiadowej zwolnił ją całkiem na resztę dnia. Będzie miała aż nadto roboty, gdy desantowce wrócą z Francji po nowy ładunek.

Wieczorem Janet pojechała kutrem do Lepe z Violą Dawson i Doris Smith z rozkazem zabrania stamtąd grupy oficerów marynarki, których trzeba było przeprowadzić przez Solent do Cowes. Nie musiała brać udziału w tego rodzaju wyprawie, jechała po prostu dla przyjemności. Tak się przyzwyczaiła do przejazdów łodzią tam i z powrotem po rzece, że właściwie należała prawie do załogi.

Oficerowie, których dziewczęta miały wtedy na pokładzie, byli przeważnie w randze komandora. Janet nie wiedziała, że stanowili oni sztab sektora „Junona” zmieniający właśnie kwaterę główną z jednego okrętu na drugi. Byli to milczący mężczyźni o poważnych twarzach. Kuter przybił do Cowes o zachodzie słońca i jeden z oficerów kazał Violi podpłynąć do skromnie wyglądającego parostatku „Hilary”, zakotwiczonego na szlaku i najeżonego radiowymi i radarowymi antenami. „Hilary” był pływającą kwaterą główną w czasie inwazji na Sycylię i Salermo, a teraz miał pełnić tę samą funkcję dla sektora „Junona” w operacji „Overlord”.

Dziewczęta zawróciły do Beaulieu, gdy słońce zapadało już w morze. Przed ich oczami ukazała się teraz cała flota wyruszająca w drogę. Cały szmat wody między wyspą Wight a stałym lądem roił się od jednostek desantowych i okrętów najrozmaitszego typu. Wszystkie po kolei podnosiły kotwice i odpływały. Głębszymi szlakami posuwały się jednostki desantowe do przewozu piechoty, parostatki z żeglugi kanałowej i niewielkie liniowce z barkami desantowymi w żelaznych uchwytach przy dziobie. Na płycznach widać było barki do transportu czołgów wyładowane samochodami, czołgami i wojskiem. Odpływały właśnie w licznych flotyllach ku wschodowi, w stronę odnogi Spithead pod ochroną motorówek. Z Southampton Water spływała wielka flota jednostek desantowych dla czołgów. Były to olbrzymie statki amerykańskie o podwójnych rampach na dziobie. W górze, w wieczornym świetle kołowały myśliwce, wewnętrzny patrol skierowany tutaj, aby unieszkodliwić każdy niemiecki samolot, który by się przedarł przez zewnętrzny pierścień myślistwa patrolujący nad Kanałem. Wieczór huczał rykiem silników na morzu i w powietrzu.

Viola zwolniła bieg kutra. Nie spieszyły się z powrotem do Beaulieu i stały w łodzi zamyślane i milczące zdając sobie sprawę, że patrzą na koncentrację okrętów, jakiej może nikt już nigdy nie zobaczy w takim nasileniu. Viola mówiła mi, że próbowała wtedy policzyć statki, które znajdowały się w jej polu widzenia; doliczyła do czterech setek, ale potem przestała już odróżniać kadłuby spiętrzone razem ku wschodowi na Spithead. W miarę gdy posuwa-

ły się dalej przez Solent manewrując między desantowcami, zachodnia część odnogi stopniowo pustoszała. Statki zakotwiczone poprzednio pomiędzy Ly-mmgton i Beaulieu minęły kuter płynąc na wschód i gdy dziewczęta dotarły do ujścia rzeki, niewiele ich było już widać na zachodzie. Płynąc w górę rzeki rozmawiały ciągle jeszcze półszepem, tak jakby głośniejsze słowo o tym co przed chwilą widziały, mogło złamać przepisy tajemnicy wojskowej i narazić armię na zgubę.

W baraku „wrenek” druga już noc mijała bezsennie. Górą leciały bez przerwy samoloty pozbawiając zdenerwowane dziewczyny nawet tego krótkiego snu, na jaki mogły sobie pozwolić. Jeśli wskutek samego wyczerpania niepokojem przychodziła chwila sennego odretwienia, nadlatywała fala bombowców wyciągających w górę z pobliskiego lotniska i znowu leżały rozbudzone. Były jeszcze za młode, żeby znać działanie lub z nawyku brać środki nasenne. Przywykły do zdrowego trybu życia i nie wiedziały, jak zwalczać złe nastroje. Przez większą część nocy kilka z nich szeptało między sobą me mogąc uleżeć w łóżku. Przed samym świtem grupka postaci w piżamach zebrała się przy otwartych drzwiach wsłuchując się w ciszę letniej nocy. Da-eko na południu, gdzieś za wyspą Wight, słabe echo wybuchów płynęło setki mil po morzu. Dziewczyny stały w napięciu, zziębnięte i zmęczone, nasłuchując dalekiego echa bombardowania.

Jakaś „wrenka” ze służby łączności w Lepe House szepnęła:

— Lotnictwo wyrusza mniej więcej teraz...

Janet właściwie nie zmrużyła oka przez całą noc. Napięcie nerwów w baraku było zaraźliwe, a przez ostatnie dwie doby niewiele miała pracy. Poprzednio, po strąceniu Junkersa i po śmierci Billa, robota szła nieprzerwana i wyczerpująca i mało zostawało czasu na rozmyślanie. Noc w noc spała twardo po zmęczeniu fizycznym. Ale teraz, wobec bezczynności i wzrostu napięcia, gnębiło ją uporczywe poczucie winy. Zabiła siedmiu ludzi, nie Niemców, lecz Polaków i Czechów, w chwili gdy usiłowali przedostać się na naszą stronę. Za jej przyczyną obrócili się w przerażające, nasiąknięte krwią i okaleczone szczątki, w to, co zobaczyła potem na polu. Zestrzeliła ich z szaleńczej pychy, bo przecież widziała, że Junkers wypuścił podwozie, ale nie chciało jej się zastanowić, co to oznacza, bo rozpierała ją duma z własnej zręczności w strzelaniu z Oerlikona. Bóg był Bogiem sprawiedliwym i musiała poddać się jego karze. Za to, co zrobiła, Bóg odebrał jej Billa i zabrał go do siebie, ale czy ta kara była dostateczna? Może nadchodzi dalszy jej ciąg bo przecież zamordowała siedmiu sojuszników, a Bill był tylko jeden. Jedno życie nie może odkupić życia siedmiu istot. Może popełniła już jakiś nowy straszliwy błąd, który spowoduje śmierć sześciu znajomych osób. Może z jej winy wybuchnie jaszcz na pokładzie obsługiwanego przez nią statku i zabije sześciu znajomych marynarzy, bo Bóg jest Bogiem sprawiedliwym i sądy Jego są nieubłagane. Łamała sobie głowę nad *tym*, jaki też błąd mogła popełnić.

Cierpiała tak bez słowa przez całą bezsenną noc.

Następnego ranka dziewczęta wstały o świcie i skupiwszy się w świetlicy przy aparacie radiowym słuchały wiadomości o inwazji, nadawanych przez

BBC. Po śniadaniu Janet poszła do Lepe, ale nic tam nie było do roboty. Czekać na przybycie jednostek desantowych po nowy ładunek, wszyscy bez przerwy tkwili przy małym odbiorniku radiowym i rozprawiali o sytuacji na różnych odcinkach wybrzeża. Nie wydawało się zbyt prawdopodobne, żeby jakikolwiek statek mógł powrócić przed nocą. W porze obiadowej komendant pochylni zwolnił cały personel aż do godziny siódmej, radząc, aby każdy postarał się przespać.

Janet zażyła trzy proszki aspiryny, położyła się na swej koi w baraku, naciągnęła koc na głowę i spała do szóstej. Była to ostatnia porcja mocnego odświeżającego snu przed wysiłkiem, jaki ją czekał w ciągu następnych kilku dni.

Pierwsza barka desantowa przybiła do Lepe o wpół do jedenastej w nocy. Płynęła z „plaży Nan” sektora „Junona” w okolicy małego miasteczka Courseulles w Normandii. Janet dowiedziała się trochę szczegółów o lądowaniu od młodego marynarza, śmiertelnie zmęczonego, gdy razem taszczyli na pokład skrzynkę amunicji do Oerlikona.

— Do nadbrzeżnych barykad poprzywiązywali miny, stare pociski i co tylko mogło narobić hałasu — opowiadał. — Trzy nasze jednostki wpadły na to i siadły na plaży w tych dwóch stopach wody. Ale chyba nikomu nic się nie stało. Gdyśmy już mieli wyruszać, Szwabcy były trochę dalej, coś około paru mil w głębi lądu. Nie bardzo się bili, przynajmniej na naszym odcinku. Ale mówią, że gorzej było dla naszych chłopców w Bernieres i w tamtych stronach.

O niemieckich samolotach niewiele miał do powiedzenia.

— Nadleciało ich parę strzelając z broni pokładowej do naszych ludzi, którzy już byli na brzegu. Strzelało się do nich, ale nie widziałem, żeby jaki zleciał.

On sam zużył dwa i pół ładownika. Gdy statek zabierał na pokład pojazdy i paliwo, Janet pomogła marynarzowi naoliwić i napęścić na nowo ładowniki. May Spikins spełniała tę samą funkcję na innej jednostce, z drugiej strony bariery biegnącej środkiem pochylni. Janet skończyła swoją robotę i przeszła do May, żeby jej pomóc, ale wtedy odpłynęła pierwsza jednostka, a nadpłynęła następna, pusta.

Oficerowie i prości marynarze na tych statkach luzowali się na wachtach usiłując odpocząć, ile się da, w momentach kiedy flotylla była w drodze.

Przez pięć godzin trwało zabieranie ładunku, paliwa i amunicji. Przerwa nastąpiła, kiedy ostatnia barka odbiła od pochylni o wpół do czwartej rano. Janet i May, śmiertelnie zmęczone, poszły do baraku komendanta, gdzie przygotowano herbatę i sandwicze z konserwową wołowiną. Nie było żadnych danych, kiedy zjawi się następna flotylla, ale oczekiwano jej niebawem, a czołgi i pojazdy mechaniczne tłoczyły się ciasno na uliczce prowadzącej do przystani. „Wrenki” otuliły się w płaszcze, ułożyły na zwojach siatek maskujących w głębi baraku i usnęły.

Zbudzono je koło szóstej i zaspanymi oczami, w świetle chłodnego świtu zobaczyły nową partię jednostek desantowych z Francji zakotwiczonych na Solent, z których dwie pierwsze posuwały się już powoli ku przystani. Dziewczęta

wypiły pośpiesznie filiżankę herbaty i zabrały się do roboty. O ósmej komendant pochylni wywołał je na pół godziny na śniadanie, a potem pracowały dalej. Ostatni okręt odpłynął w południe, ale nowa flotylla była już zakotwiczona na Solent czekając na swoją kolej przy ładunku. „Wrenki” zjadły szybko obiad, brudnymi rękami odgarnęły włosy z czoła i wróciły do roboty.

Była to środa, 7 czerwca. Po południu do Lepe przyjechała Viola na kutrze i zatrzymała się na parę minut obok jakiejś barki posługującej się nią jak nabrzeżem przy wyładowywaniu sprzętu, który przywiozła ze sobą na pochylnię. Janet oderwała się na chwilę i zeszła do kutra.

— Viola, kochanie, zrób coś dla mnie. Czy wrócisz na noc na „Mastodonta”?

— O ile wiem, to tak — odparła Viola. — Czy ci coś przywieźć?

— Nie o to chodzi. Ale Bóg wie, kiedy uda mi się zobaczyć Deva. Czy mogłabyś przypilnować dzisiaj, żeby dostał swoją kolację? Wiesz, poproś tę starszą „wrenkę” w kambuzie, Rachel Adams, żeby dopilnowała karmienia psa przez te parę dni, kiedy ja tu będę zajęta. Już ona wie, co on zwykle dostaje.

— Obrządzą go, starucha, nie bój się. A może chciałabyś, żeby ci go kiedy przywieźć tutaj w łodzi? Czy też wolisz nie zaprzętać sobie nim głowy?

— Lepiej, żeby siedział na „Mastodencie”, ja przecież nie mogę się nim zajmować przy tym, co się tu dzieje — powiedziała Janet. — Ale chętnie bym zobaczyła psinę, jeżeli ci się uda przywieźć go tutaj i odstawić z powrotem.

— Dobra, zrobi się — odparła Viola. — Miejmy nadzieję, że to się niedługo przewali.

— Wygląda na to, że będzie trwało wieki — powiedziała Janet. — Zresztą niech tam. Najważniejsza jest koncentracja armii. Craigie mówi, że szkopy są już odparte o cztery mile w głąb ładu, przynajmniej w sektorze „Juno-na”.

Janet wyszła z kutra i poszła na statek do mesy odszukać pierwszego oficera.

Koncentracja trwała dniem i nocą przez cały czwartek, piątek i sobotę. Flotylle przybijały po ładunek nieregularnie i bez żadnego zawiadomienia. Łodzie desantowe dla czołgów miały przybijać do pochylni tak długo, jak długo nie ustanie kierowany przez wojsko dopływ czołgów, podwozi i samochodów ciężarowych. Dziewczeta nieregularnie jadły i spały w baraku komendanta pochylni, wtedy kiedy nadarzyła się sposobność, i pracowały otumanione zmęczeniem. Ich przełożone z „Mastodonta”, zaniepokojone tym wysiłkiem, ofiarowały swoją pomoc „wrenkom” z uzbrojenia, ale ponieważ nie było zastępstwa dla oficerów WRENS, dziewczeta odmówiły.

„Dziękuję bardzo, ale tu jest świetnie. Wypałam się po królewsku tamtej nocy, a i dzisiejszego ranka trochę się przyłożyłam” — brzmiała stała odpowiedź. Pracowały w odurzeniu, ale nie ustawały.

Dziewczeta z załogi kutra codziennie przywoziły Deva. Pies stawał z dumną miną na dziobie, potem skakał na pokład barki, po którą podpływały, i dopóty uganiał się wśród czołgów i ciężarówek, dopóki nie znalazł Janet.

Wtedy nie opuszczał już jej na krok. Janet karmiła go herbatnikami i odrywała się na parę minut od roboty, żeby popieścić pieska i pobawić się z nim. Potem Viola zabierała Deva do łodzi, a Janet wracała do pracy odświeżona i rozpogodzona tym krótkim interludium ze swoim ulubieńcem.

W sobotę 10 czerwca na przystań przyjechała na rowerze Trzeci Oficer Collins z „Mastodonta”. Jej ładna twarzyczka zdradzała troskę i zdenerwowanie. Oparła rower o barak i weszła do biura komendanta pochylni.

— Gdzie jest Prentice, panie komendancie? — zapytała. Wskazał na jednostkę desantową, którą ładowano.

— Chyba właśnie tam — odparł.

— Czy można by ją wywołać? Muszę z nią pomówić i wolałabym zrobić to raczej tutaj niż na pokładzie.

Zawahała się chwilę.

— Przekazano nam wiadomość od jej matki. Ojciec jej zginął.

Gdy Janet trochę zdziwiona przyszła do baraku, panna Collins powiedziała nerwowo:

— Słuchajcie, Prentice. Muszę z wami pomówić. Może wyjdziemy stąd. Poszła przodem na kawałek plaży poniżej Lepe House.

— Niestety, przyszły dla was złe wiadomości. Chodzi o ojca. Janet powiedziała szybko:

— Coś się stało z tatusiem?

— Tak, Niestety, taką wiadomość nam przekazano. Ktoś zatelefonował w imieniu waszej matki, prosząc was do aparatu.

— Tatuś zginął, tak? — zapytała wprost Janet.

— Tak, Niestety, o tym właśnie nas zawiadomiono.

Przez chwilę Janet szła w milczeniu. W głębi świadomości była na to przygotowana. Wyroki Boga są sprawiedliwe, a ona zasługiwała na Jego karę. Odkąd się dowiedziała, że okręty wiozące pojazdy mechaniczne przybiły do wybrzeża Normandii we środę, żeby własnymi dźwigami wyładować ciężarówki na piasku, nie miała już żadnych wątpliwości. Ojciec musiał być gdzieś niedaleko wojsk niemieckich. Zbyt była zmęczona, żeby rozpaczać, zbyt otumaniona robotą i brakiem snu, zbyt zaabsorbowana myślą, że odeszła od swojej roboty wyjąwszy zamek z lewego Oerlikona i że bez jej pomocy marynarz prawdopodobnie nie potrafi go założyć z powrotem. Tatuś zginął. Może będzie mogła płakać, gdy trochę odpocznie; wtedy zechce może pójść do kościoła i pomodlić się. Teraz cała rzecz w tym, żeby pozbyć się Trzeciego Oficera Collins, wrócić do roboty i założyć jak należy ten zamek.

— Dziękuję bardzo za przekazanie mi wiadomości. Pani specjalnie po to przyjechała — powiedziała spokojnie i, zatrzymawszy się na chwilę, odwróciła się i ruszyła w kierunku przystani.

— Załatwiłam dla was dwudniowy urlop. Zamelduję to jeszcze komendantowi i będziecie mogli wrócić na „Mastodonta”, przebrać się i wyjechać promem o czternastej. Weźcie mój rower, przepustkę znajdziecie u mnie na biurku; jeśli jej tam nie ma, to zwróćcie się do podoficera Dowling.

— Ale ja nie chcę iść na urlop — powiedziała Janet. Trzeci Oficer Collins stanęła zdumiona.

— Powiedziano nam przez telefon, że matka ma tylko was tutaj, i dlatego załatwiłyśmy ten urlop. Oczywiście musicie pojechać, Prentice. Musicie pojechać do domu i zobaczyć się z matką.

— Nie mogę odjechać, dopóki nie skończy się ten bałagan — obstawała przy swoim Janet. — Przynajmniej dopóki nie dacie zastępstwa.

— Czy Spikins nie da sobie rady sama przez te dwie doby, kiedy będziecie w domu? Pracujecie przecież niezależnie jedna od drugiej i ona poradzi sobie bez was.

— To jest właśnie pytanie, czy ona sobie poradzi nawet ze mną — odpowiedziała Janet przyspieszając kroku. — Ona ma już całkiem dosyć. Nie, naprawdę, jakoś wytrzymam. Nie ma przecież nikogo na zastępstwo. Czy to prawda, że jutro już będzie koniec?

— Zdaje się, że we wtorek — powiedziała panna Collins. — Chodzą słuchy, że po wtorku nie będzie się tu więcej lądować.

— Wobec tego pojedę do domu we wtorek — orzekła Janet.

— W każdym razie, Prentice, trzeba, żebyście zatelefonowali do matki. Janet zawahała się.

— Chciałabym to zrobić, ale naprawdę muszę wracać do tej jednostki, bo rozebrałam lewe działo. Język spustowy jest kompletnie suchy i zacina się. W każdej chwili mogą już teraz odpłynąć. Muszę lecieć na pokład i tego przypilnować. Czy nie dałoby się zatelefonować stąd, kiedy się już z tym załatwię?

— Na pewno się da — odparła panna Collins. — Pójdę do Lepe House i zamówię dla was rozmowę. Przyjdźcie tam zaraz, jak skończycie robotę w tej jednostce.

W kwadrans później Janet rozmawiała z matką z kamiennym wyrazem twarzy, suchymi oczami i rękami czarnymi od smarów.

— Mamo najdroższa — mówiła — sama nie wiem, co ci mam powiedzieć. Ciągłe jeszcze nie mogę sobie tego uprzytomnić. W jaki sposób się dowiedziałaś?... Ach, tak, jaki on dobry. Wiem — ale lepiej nie mówić o tym przez telefon. Słuchaj, mateńko, kto jest teraz z tobą?... Czy ona będzie mogła zostać na niedzielę? Mamo, ja bardzo chcę do ciebie pojechać, ale nie mogę się stąd ruszyć przed wtorkiem. Inwazja, mamo — od czterech dni nie kładłam się do łóżka. Robota idzie dniem i nocą. Ale myślę, że uda mi się przyjechać we wtorek... O, tak, czuję się zupełnie dobrze... Śpimy wspaniale, ale po troszku, rozumiesz: między jedną flotyllą a drugą... Opowiem ci wszystko, jak przyjadę. Postaram się o długi urlop, gdy tylko to się skończy, ale, mateńko, naprawdę nie mogę przyjechać przed wtorkiem. Tatuś na pewno by sobie tego nie życzył. Powiem ci wszystko, kiedy się zobaczymy. We wtorek. Uważaj na siebie, mamo. Będę w domu we wtorek, ale pewnie późno. Zadzwoń znowu jutro albo w poniedziałek.

Janet telefonowała z pokoju na parterze, w którym była kancelaria jakiegoś kapitana. Pokój był teraz wolny, bo kapitan J.3 znajdował się w owej chwili po tamtej stronie Kanału. Po odłożeniu słuchawki dziewczyna siedziała jakiś czas bez ruchu, strasznie zmęczona. Przez okno widać było następny statek zbliżający się do pochylni i długi szereg wypełnionych ciężarówek i la-

wet czekających na załadowanie. Wstała wreszcie sztywno i wyszła na korytarz. W pokoju naprzeciwko panna Collins czekała na Janet i wyszła na jej spotkanie.

— Połączenie było w porządku?

— Tak jest — odparła Janet. — Dziękuję bardzo, że pani pozwoliła mi skorzystać z tego pokoju i w ogóle zatelefonować stąd. Czy będę mogła jutro zadzwonić jeszcze do mamy?

— Naturalnie. Załatwię to dla was. O której chcielibyście zadzwonić?

— Chyba w porze podwieczorku. Mama wtedy zawsze jest w domu.

— Przyjdę tu około czwartej i postaram się, żebyście wszystko mieli załatwione. A może wróćcie teraz na „Mastodonta”, żeby trochę odpocząć, co?

— Wolałabym tu zostać, jeżeli można. O, już nadpływa następna jednostka.

Wróciła do roboty w zupełnym otumanieniu. Wśród ryku silników, gdy samochody ciężarowe i lawety wjeżdżały tyłem na statek, razem z marynarzami zabrała się do ładowania na pokład amunicji. W pół godziny później nastąpiła krótka przerwa między odjazdem tej jednostki z przystani a przyjazdem następnej po ładunek; przerwa wystarczająca na zapalenie papierosa, ale nie na żal po czyjejs śmierci. A potem pracowała dalej. Obsłużyli flotyllę około trzeciej po południu i wtedy Janet poszła do baraku, gdzie zjadła parę kanapek z wołowiną i kawałek ciasta z marmoladą popiwszy je dwoma filiżankami herbaty. Potem położyła się na chwilę, żeby odpocząć, zanim nie zawołają jej znowu. Była zanadto zmęczona, aby myśleć jasno, zanadto znużona i otepiała, aby płakać. Leżała tak przez pewien czas, nieszczęśliwa i zboląła, aż wreszcie zasnęła.

Tego samego wieczora, około ósmej, „wrenki” zawezwano znowu do obsługi następnej flotylli i pracowały do pierwszej w nocy.

Przespały się chwilę, ale w pierwszym brzasku poranka, o wpół do piątej, nadjechała jeszcze jedna flotylla i robota szła dalej. Obsłużyły ją około dziewiątej rano i zjadły śniadanie. Ale gdy kończyły jeść, nowa para łodzi desantowych do przewozu czołgów kierowała się ku przystani, a kombinowany ładunek czołgów, podwozi i lawet czekał na drodze na swoją kolej.

W środku przedpołudnia nadpłynął rzeką kuter z Devem stojącym jak zwykle na dziobie z dumną miną. Viola podprowadziła łódź do statku, który właśnie stał po zachodniej stronie bariery na pochylni. Janet pracowała w drugiej jednostce po wschodniej stronie. Pies, który świetnie wiedział, jak się tu poruszać, wskoczył na pokład, stamtąd na pochylnię i zaczął biegać w kółko między czołgami i ciężarówkami szukając Janet. I wtedy dostał się pod koła Shermana.

Viola została w kutrze i nigdy nie dowiedziała się dokładnie, jak się to wszystko stało. Poprzez huk motorów i zgrzyt gąsienic na stalowym pokładzie usłyszała nagle rozpaczliwy skowyt. Wysunęła głowę ponad nadburciem desantowca i zobaczyła Janet biegnącą od strony statku stojącego po wschodniej stronie. Sherman posuwał się tyłem ku rampie nie mając prawdopodobnie najlżejszego pojęcia, co się stało. Na pochylni Janet wpadła na małą grupkę podoficerów i szeregowców wojsk lądowych otaczających psa, który

miotął się na przednich łapach, mając obie tylne strzaskane, i skowyczał z bólu.

— Och! Dev, mój pieseczku! — zawołała Janet i przyklękła obok niego. Poznał ją i na chwilę przestał skowyczeć, powąchał jej rękę, ale zawył znowu, gdy go dotknęła. Z rozpaczą podniosła oczy w górę i wzrok jej padł na rewolwer; spojrzała wyżej: rewolwer należał do młodego kapitana wojsk lądowych.

— Niech go pan zastrzeli — powiedziała. — Błagam pana, niech pan to zrobi.

Młody człowiek zawahał się chwilę.

— Czyj to pies?

— Mój. Proszę, niech go pan zastrzeli.

Oficer obejrzał się koło siebie; pochylnia była wybetonowana i zatłoczona ludźmi, czołgami i ciężarówkami.

— Tutaj nie mogę tego zrobić — powiedział. — Będzie rykoszet. Obawiam się, że trzeba będzie psa stąd ruszyć.

Dotknął jej ramienia i pomógł jej wstać z klęczek.

— Niech pani odejdzie na drugi koniec pochylni i stara się nie słuchać. Już ja to wszystko załatwię.

Spojrzała po raz ostatni na psa, który kiedyś należał do Billa, a potem odwróciła się i weszła pomiędzy ciężarówki i czołgi z twarzą zalaną łzami. Usłyszała tylko rozpaczliwy skowyt psa, gdy żołnierze przenosili go na miękkim piasku plaży, a potem dwa strzały. I te dwa strzały zakończyły jej służbę we WRENS.

Zdarzenia tego dnia opowiedziała mi w wiele lat później Viola Dawson, gdy siedzieliśmy w restauracji na Earls Court przy poobiedniej kawie.

— Nie mogłam wtedy zostać dłużej — mówiła — bo trzeba było zabrać paru oficerów w górę rzeki. Udało mi się wrócić do Lepe wczesnym popołudniem i gdy zacumowałyśmy kuter, pobiegłam na łodzi desantowe, żeby odszukać Janet, ale nigdzie jej nie było.

Znalazłam wreszcie May Spikins i zapytałam ją, gdzie może być Janet.

— Nie ma jej tutaj — odpowiedziała May. — Nie masz pojęcia, Viola, co się z Janet zrobiło dziwnego, płacze bez przerwy. Słuchaj, kochana, odzyskaj ją, musi tu gdzieś być, i zabierz ją z sobą na „Mastodonta”. Musi zameldować, że jest chora.

Viola odnalazła wreszcie Janet. Siedziała na wysuniętej plaży kilkaset metrów od pochylni, a łzy spływały jej po twarzy równo i nieprzerwanie. Od jakiegoś żołnierza pożyczyła łopatkę saperską i pochowała psa w miękkim piasku.

— No chodź, stara, ze mną — powiedziała Viola. — Nie ma sensu tu siedzieć.

— Powinam iść do roboty — mówiła Janet wśród szlochu — ale w żaden sposób nie mogę powstrzymać tego cholernego płaczu.

— No, więc nie możesz — powiedziała Viola. — Zabiorę cię kutrem do naszego baraku.

— Ale nie mogę stąd odejść. May Spikins nie obsłuży sama tych wszystkich statków. — I znowu rozplakała się.

— May da sobie radę. Przecież oni tam nie zużywają żadnej amunicji. Wiesz dobrze, że przez ostatnie dwa dni nie wystrzelili ani jednej serii. Poza tym od jutra rana nic się już tu nie będzie ładować.

Viola dała Janet swoją chustkę do nosa, dosyć zresztą brudną.

— Masz, weź to. Pójdę do komendanta i powiem mu, o co chodzi. Spotkała go przed barakiem.

— Starsza „wrenka” Prentice jest trochę zdenerwowana, panie komendancie. Czy mogłaby dostać zwolnienie na resztę dnia?

Zabrałabym ją kutrem do naszego baraku.

— Oczywiście — zgodził się. — Bardzo mi przykro z powodu tego psa, ale to był idiotyzm z waszej strony przywozić go tutaj.

Naturalnie niech jedzie z wami. Pracowała wspaniale, a ładowanie skończy się chyba dziś w nocy.

— Śmierć psa była ostatnią kroplą, która przeważyla szalę — mówiła Viola siedem lat później. — Jakie to dziwne, prawda? Trzymała się dobrze wtedy, gdy zginął brat pana i gdy zginął jej ojciec, ale śmierć psa ją wykończyła. Przypuszczam, że czuła się za niego odpowiedzialna czy coś w tym rodzaju.

— Możliwe — powiedziałem — a co się stało potem?

— Zabrałam ją do naszego baraku, a kiedy zobaczyła ją Trzeci Oficer Collins, zaraz zameldowała ją jako chorą. Na „Mastodencie” nie pozostał ani jeden lekarz marynarki wojennej, wszyscy brali udział w „Overlordzie”. Ale był jakiś amerykański doktor z *Lend-lease* i ten posłał Janet na urlop chorobowy.

— Jak długo była na urlopie? — zapytałem.

— W ogóle już nie wróciła — odparła Viola. — Przez parę miesięcy siedziała w Oksfordzie pod opieką jakiegoś naszego lekarza. Pojechałam tam kiedyś do niej w czasie urlopu, ale Janet była taka jakaś... no, dziwna. W dalszym ciągu płakała dosyć często i była roztrzęsiona. Prawdę mówiąc, to po inwazji nie byłoby nawet dla niej wiele do roboty w marynarce. Gdzieś w sierpniu poszła w Londynie do urzędu i tam ją zwolnili z wojska, zdaje mi się, na tej podstawie, że musiała pielęgnować matkę.

Viola zamilkła i potem wreszcie powiedziała z zadumą w głosie.

— A chodziło pewnie o to, że Janet już się wcale nie nadawała do służby w marynarce.

Rozdział VI

Gdy w 1948 roku pojechałem powtórnie do Oksfordu, zużyłem dużo czasu na próby odszukania Janet Prentice. Dowiedziałem się wkrótce, że matka jej zmarła w roku 1946, a Janet z Oksfordu wyjechała. Dom przy Crick Road sprzedano, a meble wystawiono na licytację; wyglądało na to, że wszystko zostało spieniężone. Udało mi się odnaleźć pośrednika, który zajmował się sprzedażą domu, ale nie znał on adresu panny Prentice, chociaż wskazał mi bank, gdzie wpłacił pieniądze. Widziałem się z dyrektorem banku i ten potwierdził wiadome mi szczegóły. Konto bankowe jednakże zostało zamknięte i adresu nie zostawiono. Należność nie wyniosła wiele, bo dom był obciążony hipoteką, a zresztą w tych czasach sprzedaż dużych obiektów nie popłacała. Dyrektor banku przypuszczał, że panna Prentice wyjechała za granicę.

Gdy odnalazłem po wojnie May Spikins, wówczas już May Cunningham, pamiętała, że towarzyszem profesora Prentice w chwili zaciągu do Morskiego Korpusu Obserwacyjnego był niejaki pan Grimston. Wkrótce potem potwierdziła ten szczegół i Viola Dawson, chociaż na razie nie mogła sobie przypomnieć tego nazwiska, dopóki go jej nie podpowiedziałem. Udałem się więc do głównej kwatery Królewskiego Korpusu Obserwacyjnego w Oksfordzie i okazało się, że pan Grimston jest nadal czynnym członkiem miejscowego koła, wysoko cenionym za wojenną służbę na morzu. Wybrałem się kiedyś po południu do Cowley, gdzie prowadził sklep kolonialny, żeby się z nim zobaczyć. Pan Grimston poprosił, abym zaczekał do zamknięcia sklepu, i wtedy zabrał mnie do siebie na herbatę.

Doskonale pamiętał przyjazd Janet Prentice do Royal Bath Hotel, ale nie potrafił mi powiedzieć, dokąd wyjechała z Oksfordu po śmierci matki. Właściwie nie znał rodziny profesora, a Janet widział tylko raz, właśnie wtedy. Pan Grimston jednakże mógł dać mi dokładną relację o śmierci doktora Prentice.

Doktor Prentice otrzymał przydział na „Elsie Davidson”, przybrzeżny parostatek towarowy należący do Towarzystwa Davidsona. „Elsie”, o nośności około czterech tysięcy ton, została wynajęta na czas inwazji na Normandię i z doków londyńskich zabrała ładunek transportu motorowego. Wypłynęła w konwoju z Southend piątego czerwca, a przybiła do brzegów Normandii koło Courseulles szóstego w południe, w sam dzień desantu. Ciągle w konwoju, zakotwiczyła się dość daleko od wybrzeża i tam pozostała przez całe popołudnie i wieczór, nie narażona na specjalne niebezpieczeństwo, bo na tym odcinku Niemcy cofnęli się znacznie w głąb lądu. Według pierwotnego planu statki przewożące transport motorowy powinny były zrzucić swój ładunek na Rhino-promy. Pojazdy mechaniczne, które były na pokładzie, wraz z załogami wojskowymi wiozły przeważnie

amunicję artyleryjską dla czołgów na pierwszej linii frontu i oczywiście były tam z niecierpliwością oczekiwane. Rhino-promy były to ogromne tratwy stalowe długości stu pięćdziesięciu stóp albo i więcej, zbudowane z prostokątnych stalowych kesonów połączonych razem, a poruszane dwoma sześćdziesięciokonnymi silnikami na benzynę przy rufie. Pojazdy mechaniczne miały być wysadzone na prom za pomocą dźwigów okrętowych, a prom z kolei miał je odstawić do plaży zatrzymując się przed nią na głębokości około dwóch stóp, bo takie było jego najmniejsze zanurzenie. Następnie pojazdy miały odjechać z promu po rampie, przeprowić się przez mieliznę i plażę i posuwać się dalej w głąb łądu, w stronę stanowisk artyleryjskich.

Okazało się jednakże, że wobec fatalnej pogody w dzień desantu prom był nie do użycia, chociaż działał zupełnie dobrze w czasie próbných manewrów. Po prostu miotła nim fala i przy słabym napędzie ani rusz nie mógł posuwać się pod wiatr. Ta okoliczność była jednak przewidziana i zaplanowano drugi sposób wyładowywania transportu mechanicznego ze statków handlowych. Następnego dnia po *D-day*, o świcie, okręty podplęły pod wybrzeże i osiadły na piasku w godzinę po wysokiej wodzie, tak że przy odpływie sterczały na suchym gruncie i własnymi dźwigami mogły ustawić ciężarówki obok siebie na piasku. I tak wyładowano je wszystkie bezpiecznie. Ale ten sposób przybijania do brzegu wielkich stalowych okrętów był przedsięwzięciem dość ryzykownym, gdyż powrotu ich oczekiwano niecierpliwie w Anglii do dalszego przewozu i koncentracji armii. W razie ich uszkodzenia przy wybrzeżu Francji cała inwazja mogła się załamać po upływie tygodnia z powodu braku zaopatrzenia. Okazało się jednakże, że ci, co plan opracowali, znali się na rzeczy; okręty zostały minimalnie uszkodzone i co wieczór odpływały do Anglii po nowy ładunek.

S/P „Elsie Davidson” przybił do brzegu o świcie razem z resztą konwoju, a w południe cały ładunek został złożony obok na mokrym piasku i odjechał na łąd. W tym samym czasie Niemcy cofnęli się o kilka mil w głąb i okrętom przy brzegu nie groziło specjalne niebezpieczeństwo, chociaż teren nie został jeszcze całkowicie oczyszczony i w zrujnowanych domach została garstka strzelców wyborowych niepokojąc strzelaniną. Od czasu do czasu zaś pojedynczy pocisk moździerzowy przefruwał z jakiegoś stanowiska w głąbi łądu, padał na wybrzeże i wybuchał. Wojsko miało niemało kłopotu, żeby wymacać gniazdo moździerza.

Na pokładzie „Elsie Davidson” nikt prawie nie spał od chwili wyjazdu z Londynu i wobec tego, że po zrzućeniu ładunku pozostawało jeszcze sześć czy siedem godzin, zanim statek będzie mógł spływać na wodę, większa część oficerów i załogi poszła na koje trochę odpocząć, co im się uczciwie należało przed drogą powrotną. Przez cały dzień nie pokazał się żaden samolot nieprzyjacielski, mimo to kapitan kazał obsłudze zostać przy działach, ale kano-nierzy także usnęli zwinąwszy się obok na pokładzie. Doktor Prentice nie zeszedł do kabiny w ten wielki dzień swego życia, bo jako identyfikator samolotów musiał zostać na moście, a zresztą to, co się rozgrywało na wybrzeżu przed jego oczami, było zbyt fascynujące, żeby mógł dobrowolnie stąd odejść. Kapitan postarał się dla niego o leżak, a potem, gdy już skończono

wyładunek i ostatni żołnierz opuścił pokład, poszli razem na obiad; ale profesor załatwił się szybko z posiłkiem, zasiadł z powrotem za ochroną z płótna żaglowego w rogu pomostu kapitańskiego i po chwili ten stary i zmęczony człowiek delektujący się rolą, jaką mu dano odegrać w obecnej wojnie, zasnął także.

Wkrótce po godzinie trzeciej przyfrunął jeden z tych pocisków mózdzierzowych puszcanych na chybił-trafił i rozprysnął się na pomoście parowca Elsie Davidson" o parę kroków od śpiącego starca. Los zrządził, że steward, który mu właśnie niósł dzbanek z herbatą, został zabity na miejscu na trapie prowadzącym na pomost. Doktor Prentice zmarł w parę minut później, prawdopodobnie nie ocknąwszy się ze snu.

Żołnierze szukali mózdzierza przez cały dzień, bo najwidoczniej wyrzucał ogień z punktu znajdującego się daleko za naszym frontem. Przed samą nocą natknęli się na dwie dziewczyny, które siedziały tu od rana na przełazie w płocie kiwając do żołnierzy przejeżdżających na ciężarówkach wzdłuż drogi i dowcipkując z tymi nielicznymi, którzy szli piechotą. Dziewczyny były niczego, we włosach miały trójkolorowe wstążki i machały francuskimi chorągiewkami do mijających je samochodów ciężarowych. Ale były to Niemki i w gąszczu pokrzyw, tuż za płotem, miały mózdzierz i zapas amunicji. Gdy ruch się uspokajał i nikogo nie było w pobliżu, wypuszczały pocisk i wróciwszy na płot patrzyły, jak leci ku plaży. A wyglądały, jakby do trzech nie umiały zliczyć. Gdy wreszcie wojsko wykryło stanowisko mózdzierza i zaarrestowało obie dziewczyny, ludzie nie mogli uspokoić się ze śmiechu. W ten ponury dzień wydało im się to niesamowitym kawałem.

Tak zginął profesor Prentice. Gdy widziałem się z panem Grimstonem w Cowley, zapytałem, czy Janet były wiadome te groteskowe szczegóły związane ze śmiercią ojca, ale przypuszczał, że raczej ich nie znała. On sam dowiedział się o nich od kolegów z innego statku, który osiadł na plaży na kilka dni, zanim udało się go spuścić na wodę, a oni z kolei usłyszeli całą historię od ludzi z załogi komendanta wybrzeża. Pan Grimston wahał się, czy powtórzyć to wszystko pani Prentice, ale zdecydował tego nie robić, bo mógłby tylko niepotrzebnie przysporzyć jej zmartwienia. Nie sądził także, aby ktoś inny mógł jej o tym powiedzieć.

Jak wspominałem poprzednio, nie spotkałem się już nigdy z Janet Prentice. Miałem ten zamiar, ale w zgiełku wojny okazało się to niemożliwe. W sierpniu 1944 roku, gdy tylko udało mi się znaleźć trochę czasu w nawale roboty, która spadła na mnie w okresie inwazji, napisałem do niej list z propozycją spotkania adresując go na „Mastodonta”. Ale nie otrzymałem odpowiedzi. List mógł wcale do niej nie dotrzeć, gdyż wyszła już wtedy z marynarki i zmieniała różne zakłady, gdzie leczyła się, bo nerwy jej były w fatalnym stanie. Viola Dawson pamiętała adres jednej z tych lecznic, zakład Mary Somers w Hanley, i pojechałem tam zobaczyć się z siostrą przełożoną, która pamiętała ten przypadek. Janet Prentice była u nich około dwóch miesięcy jesienią 1944 roku. Siostrze przełożonej utkwiała w pamięci jako dziewczyna zobojętniała na wszystko, opanowana poczuciem winy za jakieś wyi-

maginowane przewinienie z okresu wojny i ze skłonnościami samobójczymi. W zakładzie nie traktowano jej przypadku jako ostry, uważano, że potrzebuje raczej zajęcia i pomocy w dziedzinie psychicznej, a że miała matkę, którą mogła się zająć, miejscowy psychiatra spróbował skierować jej myśl ku służeńiu drugim i odrodzeniu poprzez pracę. Kto wie, czy list mój nie został celowo zatrzymany w tym właśnie zakładzie czy w innym, żeby nie spowodować recydywy.

Wtedy oczywiście nie miałem o tym wszystkim pojęcia. Wiedziałem jedno: nie otrzymałem odpowiedzi na swój list. Ale zanim zdażyłem się tym zaniepokoić, z powrotem już byłem na froncie i miałem bliższe, bardziej bezpośrednie kłopoty, zarówno jak intensywne przeżycia, które zaprzętały mi głowę.

We wrześniu 1944 roku spadłem o rangę w dół, do majora, i wyszedłszy z Dowództwa Myślistwa pojechałem do Aston Down przeszkolić się na Typhoonach. Nie mogę powiedzieć, aby mi się podobały te nowe maszyny z ciężkimi skrzydłami i olbrzymimi silnikami typu Sabre, ale faktycznie w Europie skończyła się już era Spitfire'ów. W ostatnim etapie wojny Luftwaffe była lepiej wyposażona od nas i zarówno nasze myśliwce, jak bombowce bojowe przeszły ciężką szkołę we Francji. Focke-Wulf Ta. 152 był lepszą maszyną myśliwską niż to, czym rozporządzaliśmy aż do chwili, kiedy do użytku operacyjnego oddano Tempesty, a jeśli chodzi o myśliwiec odrzutowy Messerschmitt 262, Niemcy wyprzedzili nas o całe niebo, chociaż podobno w pierwszych miesiącach swej działalności maszyna ta zabijała więcej Niemców niż Anglików z powodu wysokiej szybkości przy lądowaniu i nieodpowiednich silników. W każdym razie ten typ Messerschmitta był w użyciu i jeśli się go spotkało na Typhoonie czy Spitfirze, groziła śmierć niechybna, o ile nie miało się wielkiej przewagi liczebnej.

Z początkiem listopada 1944 pojechałem do Belgii i na lotnisku w Evere koło Brukseli objąłem dowództwo mojego dywizjonu Typhoonów. Każda maszyna strzelała ośmioma pociskami raketowymi i dywizjon był przeważnie używany do ostrzeliwania pociągów, mostów i pozycji obrony przeciwlotniczej. To ostatnie zadanie zresztą było prawie samobójstwem, bo niemiecka obrona przeciwlotnicza w tym okresie była celna i zażarta. Wprawdzie zasięg pocisku raketowego umożliwiał szybsze dokonanie przerwy w ogniu niż przy ataku przeprowadzanym za pomocą dział, ale mimo to liczba strat od chwili inwazji była ogromna. W moim dywizjonie złożonym z piętnastu maszyn przez całe miesiące straty utrzymywały się na wysokości dwóch samolotów tygodniowo, a z pilotów, którzy w czerwcu wylądowali z dywizjonem we Francji, został obecnie tylko jeden. Dwóch innych zakończyło już swoją turę operacyjną na froncie i zostało odwołanych. A wraz ze mną przybyło do Brukseli na Ansonie trzech nowych pilotów na zastępstwo do dywizjonu.

Był to dla mnie z początku ciężki i trudny okres. Morale w dywizjonie było nienajlepsze i wszyscy ze mną włącznie zdawali sobie doskonale sprawę, że nowy dowódca przez rok pozostawał poza frontem. A że przez rok taktyka walki myśliwców i bombowców poszła ogromnie naprzód, wyszedłem zupełnie z trybu. Łaska boska, że sam sobie zdawałem z tego sprawę.

Następnego dnia po przyjeździe miałem szczerą rozmowę z dowódcą grupy ryzykując być może taką taktykę wobec mojego D.F.C. i baretki. Uprzedziłem go, że przez pierwsze dziesięć dni nie powinien wiele oczekiwać od mojego dywizjonu i że wina za to będzie wyłącznie po mojej stronie. Ale potem na pewno osiągniemy dobre rezultaty. Pułkownik utyskiwał niemało, ale musiał się zgodzić. W ciągu tygodnia postępowałem bardzo ostrożnie, a przez ten czas doprowadziłem dywizjon do jakiegoś takiego porządku i wtedy dopiero zaczęliśmy się wypuszczać na małe wypadki.

Przekonałem się, że skuteczne ostrzeliwanie pozycji obrony przeciwlotniczej polega na zaplanowaniu natarcia z góry i na dobrej dyscyplinie. Można obniżyć procent strat, jeżeli odpowiednie maszyny puszczają ogień w odpowiednim kierunku i odpowiednim momencie. Nasze straty znacznie spadły, a jednocześnie spełnialiśmy robotę nie gorzej niż inni. Mieliśmy więcej trafionych pociągów na rozkładzie niż szwabskich maszyn. W ciągu sześciu tygodni na froncie zestrzeliłem na pewno jednego Messerschmitta 109 K, a drugiego prawdopodobnie. Ale zasadniczo nie wdawaliśmy się w walkę z niemieckimi myśliwcami, jeśli tylko dało się jej uniknąć, bo z pociskami rakietowymi na pokładzie nie mogliśmy im sprostać, a znowu po zrzuconiu ich naszym głównym zadaniem było wracać cało do bazy. Mieliśmy zwykle ochronę myśliwców, które były się za nas.

Ale wszystkiemu położył dla mnie kres dzień Nowego Roku 1945. Był to dzień masowego natarcia niemieckich myśliwców na nasze lotniska, kiedy zarówno RAF, jak i amerykańskie lotnictwo poniosło olbrzymie straty. Niemcy skoncentrowali wszystko, co mieli, i o świcie nadlecieli 650 Focke--Wulfami i 450 Messerschmittami w trzech szykach. W przeciągu godziny z większości naszych maszyn rozstawionych po lotniskach pozostały płonące szkielety wzdłuż pasów startowych. Mieliśmy za swoje tego ranka i w trakcie zbierania się po tej łaźni Szwaby nadleciały znowu. Wystartowałem właśnie z moim bocznym i na wysokości około dwustu stóp schowałem podwozie, przymknąłem gaz i ustawiłem skok śmigła. Spojrzałem przed siebie wyczuwając, że dzieje się coś niedobrego, i zobaczyłem wybuch pocisku śledzącego tuż obok mojej maszyny. Nastąpił gwałtowny wstrząs, gdy jakiś pocisk łupnął w płytę pancerną za moimi plecami. Śpiesznie opuściłem siedzenie i zobaczyłem, jak pode mną przechodzi jeden Focke-Wulf, a potem drugi. Za chwilę zaroilo się w powietrzu od nich i od naszych własnych pocisków obrony przeciwlotniczej. Radio mi zamilkło i zobaczyłem, jak mój boczny spada i rozbija się w płomieniach o jakiś budynek.

W powietrzu zakotłowało się teraz od samych nieprzyjacielskich maszyn, a podstawa chmur znajdowała się bardzo wysoko. Spikowałem nisko na moim Typhoonie zawracając na lewo. W dole, na ziemi, zdawało się, że wszystkie Fortresy, Dakoty, Typhoony i Spitfire'y płoną szeregami. Szwaby najwidoczniej zrobili nas na szaro. Jakiś Focke-Wulf znalazł się przez chwilę z prawej strony mego celownika i wypuściłem na niego wszystkie rakiety, głównie po to, żeby się ich pozbyć. Dwie trafiły odcinając mu lewe skrzydło, które przeleciało obok nie zaczepiając mnie na szczęście. A reszta maszyny runęła i potoczyła się po ziemi jak ognista kula.

Obracałem dalej drążkiem sterowym, ile sił mi starczyło, prawic na oślep, prawdopodobnie na wysokości trzystu czy czterystu stóp, ale straciłem już wszelką nadzieję. Niemieckich samolotów musiały być setki. W końcu któryś trafił mnie z boku potężnym strzałem. Nastąpił wybuch między mną a silnikiem, połowa przyrządów wyskoczyła z tablicy uderzając mnie w twarz, poczułem straszliwy ból w obydwóch nogach i gorący wiew palącej się gumy, co ostrzegło mnie, że maszyna jest w płomieniach. Przepchnąłem manetkę zrywając plombę i wystrzeliłem prosto w chmury. Dzięki Bogu nie miałem żadnego samolotu na ogonie. Wyrzuciłem budę, wyrwałem wtyczki od radia i tlenu i każdą ręką osobno udało mi się podciągnąć do siebie nogi, mimo bólu, który ten ruch mi sprawił. Potem pociągnąłem drążek ku sobie, odwróciłem maszynę na plecy i odczekawszy chwilę oddałem drążek sterowy do przodu, po czym wyrzuciło mnie jak należy na wysokości prawdopodobnie około dwóch tysięcy stóp. Miałem jeszcze na tyle przytomności, żeby otworzyć spadochron, ale potem musiałem już chyba zemdleć, bo nie pamiętałem żadnego szczegółu z drogi w dół czy lądowania. Ocknąłem się dopiero siedząc na śniegu; kilku ludzi z RAFu krzątało się koło mnie zakładając mi tur-nikiety na nogi: jednej stopy nie miałem w ogóle, a druga była w strasznym stanie. Niedaleko było stanowisko Boforsa; miałem szczęście, że wylądowałem blisko jakiejś pomocy, bo krwawiłem jak zarżnięta świnia. Potem zjawił się lekarz, dał mi zastrzyk w ramię i znowu straciłem przytomność.

Tak skończyła się moja służba w RAFie.

W parę dni później odwieziono mnie Dakotą wprost z Evere na jedno z lotnisk niedaleko Shrewsbury w zachodniej Anglii, gdzie w tamtejszym szpitalu RAFu spędziłem cztery miesiące. Operowali mnie trzykrotnie w nadziei ocalenia lewej stopy, ale nic z tego nie wyszło. Wpadłem w depresję, bo nie ma powodu do wesołości, gdy straciło się obie stopy mając trzydzieści lat. Trudno wtedy zdać sobie sprawę, że z czasem człowiek przyzwyczai się do kalectwa i w przyszłości będzie zdolny cieszyć się życiem w tym samym stopniu co dawniej, tylko w inny sposób. Jako młody chłopak przepadałem za sportami zimowymi, zwłaszcza narciarstwem. Teraz wszystko to stawało się dla mnie niedostępne, zarówno jak pływanie i długie piesze wycieczki w góry. W szpitalu ogarniał mnie często czarny nastrój trwający całymi dniami i przeklinałem sam siebie, że w ogóle skakałem. Trzeba było mieć odwagę zdecydować się na śmierć. Niewielu miałem znajomych w Anglii poza kolegami z RAFu, a z biegiem czasu i oni rozproszyli się w różne strony. Zresztą nie chciałem widzieć nikogo. Ze wstydem przyznaję, że rzadko wtedy myślałem o Janet Prentice. A jeżeli nawet czasem mi się przypomniiała, stwierdzałem tylko cynicznie, że przecież nie zadała sobie trudu, żeby odpisać na mój list. Nie chępię się tym okresem rozczulania się nad samym sobą, ale ostatecznie taki był stan rzeczy.

Następnie przewieziono mnie do szpitala ortopedycznego w Clifton, pod samym Bristolem, i tam byłem do listopada 1945 roku. W szpitalu tym, gdzie dano nam protezy i uczono na nich chodzić, korzystaliśmy z dość dużej swo-

body, bo w skład leczenia wchodziło przyzwyczajanie nas do normalnego życia. Pieniądzy oczywiście miałem od ojca tyle, ile chciałem, bo ceny na wełnę były wysokie i gospodarstwo w Coombarganie szło dobrze pomimo plagi królików. Finansowo byłem dużo lepiej sytuowany niż większość moich towarzyszy szpitalnych. Pierwszą rzeczą, która nasuwała się w moim położeniu, było nabycie samochodu, który zapewniłby mi swobodę ruchów, ale i ten projekt natrafił na mnóstwo trudności i niepowodzeń. Nowych samochodów na rynku nie było, a model sprzed sześciu lat, kupiony wreszcie przeze mnie, przysparzał ciągłych kłopotów, z którymi sam nie byłem w stanie się uporać, bo początkowo nie mogłem się dłużej utrzymać na swych nowych nogach jak parę minut na raz. Osiągalny przydział benzyny, chociaż dość szczodry na ówczesne stosunki, był za niski na dalsze podróże po Anglii, a do nowych opon w ogóle nie miałem prawa. Wobec tego niewiele pozostawało godziwych rozrywek, na które mógłbym wydać pieniądze, toteż większa ich część szła na picie i dość kosztowne zabawy z pielęgniarkami. Za stary byłem już chyba na to, aby czerpać wiele przyjemności z dzikich uciech z kobietami.

Gdy opuszczałem szpital ortopedyczny chwiejąc się na nowych stopach, czułem się zupełnie rozczarowany Anglią i pragnąłem jedynie wrócić do mojej Coombargany, gdzie bądź co bądź świeci słońce i nie zabraknie mi benzyny ani nowych opon, jakiegokolwiek panowałyby przepisy. Tyle jeszcze miałem wiary w moich ziomków. Zamówiłem przejazd statkiem na luty nie mając najmniejszej ochoty na podróż samolotem i dostałem tyle benzyny na czarnym rynku, żeby dojechać do Newhaven. We Francji była nieograniczona ilość benzyny dla tych, którzy mieli pieniądze, aby za nią zapłacić; odzyskałem więc wreszcie swobodę ruchów, a gdy dotarłem na południe do Lyonu — i słońce pokazało się na niebie. Spędziłem przyjemnie parę miesięcy na zwiedzaniu południa Francji i Włoch z Rzymem włącznie i w tym okresie częściowo odzyskałem równowagę duchową.

Ale podróż okrętem zachwiała ją znowu. Na parę dni przed odjazdem do Australii wróciłem do Londynu, gdzie sprzedałem wóz i bez niego poczułem się, jakbym był sparaliżowany. W samochodzie byłem wolnym człowiekiem, zdolnym do zmiany miejsca i używania życia, ale bez samochodu, na pokładzie statku, stałem się pożałowania godnym kaleką. W czasie burzliwej pogody w zatoce przewróciłem się parokrotnie, raz w jadalni na oczach wszystkich pasażerów. Każdy ogromnie mi współczuł, co wprawiało mnie we wściekłość. Resztę podróży spędzałem przeważnie w kabinie, gdzie przynoszono mi nawet posiłki. Zacząłem się zastanawiać, czy nie jestem idiotą wracając do Coombargany, skoro nigdy już nie będę mógł jeździć konno. A do chwili mojego wyjazdu do Anglii cały przecież dozór majątku odbywał się konno.

Wśród pasażerów był niejaki Petersen z Rockhampton w Queensland, który stracił nogę pod Arnheim. Był to spadochroniarz i po tym wypadku resztę wojny przebył w niemieckim obozie jeńców. Był w podobnym stanie fizycznym i duchowym co ja i nabraliśmy zwyczaju co noc pić i gadać w mojej kabinie. Czasami zapraszaliśmy większe towarzystwo i grało się w pokera

o bardzo wysokie stawki. Nie zdarzyło się chyba ani razu w ciągu całej podróży, żebym szedł spać trzeźwy i wcześniej niż o drugiej nad ranem. Potem leżałem w łóżku do południa, wstawałem i siedziałem u siebie usiłując czytać i pijąc zdrowo aż do wieczora. Wtedy oziębiało się na dworze, ludzie ściągali z pokładu do środka i ja z kolei mogłem zaczerpnąć świeżego powietrza unikając ludzkich spojrzeń i współczucia. Potem podawano mi obiad w kabinie i zaczynała się część dnia na serio, to znaczy rozprawianie o wojnie i picie.

Dobiliśmy wreszcie do Fremantle, gdzie czekał na mnie ojciec. Zamówił dla nas obydwóch miejsce w samolocie do Adelajdy, ale nie miałem najmniejszej ochoty na podróż powietrzną. Tkwił we mnie wtedy silny opór przed lataniem, który minął dopiero po dwóch latach. Tatuś więc zabrał się ze mną do Adelajdy naokoło, statkiem, i trzeba powiedzieć, że był dla mnie fenomenalnie dobry. Ponieważ zauważył, że zalewam się alkoholem, zaczął pić razem ze mną nie opuszczając żadnej kolejki. Gdy gadałem o swoich przeżyciach wojennych — zaczynał opowiadać o swoich. W czasie tej podróży byliśmy co noc pod gazem i tata wygrał ode mnie w pokera mnóstwo swoich własnych pieniędzy. Dzięki ojcu powrót do domu nie był tak trudny, jak się tego obawiałem. Gdy przyjechaliśmy do Coombargany i tatuś wyrzekł się kieliszka ze względu na mamę, łatwo mi było pójść w jego ślady i także zwolnić tempo.

Harry'ego Drew poznał ojciec w czasie wojny i gdy zostali zdemobilizowani, zabrał go do Coombargany na stanowisko rządcy. Tatuś zawsze miał dobrego nosa w doborze ludzi. W tym czasie matka już niechętnie podróżowała, więc Harry sam wyjechał po nas do Adelajdy starym Bentley'em którego moi rodzice kupili jeszcze przed wojną. Tą lokomocją udaliśmy się do domu. Prowadziłem prawie cały czas i rozkoszowałem się, że siedzę przy kierownicy przyzwoitego samochodu. W aucie odzyskiwałem swobodę ruchów i mogłem, jak dawniej, dorównać każdemu.

W Coombarganie zorientowałem się od razu, że tatuś przywiózł z wojny sporo nowoczesnych pomysłów w dziedzinie mechanizacji majątku. Przed wojną Coombargana była prowadzona według dawnych tradycji, prawie wyłącznie w oparciu o konie. Nie zdaje mi się, żebyśmy mieli więcej niż jedną ciężarówkę w całym majątku; był wprawdzie stary traktor o napędzie naftowym, ale me przypominam sobie, żeby się go dużo używało, a pasza na zimę była silosowana w minimalnych ilościach. Pamiętam, że przed wojną używało się traktora do zaorywania pasów przeciwpożarowych, ale chyba nie orało się mm nigdy pastwisk; hodowla była oparta wyłącznie na naturalnych paszach zielonych, jakimi dysponowało się w naszych stronach, a całą właściwą robotę spełniały konie wierzchowe i pociągowe. Z osiemdziesięciu koni, które mieliśmy w Coombarganie, zostało obecnie dziesięć czy jedenaście.

Ale tatuś spędził większą część wojny w Północnym Okręgu, gdzie zetknął się z bliska z wysoce zmechanizowaną armią amerykańską; był świadkiem, jak pomiędzy Alice Springs i Darwin układano z niewiarygodną szybkością tysiące mil pierwszorzędnych szos asfaltowych. Był także świadkiem, jak dzięki nowoczesnym maszynom rolniczym farmy założone w „bushu” dla wyżywienia armii produkowały jarzyny już po paru miesiącach. Wszystko to

pilnie obserwował z myślą o Coombarganie, robiąc wybór między tym, co dałoby się zastosować u nas, a tym, co nie będzie przydatne. Gdy australijską jesienią 1946 roku dobrnąłem wreszcie do domu, okazało się, że ojciec zakupił szereg pojazdów mechanicznych z demobilu i chociaż większość ich w końcu okazała się niezdatna, bo były przeznaczone do innych funkcji, zyskałiśmy jednak wiele cennego doświadczenia. W tej chwili podwozie Brena niszczeje w krzakach, bo nie nadało się do żadnej funkcji, do jakiej chcieliśmy go użyć, a także nie mogliśmy do mego dostać zapasowych części, ale nauczyliśmy się na tym przykładzie, że w zimie konieczny jest dla nas wóz na gaśienicach. Wynikiem tego doświadczenia stał się nasz wielki ciągnik gaśienicowy Diesla. Ciężarówki Chevrolet z przednim i tylnym napędem, które ojciec wtedy kupił, ciągle jeszcze są w użyciu, natomiast jeepy dawno już ustąpiły miejsca Land Roverom.

Tatuz jednak ciągle jeszcze używał konia wierzchowego do objazdu majątku, chociaż żywił już ukrytą sympatię dla jeepa i zaczynał docierać samochodem tam, gdzie poprzednio dojeżdżał konno. Po przyjeździe do domu zrobiłem świadomy wysiłek, żeby okazać zainteresowanie majątkiem, chociaż wszystko wydawało mi się niezmiernie mało znaczące wobec sprawy, dla której działałem w ciągu ostatnich sześciu lat. Dla mnie oczywiście konna jazda była nie do pomyślenia, a w każdym razie bardzo niebezpieczna, więc na razie sprowadziliśmy nowy jeep do mojego osobistego użytku na terenie majątku. Ze swymi znajomościami z wojska tatuś mógł się łatwo dowiedzieć, co idzie na wyprzedaż, i udało mu się sprokurować dla mnie prawie nowy wóz, z którym nie czekały mnie żadne kłopoty. Wielka szkoda, że musiał to być właśnie jeep, chociaż wtedy ani ojciec, ani ja nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Człowiek w moim stanie zdrowia tak bardzo zależy przecież od swego auta; wóz ma dla niego nieporównanie większe znaczenie niż dla osób nieokaleczonych. Jeep był pod każdym względem identycznie podobny do tych wielu jeepów, które prowadziłem w czasie wojny. Tak samo jazgotał, miał ten sam kolor i te same kryte płótnem, pobrudzone siedzenia. W tym samym miejscu była umieszczona dźwignia gazu i ten sam był system kierownicy. Jeep więc stanowił zbyt silne ogniwo z okresem wojennym, aby to mogło być dla mnie zdrowe; bez ustanku nasuwał mi wspomnienia, które inaczej zatarłyby się na innym terenie i z biegiem lat. Gdy sobie trochę podpiłem, jechałem tym jeepem w ciemnościach wokół lotniska ku naszym rozstawionym Typhoonom. Jechał ze mną Samuelson i Driver, i Jack Carter. Jack Carter, który w godzinę później miał zderzenie z Driverem przy jednym celu i obydwaj runęli w masie płomieni. A znowu Samuelson zanadto obniżył się w locie nad pociągiem, dosięgła go niemiecka artyleria przeciwlotnicza i przed ostrzelaną przez siebie lokomotywą rozbił się na torze w słupie dymu, pary i popiołu, buchającym wysoko w niebo. W tamtym jeepie był mały uchwyt ponad tablicą, którego przeznaczenia nigdy nie byłem w stanie dociec, i przed wyruszeniem do naszych maszyn Jack Carter zostawił tam swoją fajkę. Zastałem ją na tym samym miejscu po powrocie z wyprawy. W chwili znużenia parę razy sięgnąłem po tę fajkę w coombargańskim jeepie i oczywiście jej nie znalazłem.

Gdy wróciłem do Australii, Helena była jeszcze w domu, ale planowała już podróż do Anglii na wiosnę; jak pies na smyczy rwała się do wyjazdu. Helenka była o sześć lat ode mnie młodsza i w innych okolicznościach mogłaby stanowić przyjemne towarzystwo, ale umysłowo należeliśmy do dwóch różnych światów. W Australii wojna wykopała chyba większą przepaść między młodymi mężczyznami i kobietami niż w Anglii, gdzie dziewczęta zostały powołane do wojska i służyły w różnych broniach jak mężczyźni. Służba wojskowa dla kobiet w Australii była znacznie łagodniejsza i Helena oraz jej przyjaciółki bez trudności jej uniknęły, prowadząc w czasie wojny swój dawny tryb życia. Pod pretekstem pracy społecznej związanej z wojną łatwiej im nawet było wyjechać ze wsi i wynająć mieszkanie w Melbourne. Wojna dla tych panien nie posiadała niemal cech rzeczywistości. W promieniu dwóch tysięcy mil nie spadła ani jedna bomba, nie spotkały się ze śmiercią i dyscyplina wojskowa nie narzuciła im kontaktu z dziewczętami z innej klasy społecznej. Z okresu wojny te młode kobiety wyniosły ten sam mniej więcej stan wewnętrzny, z jakim weń weszły. Nadal były chciwe podróży do Londynu i Paryża, tych siedlisk mody i kultury, dokąd nie mogły wybrać się wcześniej przez tę idiotyczną, niepotrzebną wojnę.

Po powrocie z wojny większość mężczyzn w Australii przyjęła swoje dziewczęta takimi, jakie były, stwierdzając, być może, że mężczyźni w ogóle są inni niż kobiety, a kobiety są właśnie takie. Ale ja nie byłem do tego zdolny. Gorycz i krytycyzm wyrobiło we mnie bez wątpienia kalectwo, ale poza tym w ciągu sześciu lat stykałem się z Angielkami służącymi w lotnictwie, które dzieliły wiele z moich przeżyć, podlegały tej samej dyscyplinie, opłakiwały razem ze mną tych samych przyjaciół i tak jak ja tłumiły w sobie cierpienie przy pomocy grogu i papierosów. Kobiety te mówiły tym samym językiem co ja i myślały na tę samą modłę. W porównaniu z nimi Helena i jej przyjaciółki wydawały mi się płytkie i trywialne; były to istoty wiecznie zaabsorbowane szczegółami stroju i sprawą przyozdabiania swojej osoby jak również niekończącymi się idiotycznymi zabawami.

Helenka ze swojej strony znalazła mnie ogromnie zmienionym przez wojnę, i to zmienionym na gorsze. Na tę wojnę wyruszyłem jako miły, łatwy w obejściu i inteligentny młody człowiek, dobry tancerz i narciarz, lubiany wśród znajomych. Wróciłem zaś jako nieprzyjemny, skwaszony kaleka, pogardliwie odnoszący się do jej przyjaciół i ich stylu życia, ostry i gorzki w języku i zalewający się alkoholem w ogromnych ilościach. Powrót mój, zdaje się, był ostatnią kroplą dla Helenki. Tak jak większość młodych australijek chciała wydostać się w szerszy świat i po miesiącu mojego pobytu w domu widać było, że tylko obroża i łańcuch zdołałyby zatrzymać ją w Coombarganie.

Wyjechała do Anglii statkiem w grudniu 1946 roku. Pogodziliśmy się w ostatniej chwili, bo rzeczywiście zachowywałem się wobec niej szkaradnie, i rozstaliśmy się na lepszej stopie, niż było to zaraz po moim powrocie do kraju. Po wyjeździe Helenki przestałem się widywać z jej kółkiem i tkwiłem w Coombarganie zupełnie samotny. Nie zależało mi na tych ludziach, ale mimo wszystko, tak jak to wyraził Barrie, przypominali stadko ptaków i gdy odesz-

li, zdawało się, że zabrali ze sobą słońce. W następnym okresie widywałem bardzo mało młodych kobiet. Sumiennie przykładałem się do opanowania wiedzy o sprawach majątkowych, ale nie zdołałem wypełnić tym sobie całego czasu. Niewiele już pozostawało mi do nauki, bo przecież wychowałem się w Coombarganie wśród tajników gospodarki hodowlanej i handlu wełną, i ostatecznie prowadzenie majątku nie jest aż tak skomplikowane. Ojciec był ciągle jeszcze czynny i zdolny do szybkich decyzji, a więc wcale nie gotów, żeby przekazać mi zarząd. Mieliśmy udział w hodowli bydła na mniej więcej tysiącu pięciuset milach kwadratowych w Północnym Okręgu. Farma była położona blisko Tennant Creek, około trzystu mil na północ od Alice Springs, i raz albo dwa razy do roku jeździłem tam na parę dni w zastępstwie ojca. Ale niewiele tam było ze mnie pożytku, bo na koniu rzeczywiście czułem się niepewnie, a daleko chodzić nie mogłem. W „bushu” musiałem zawsze mieć ze sobą kogoś z naszych ludzi, bo w razie gdybym spadł z konia, nie mógłbym go złapać, a nigdy w świecie nie dotarłbym z powrotem do osady na piechotę. Tyle tylko, że mogłem przejrzeć książki majątkowe i rozmówić się z pracownikami, a to oszczędzało ojcu trudów podróży.

Z Coombargany jeździłem dość często do Melbourne i zatrzymywałem się na pewien czas w klubie pod takim pretekstem, jak na przykład pokaz rolniczy czy wystawa maszyn lub nabycie czegoś dla majątku, co równie dobrze mogłem załatwić listownie. Mimo wszystko nie udawało mi się wypełnić czasu. Z braku innego zajęcia wydobyłem swoje prawnicze podręczniki i zabrałem się do dawnych, przedwojennych studiów w Oksfordzie, które od tamtej pory prawie zupełnie wywietrzały mi z głowy. Wśród tych spokojnych miesięcy na wsi przystosowywałem się stopniowo do swego kalectwa i zorientowałem się, na co sobie mogę pozwalać, a co jest dla mnie niebezpieczne. W miarę jak czułem się pewniej na nogach, poprawiło się także trochę moje usposobienie.

W Zachodnim Okręgu żyje się dość samotnie, bo żeby odwiedzić kogokolwiek ze znajomych, trzeba wsiąść w samochód i jechać dobry kawał drogi. Niewiele kobiet starało się ze mną zetknąć, co zresztą było może zrozumiałe, miałem zaś tak niewiele wspólnego z tymi, które się o to starały, że z kolei ja nie szukałem ich towarzystwa. Z biegiem czasu coraz częściej wracałem myślą do Anglii. W chwili wyjazdu Anglia mnie drażniła i zależało mi, aby jak najprędzej wydobyć się stamtąd i wrócić do Coombargany. Teraz znowu, kiedy byłem w domu, wydawało mi się, że coś nie gra w Zachodnim Okręgu; po sześciu wojennych latach w Anglii lepiej byłem dostrojony do tamtejszych trudności niż do życia po różach i do zamożności w moim rodzinnym domu. W Anglii odczuwało się napięcie i braki, ale toczyło się tam realne i ważne życie, a ludzie mieli podobny sposób myślenia jak i ja.

Gdyby żył Bill i przyjechał do Coombargany z Janet Prentice, wszystko ułożyłoby się zupełnie inaczej, bo wtedy byłoby nas troje, małe dziecko zaludnione przez trójkę istot złączonych tymi samymi przeżyciami. Ale ja byłem sam. Z biegiem miesięcy zacząłem niepokoić się o Janet. Napisałem do niej w swoim czasie i nie otrzymałem odpowiedzi, ale teraz zaczęła mnie nękać świadomość, że nie powinienem był na tym poprzestać. O ile wiedzia-

łem, była to jedyna kobieta, w której Bill się kochał. Wtedy kiedy był zmęczony i wyczerpany nerwowo, przed samą zresztą śmiercią, była dla niego bardzo dobra i za to samo Coombargana miała względem niej ogromny dług wdzięczności. Nie mogłem pozbyć się uporczywego wspomnienia o tej bezpośredniej dziewczynie o szarych oczach, dającej sobie radę we wszystkim, co robiła, dziewczynie w marynarskich spodniach, trykotowej bluzie i dul-fle'u na tle szarej rybackiej łodzi — o dziewczynie, którą kochał Bill. Czułem, że trzeba było zrobić większy wysiłek i utrzymać z nią kontakt. Mogła być stać się przyjacielem naszej rodziny, bo zasługiwała na przyjaźń z naszej strony. Dotychczas nic o niej nie mówiłem rodzicom, ale teraz wydało mi się, że powinni wiedzieć o jej istnieniu. Na razie nic jednakże nie powiedziałem, bo taka młoda panna mogła być przecie wyjść za mąż i los mógł się jej pomyślnie ułożyć. Za to w październiku 1947 roku napisałem do niej list. List był utrzymany w tonie swobodnej pogawędki i zaczynał się od usprawiedliwienia, że po śmierci Billa nie poczyniłem bardziej energicznych starań, żeby nawiązać z nią kontakt. Następnie opowiedziałem jej o swoim wypadku i kalectwie i o tym, jak mi się obecnie życie ułożyło. Prosiłem ją o przebaczenie za długą przerwę w naszej znajomości i dodałem, że powinniśmy utrzymywać z sobą kontakt. Zapytałem także, co się z nią działo w okresie powojennym. Miałem trochę trudności z adresem, bo wprawdzie pamiętałem, że mieszkała w Oksfordzie przy Crick Road, ale nie znałem numeru domu, więc dla pewności umieściłem na kopercie adres zwrotny i wysłałem list pocztą lotniczą. Po trzech miesiącach zwrócono mi go pocztą morską w urzędowej kopercie. Na ukos dopisano ołówkiem: „Adresat wyjechał, nowy adres nieznany”. Zwrot listu trochę mnie speszył. Otworzyłem go i przeczytałem to, co wyszło spod mojego pióra trzy miesiące temu. Wydało mi się, że jest to zupełnie rozsądne, więc tylko dodałem parę słów na końcu i wysłałem list znowu, tym razem pod adresem doktora Prentice w Oksfordzie, Wyckham College, dla panny Janet Prentice. Na kopercie znowu umieściłem adres zwrotny. I znowu list mi zwrócono pocztą morską po mniej więcej dwóch miesiącach, z krótką notatką kwestora Wyckham College w załączeniu, że widocznie nie wiem o śmierci doktora Prentice, który zginął w 1944 roku w czasie służby wojskowej. Zaś po śmierci matki w 1946, panna Prentice wyjechała z Oksfordu i kwestor nie zdołał dowiedzieć się jej obecnego adresu. Wobec tego nie pozostawało mu nic innego jak odesłać mi mój list z powrotem. Wszystko to zajęło sporo czasu i zwrot ostatniego listu nastąpił już w marcu. Zgryzłem się tym więcej, niż się sam przed sobą przyznawałem. Bo przecież okazało się, że kobieta, którą kochał Bill, przeżywała ciężkie chwile właśnie w tym okresie, kiedy ja pogrążyłem się w otchłani rozczulenia nad swoim losem. Straciła nie tylko Billa, ale w tym samym roku zginął na służbie jej ojciec. Janet wspominała nam, że doktor Prentice weźmie udział w wyprawie normandzkiej jako identyfikator samolotów na statku handlowym. Tam widocznie zginął i w takim razie dziewczyna straciła i narzeczonego,

i ojca w odstępie jednego miesiąca. W przeciągu kilku tygodni straciła obydwóch mężczyzn, którzy odgrywali tak wielką rolę w jej życiu. Byłby to okrutny cios dla każdej młodej dziewczyny, nawet tak zrównoważonej i wyrobionej jak Janet Prentice. Teraz znowu dowiedziałem się, że w dwa lata później straciła matkę i wyjechała zrywając kontakt z dawnymi przyjaciółmi i kolegami ojca w Oksfordzie.

Po otrzymaniu tego listu bardzo źle spałem przez kilka nocy. Przecież Bill kochał tę dziewczynę i w Coombarganie otoczylibyśmy ją opieką w ciężkich chwilach. Jeśli nie uczyniliśmy tego, to tylko przez moje lenistwo i egocentryzm. Nie zdawałem sobie dokładnie sprawy, co by się dało dla Janet zrobić, ale w każdym razie byłoby się czegoś próbować. Mieliśmy przynajmniej jedną rzecz, którą ewentualnie można ulżyć w kłopotach, a mianowicie pieniądze. Może o tym nie wiedziała, ale wychodząc za męża za Billa weszłaby w bardzo zamożną rodzinę. Miałem pewność, że i ojciec, i mama, gdyby tylko dowiedzieli się o istnieniu Janet i o tym, czym była dla Billa, odczuwaliby te sprawy podobnie jak ja: że należała do rodziny, że była córką domu.

Napisałem teraz zupełnie otwarcie do kvestora Wyckham College, bo nic nie miałem do stracenia wykładając wszystkie karty na stół. Podziękowawszy za zwrot mojego listu, poinformowałem go, że panna Prentice była zaręczona z moim bratem, który służył w piechocie morskiej i zginął w 1944 roku najwidoczniej na krótko przed śmiercią jej ojca. Napisałem mu także cośkolwiek o sobie jako usprawiedliwienie, dlaczego straciłem z Janet kontakt, i zaznaczyłem, że mojej rodzinie i mnie bardzo zależy na skomunikowaniu się z nią. Poprosiłem następnie, aby poczynił starania o uzyskanie adresu Janet. Gdyby wolał skontaktować ją bezpośrednio z nami, byłbym ogromnie wdzięczny za przekazanie Janet mojego adresu i prośby o listowną wiadomość o sobie.

Po paru tygodniach przyszła odpowiedź pocztą lotniczą. Kwestor donosił, że opóźniał wysłanie listu do chwili, kiedy uda mu się dowiedzieć czegoś konkretnego, ale z przykrością musi stwierdzić, że nie poszczęściło mu się w poszukiwaniach. Prentice'owie nie mieli widocznie żadnych krewnych w Oksfordzie. Doktor Prentice pochodził, zdaje się, z Londynu, a został „donem” w Wyckham College mniej więcej trzydzieści lat temu. Miał brata, który pracował na Uniwersytecie Stanford w Stanach Zjednoczonych, ale zmarł on podobno szereg lat temu. Druga córka, siostra panny Janet Prentice, wyszła jakoby za męża i mieszkała w Singapoore, ale nie udało mu się dowiedzieć nazwiska jej męża. Natomiast odnalazł posługaczkę, panią Blundell, która dwa razy na tydzień przychodziła do pani Prentice aż do dnia jej śmierci w październiku 1946 roku. Pani Blundell powtórzyła mu to, co powiedziała jej Janet, że wybiera się na stałe do ciotki zamieszkałej w Settle. Było to miasteczko w zachodniej części hrabstwa Yorkshire, w odległości około czterdziestu mil na północo-zachód od Leeds. Kwestor zwrócił się więc do naczelnika poczty w Settle z zapytaniem, czy osoba o nazwisku Prentice mieszka w tej okolicy. Odpowiedź brzmiała, że o takiej osobie nikomu nic tu nie wiadomo.

Nasuwała się jeszcze możliwość, pisał dalej kvestor, że panna Prentice wyszła za męża i mieszka w tamtych stronach pod innym nazwiskiem, ale wo-

bec szoku nerwowego, na który cierpiała po skończonej wojnie, la cweiiituał ność była, jego zdaniem, raczej nieprawdopodobna. Wyrażał ubolewanie, że nie był w możności udzielić większej pomocy. Jako koledze i staremu przy ja cielowi doktora Prentice bardzo mu zależało, aby uczynić wszystko, co się da, dla jego córki; miał nadzieję, że nie zawaham się zwrócić do niego powtórnie, jeżeli jeszcze będzie się mógł na coś przydać w tej sprawie.

List ten dotarł do mnie w maju 1948 roku i zawierał rzeczywiście złe wiadomości. Więc ta dziewczyna, której się tyle od nas należało, przeżywała aż tak ciężkie chwile, że po wojnie załamała się nerwowo. Orientowałem się na tyle w stosunkach uniwersyteckich, żeby wiedzieć, iż po śmierci rodziców córka „dona” odziedziczyła pewnie niewiele pieniędzy, a w życiu cywilnym miała przypuszczalnie bardzo niskie kwalifikacje zarobkowe. Skończyła naukę szkolną nie wyuczywszy się żadnego zawodu, w czasie wojny zaś zapoznała się z konstrukcją dział automatycznych, co nie dawało wielkich możliwości w życiu cywilnym. Gdyby nie ta choroba nerwowa, byłaby sobie poradziła dzięki wrodzonej bystrości, a przy solidnym podejściu do pracy urządziłaby się jakoś w czasie pokoju. Ale przy takim obrocie spraw przyjęła pewnie posadę gospodyni czy towarzyszki u jakiejś starszej krewnej i żyła w Anglii w warunkach prawdopodobnie dalekich od dostatku. Narzucało mi się silne przekonanie, że Janet należała do Coombargany, że byliśmy odpowiedzialni za jej los i naszym obowiązkiem było o nią się zatroszczyć. Coombargana powinna jej to dać, Była narzeczoną Billa, ciężko dotkniętą przez los.

Pełen niepokoju i rozterki rozważałem to wszystko przez parę dni. Obraz zaradnej starszej „wrenki” o świetlistych oczach tkwił mi żywo w pamięci; wtedy w Lymington, zakochana w Billu, wydała mi się dziewczyną pełną uroku i uważałem, że chłopak ma szczęście. Ze zgrozą myślałem, że może wcale już taka nie jest, że ciężkie przeżycia i bieda postarzały ją, zmieniły i odebrały jej wiarę we własne siły, a taka była bezpośrednia i pewna siebie. Ale przecież nie upłynęło od tego czasu aż tak wiele lat, chociaż mnóstwo się w tym okresie zdarzyło. Janet była zaledwie o cztery lata starsza niż w dniu, kiedyśmy się poznali i pojechali na piknik motorówką. Przy oparciu moralnym, dobrobycie i w serdecznej atmosferze mogła odzyskać znaczną część utraconej młodości. Tak czy inaczej, musimy dać jej znać, że rodzina Billa przechowuje nadal serdeczną o nim pamięć i wobec tego obchodzi ją kobieta, którą Bill kochał i którą by poślubił.

Odnaleźć Janet i dopomóc jej tkwiąc w Coombarganie było sprawą trudną, jeśli nie zupełnie niemożliwą, ale trudności można przezwyciężyć. Nic właściwie nie zatrzymywało mnie w Australii, bo ojciec mógł sobie doskonale dać radę beze mnie, i uda mi się na pewno wyjechać do Anglii, jeśli zechcę. Będzie to nawet całkiem łatwe i osiągalne, bo przecież byłem nadal stypendystą im. Rhodesa, mając za sobą zaledwie połowę kursu w Oksfordzie, a właśnie Oksford będzie prawdopodobnie miejscem, gdzie da się odnaleźć nią, która mnie może doprowadzić do Janet Prentice. Przypuszczalnie w dalszym ciągu miałem prawo wrócić do mego kolegium, skończyć studia i zdać egzamin dyplomowy na prawie. Tą drogą, czułem to, uda mi się na pewno odnaleźć Janet.

Rodzicom nic o niej nie powiedziałem, być może dlatego, że wstyd mi było przyznać się do roli, która w całej sprawie odegrałem, albo raczej której nie odegrałem. Ociągałem się z jakąkolwiek wzmianką o niej do chwili, kiedy ją odnajdę i przekonam się, co się z nią dzieje. Rodzice nic tu poradzić nie mogli, a zresztą wszystko to było tak bardzo osobiste. Gdy ją wreszcie znajdę, okaże się może, że szczęśliwie wyszła za mąż i jest zabezpieczona na przyszłość; w tym wypadku nie byłoby racji zwracać ku niej zainteresowania starszego pokolenia; prawdopodobnie lepiej było tego nie robić. Zupełnie wystarczy, jeśli powiem o niej rodzicom wtedy, kiedy okaże się, że mogą jej być pomocni.

W dwa dni po otrzymaniu listu od kwestora poruszyłem z ojcem zagadnienie mego powrotu do Oksfordu.

— Chciałbym jednakże wykorzystać do końca stypendium, uzyskać dyplom i może także wejść do adwokatury — powiedziałem. — Skoro to rozpocząłem, tatusiu, wolałbym skończyć. A tutaj niewiele jest dla mnie roboty, dopóki ty czujesz się nieźle, prawda?

— Masz na myśli, że dla nas dwóch nie ma tu dość roboty? — zapytał ojciec.

— Tak — odparłem.

— Kiedy wróciłeś, miałem nadzieję, że się ożenisz i będziesz miał własny warsztat pracy. Myśleliśmy tak oboje z matką. Ale najwidoczniej obecny stan rzeczy ci nie odpowiada.

— Widocznie — powiedziałem z uśmiechem. — Chyba za wiele tkwi we mnie niepokoju. — I dodałem po chwili: — Już przestałem czuć się inwalidą tak jak zaraz po powrocie do domu. Chciałbym wyjechać i coś działać.

— To jest myśl w zasadzie rozsądna — przyznał mi rację ojciec. — Ostatecznie jeszcze jesteś młody. Ileż ty masz lat, Alanie?

Trzydzieści dwa, zdaje się?

Tatus nigdy nie był zbyt mocny, jeśli chodzi o liczby.

— Trzydzieści cztery — sprostowałem. — Chciałbym jeszcze trochę pokręcić się po świecie, zanim osiadę tu na dobre, i zdaje mi się, że jest na to odpowiednia chwila.

— Obojgu będzie nam bardzo ciebie brak — zauważył ojciec. — Ale sądzę, że masz rację, chcąc podróżować, póki jesteś młody. W Europie właściwie nic nie widziałeś, prawda?

— Cośkolwiek z góry, w momencie kiedy chciałem ją rozbić w drobny mak — powiedziałem. — A po wyjściu ze szpitala byłem wprawdzie dwa miesiące we Francji i we Włoszech, ale naprawdę nie byłem wtedy zdolny, aby coś z tego skorzystać.

— A więc wystartujesz kończąc studia? — zapytał jeszcze ojciec.

— Tak, takie właśnie mam plany.

Nie poszło to tak łatwo, jak przypuszczałem. Stypendium ciągle na mnie czekało, chociaż sytuacja nie zmieniałaby się, gdyby nawet nie było zarezerwowane. Ale Oksford ciągle był pełny powojennych studentów i do października 1949 roku nie dało się dla mnie znaleźć miejsca w kolegium. Wymieniłem kilka listów z sekretarzem funduszu stypendialnego w Oksfordzie i z

dziekanem Christ Church, żeby się przekonać, czy na nadchodzący rok nie mógłbym zdobyć jakiejś kwatery w niewielkiej odległości od kolegium, ale miasto tak było ciągle zatłoczone, że nie mogli mi obiecać mieszkania bliżej jak w Północnym Oksfordzie. Nie byłaby to wielka przeszkoda dla normalnego człowieka, ale ja nadal nie mogłem przejść piechotą więcej jak milę bez porządnego odpoczynku i taka odległość oznaczałaby dla mnie odcięcie w dużej mierze od życia i korzyści uniwersytetu.

Irytowało mnie to opóźnienie, ale nie pozostawało nic innego, jak poczekać rok i pojechać do Oksfordu wtedy, gdy uda się zamieszkać w kolegium. Przetrawiałem tę sprawę przez cały tydzień i wreszcie postanowiłem, że nie będę czekać. Na miejscu na pewno znajdę mieszkanie blisko uniwersytetu, nawet jeśli przyjdzie mi kupić na własność dom. A Janet mogła być w trudnym położeniu i nie należało odkładać wyjazdu. Ojciec hojną ręką załatwił moje sprawy pieniężne w Anglii na bazie praktycznie nieograniczonej i w sierpniu 1948 roku wyruszyłem na pokładzie statku „Orontes”.

Dojechałem do Oksfordu na trzy tygodnie przed rozpoczęciem semestru i zatrzymawszy się w hotelu „Randolph” natychmiast rozpocząłem pogoń za mieszkaniem. Wygrywałem beczelnie swoje kalectwo i osiągnięcia wojenne, ale na niższych szczeblach pomogły, zdaje się, pieniądze. Gdy zaczął się semestr, byłem już bardzo wygodnie zainstalowany przy Merton Street, dość blisko kolegium. Było to chyba najkosztowniejsze w dziejach świata mieszkanie wynajmowane przez studenta. Tak czy inaczej, mieszkałem w nim. Po cenie podejrzenie paskarskiej nabyłem prawie nowy samochód od pewnego młodego doktora, który zdobył go na talon, i zacząłem szukać Janet Prentice.

Ograniczę się do krótkiego sprawozdania z moich poszukiwań, gdyż skończyły się fiaskiem. Widziałem się z kwestorem Wyckham College, który oczywiście pamiętał naszą korespondencję i teraz także okazał mi dużo pomocy. Przedstawił mnie dyrektorowi kolegium i trzem innym „donom”, którzy dobrze żyli z doktorem Prentice; ale nie rozporządzali oni żadnymi pożytecznymi dla mnie wiadomościami. Wyglądało na to, że właściwą linią poszukiwań będzie podróż do Settle. Pojechałem więc przed samym początkiem semestru do tego małego miasta w Yorkshire i bawiłem tam trzy dni. Byłem na posterunku policji, u naczelnika poczty, u zawiadowcy stacji, u kierowników dwóch miejscowych szkół, u proboszcza, u księdza rzymsko-katolickiego, u duchownego kościoła metodystów, w magistracie i u urzędnika w Biurze Żywnościowym, który wydawał kartki. Wśród osób, do których się zwracałem, nikt nawet nie słyszał o Janet Prentice i w całym mieście nie było młodej zamężnej osoby odpowiadającej w najmniejszym stopniu jej rysopisowi.

Rozczarowany wróciłem do Oksfordu.

Były to czasy, kiedy każdy w Anglii musiał mieć kartę rejestracyjną, co dawało możliwość, przynajmniej teoretycznie, odnalezienia w każdej chwili poszukiwanej osoby. Natychmiast po powtórnym podjęciu moich studiów prawniczych w Oksfordzie jako, nawiasem mówiąc, starszawy i sterany życiem student, niezbyt dostrojony do otoczenia, wszcząłem dochodzenia w

wydziale kart rejestracyjnych Ministerstwa Pracy. Stąd ślad zaprowadził mnie do Admiralicji i wtedy odkryłem, że we wrześniu 1944 roku marynarka wojenna udzieliła starszej „wrence” Prentice zwolnienia z powodów rodzinnych, dla opieki nad matką, która niedawno owdowiała i była w złym stanie zdrowia. Z chwilą zwolnienia z marynarki wydano jej kartę rejestracyjną dla cywilnych i numer tej karty w końcu otrzymałem.

Cała ta korespondencja zajęła sporo czasu, bo składała się z wielu listów, a w tym okresie żadne chyba ministerstwo w Wielkiej Brytanii nie odpowiadało na list wcześniej niż po dwóch tygodniach. Dopiero pod koniec semestru otrzymałem ostatecznie numer karty rejestracyjnej i wtedy zwróciłem się do Ministerstwa Pracy z zapytaniem o miejsce pobytu Janet.

Upłynął miesiąc, zanim zdecydowali się odpowiedzieć — swoisty rekord w tej serii — aby mi podać adres dawnego domu Prentice'ów przy Crick Road w Oksfordzie.

Tam oczywiście byłem już w najwcześniejszej fazie poszukiwań i przeprowadziłem wywiad wzdłuż ulicy, ale bez najmniejszego skutku. List z Ministerstwa Pracy nadszedł przed samym Bożym Narodzeniem. W oczekiwaniu na niego zostałem w Oksfordzie rezygnując z projektu podróży do południowej Francji podczas wakacji świątecznych, bo nie mogłem ścierpieć straty czasu w moich poszukiwaniach. Zaraz po świętach pojechałem do Londynu, zatrzymałem się w klubie RAFu, którego byłem zamorskim członkiem, i cały ranek spędziłem w Ministerstwie Pracy. Znalazłem w końcu uczynnego młodzieńca, który zadał sobie mnóstwo trudu i wygrzebał garść zdumiewających informacji.

Karta rejestracyjna została zwrócona przez pannę Prentice 14 listopada 1946 roku w Harwich w chwili jej wyjazdu z Anglii do Holandii. Ówczesne przepisy głosiły, że jeżeli obywatel brytyjski wyjeżdża na stały pobyt za granicę, musi zwrócić kartę rejestracyjną. Dostawał zaś nową po powrocie, kiedy znowu potrzebował kart żywnościowych. Nowa karta rejestracyjna nie została wydana pannie Prentice, a więc prawdopodobnie nadal przebywała ona za granicą.

Ślad prowadzący do Janet zacierał się coraz bardziej, ale nie chciałem dać za wygraną, dopóki nie uczynię wszystkiego, co było w mojej mocy, aby odnaleźć narzeczoną Billa. Zwróciłem się do Towarzystwa Okrętowego i w ich aktach udało mi się znaleźć, pod tą właśnie datą, że dwa lata temu w listopadzie jakaś panna Prentice rzeczywiście wyjechała z Harwich do Rotterdamu. Miała bilet na klasę turystyczną, ale poza tym nikt nie mógł mi dać żadnych wskazówek, dokąd się udawała. Pojechałem więc do Rotterdamu, raczej z zamiarem wypełnienia sobie czasu w okresie wakacyjnym niż w nadziei uzyskania czegokolwiek, i widziałem się z wicekonsulem brytyjskim. Chciałem dowiedzieć się, czy nie mieszkała w tych stronach osoba o tym nazwisku, mająca obywatelstwo brytyjskie, ewentualnie z jakąś starszą osobą, i być może w mieście czy wsi o nazwie brzmiącej podobnie do Settle. Konsul nie mógł mi udzielić żadnych informacji, ale poddał mi myśl, że Ambasada Brytyjska w Hadze ma pełniejsze wiadomości w tej dziedzinie, jeśli chodzi o Holandię. Udałem się więc do naszej ambasady. Nie znali nikogo w Holan-

dii, kto by odpowiadał opisowi podanemu przeze mnie, za to trzeci sekretarz odkrył na mapie małą wieś czy osadę Settlers w odległości około sześćdziesięciu mil na północ od Pretorii w Transwalu, w Południowej Afryce. To posunięcie było desperackie, jeśli chodzi o odległość, ale Transwal łączy bliskie kontakty z Holandią i zaraz po powrocie do Oksfordu wysłałem list do naczelnika poczty w Settlers. Posunięcie okazało się rzeczywiście desperackie bo odpowiedzi nigdy nie otrzymałem. A więc na razie pościg mój za Janet Prentice utknął w martwym punkcie Zniknąwszy z Europy dwa lata temu, nie zostawiła za sobą najmniejszego śladu.

Rozdział VII

Człowiek dotknięty takim kalectwem jak moje musi rozwinąć w sobie nowe zainteresowania i znaleźć nowe rozrywki. Mój wybór w czasie pobytu w Anglii padł na wyścigi samochodowe, a zaczęło się to chyba w 1949 roku. W tym okresie zapisałem się do londyńskiego Aeroklubu i zacząłem znowu latać, raczej w celu wyrobienia pewnej dyscypliny i pokazania samemu sobie, że się nie boję, niż dla wątpliwej przyjemności, jakiej mógł mi dostarczyć Tiger Moth. Żeby odzyskać wprawę, postanowiłem dociągnąć do 50 godzin lotów solo, a powodowało mną chyba niesprecyzowane przekonanie, że jeśli raz zacznę latać, nie zatracę już tej umiejętności, w razie gdybyśmy kiedyś zechcieli używać samolotów w naszych majątkach australijskich.

W Aeroklubie spotkałem wielu entuzjastów wyścigów motorowych; byli to młodzi ludzie pochodzący z rozmaitych klas społecznych, ale związani wspólną miłością do silników spalinowych. Pojawiali się oni na lotnisku na motocyklach wyścigowych albo w starych jak świat wozach wyścigowych. Żaden z nich nie rozporządzał nadmierną ilością pieniędzy, większość mówiła z lekkim londyńskim akcentem, dość zbliżonym do mojego, a wszystkim chyba towarzyszyły młode i atrakcyjne kobiety po sportowemu uczone do niewygodnych wehikułów. Zagustowałem w tym towarzystwie i, zaraziwszy się ich pasją, parę razy wziąłem udział we wspólnych wycieczkach na wyścigi i wyprawach po górzystych trasach, a raz, w wynajętym Ansonie — w wyścigach o Puchar Turystyczny na wyspie Man.

Z początkiem 1950 roku tak dalece pochłonał mnie ten typ rozrywek, że kupiłem własny samochodzik wyścigowy marki Cooper i parę razy jeździłem w nim na wyścigach, nie wyróżniając się zresztą, w klasie małych maszyn? Ale okazało się, że chociaż mogę jeszcze całkiem dobrze latać, brak mi zupełnie nerwu do szybkiej jazdy samochodowej. Byłem już może za stary, a poza tym, przy protezach zamiast stóp wpełznięcie i wydobycie się z ciasnej, jednoosobowej kabiny musiało trwać parę minut i stale nękała mnie myśl o możliwości pożaru. Po paru razach zaniechałem tej zabawy i wóz przekazałem Johnowi Harwood, jednemu z klubowych znajomych; wystarczyło mi firmować, płacić rachunki i przyglądać się, jak John wygrywa wyścigi. Samochodzik dobrze się sprawiał, bo John wyrobił się na świetnego kierowcę i nawet obecnie stale jeździ po całej Europie jako przedstawiciel różnych firm automobilowych. W 1950, w maju, ukończyłem w Oksfordzie prawo z drugą lokatą i wstąpiłem do kancelarii A.N. Selingmana w Lincoln's Inn z zamiarem dostania się do adwokatury. Projekt ten nie był, zdaje się, zbyt rozsądny, bo adwokatura nie na wiele mogła mi się przydać w prowadzeniu Coombargany, ale interesowało mnie wtedy prawo i procedura sądowa, a nie musiałem natychmiast wracać do kraju. Wynająłem więc mieszkanie na I lali Moon Street,

niedaleko od mojego klubu, i osiedliłem się na pewien czas w Londynie me tracąc, oczywiście, kontaktu z Aeroklubem i paczką wyścigowców. Wkrótce po moim przyjeździe z Oksfordu zniesiono kartki na benzynę, wobec czego kupiłem starego, dziesięcioletniego Bentleya i wtedy dopiero zacząłem poz nawać Anglię.

W Admiralicji byłem wkrótce po przyjeździe z Australii, żeby otrzymać oficjalną wersję śmierci Billa; wersja ta była dość skąpa, chociaż zawierała wszystkie zasadnicze fakty. Ale w biurze Drugiego Lorda Admiralicji okazało mi dużo życzliwości i poddano myśl, abym po dalsze szczegóły zwrócił się do sierżanta Alberta Fincha z Piechoty Morskiej, który był na służbie z Billem tej nocy, kiedy mój brat poległ. Finch odslugiwał właśnie swój turnus w Chinach i miał wrócić dopiero w listopadzie. Na mój list otrzymałem od niego z mozołem skleconą odpowiedź — najwidoczniej nie miał lekkiego pióra i przelanie tego, co wiedział, na papier nie szło mu łatwo.

Umówiłem się z nim zatem, że spotkamy się po jego powrocie do Anglii.

W czasie pobytu w Oksfordzie poznałem wiele młodych Angielek, przeważnie należących do paczki „wyścigowców”. Były to na ogół wesołe i inteligentne kobiety, ale nie zbliżyłem się z żadną. U tych, które mi się najbardziej podobały, zauważyłem w małym stopniu tę samą cechę bezpośredniości i umiejętności dzielenia zainteresowań, która mnie tak mile uderzyła u przyjaciółki Billa. Wskutek tego cieszyłem się wtedy perspektywą, że ona właśnie będzie przypuszczalnie moją bratową. Była to trudna do zdefiniowania cecha, decydująca o łatwości obcowania z daną osobą. Według mnie jednak, żadna z tych dziewcząt nie umywała się do starszej „wrenki”, w której kochał się Bill. Im więcej poznawałem młodych kobiet, tym częściej przypominała mi się Janet Prentice, tym częściej wracałem myślą do każdego szczegółu tego jednego dnia, który spędziliśmy razem w Lymington.

Ale dopiero w sierpniu 1950 roku posunąłem się nieco naprzód w poszukiwaniu Janet. Odbywały się wyścigi na starym lotnisku w Goodwood i zapisałem mojego Coopera na dwa biegi. John Harwood miał go prowadzić po raz pierwszy i dużo starania włożył w swoim garażu w Paddington, aby wóz odpowiednio przygotować. Zdążył zresztą na czas. Wysłałem Coopera ciężarówką, a sam wyjechałem z Londynu o piątej rano z paczką znajomych; były jeszcze dwa inne samochody — razem ze szesnaście osób. Letni poranek był prześliczny i szybko znaleźliśmy się na miejscu w Zachodnim Sussex. Przed dziewiątą Cooper został wyładowany i zaopatrzony w benzynę, po czym namówiliśmy Johna na parę próbnych okrążeń, żeby wszedł w kontakt z maszyną. Pojeździł parę razy niezbyt prędko, tak jakieśmy postanowili, a potem dodał gazu i zrobił następne okrążenie przy siedemdziesięciu ośmiu. Ja sam stoperowałem. Był to całkiem niezły wynik jak na 500 ccm. samochód. Po tym wyczynie John wrócił do nas i orzekł, że w czasie wyścigu potrafi jeszcze lepiej, wobec czego wóz postawiliśmy na boku i poszliśmy na śniadanie.

Mieliśmy całe góry jedzenia w koszykach i prymus do zagotowania wody na herbatę. Panie nakryły do śniadania na trawie, w pełnym słońcu, obok samochodów. Była z nami pewna panna, której przedtem nie znałem, Cyntia

Jakaś-Tam — nazwiska nie pamiętam. Rozmowa ni stąd, ni zowąd skreśliła na wojnę, jak to się często zdarzało. Cyntia widocznie doskonale wiedziała, kim jestem, chociaż ja o niej nic przedtem nie słyszałem. Wyglądała na jakieś dwadzieścia siedem lat, a więc prawdopodobnie musiała mieć coś do czynienia z wojskiem; w pewnej chwili zapytałem od niechcienia:

— A co pani, babuniu, robiła w czasie wojny światowej?

— Sam pan jest babunia odpaliła. — Byłam w marynarce wojennej. Już parę razy przedtem zdarzyło mi się zadać to samo pytanie, ale zawsze

bez najmniejszego skutku.

— Czy może we WRENS?

Potwierdziła skinieniem głowy, bo usta miała zapchane kiełbasą.

— W jakiej grupie pani była? — badałem dalej.

— W załogach łodzi — odparła. — Najprzód w Brightlingsea, a potem w Portsmouth. Na „Hornecie”.

— W którym roku była pani w Portsmouth?

— W czterdziestym czwartym i czterdziestym piątym — powiedziała. — Napila się trochę herbaty, żeby popchnąć kiełbasę. — Zdemobilizowali mnie z „Horneta”.

Zapaliłem papierosa, bo już skończyłem jeść. Przyjemnie było siedzieć w ciepłym słońcu na trawie i przysłuchiwać się huczącym z dala maszynom.

— Czy nie spotkała się pani czasem ze starszą „wrenką” Prentice? — dopytywałem dalej. — Janet Prentice. Była mechanikiem uzbrojenia zdaje się, że na „Mastodencie”, nad rzeką Beaulieu.

Cyntia zastygła w bezruchu z filiżanką w ręce.

— Czyżby chodziło panu o tę „wrenkę”, co zestrzeliła samolot niemiecki?

Teraz ja się zdziwiłem.

— Co? Nigdy o tym nie słyszałem.

— Była taka starsza „wrenka” Prentice, która z Oerlikona zestrzeliła niemiecki samolot — powiedziała Cyntia. — Właśnie nad Beaulieu, przed samą inwazją.

— Możliwe. Tego nie wiedziałem, ale możliwe, że tak było. Janet Prentice była zaręczona z moim bratem, ale on zginął właśnie w okresie przed inwazją. Starałem się nawiązać z nią kontakt, ale na próżno, bo znikła bez śladu z horyzontu.

— To pewnie ta sama — ciągnęła Cyntia. — Nie mogło być jednocześnie dwóch starszych „wrenek” nad Beaulieu o nazwisku Prentice.

— Czy pani ją знаła?

— Nie — zaprzeczyła Cyntia. — Nie poznałam jej osobiście. Naturalnie mnóstwo było gadaniny w wojsku na ten temat. Do gazet cała ta historia oczywiście nie dotarła. Ze względu na tajemnicę wojskową.

— No, tak — stwierdziłem. — Ale chciałbym wreszcie znaleźć kogoś, kto ją znał i pozostał z nią w kontakcie. Przypuszczam, że nic ma jej w Anglii, ale przecież musi tu mieć jakichś znajomych, prawda? Już od dwóch lat staram się ją odszukać.

Cyntia jadła przez chwilę w zadumie.

— To ona była zaręczona z pana bratem?

— Tak. Widziałem ją tylko raz, w Lymington, wiosną 1944 roku, na królko przed śmiercią Billa.

I dodałem po chwili:

— To była wspaniała dziewczyna.

— Nikt, tylko Viola Dawson... — odezwała się Cyntia, ciągle w zadumie. — Viola musiała ją znać.

— Kto to jest Viola Dawson?

— To także starsza „wrenka”. Była razem ze mną w załogach łodzi w Brightlingsea, a potem przenieśli ją do Beaulieu. Viola musiał?, znać tę Prentice.

— Czy mógłbym nawiązać kontakt z Violą Dawson?

— Ja ją przecież znam — powiedziała Cyntia. — Ma mieszkanie na Earls Court Square i jej nazwisko jest w książce telefonicznej.

Zadzwoń do niej dziś wieczór, jeśli pan chce, powiem, o co chodzi, i uprzedzę, że pan się do niej zwróci telefonicznie.

— Bardzo będę pani wdzięczny. Pierwszy raz zdarza mi się trafić na osobę, która może coś wiedzieć o Janet Prentice.

— Dobrze, zatelefonuję. I uprzedzę Violę, kim pan jest.

— O jakiej porze najlepiej będzie do niej zadzwonić? — zapytałem. — Czy ona pracuje zawodowo?

— Tak. W wytwórni filmów. W Pinewood czy w jakiejś miejscowości w tym rodzaju. Robi listy montażowe, nie mam zresztą pojęcia, co to znaczy. Przypuszczam, że złapie ją pan telefonem po godzinie siódmej, chyba że wieczór spędza poza domem.

Podziękowałem Cyntii i następnego dnia o siódmej zadzwoniłem do Violi Dawson.

— Moje nazwisko jest Alan Duncan — zacząłem — pani mnie, oczywiście, nie zna. — Ale spotkałem pewną panią...

— Wiem — przerwała mi. — Cyntia mnie uprzedziła i spodziewałam się telefonu od pana.

— To dobrze. Przede wszystkim chciałem się dowiedzieć, czy pani coś wie o Janet Prentice.

— Znałam ją bardzo dobrze w czasie wojny — brzmiała odpowiedź.

— A ostatnio pani się z nią nie widziała?

— Ostatnio nie i nawet nie mam pojęcia, gdzie teraz mieszka.

— Nie zdaje mi się, żeby była w Anglii — powiedziałem. — Próbowałem znaleźć kogoś, kto by mnie z nią mógł skontaktować. —

Zatrzymałem się na chwilę i dodałem: — Janet była zaręczona z moim bratem, ale on wkrótce potem zginął.

— Wiem — powiedziała Viola. — Pamiętam to wydarzenie.

— Ach, tak? Pamięta pani?

— Naturalnie. Byłyśmy razem w Beaulieu i łączyły nas wtedy bliskie stosunki, ale, niestety, straciłam z nią później kontakt.

— Proszę pani — powiedziałem. — Chciałbym panią zapytać o mnóstwo rzeczy w związku z Janet. Nigdy nie wiedziałem o niej zbyt wiele i ogromnie

mi na tym zależy, żeby ją odszukać. Może spotkalibyśmy się w jakiejś restauracji. Co pani na to?

— Bardzo chętnie — powiedziała.

— Może dziś wieczór? Czy pani jest już po obiedzie? Wyczułem, że się waha.

— Nie, jeszcze nie. Owszem, mogłabym dzisiaj, ale trochę później.

— Powiedzmy, że wstąpię po panią za pół godziny?

— Troszkę później, dobrze? Mam coś do roboty i rada bym skończyć. Niech pan wstąpi po mnie koło ósmej i razem stąd pójdziemy. Ale do jakiejś skromnej restauracji, dobrze? Nie będę miała czasu się przebrać.

— Doskonale! Zjawię się u pani koło ósmej.

— Najwyższe piętro — powiedziała. — Na samym szczycie schodów, na poddaszu.

W pół godziny później podjechałem taksówką i wspiałem się na schody na samą górę czteropiętrowego budynku, obróconego na małe mieszkanka. Dom był przyzwoity, ale bez pretensji do bogactwa. Mogła tu mieszkać każda pracująca młoda kobieta na niezłej posiadzie. Viola Dawson sama otworzyła drzwi na mój dzwonek.

Gdyby nie nadmierna szczupłość twarzy i zbyt mocno zarysowana szczęka, Viola byłaby nadzwyczaj piękną kobietą. Miała bardzo jasne włosy i śliczną cerę, nieco ciemną, może opaloną. Służba w kobiecych załogach łodzi wydawała się związana z samą jej naturą. Z tą znajomością „wrenek”, jaką rozporządzałem, uprzytomniłem sobie po pierwszym spojrzeniu na Violę, że jej właściwe miejsce byłoby przy sterze motorówki. Myśl tę nasunął mi może jej strój. Nie była jeszcze gotowa, żeby mnie przyjąć, i miała na sobie fartuch roboczy z granatowego płótna, a w ręce trzymała pędzel.

— Niech pan wejdzie — powiedziała. Musi pan usiąść i poczekać parę minut; chciałabym skończyć, zanim ucieknie mi światło.

Wchodziło się wprost do saloniku, a właściwie do pracowni. Mieszkała tu najwidoczniej kobieta o zamiłowaniach artystycznych.

Różne płótna stały oparte o krzesła i półki z książkami albo wzdłuż ścian, a szkice i szkicow-niki leżały rozrzucone na stole. Viola pracowała właśnie nad obrazem olejnym na sztalugach; bez ceremonii wróciła do niego, wzięła paletę i zabrała się do roboty.

— Niechże pan na chwilę usiądzie, gdzie się da — powiedziała. — Tam na tacy jest sherry, proszę sobie nalać. Powinam była uładzić tu trochę przed pana przyjściem, ale żal mi było światła.

— Nie będę pani przeszkadzał. Siądę sobie i popatrzę. Cytia nic mi nie mówiła, że pani jest malarką. Powiedziała, że pani pracuje w filmie.

— Bo tak jest rzeczywiście. Robię listy montażowe i projekty dekoracji. A maluję w wolnych chwilach, dla przyjemności. Proszę sobie nalać kieliszek sherry i dać mnie drugi. To już nie potrwa długo.

Zrobiłem, jak chciała, i teraz dopiero, niosąc jej kieliszek przed sztalugi, zobaczyłem, co maluje. Sztalugi stały pod oknem mansardowym umieszczonym w dachu; światło było północne i Viola prawdopodobnie dlatego wynajmowała to mieszkanie. Obraz przedstawiał torpedowiec o jaskrawym ka-

muflażu, prujący na wolnych obrotach burzliwą falę. Niebo było niskie z roz darcie na horyzoncie, skąd poziomo tryskał przyćmiony blask. Ocieka jący wodą, wygięty dziób statku unosił się wysoko z podłużnego zagłębienia między falami, ukazując spory kawałek kila. Był rozmach w tym obrazie i życie w przechyle statku i w przyćmionym srebrzystym świetle.

Podąłem Violi sherry i stanąłem za nią przyglądając się jej robocie.

— Jakie to dobre — powiedziałem. — Myślę, że tak to właśnie musiało wyglądać w rzeczywistości.

— Mam nadzieję — odparła pogodnie.

Cofnęła się trochę, a potem pochyliła w przód i zręcznym, posuwistym pociągnięciem pędzla nadała kształt i fakturę szarozielonej fali na pierwszym planie.

— Czy pan się zna na malarstwie? — zapytała.

— Nic a nic — odparłem.

— To dobrana z nas para — zauważyła. — Nie wzięłam ani jednej lekcji malarstwa i nigdy nic dobrego w życiu nie namaluję, ale po prostu lubię malować.

Spojrzałem zdumiony na płótno.

— Jak to, nigdy się pani nie uczyła?

— Malarstwa nigdy — powiedziała. Milczała przez chwilę zmieniając pędzle, mieszając farby na palecie i dodając tu i ówdzie parę pociągnięć. — W szkole oczywiście uczyłam się rysunków. A potem, już po wojnie, chodziłam na kursy wieczorowe, żeby poznać technikę malowania gwaszem, wie pan, to potrzebne do dekoracji; na tej podstawie pracują potem robotnicy w studio. Zresztą nie sądzę, żeby mi wiele pomogły lekcje operowania kolorem.

— Bardzo mi się to podoba — powiedziałem. — Bardzo. Milczeliśmy znowu chwilę. Viola malowała dalej.

— Ot, rzemieślnicza robota — odezwała się w końcu. — Powieszę to na ścianie i będę się przyglądała, dopóki mi się nie znudzi. A potem sprzedam, i jakiś makler, który w czasie wojny służył w Ochotniczej Rezerwie Marynarki Wojennej, da mi za ten malunek dwadzieścia funtów i będzie go miłował do końca swoich dni.

Rozejrzałem się po pokoju i po innych obrazach. Większość z nich była związana tematycznie z morzem. Były to studia okrętów i statków desantowych oraz parę portretów oficerów marynarki wojennej. Jakieś świeżo wykończone płótno przedstawiało białe jachty zacumowane w przystani; ale tu chodziło głównie o studium refleksów na wodzie.

— Maluje pani przeważnie morze, prawda?

— Przeważnie — odpowiedziała. — Ale teraz zaczynam się uwalniać od tego tematu. — Przez chwilę malowała w milczeniu i wreszcie rzekła: — Po skończeniu wojny tamten tryb życia wydawał się jeszcze zupełnie normalny i nie robiło się nic, aby przerwać to odurzenie. Dopiero któregoś dnia ocknąłem się, wszyscy właściwie ocknęliśmy się, aby zdać sobie sprawę, że tamto było zupełnie nienormalne. I nigdy się nie powtórzy. W każdym razie nie dla naszego pokolenia. Będziemy już za starzy, będziemy mieli rodziny, będziemy poza tym. I wtedy zorientowałam się, że muszę malować i malować,

utrwałać to, co było, na płótnie, utrwałać wszystko, co widziałam, zanim zapomnę, jak wyglądało. — Znowu malowała chwilę w milczeniu i dodała: — Trudno było sobie uprzytomnić, że to wszystko nigdy już nie wróci. A także zdać sobie sprawę, że myśmy to przeżyli.

— Wiem. Zdaje mi się, że wszyscy podobnie czujemy. Odłożyła paletę i wytarła pędzle o kawałek gazety.

— Cyntia wspominała mi, że pan był w RAFie.

— Tak jest.

— Przypominam sobie, że Janet mi o panu mówiła. Zdaje mi się, że ściągnęła kiedyś jakąś łódź w niedzielę, żeby pana zabrać na spacer, prawda?

— Tak jest — potwierdziłem znowu. — Pojechałem z nią i z Billem do takiej miejscowości Keyhaven.

Viola zdrapywała paletę nożykiem i wycierała ją gałgankiem.

— Janet mówiła wtedy, że pan jest jakąś wielką figurą. Dowództwo Myślistwa, trzy naszywki, pierś udekorowana orderami i tak dalej.

— Tak, tak to wtedy wyglądało — odparłem spokojnie. — Teraz jestem otyłym kaleką, który chodzi o dwóch kijach, żyje z wełny i interesuje się jedynie procedurą sądową.

Viola składała dalej swoje przyrzady, bo zapadał już zmrok i robota na ten dzień była skończona.

— Taki jest koniec każdego z nas. Póki jesteśmy młodzi, ma się złudzenia, że coś może trwać wiecznie, a potem nagle budzimy się ze snu: okazuje się, że jest zupełnie inaczej i że trzeba wynaleźć sobie inny, nowy zawód. I nowe zainteresowania.

Wszystko odłożyła w końcu na miejsce, naląła mi nową porcję sherry, postąpiła chwilę przed stalugami patrząc na swoje dzieło, a potem wyszła do drugiego pokoju umyć się i ubrać do wyjścia. Ja zaś usiadłem i odpoczywałem; byłem w przyjemnym nastroju dzięki sherry i przyglądałem się obrazom Violi. W każdym razie ona poradziła sobie lepiej niż ja z przystosowaniem się do czasu pokoju.

Wreszcie Viola wróciła naciągając płaszcz od deszczu na spódniczkę i bluzkę, które miała na sobie.

— Jest tu taka malutka restauracja, zaraz za rogiem, dokąd zwykle chodzę — powiedziała. — Na Earls Court Road. Może tam pójdziemy?

— Gdzie pani każe — odparłem.

Wróciła jeszcze do szafy, otworzyła ją, przykucnęła na podłodze i szukała czegoś w rzeczach.

— Chciałabym panu coś pokazać — powiedziała. Wyciągnęła duży, nieoprawny szkicownik, rzuciła go obok siebie na podłogę, wyciągnęła drugi i trzeci, aż wreszcie podniosła się z jeszcze innym w rękach. — Zdaje mi się, że to jest właśnie tutaj.

Przerzuciła kartki i otwarty szkicownik położyła przede mną na stole. Był tu pełen rozmachu rysunek przedstawiający dziewczynę w mundurze „wrenki” strzelającą z Oerlikona do samolotu, który w bardzo niskim locie sunął wprost na nią. Rysunek był wykonany sepią. „Wrenka” była barczysta, ciemnowłosa, z odkrytą głową. Przechylała się do tyłu na pas, który

trzymał ją w kabląkach; twarz miała pełną napięcia, bez cienia uśmiechu, wzrok skoncentrowany na celowniku. Dziewczynę tę widziałem raz jeden przed sześciu laty, ale poznałem ją natychmiast.

— Janet Prentice! — zawołałem. Viola potwierdziła to skinieniem głowy.

— Zrobiłam ten szkic zaraz, tego samego wieczoru, w naszym baraku. Bo byłam świadkiem całego zajścia; stałam z łodzią obok statku. I dodała po chwili:

— Zdaje mi się, że to właśnie tak wyglądało.

— Cyntia mówiła mi, że Janet zestrzeliła jakiegoś Junkersa. Ale nie znam żadnych szczegółów. Musiało się to stać już po naszym spotkaniu.

— Prawdopodobnie. Zdaje mi się, że po śmierci pana brata... chociaż nie, nie jestem tego pewna. W każdym razie mogę panu opowiedzieć tę historię.

Zamilkła i po chwili zamknęła szkicownik.

— Ale chodźmy teraz na obiad.

Zaprowadziła mnie do swojej restauracyjki i zamówiła obiad. Wina nie mieli dobrego, bo lokal był mały i tani; znalazła się tylko butelka claretu, bardzo pospolitego, przypuszczalnie z Algieru, gatunek, za który u nas w Australii zapłaciłoby się siedem szylingów i siedem pensów za galon. Wino bez wątplenia spełniło swoje zadanie i okazało się, że Viola jest łatwa w rozmowie; gdy siedzieliśmy nad kawą paląc papierosy, bez oporów mogłem z nią mówić szczerze o Janet Prentice.

— Chciałbym pani wyjaśnić moją rolę w całej tej historii — powiedziałem. — Janet spotkałem tylko raz, tego dnia, kiedy łodzią zawiozła mnie i Billa do Keyhaven. Nie sądzę, żeby byli wtedy zaręczeni, ale w każdym razie bardzo blisko było do tego.

Viola przytaknęła.

— Nigdy nie byli zaręczeni. Janet miała nawet na to ochotę. Ale czekali, aż balon się zerwie.

— Wiem. Bill mi to powiedział. "Bill był moim jedynym bratem i byliśmy ze sobą bardzo życzliwi."

— Bill bardzo się z panem liczył. Janet bała się spotkania z panem właśnie z powodu tego, co Bill jej o panu naopowiadał. Trzy naszywki, D.F.C. i baretka, Dowództwo Myślistwa i tak dalej. Wcale nie była w humorze, gdy wyjeżdżała wtedy łodzią. Bała się, że nie będzie na wysokości zadania.

Spojrzałem na Violę ze zdziwieniem.

— To mi nigdy nie przyszło do głowy — powiedziałem i dodałem po chwili: — Była oczywiście na wysokości zadania. Powiedziałem o tym później Billowi. Widzi pani, chodziło mi o moich rodziców. Byliby chcieli wiedzieć coś o Janet, gdyby Bill ożenił się w Anglii. Moim zdaniem, to była wspaniała dziewczyna i idealna żona dla Billa. Obiecałem mu, że napiszę o tym do domu.

— Janet była w doskonałym nastroju, gdy wróciła wieczorem do baraku — rzekła Viola. — Wcale sobie tym nie zaprzętała głowy. Zdaje mi się tylko, że była trochę zaintrygowana.

— Zaintrygowana? Czymże to?

— W jakie wejdzie środowisko wychodząc za męża za Billa — powiedziała Viola z uśmiechem. — Sądziła, że Bill jest synem farmera, hodowcy owiec. I przywykła do myśli, że być może wyjdzie za męża... no, tak o oczko niżej od środowiska, w którym się wychowała. Nie przejmowała się tym, oczywiście, bo była zakochana w bracie pana, ale zdawała sobie sprawę, że trzeba będzie się przystosować i że nowa rodzina może się okazać trochę „surowa”.

Przerwała i po chwili ciągnęła dalej:

— Brat pana był przecie sierżantem. Ale wtedy objawił się pan we własnej osobie. Okazało się, że ma pan stypendium Rhodesa, i to już Janet zachwiało, a potem podobno pan jej powiedział, że obydwaj z Billem byliście w jakiejś takiej szkole w Australii... zapomniałam nazwy tej miejscowości. Janet dowiedziała się później, że to jest takie australijskie Eton, i to dosyć kosztowne. I wtedy już nie wiedziała, co ma o tym wszystkim sądzić.

— Bill jej mówił prawdę — wtrąciłem. — Jesteśmy rzeczywiście hodowcami owiec. Tylko że w Australii są hodowcy wielcy i mali.

— A pana rodzice należą do tych wielkich?

— Tak.

Zatrzymałem się chwilę, żeby zebrać myśli.

— Janet była bardzo dobra dla Billa — powiedziałem. — Zauważyłem w czasie tamtego spotkania, że znać na nim napięcie nerwów wskutek roboty, jaką mu dano. I zaraz spostrzegłem, że ona była wymarzoną kobietą dla niego. Za to byłem jej wtedy wdzięczny. I jestem wdzięczny.

— Powinni byli dać mu trochę odpocząć — powiedziała Viola. — Cała tragedia, że tak mało było ludzi o takich kwalifikacjach, a tyle do roboty przed „Overlordem”.

— Wiem o tym. Gospodarowali nimi rozrzutnie. Ale teraz cała rzecz polega na tym: dzięki Janet Bill był bardzo szczęśliwy w ostatnich tygodniach przed śmiercią. A ja powinienem był utrzymać z nią kontakt, czego nie zrobiłem. Janet powinna była na całe życie znaleźć oparcie w naszej rodzinie, a do tego nie doszło. Starałem się ją odnaleźć trzy lata temu i od tej pory staram się o to nieustannie. To, czego udało mi się dowiedzieć, to wszystko bardzo niedobre wiadomości. Los nie był dla niej zbyt łaskawy. I to mnie teraz gnębi.

Następnie opowiedziałem Violi o powodach nie podtrzymywania kontaktu z Janet Prentice, o mojej przygodzie na lotnisku w Evere, o pobycie w szpitalu i egocentrycznym pogrążeniu się w moich własnych sprawach w okresie przed powrotem do Australii.

— Nieładnie to wypadło — stwierdziłem spokojnie na końcu. — Ale cóż robić, tak właśnie było.

— Ja także straciłam z nią kontakt — powiedziała Viola — i jestem tak samo winna, bo przypuszczam, że gdy wojna się skończyła, Janet potrzebowała dawnych przyjaciół. Ale ostatecznie nie da się utrzymywać stosunków ze wszystkimi. — Viola spojrzała na mnie i dodała: — Czy pan wie, że ona robiła starania, aby dostać się z powrotem do WRENS?

— Nie. O tym nigdy nie słyszałem.

Viola myślała nad czymś przez chwilę i wreszcie powiedziała:

— Wkrótce po inwazji pojechałam do Oksfordu, żeby się z nią zobaczyć. Miałam wtedy urlop. Janet nie była w dobrej formie — skłonna do płaczu, roztrzęsiona nerwowo. Było to akurat, zanim dostała zwolnienie z wojska, i już spodziewała się, co ją czeka. Traktowała to, zdaje się, jak coś w rodzaju hańby. Nękała ją także myśl o zestrzelonym Junkersie.

— Ale ja w dalszym ciągu nic nie wiem o tym Junkersie. — Co ona właściwie zrobiła?

Viola powtórzyła mi to, co wiedziała sama. Zapaliłem jej nowego papierosa, zawołałem kelnera i zamówiłem świeżą porcję kawy. Nareszcie dowiadywałem się czegoś konkretnego o Janet Prentice.

— Było to dosyć przygnębiające — zakończyła Viola. — Jeszcze przed paru miesiącami była z niej taka wspaniała dziewczyna, a teraz rozkleiła się zupełnie.

Nic na to nie powiedziałem.

— Widziałam ją znowu w lecie czy na jesieni w 1946 roku — ciągnęła dalej Viola. — Nie pamiętam już dokładnie, w jakim to było miesiącu. Zobaczyłam nekrolog jej matki w „Telegraph”, a że jechałam właśnie samochodem do Walii czy nie pamiętam już gdzie, napisałam do niej kartkę umawiając się na lunch w przejeździe przez Oksford.

Zatrzymała się na chwilę, a potem podjęła znowu:

— Było to akurat po pogrzebie; Janet związała dom, pakowała rzeczy i wszystko sprzedawała. Skoncentrowała się całkowicie na myśli o powrocie do WRENS.

— Dlaczego tak jej na tym zależało? — zapytałem. Viola wzruszyła ramionami.

— A dlaczego każdy z nas mimo wszystko z taką przyjemnością wraca myślą do swojej służby w wojsku? — rzuciła mi z kolei pytanie.

— Proszę mi na to odpowiedzieć. W razie nowej wojny chętnie by pan wrócił do RAFu, prawda? Doskonale pan to wie. Co do mnie, gdyby zdarzyła się nowa wojna, w mgnieniu oka znalazłabym się we WRENS.

— Czy Janet ostatecznie wróciła do WRENS?

— Nie — powiedziała Viola. — Nie chcieli jej przyjąć.

— Dlaczego? Przecież musiała mieć bardzo dobrą opinię z czasów wojny.

— Owszem. Ale oni są nadzwyczaj ostrożni w stosunku do osób, które przyjmują. Nawet w czasie pokoju jest więcej kandydatek do służby kobiecej w marynarce, niż potrzeba. Mogą sobie pozwolić na wybredzanie.

— Ach, rozumiem!

— Mam taką koleżankę, „wrenkę”, która została w wojsku i pracuje w Admiralicji w stopniu Drugiego Oficera. Mówiła mi, że żadnej nie przyjmują z powrotem, choćby była nie wiem jak dobra, jeżeli w jej papierach jest najlżejsza wzmianka o jakichś nieporozumieniach z nerwami. Podobno jest dużo wypadków w tym rodzaju i wszystkie takie podania są odrzucane z zasady. Chcą mieć młode kobiety z niezamąconą psychiką, które w nocy śpią jak zabite.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

— A wtedy kiedy pani ją widziała, w 1946 roku — zapytałem — czy Janet była rzeczywiście w takim złym stanie nerwów? To znaczy... chciałbym to jednak wiedzieć.

— Nie, nie miała ataków furii, jeżeli to pan miał na myśli — odparła Viola trochę szorstko.

— Chciałbym, widzi pani, zrozumieć jej ówczesne nastroje.

— Rozumiem — odparła nieco łagodniej. — Po pierwsze, była, jak przypuszczam, bardzo samotna. Oczywiście odczuła śmierć matki, a nie został jej chyba w Anglii nikt z rodziny, kto by się liczył. Nie miała też, zdaje się, zbyt wielu znajomych.

— Nie zżywała się łatwo z ludźmi?

— Owszem, w wojsku tak, ale to zupełnie co innego. Gdy się śpi w trzydziści w jednym baraku, trudno się nie zżyć. Ale w cywilu, gdy mieszkała u siebie i pielęgnowała matkę... nie, nie sędzę, żeby Janet łatwo się zaprzyjaźniała. Wie pan, ona była raczej nieśmiała.

— Nigdy bym tego o niej nie powiedział — zauważyłem.

— Bo pan zetknął się z nią jedynie na terenie marynarki — rzekła Viola. — Ale to zupełnie co innego obcować z ludźmi, z którymi się pracuje. Z nieśmiałością niewiele by się zbudowało w marynarce. Ale to potem wyłazi z człowieka.

— Czy przy tym następnym spotkaniu Janet była ciągle w takim złym stanie nerwów?

— Nie — powiedziała Viola. — Już nie do tego stopnia jak poprzednim razem, kiedy ją odwiedziłam wkrótce po inwazji. Opanowała się już. Ale nie sędzę, aby uważała za realne cokolwiek, co zdarzyło się, odkąd wyszła z wojska.

— Czy nadal jeszcze gryzła się tą historią z Junkersem?

— Owszem. Ciągle to przetrawiała, jak również śmierć pana brata. Ale co mnie naprawdę wtedy zmartwiło, to sposób, w jaki mówiła o tym psie...

— Cóż to był znowu za pies? — zapytałem.

— To był pies pańskiego brata — odparła Viola. — Miał takiego psa, który nazywał się Dev. Myślałam, że pan o nim słyszał.

— Wiem, że Bill miał psa. Coś w rodzaju irlandzkiego teriera. Był wtedy z nimi w łodzi. Co się z nim stało?

— Bert Finch przywiózł go Janet po śmierci brata pana — powiedziała. Teraz wysłuchałem w milczeniu historii Deva.

— I właśnie to ją wykończyło? — zapytałem potem. — Śmierć psa? Viola potwierdziła to skinieniem głowy.

— Bo widzi pan, to nie był zwyczajny pies, którego polubiła. To był pies Billa. Wieczorem tego dnia, w baraku, Janet powiedziała mi, że sprawiła zawód Billowi przez niedostateczną opiekę nad jego psem. W owej chwili nie przywiązywałam do tego wagi, bo dziewczyna była załamana nerwowo i miała pójść na urlop zaraz następnego dnia. Ale to samo powtórzyła mi w przeszło dwa lata później, po śmierci matki. Usiłowałam jej wytłumaczyć, że wina była tak samo po mojej stronie, bo nie powinnam była wypuszczać psa

z łodzi na pochylnię. Ale to wcale do niej nie trafiło. Zdawało się, że odczuwa wstręt i odrazę do siebie samej za to, że nie pilnowała lepiej Billowego psa.

— A po wojnie nie miała już innego psa?

— O, nie! Nie zdaje mi się — powiedziała Viola i dodała po chwili milczenia: — Coś się w niej załamało w momencie, gdy pies przestał żyć; załamało się tak silnie, że trzeba by było wielu starań, żeby to naprawić. Tylko że nigdy nie zostało naprawione...

Viola spojrzała teraz na zegarek i stwierdziła, że jest wpół do jedenastej.

— Muszę już iść — powiedziała. — Jutro przecież trzeba pójść do pracy. Zapłaciłem rachunek i wyszliśmy. Powoli przebyliśmy niedaleką drogę

do jej mieszkania i zanim odszedłem, zatrzymaliśmy się chwilę na chodniku.

— Znajdzie się parę osób, które może będą coś wiedziały o miejscu jej pobytu — powiedziała Viola. — Jest taka May Spikins, „wrenka” z tej samej kategorii co Janet, z którą razem pracowały. Może mi się uda odnaleźć jej adres. Powinien pan także zobaczyć się z Bertem Finchem.

— Z Finchem jestem w kontakcie. Jest obecnie w Chinach albo nawet już w drodze do kraju. Umówiłem się z nim przed Bożym Narodzeniem, ale chodziło mi głównie o to, aby pomówić o Billu.

— No tak. Chociaż sądzę, że on może coś wiedzieć i o Janet Prentice. W każdym razie postaram się dla pana o adres May Spikins.

Po tym pierwszym spotkaniu widywałem się dość często z Violą Dawson. Parę dni później zadzwoniła do mnie z adresem May Spikins, która wtedy nazywała się Cunningham; Viola była, zdaje się, rada, gdy poddałem jej myśl o wspólnym lunchu. Wyglądało na to, że zależy jej na odnalezieniu Janet Prentice prawie tak samo jak mnie, bo przecież były ze sobą bardzo zżyte w czasie wojny i Violę szczerze martwiło późniejsze rozejście się i zupełne zerwanie kontaktu. Co do mnie, przekonałem się wkrótce, że Viola zna dużo różnych szczegółów dotyczących Janet, które nie wyszły na jaw w czasie naszej pierwszej rozmowy; nie chodziło tu o rzeczy ważne, bo te powtórzyła mi w całości od razu, ale o takie drobne cechy i drobne zdarzenia z czasów ich wspólnej służby w wojsku; pomogły mi one teraz odtworzyć obraz starszej „wrenki”, którą pokochał Bill.

Widziałem się z May Spikins w jej nowym domu, w nowo powstałym mieście Harlow, i to ona zetknęła mnie z podoficerem Watersem. Odwiedziłem go w sklepie z wyrobami tytoniowymi, który prowadził w Portsmouth przy Fratton Road. Później, w okresie Bożego Narodzenia, wrócił Finch i gdy skończył urlop, pojechałem w styczniu do niego i spotkaliśmy się w jego mesie w koszarach w Eastney. Od niego dowiedziałem się szczegółów o śmierci brata i latem 1951 roku, w czasie wakacji, udałem się do Francji gdzie przez pewien czas usiłowałem odnaleźć grób Billa, co mi się nie udało, jak już poprzednio wspominałem, ale ostatecznie nie to było najważniejsze. Weszło w zwyczaj, że po każdym kroku naprzód w dziedzinie poszukiwań spotykałem się z Violą, często w restauracji na Jermyn Street, aby pogadać o naszych sprawach. Potem zacząłem ją zabierać na wyścigi, dwa razy byłem u niej w studio filmowym spędzając całe popołudnie wśród dekoracji

po lunchu w kantine. Człowiek mojego pokroju mógł łatwo dogadać się z Violą, bo ogniwiem wiążącym nas było wojsko. Zauważyłem kiedyś, że — prawie nie zdając sobie z tego sprawy — opowiadałem jej o moich przeżyciach w RAFie, których dotąd z nikim nie byłem w stanie poruszać, a pewnego dnia uprzytomniłem sobie z nieczystym sumieniem, że stosunek nasz staje się zbyt bliski i że Viola wie o mnie chyba tyle co nikt inny na całym świecie. Ocknąłem się dopiero po roku od chwili naszego pierwszego spotkania i poczułem niepokój. Polubiłem Violę i nie chciałem jej sprawić przykrości.

Do kryzysu doszło następnej zimy albo przed, albo zaraz po Bożym Narodzeniu. Viola przez dwa tygodnie była na nartach w Szwajcarii i wróciła z całą furą fotografii postaci ludzkich w ruchu. Na tym materiale pracowała nad obrazem przedstawiającym narciarza biorącego ostry zakręt na śnieżnym zboczu. Porzucanie tematów związanych z marynarką łączyło się u niej z rozwojem artystycznym; widocznie skupienie uwagi na okresie spędzonym w wojsku zaczynało w końcu słabnąć. Zaprosiła mnie do pracowni, żebym mógł obejrzyć ten obraz, i poszedłem, chociaż raczej niechętnie. Przewidywałem, że w pewnej fazie naszej przyjaźni przyjdzie mi zadać jej ból, i myślałem o tym z przykrością.

Poszedłem na Earls Court w jakieś sobotnie popołudnie z zamiarem zabrania Violi do kina i na obiad. Nowy jej obraz z rozmachem oddawał ruch; zdaje mi się, że Viola była lepszym rysownikiem niż malarzem i jej szkice ludzi w ruchu były wyjątkowo dobre jak na kobietę. Przez parę minut rozmawialiśmy o obrazie; potem Viola poszła do kuchenki przygotować herbatę, a ja usadowiłem się na sofie. Szukała czegoś przedtem w szafie, gdzie były schowane stare szkicowniki, i wszystkie leżały w nieładzie na podłodze. Przewracałem je po kolei, dopóki nie znalazłem zeszytu, gdzie powinien był być rysunek przedstawiający Janet Prentice strzelającą z Oerlikona. Zacząłem po kolei przewracać kartki. Pełno tu było ołówkowych szkiców okrętów i scen morskich, i surowych szkiców portretowych — coś w rodzaju podręcznego notatnika, którego Viola używała w okresie służby w marynarce. I wreszcie trafiłem na ołówkowy szkic Janet.

Portrecik obejmował głowę i ramiona; taką właśnie zobaczyłem ją wtedy w łodzi w Lymington i taką ją pamiętałem. Była w okrągłej czapce i duffle'u z kapturem odrzuconym na plecy. Siedziałem wpatrzony w tę kanciastą, nieładną twarz, która tak mocno wryła mi się w pamięć, zatopiony w myślach o tamtym odległym dniu. Weszła Viola i zastała mnie tkwiącego bez ruchu nad szkicownikiem.

— Co tam masz? — zapytała zaglądając mi przez ramię.

— Portrecik Janet Prentice — odparłem. — Czy mogę go sobie wziąć?

— Po co ci to? — zapytała szorstkim tonem, który, jak przeczuwałem, wróżył coś niedobrego. Kiedyś, oczywiście, musiało do tego dojść.

— Podobieństwo jest doskonale uchwycone — odezwałem się pojednawczo. — Bardzo bym chciał mieć jakąś podobiznę Janet i chętnie wziąłbym sobie ten szkic, jeśli mogłabyś mi go ofiarować.

Viola nie odpowiedziała od razu. Podeszła do stołu, żeby postawić im

bryk z herbatą i talerz ciastek, które właśnie niosła, a potem przez chwilę stała w milczeniu patrząc w najdalszy kąt pokoju. Wreszcie powiedziała:

— Pewnie sobie wyobrażasz, że jesteś w niej zakochany.

— Nic podobnego — odparłem. — Janet była narzeczoną Billa. Byłaby moją bratową, gdyby on wyszedł cało z tej wojny. Powinniśmy mieć jakiś jej portrecik.

— To jest zupełnie wariactwo — powiedziała pośepnie. — Widziałeś ją przecież tylko raz, przez parę godzin, i to osiem lat temu.

— Byłoby to wariactwem, gdybym był w niej zakochany. To ty wyobrażasz sobie Bóg wie co. Ja po prostu — dodałem miękko po chwili — staram się ją odszukać.

Viola odwróciła się do mnie z nagłą wściekłością:

— A kiedy ją znajdziesz, to co? Czy ci się zdaje, że będzie tym samym człowiekiem co osiem lat temu? Ciekawe, czy ty jesteś tym samym człowiekiem, jakim byłeś w 1944? Na miłość boską, Alan, zachowuj się jak dorosły mężczyzna, jakim jesteś, a nie jak kilkunastoletni smarkacz.

Miała oczywiście rację, ale przecież nie mogłem zostać i wysłuchiwać tego rodzaju rzeczy. — Czas najwyższy, żebym stąd poszedł — powiedziałem wstając. Włożyłem płaszcz od deszczu i pozbierałem swoje kule. — Wybacz mi, Viola, jeśli cię czymś uraziłem. Nie zrobiłem tego umyślnie. — I poszedłem ku drzwiom.

Viola patrzyła, jak wychodziłem, i bałem się trochę, że zawoła mnie i poprosi, abym został, odwołując w ten sposób to, co było nieuniknione. Ale tego nie zrobiła. Zamknęłam za sobą drzwi i po raz ostatni zszedłem ze schodów. Nie ma sensu próbować być szczęśliwym z drugą z rzędu doskonałością. Viola powiedziała o mnie, że jestem kompletny wariat, ale przecie ja sam od dłuższego czasu byłem tego samego zdania o sobie.

W dwa dni później dostałem od Violi list; do koperty włożyła mały ołówkowy szkic Janet Prentice, wycięty ze szkicownika. List był krótki i prosty:

„Drogi Alanie!

Załączam szkic jako fajkę pokoju; utrwalłam go, ale opraw go lepiej pod szkłem.

Uważam, że jesteś kiepski wariat, i nie chcę Cię więcej widzieć. Wobec tego bardzo proszę, żebyś do mnie nie telefonowi ani nie pisał, i z góry za to dziękuję.

Życzę ci wszystkiego dobrego

Viola"

Po tym zajściu Londyn stał się dla mnie niewesołym miejscem. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, jak bardzo przywykłem do towarzystwa Violi, i po zerwaniu z nią nie wiedziałem, co robić z czasem. Miałem naturalnie swoją pracę w kancelarii adwokackiej, miałem klub i wyścigi, ale w ciągu 1952 roku zacząłem tracić zainteresowanie do tych rzeczy czując, że zbliża się czas, kiedy powinienem wyjechać z Anglii. Wiadomości z domu również nie były dobre; i ojciec, i matka zaczęli zapadać na zdrowiu i ciążyło im prowa-

dzenie majątku. Do ich listów zakradał się teraz specjalny ton przy wzmiankach o moich planach. Widywałem się od czasu do czasu z Heleną i nie ulegało wątpliwości, że razem ze swoim Laurence'em osiedliła się w Londynie na dobre. Nawiedzało mnie poczucie, że powinienem być w domu. Poszukiwania Janet Prentice stały się, zda się, na martwym punkcie i teraz ewentualna wiadomość o niej mogła już tylko być kwestią przypadku. W zmiennym klimacie angielskiej wiosny i lata poczułem tęsknotę do ciepłej, ustalonej pogody u nas, w Australii, i palącego słońca nad potokiem Tennant w Coombarganie.

Czekał mnie jednakże jeszcze cały rok, zanim mogłem być przyjęty do adwokatury, a upłynął mi na załatwianiu spraw sądowych i zjadaniu proszonych obiadów. Nic mnie ostatecznie nie nagliło, aby wcześniej wracać do kraju, i w końcu zaplanowałem wyjazd na jesień 1953 roku. Wcale nie miałem ochoty zostawać w Anglii jeszcze przez jeden rok i to, że zostałem, było może największą pomyłką w moim życiu, ale skoro zabrałem się już do zawodu prawnika, wydawało mi się nierozsądne porzucać wszystko w chwili, gdy rezultat był tak bliski. Chociaż znużył mnie już Londyn, nic nie nagliło, aby natychmiast wracać do domu. W lecie wyjechałem więc na miesiąc do Hiszpanii, a w zimie na kilka miesięcy do Grecji, na wyspę Rhodos i na Cypr, skrzętnie zbierając te wszystkie wrażenia, które Australijczyk lubi zabierać z sobą na Antypody, gdy wie, że lata całe mogą minąć, zanim zawita znowu do Europy.

Mojej ambicji stało się wreszcie zadość i we wrześniu 1953 roku przyjęto mnie oficjalnie do adwokatury. Zamówiłem kabinę na statku zamierzając wyjechać z Anglii z początkiem października i w ciągu tego ostatniego miesiąca likwidowałem swoje sprawy i żegnałem się ze znajomymi. Z niepokojem myślałem o Violi Dawson, z którą żyłem najbliżej w Londynie, wahając się, czy pożegnać się z nią osobiście; mogło ją to rozdrażnić i okazać się wobec tego okrucieństwem. Ale wątpliwości rozstrzygnęła sama Viola: na dziesięć dni przed wyjazdem otrzymałem od niej list.

„Drogi Alanie — pisała. — Muszę Ci powinszować przyjęcia do adwokatury. Bardzo się z tego ucieszyłam. Wiem od Cyntii, że wyjeżdżasz piątego, i chciałabym się przedtem z Tobą zobaczyć, a ponieważ chodzi o Janet Prentice, więc chyba stawisz się na spotkanie.

W czwartek o ósmej będę u Bruna, w tej małej restauracji, gdzie poszliśmy pierwszego wieczoru po naszym poznaniu. Może tam przyjdiesz i zjemy razem obiad. Nie przychodź do mnie do domu.

Viola"

Czekałem już na nią przy stoliku pod ścianą, gdy weszła, bledsza chyba niż zwykle i dosyć mizerna. Była, zdaje się, rada, że mnie widzi. Zamówiłem sherry i zaczęliśmy obmyślać menu. Zapytałem, co u niej słychać, na co odparła, że dużo pracuje.

— Nie byłaś na urlopie? — zapytałem, bo jesień była leszcze ładna.

— Nie. Mnóstwo miałam pracy.

Kelner odszedł przyjąwszy od nas zamówienie i wtedy Viola zwróciła się do mnie.

— Mam dla ciebie nowiny. O Janet Prentice.

— Tak?

— Mieszka w Seattle, a w każdym razie mieszkała tam mniej więcej rok temu.

— W Seattle, w Ameryce?

— Tak. To jest gdzieś na zachodnim wybrzeżu, prawda? — powiedziała z bladym uśmiechem. — Z Oksfordu Janet pojechała do Seattle, a nie do Settle. Posługaczka wtedy się przesłyszała.

— Co ona tam robi, u licha?

— Przecież sam mi mówiłeś, że ma tam zamieszkać z ciotką.

— Tak mi powiedziała posługaczka.

— Przecież miała stryja w Uniwersytecie Stanfordzkim, w Stanach — przypomniała mi Viola. — Może to właśnie jest w Seattle?

— To chyba też na zachodnim wybrzeżu, ale gdzie indziej — powiedziałem powoli. — Zawsze mi się zdawało, że koło San Francisco.

— W każdym razie Janet mieszka teraz w Seattle — powiedziała Viola. — Mam tu dla ciebie jej adres.

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej złożoną kartkę papieru, którą mi podała nad stołem. — Masz to, czego szukałeś — rzekła cicho.

Rozłożyłem kartkę i przeczytałem adres Janet: Miss J. E. Prentice, 8312 37th Avenue N. W. Seattle, Washington, USA. Przez chwilę patrzyłem na te słowa i wreszcie zapytałem Violi:

— W jaki sposób to zdobyłaś?

— Wydostała mi to Dorota Fisher — odparła Viola z lekkim znużeniem w głosie. — Wiesz, ta moja koleżanka, o której ci opowiadałam, ta, co została we WRENS. Pracuje w Admiralicji w stopniu Drugiego Oficera. Otóż odkąd zaczęła się wojna na Korei, Janet pisuje do nich co parę miesięcy.

— Stara się dostać z powrotem do WRENS, tak?

— Tak — potwierdziła Viola. — Najpierw napisała w tej sprawie, gdy wojna koreańska dopiero co wybuchła i nic jeszcze nie było do roboty, a potem znowu mniej więcej po pół roku. Wreszcie półtora roku temu, za pośrednictwem attache morskiego w Waszyngtonie przysłała podanie o przyjęcie do WRENS, które naturalnie przekazali stamtąd do Admiralicji. W tym czasie mieli już jej trochę dosyć i odpisali w nieco ostrym tonie, że podanie zostanie w aktach i będzie rozpatrzone, jeżeli rozbudowa marynarki wojennej usprawiedliwi powtórne przyjęcie do służby dawnych marynarzy z jej kategorii. Od tej pory nie napisała już ani razu.

— A to działo się półtora roku temu? — zapytałem.

— Mniej więcej. Zdaje mi się, że jej list był datowany z kwietnia.

Kelner przyniósł supę. Siedziałem w milczeniu, szybko rozważając sytuację. Mogłem odsprzedać zamówiony przejazd morski do Australii i pojechać samolotem przez Stany, ale w takim razie trzeba będzie wytrzasnąć skądś trochę dolarów. Taki drobiazg mnie przecież nie zatrzyma. Można kupić spinki brylantowe i sprzedać je tam, a może...

Kelner odszedł.

— Przypuszczam, że do niej napiszesz — odezwała się Viola.

— Napiszę, oczywiście — powiedziałem powoli — ale za mało jest czasu, żebym przed wyjazdem mógł dostać odpowiedź. Mam przecie wyjechać już za parę dni. Odwołam chyba przejazd statkiem i wrócę do domu przez Steny. Za parę dni będę w Seattle, prawie jednocześnie z listem, który wy— Domyślałam się, że to zrobisz — powiedziała Viola. — Zupełne wariactwo. ^r

Nie wiedziałem, co mam na to odpowiedzieć nie raniąc jej jeszcze dotkliwiej, i milczeliśmy teraz oboje. Wrócił kelner z drugą potrawą i oderwał mnie od zastanawiania się nad szczegółami moich odmiennych planów, kupnem biletu na linie lotnicze, wyrabianiem wizy, świadectwa szczepienia¹ książeczki czekowej dla podróżnych i nad innymi komplikacjami związanymi z podróżą powietrzną.

Zdawałem sobie sprawę, ile zawdzięczałem Violi. Niemało musiało ją kosztować dostarczenie mi tego adresu.

— Jestem ci niesłychanie wdzięczny, Viola, za to wszystko — powiedziałem niezdarnie. — Wątpię, czy bez twojej pomocy udałoby mi się kiedykolwiek z nią skontaktować.

— Przecież przyjaźniłyśmy się ze sobą w czasie wojny — mruknęła nie podnosząc oczu znad talerza. — Od tamtej pory Janet miała ciągle pecha- teraz szczerze jej życzę szczęścia.

Instynktownie skręciłem z tego niebezpiecznego tematu.

— Jak myślisz, czy Janet poczułaby się szczęśliwa, gdyby ją z powrotem przyjęli do WRENS?

Viola uniosła głowę i spojrzała przed siebie.

— Może. Skąd to można wiedzieć na pewno? Znała służbę we WRENS z okresu wojny, a teraz to wygląda zupełnie inaczej.

— Co by jej się przydało, to trzecia wojna światowa — powiedziałem półzartem.

— To jasne. — Viola milczała chwilę i dodała: — Dopóki nie znajdziemy się w grobie, to znaczy my wszyscy, co służyliśmy w wojsku, świat ciągle będzie zagrożony nową wojną. Za dobrze nam się działo w czasie tej ostatniej. Ale nikt z nas otwarcie tego nie przyzna, chociaż może byłoby to dla nas zdrowiej. Natomiast głosujemy za powtórными zbrojeniami, stwarzamy napięte stosunki z Rosją i liczymy, że się wszystko na dobre obróci.

Spojrzałem na nią zdziwiony.

— Czy jesteś naprawdę tego zdania?

— Jeżeli jesteś uczciwy z samym sobą, wiesz o tym tak samo dobrze jak ja — odparła. — Dla naszego pokolenia lata wojenne były najlepszym okresem życia, me dlatego, że toczyła się wojna, ale dlatego, że byliśmy młodzi. I ak się złożyło, że najlepsze nasze lata wypadły w okresie wojny. Z tęsknotą wraca się myślą do czasów, kiedy miało się dwadzieścia parę lat, ale my oglądając się wstecz, widzimy jedynie wojnę. Piękne to były czasy i ciągle nam się zdaje, że gdyby wybuchła trzecia wojna, przeżywalibyśmy na nowo te szczęśliwe, beztrudne dni. Może nie wszyscy, ale niektórzy z nas

— Starzejemy się z każdym rokiem — wtrąciłem. — I może przybywa nam rozsądku.

— Może — przytaknęła. — To jedyna korzyść. Stopniowo większość z nas gromadzi nowe zainteresowania — rodzina, dzieci i praca, którą niechęć nie by się porzuciło. Zostało już niewiele ludzi w rodzaju... no, w rodzaju Janet, których od chwili zapanowania pokoju prześladował pech i którym tak szalenie zależy na nowej wojnie. — Siedziała przez chwilę zatopiona w myślach. — Ale co do naszych dzieci — naprawdę nie wiem. Gdybym miała dzieci, pragnęłabym, żeby doznały w życiu tego wszystkiego co ja.

— A gdybyś miała córki, chciałabyś pewnie, żeby służyły w kobiecych załogach łodzi? — zapytałem.

— Tak — odparła. — Chciałabym. Chciałabym, żeby przeżywały wszystko to, co ja przeżywałam, gdy byłam młoda. Twój ojciec służył w wojsku w czasie pierwszej wojny, prawda? — zwróciła się do mnie.

— Tak — potwierdziłem. — Był w Gallipoli, a potem we Francji. W czasie tej wojny także służył.

— Ciekawam, czy był wstrząśnięty i przerażony, gdy ty i Bill zgłosiliście się do wojska? — dociekała dalej bezlitośnie. — A może cieszył się z tego ze względu na was samych, co?

Milczałem przez chwilę.

— Już wiem, o co ci chodzi — powiedziałem wreszcie. — Nigdy przedtem nie spojrzałem na to z tej strony.

— Gdy wszyscy umrzemy — i ja, i ty, i reszta tych ludzi we wszystkich krajach, co brali udział w ostatniej wojnie — wtedy pokój światowy będzie miał pewne szanse. Ale nie wcześniej.

— Niech tylko dziś w nocy spadnie na Earls Court jakaś milutka bombka — powiedziałem. — Zaraz sprzątnie niemałą gromadkę. Viola uśmiechnęła się.

— Może to byłoby właściwe rozwiązanie. Ale mówiąc szczerze, wojna zawsze była zbyt przyjemna dla ludzi, którzy brali w niej udział. Dla większości młodych mężczyzn i kobiet wojaczka stanowiła bardziej atrakcyjne zajęcie niż życie w cywilu. Olbrzymia większość nie została ani zabita, ani ranna; po prostu przeżywaliśmy podniecający i interesujący okres. Jeżeli bomby atomowe potrafią dokładnie obrzydzić życie ludziom służącym w wojsku we wszystkich krajach, wtedy może zaświta nam szansa pokoju. A jeśli nie, trzeba nam będzie poczekać, aż wejdzie w grę jakiś nowy czynnik, który tego dokona.

— Prawdę mówiąc, tym, co byli w wojsku w Anglii, działo się dużo lepiej niż ludziom, którzy nie poszli do wojska i pracowali w fabrykach.

— Oczywiście. I to jest cała bieda. Nigdy nie pozbedziemy się wojen, gdy tak będzie się działo dalej.

Dla nas obojga lepiej było rozmawiać o tych sprawach niż wracać do tematu Janet Prentice, więc przerabialiśmy świat przez cały czas obiadu aż do chwili, kiedy na stole pojawiła się kawa, i zapaliłem Violi papierosa. Wypiła szybko kawę i powiedziała:

— Muszę zaraz wracać. Mam robotę do wykończenia na jutro rano.

Wiedziałem, że był to pretekst, aby skrócić nasze spotkanie.

— Trzeba się więc na razie pożegnać — powiedziałem trochę niezgrabnie. — Nie mam pojęcia, kiedy będę znowu w Anglii.

— Pewnie nie wcześniej niż za parę lat — zauważyła.

— Tak — potwierdziłem. — Właściwie już rok temu powinienem był wrócić. Rodzice bardzo się postarzel, no i trzeba przypilnować majątku.

— Może to i dobrze dla nas obojga, Alanie — rzekła. Zgniotła w popielniczce swego na wpół wypalonego papierosa i zapytała nie patrząc na mnie: — Masz zamiar zapytać ją, czy zechce być twoją żoną?

— Ależ nie! — zaprotestowałem. — Jestem może zwariowany, ale nie do tego stopnia. Historia sprzed dziewięciu lat, która w dodatku trwała tylko parę godzin! Zresztą, zmieniliśmy się oboje. Sama to kiedyś stwierdziłaś.

— Ożenisz się z nią i będziecie bardzo szczęśliwi, zobaczysz — powiedziała. — Poślę wam ślubny prezent i będę trzymała do chrztu jednego z waszych malców. — Spojrzała na mnie oczami pełnymi łez. — Już chyba pójdę do domu, Alanie.

Wstała od stolika i szybko przeszła ku drzwiom restauracji, a ja za nią. W drzwiach odwróciła się jeszcze do mnie.

— Wróć i zapłać rachunek — powiedziała wyciągając do mnie rękę. — Tym razem, naprawdę do widzenia.

Wziąłem jej rękę w swoją.

— Spotkały cię z mego powodu same przykrości, a ja od ciebie nie doznałem nic oprócz dobra. Przepraszam za wszystko.

Przez chwilę trzymała moją dłoń w swojej.

— Nic by z tego nie wyszło — rzekła. — Teraz dopiero to widzę. Ty się już nie zmienisz, a ona zawsze tkwiłaby między nami, nawet jeśli miałbyś jej nigdy nie zobaczyć. Nie jesteśmy dziećmi i możemy rozstać się jak para przyjaciół. — Zwolniła uścisk dłoni. — Szczęść ci Boże, w tym Seattle.

— Do widzenia, Violu — powiedziałem.

Odeszła. Stałem w drzwiach śledząc jej postać sunącą ulicą, niepewny, na wpół zdecydowany, żeby pobiec za nią i przywołać ją z powrotem. Ale Viola znikła mi z oczu za rogiem, a ja wróciłem zapłacić rachunek. Ciężko mi było na sercu. Cokolwiek robiłem ze swoim życiem, obracało się na złe i nie przynosiło szczęścia osobom w to wmieszanym. Usiłowałem wmówić w siebie, że przyczyną jest moje kalectwo, ale wiedziałem sam, że to nieprawda. Nie tak łatwo uniknąć skutków swego postępowania.

Wróciłem do siebie na Half Moon Street i zasiadłem do listu do Janet Prentice. Zasypiałem nad nim, darłem go, pisałem na nowo następnej nocy i znowu nad nim zasypiałem, aż wreszcie skończyłem za trzecim razem. Kiedy zadowolilo mnie moje dzieło i nadałem je pocztą lotniczą, stanowiło około trzeciej części tego, co napisałem początkowo. Przypomniałem Janet po prostu nasze spotkanie w czasie wojny i dorzuciłem, że będąc w Anglii poznałem Violę Dawson, która przypadkowo miała jej adres. Następnie nadmienilem, że ponieważ za tydzień mniej więcej wracam samolotem do Australii, niewiele zбочę z drogi wstępując do Seattle, żeby się z nią zobaczyć, i zatelefonuję do niej natychmiast po przyjeździe.

Spędziłem dwa tygodnie na przestawieniu podróży do Australii na samolot via Stany Zjednoczone i na dopełnianiu wszystkich formalności według starej zasady: „Jeśli masz czasu za dużo, drogą lotniczą podróżuj”. Dopiero 14 października wyruszyłem z londyńskiego lotniska do Nowego Jorku. Zostawiłem za sobą w Anglii wiele szczerze podziwianych i cenionych rzeczy, ale gdy usadowiłem się na swoim miejscu w powietrznym statku, poczułem się irracjonalnie i bezsensownie szczęśliwy. Jechałem przecie do ojczyzny po blisko pięcioletniej nieobecności i to chyba częściowo tłumaczyło moje podniecenie.

W Nowym Jorku miałem paru znajomych, a że pierwszy raz byłem w Stanach, zatrzymałem się tam na trzy dni spotykając się z nimi i zwiedzając miasto. Nie mogłem poświęcić więcej czasu temu największemu miastu świata, bo przecież dążyłem na spotkanie z kimś do miasta dużo mniejszego. Nocą 19 października siedziałem w maszynie Constellation w drodze do Seattle poprzez cały kontynent.

Dojechaliśmy rano i zatrzymałem się w wielkim hotelu na 4 Avenue.

Nie chciałem działać pośpiesznie, więc wykąpałem się i zszedłem na lekki lunch w kawiarni hotelowej. Potem dopiero wróciłem do numeru i odszukałem nazwisko Prentice w książce telefonicznej. Widniało tam czarno na białym, obok takiego samego adresu, jaki miałem od Violi. Pełne nazwisko brzmiało Mrs. C. W. Prentice. Chwilę nad tym dumiałem. Była kiedyś mowa o jakiejś ciotce, z którą Janet miała zamieszkać. Była to prawdopodobnie wdowa po stryju, wykładowcy na Uniwersytecie Stanford. Z pewnością musiała to być wdowa po nim, bo gdyby żył, telefon byłby zapisany na jego nazwisko.

Odłożyłem książkę telefoniczną i siedząc na brzegu łóżka nakręciłem numer.

Odezwał się głos kobiety z wydatnym amerykańskim akcentem.

— Czy mogę mówić z panną Prentice? — zapytałem.

— Pomyłka — odparł głos. — Panna Prentice tu już nie mieszka. Ogarnęło mnie przygnębiające rozczarowanie; tym razem tak bardzo liczyłem na powodzenie.

— Czy nie mogłaby pani mi podać jej telefonu? — zapytałem i czując, że potrzebne jest pewne wyjaśnienie dodałem: — Panna Prentice mnie oczekuje. Jestem w drodze z Anglii do Australii i zatrzymałem się w Seattle, żeby się z nią zobaczyć.

Nie sądzę, żeby kobieta po drugiej stronie linii przejęła się szczególnie moim wyjaśnieniem, bo powiedziała mi tylko to:

— Ona wyjechała przeszło rok temu, kochany, po śmierci starszej pani. A my od niej kupiliśmy ten dom. Czy ona panu podała ten numer telefonu?

— Nie — odparłem. — Znalazłem go w książce telefonicznej.

— Pewnie wpadła panu w rękę stara książka. To panna Prentice spodziewała się pana?

— Napisałem do niej z Anglii parę dni temu i uprzedziłem, że zatelefonuję do niej przejeżdżając przez Seattle.

— Chwileczkę — powiedziała. — Przyszedł do niej wczoraj jakiś list

z Anglii. Miałam go nawet oddać listonoszowi, ale zapomniałam na śmierć. Niech no pan poczeka, zaraz go odszukam. Czekalem, dopóki nie podjęła znowu słuchawki.

— Więc jak się pan nazywa?

— Allan Duncan.

— Zgadza się. To samo nazwisko jest na odwrocie listu. Pana list jest u mnie.

— Czy panna Prentice nie zostawiła pani swojego nowego adresu?

— Czego?

Powtórzyłem ostatnie słowo.

— Ach! — powiedziała. — Sądząc po akcencie jest pan na pewno Anglikiem. Nie, nie zostawiła adresu. Po jej wyjeździe przyszło parę przesyłek, ale wszystkie oddałam listonoszowi.

Myślałem teraz szybko, co robić. Istniała możliwość, że ta kobieta wie więcej o Janet niż to, co mogłem od niej wydobyć przez telefon, albo może sąsiedzi znają jakieś szczegóły, które mogą mi być pomocne.

— Wygląda na to, że się z nią rozminąłem — powiedziałem. — Nie pozostaje mi chyba nic innego jak zgłosić się do pani i zabrać mój list.

— Bardzo proszę — powiedziała skwapliwie. — Rada będę pana poznać, panie Duncan. Nigdy nie miałam okazji poznać Anglika z Anglii.

Roześmiałem się.

— Tym razem także nie pozna pani Anglika. Jestem Australijczykiem. Czy nie zrobi pani różnicy, jeśli przyjdę dziś po południu?

— Ależ nie. Niech pan przyjdzie zaraz. Moje nazwisko jest Pasmanik, Molly Pasmanik.

Pół godziny później jechałem tam taksówką. Był to kawał drogi za miastem w dzielnicy zwanej North Beach. Dom znajdował się w odległości mniej więcej dwóch ulic od morza, a właściwie Zatoki Shilshole, wśród przyzwoitego podmiejskiego otoczenia. Szofer nie chciał na mnie czekać, więc zapłaciłem, przeszedłem przez nieogrodzony ogród i zadzwoniłem do drzwi małego, jednopiętrowego domu.

Spędziłem całą godzinę z panią Pasmanik, która poczęstowała mnie kawą i ciasteczkami, ale o Janet Prentice dowiedziałem się niewiele. Mieszkała tutaj z ciotką aż do śmierci tej ostatniej, ale pani Pasmanik nie umiała mi powiedzieć, jak długo to trwało, bo jej rodzina przybyła do Seattle niedawno, z New Jersey. Nie wiedziała rzeczywiście nic z tego, co mogło mi się przydać.

Nie mogłem się od niej dowiedzieć, czy Janet porobiła jakieś znajomości w sąsiedztwie, a poza tym wyglądało na to, że domy w tej dzielnicy bardzo często zmieniają właścicieli. Sąsiedzi z jednej strony wyprowadzili się dwa miesiące przed moim przyjazdem, a sąsiedzi z drugiej strony wprowadzili wkrótce po sprzedaży domu przez Janet i nic o niej nie mogli wiedzieć. Ciotka zmarła w maju 1952 roku, a Pasmanikowie kupili od Janet dom w czerwcu. Nie spotykali się z nią często, bo cały interes był w rękach pośrednika, ale odnieśli wrażenie, że Janet wyjeżdża z zamiarem osiedlenia się w San Francisco. Przy sprzedaży domu wyłoniło się parę prawnych komplikacji, bo Janet była cudzoziemką, a odziedziczyła dom po ciotce, obywatelce amerykańskiej.

kańskiej. Nigdy nie mieli jej nowego adresu i pocztę przychodzącą jeszcze do niej oddawali listonoszowi. Pani Pasmanik sądziła, że urząd pocztowy może posiadać ten adres. Zwłoki ciotki zostały spalone, a urna z prochami złożona na cmentarzu w Parku Akacjowym. Nic tu już nie miałem do roboty. Janet Prentice żyła tu kiedyś, mieszkała w tym domu przez parę lat, ale teraz śladu po niej nie zostało. Pożegnałem się z panią Pasmanik i powoli poszedłem wzdłuż kilku bloków do przystanku autobusu idącego do Sunset Hill, którym mogłem wrócić do miasta. Janet musiała dobrze znać te ulice; to właśnie otoczenie wywierało na nią swój wpływ w ciągu lat, jakie przeżyła w tej dzielnicy, wtedy kiedy ja szukałem jej w Anglii. W tych sklepach robiła codzienne zakupy dla ciotki w obcym mieście, z dala od rodzinnego Oksfordu, z dala od rzeki Beaulieu i baterii Oerlikonów.

W drodze autobusem do miasta przejeżdżaliśmy przez wielki most i zobaczyłem roje ślicznych jachtów i przysadzistych, roboczych barek rybackich zacumowanych do mola i boi. Ciekaw byłem, czy dawna „wrenka” znajdowała tu ukojenie, jakiś środek łagodzący cierpienie, a związany z jej poprzednim życiem. Może był ktoś na tym wybrzeżu, jakiś rybak czy żeglarz, kto ją znał, ale jakże było dociekać tego w obcym kraju!

Tego wieczoru siedziałem w hotelu przetrawiając posępnie całe zagadnienie, które wydawało się dziś równie dalekie od rozwiązania jak do tej pory. To prawda, że nieco dogoniłem Janet w czasie i pozostawałem za nią w tyle nie więcej jak o jakieś piętnaście miesięcy. Wobec tego wspomnienie o niej ludzi, którzy mogli ją znać, będzie teraz świeższe, ale z drugiej strony zniknęła mi w obcym, chociaż przyjaźnie usposobionym kraju wśród stu pięćdziesięciu milionów ludności. Zjadłem obiad w jadalni hotelowej i nie mogąc już dłużej znieść bezczynności wyszedłem na miasto i dopóty wlokłem się z trudem po ulicach, dopóki nie dotarłem do tego jeziora w głębi łądu, którego szukałem, zainteresowany jego licznymi nabrzeżami i rojem małych stateczków. Tego wieczora przemierzyłem całe mile naokoło Jeziora Union. Chodziłem tak, dopóki rzemyki przy protezach nie obtarły mi nóg do żywego ciała, czego na razie zresztą prawie nie czułem. Było to jednak poszukiwanie igły w stogu siana. Jak wariat zatrzymałem raz jakiegoś starego człowieka schodzącego właśnie z łodzi rybackiej i zapytałem go, czy nie słyszał czasem o dziewczynie, Angielce, która zajmowała się żeglarstwem. Nazywała się Janet Prentice.

— Nigdy nie słyszałem tego nazwiska — powiedział stary. — Niemało tu łodzi, proszę pana, a także niemało dziewczyn.

Wreszcie wydobyłem się stamtąd na gwarną ulicę, zawołałem taksówkę i wróciłem do hotelu. Prawie wcale nie spałem tej nocy. Pozostawało jeszcze parę wątpliwych śladów, które trzeba było zbadać, bo może do niej prowadziły. Rano poszedłem do konsula brytyjskiego. Wiedział on o istnieniu Janet, ale sądził, że wróciła do Anglii. Poszedłem następnie do głównego urzędu pocztowego, gdzie jakiś młodzieniec w biurze dyrektora oświadczył mi, że wydawanie pozostawionych na poczcie adresów jest przeciwne przepisom, i udzielił mi rady, abym napisał list pod ostatnim

znanym adresem, skąd będzie wystany dalej, jeżeli w ogóle jakiś nowy adres został na poczcie podany. Po lunchu wziąłem taksówkę i pojechałem na cmentarz, gdzie rozmawiałem z dozorcą. Pokazał mi urnę z prochami pani Prentice i poinformował, że wszelkie koszty związane z umieszczeniem urny na cmentarzu zostały opłacone na wieczność przy pogrzebie. Łudziłem się, że roczne opłaty mogłyby mnie naprowadzić na jakiś ślad adresu, ale i tu spotkał mnie zawód.

Z tym wyczerpałem wszystkie możliwości w Seattle, ale jeszcze pozostawała jedna wątła nadzieja na kontakt w Ameryce. Następnego ranka poleciałem do San Francisco, gdzie zatrzymałem się w St. Francis Hotel. Po południu pojechałem samochodem do pięknego uniwersytetu Leland Stanford, gdzie od razu uderzyłem do dyrektora sekretariatu, który odesłał mnie do dziekana. Ten pamiętał doktora Roberta Prentice, Anglika, który zaczął pracować na tutejszym uniwersytecie około 1925 roku, w Instytucie Badania Żywności. Mniej więcej po siedmiu latach wyjechał ze Stanford objąć inne stanowisko w Uniwersytecie Waszyngtońskim w Seattle, gdzie zmarł w 1940 roku. Na miejscu nie posiadali danych pozwalających na odszukanie jego bratanicy. Podziękowałem pięknie dziekanowi i wróciłem do hotelu.

Wieczorem zamówiłem miejsce na lot do Sydney przez Pacyfik. W ciągu pięciu lat ścigałem marzenie i pościg ten do niczego mnie nie doprowadził. Musiałem wreszcie porzucić mrzonki, za którymi goniłem, musiałem wreszcie przestać zachowywać się jak smarkacz, jak to kiedyś zauważyła Viola. Byłem dorosły, zbliżałem się do czterdziestki i robota czekała na mnie w Coombarganie, tam gdzie było moje właściwe miejsce.

Zjadłem obiad w restauracji na Wybrzeżu Rybackim patrząc na łodzie kołyszące się na spokojnych wodach przystani. Musiałem wreszcie skończyć z tą dziecinadą i zabrać się do konkretnej pracy. Zresztą z chęcią się do niej wezmę, z chwilą gdy już położyłem krzyżyk na całej tamtej historii. Czułem, że nigdy całkowicie nie wymażę z pamięci Janet Prentice, ale jednak zdawało mi się, że tego wieczoru spadł mi z ramion jakiś wielki ciężar.

Rozdział VIII

W moim sypialnym pokoju w Coombarganie dochodziła już druga nad ranem, kiedy ostatecznie zdobyłem się na szczegółowe zbadanie zawartości neseseru Janet. Ociągałem się z wtargnięciem w jej osobiste sprawy nawet wtedy, gdy była dla mnie kimś anonimowym, pokojówką zgodzoną w czasie mojego pobytu za granicą. A teraz stała się konkretną osobą — była to przecież dziewczyna, którą kochał Bill. Dla nieznanych mi powodów przyjechała właśnie tutaj po śmierci matki i stryjenki i w czasie mojej nieobecności otaczała opieką rodziców nieświadomych, kim była, raczej jak córka niż jak płatna służąca. A w końcu odebrała sobie życie. Ale co ją do tego skłoniło? Teraz podwójnie wzdragałem się wtargnąć w jej sprawy osobiste, chociaż niechętnie się do tego odnosiłem i wtedy, gdy uważałem ją za osobę nieznaną. Wyjąłem na stół zawartość nesesera układając osobno listy, osobno fotografie i osobno książeczki czekowe i oszczędnościowe. Pozostawał jeszcze dziennik, jedenaście zeszytów *in quarto* o rozmaitych okładkach. Otworzyłem jeden z nich i szybko zamknąłem go z powrotem. Pismo było drobne, równe, a litery ścieśnione. Nie miałem wątpliwości, że dziennik powie mi to wszystko, czego muszę się wreszcie dowiedzieć, a przed czym jednak się wzdragałem.

„Po co się z tym śpieszyć?” — pomyślałem. Podsyliłem ogień, zdjąłem brudne spodnie i pulower, przebrałem się w smoking, a potem posiedziałem trochę przed kominkiem i pochodziłem po pokoju. Dwukrotnie przymusiłem się i przysunąłem z krzesłem bliżej stołu, żeby zabrać się w końcu do rzeczy, ale za każdym razem podświadomie wynajdywałem jakąś wymówkę i drobne, prozaiczne sprawy odciągały mnie od tego, co wzbudzało we mnie opór. Przypominam sobie, że przez dłuższy czas stałem przy oknie patrząc na ciche, zalane księżycową poświatą pastwiska, które rozciągały się za rzeką, daleko, aż do stóp pagórków. Spośród wielu faktów, które musiał zawierać jej dziennik, wyszedł już na jaw pierwszy, bezlitosny i bolesny. Odebrała sobie życie w przededniu mego powrotu, prawdopodobnie dlatego, że byłem jedyną osobą, która mogła ją poznać i wyjawić, kim była dla Billa. Przyjechałem wcześniej, niż było projektowane. Gdybym był jechał drogą morską, tak jak wszyscy w domu sądzili, dziewczyna byłaby w grobie, zanim bym dotarł na miejsce, i tajemnica jej pozostałaby niewyjaśniona.

Gdybym został z dala od Coombargany wybierając tak jak moja siostra drogę ekspatriacji w Anglii, Janet Prentice byłaby żyła. W pewnym sensie, którego nie chciałem zgłębić do końca, byłem za jej śmierć odpowiedzialny:

Do tego właśnie wniosku doszedłem około drugiej nad ranem i zdaje mi się, że to stwierdzenie wróciło mi równowagę. Poprzedniego wieczoru matka mówiła, że nie dała oparcia dziewczynie i nieświadomie uczyniła ją aż tak bardzo nieszczęśliwą, że doprowadziło ją to do samobójstwa. Ale nie zdawa-

la sobie sprawy, co też mogła uczynić. Teraz już wydawało się rzeczą zupełnie nieprawdopodobną, aby matka była w ogóle wmieszana w tę sprawę. Decyzję Janet przyspieszył mój powrót do domu. Musiałem spojrzeć odważnie na fakty i przyjąć brzemię, które spadnie na moje barki. Muszę przeczytać jej dziennik, choćby tylko ze względu na matkę.

Zasiadłem przy stole, odłożyłem na bok inne papiery i zabrałem się do tych jedenastu zeszytów dużego formatu. Rzuciłem okiem na każdą pierwszą stronę i ułożyłem je według dat z pierwszym zeszytem na wierzchu.

Dziennik zaczynał się w październiku 1941 roku, kiedy Janet wstąpiła do marynarki. Pierwszy zeszyt zawierał codzienne zapiski polegające przeważnie na notatkach z zakresu regulaminu służbowego, datach urlopów, wykazach odpowiadających sobie rang w armii lądowej i lotnictwie — aby zapamiętać, komu trzeba zaszalutować, a komu nie — i na tym podobnych sprawach. W dalszym ciągu zeszytu zapiski nie były już wnoszone codziennie, ale stawały się coraz dłuższe i bardziej opisowe wykazując pewne zdolności literackie, czego można się było spodziewać zważywszy na dziedzictwo po ojcu. Zaczęły się pojawiać oznaki, coraz wyraźniejsze w następnych zeszytach, że dziennik przybierze charakter jak gdyby wentylu dla uczuć.

Typowa była notatka z sierpnia 1942 roku:

„Sobota. Pojechałam ciężarówką do kina w Littlehampton z Heleną i gromadą chłopców. W drodze śpiewaliśmy chórem. Zaraz po powrocie, około 11⁴⁵ był alarm lotniczy i wszyscy zeszliśmy do schronu. Spadło mnóstwo bomb, jedna prawie że trafiła. Cała masa piachu zwała się z dachu schronu i miało się paskudne uczucie w uszach. Samoloty nadchodziły falami i rozlegała się strzelanina z Boforsów. Alarm odwołano o 2¹⁵, strasznie było przyjemnie wypełznąć na powierzchnię. Noc była śliczna, gwiaździsta, ale naokoło cała masa pożarów, których bezpieczniej tu nie wymieniać. Jedna bomba trafiła w schron numer 16, kilku chłopców zostało zabitych, a także Heather Forbes. Alicję Murphy zasypało, ale ją odkopali i odesłali do szpitala w stanie niezbyt ciężkim. Samolot spadł koło parkingu dla transportu; było trzech zabitych, ale to Niemcy. Zestrzelił go jeden z Boforsów tam-ta-tam. Pozwolili nam dłużej pospać, ale wstałam na śniadanie i pracowałam normalnie.”

A oto inna notatka:

„Wtorek. 15 września. Zawsze trzeba przestrzelać działą, oczywiście zanim się je wmontuje w maszynę, ale wczoraj na potańcówce por. Atkinson zapytał, czy kiedy strzelałam z powietrza; powiedziałam, że nigdy, a on stwierdził, że to skandal i że mnie ze sobą zabierze. Naturalnie nie należy do programu, żebyśmy latały, ale mnóstwo «wrenek» to robi, ot tak, dla przyjemności, gdy nikt nie widzi. Atkinson dał mi kombinezon i hełm i przypilnował, żebym była dobrze przywiązana w kabinie jego Swordfisha. Zabraliśmy cztery taśmy do wystrzelenia w czasie lotu. Było strasznie przyjemnie. Polecieliśmy nad morzem gdzieś koło Bognor, trochę na wschód od Selsey, i tam porucznik wypatrzył na fali jakąś pake, zniżył się do mniej więcej pięciuset stóp i kazał mi pociągnąć za spust. Pierwsza seria poleciała nie tam, gdzie trzeba, ale porucznik zaczął okrążyć cel, postawił Swordfisha na uszach i kazał mi próbować dalej, no i mniej więcej w połowie drugiej serii wydało mi

się, że skapowałam, o co chodzi, i nagle okazało się, że trafiłam i paka zaczy na rozpadać się na drzazgi. Porucznik kazał mi spróbować strzelać z wyprzedzeniem, gdy sam leciał równo nad celem o jakieś sto metrów. Zapowiedział, że obedrze mnie ze skóry, jeśli mu odstrzelę końcówkę skrzydła czy ogona. Te strzały nie były wcale łatwe, ale trafiłam parę razy pod koniec ostatniego magazynka. Cały lot trwał coś około godziny i wylądowaliśmy znowu w Ford. Ranek był uroczy."

W ciągu tych miesięcy, które Janet spędziła w Ford, nie zdarzyło się nic szczególnie ważnego. Gdy pojechała na Whale Island, aby odbyć przeszkolenie na Oerlikonach, dziennik nabrał charakteru notatnika technicznego i wypełnił się szczegółami o smarach, ich przeznaczeniu, sposobie pobierania ich z magazynu, kolorach, na jakie maluje się pociski, i tym podobnych sprawach. Z pewnością musiała mieć dostęp do różnych oficjalnych publikacji z tego zakresu, ale widocznie łatwiej jej było zapamiętać te wszystkie wiadomości, jeśli zrobiła z nich notatki w swoim dzienniku. Jediną notatką o pewnym znaczeniu była wzmianka o zetknięciu się z Pierwszym Lordem Admiralicji, ale i ta była bardzo krótka:

„Czwartek. 1 lipca. Ostatni dzień strzelania na poligonie. Jednocześnie urządzili próbne strzelanie do holowanego celu w postaci szybowca, ale jakoś nie bardzo im szło. Potem SzeF kazał mi strzelać i trafiłam. Posłali mnie na wieżę, gdzie było więcej admirałów niż wróbla na dachu, z dystynkcjami aż po łokcie. Zaczęli mi zadawać kupę pytań, z których nie rozumiałam ani słowa. SzeF dał mi drugi orzech kokosowy i i spałaszowałyśmy go w baraku."

Następnie przydzielono ją na „Mastodonta", ale w ciągu pierwszego okresu, mniej więcej dziewięciomiesięcznego, w Exbury dziennik nie zawierał nic specjalnie ciekawego. Zaniechała już zwyczaju codziennych zapisek i notowała tylko nadzwyczajne wydarzenia, które poruszyły ją uczuciowo. W pewnym momencie była pięcioletniowa luka wypełniona jedynie szczegółową listą różnych typów jednostek desantowych, uzbrojenia i komór amunicyjnych na każdej z nich.

Pierwsze swoje spotkanie z Billem i zdarzenie z zatopionym Shermanem opisała dokładnie. Wykorzystałam to już poprzednio w moim opowiadaniu i nie będę powtarzał relacji z jej dziennika. W Billu była bardzo zakochana, zaraz od pierwszej chwili. I chociaż sam musiałem przeczytać notatki w jej dzienniku, postaram się, aby nikt inny ich nie widział. W ciągu następnych tygodni dziennik mówił wyłącznie o Billu, gdzie razem byli i co robili. Przerzucałem te kartki aż do chwili, kiedy pojawiła się moja osoba:

„...Jutro spotkanie z bratem Billa, Alanem. Szkoda, że nie może być tak, jak było dotąd — sierżant i starsza «wrenka», ale oczywiście nie bez tego, że trzeba będzie poznać wzajemnie swoje rodziny, jeżeli nasza przyjaźń ma trwać nadal. Może po powrocie z Okręgu Jezior weźmiemy ślub w szybkim tempie! Będę musiała przedstawić Billa mamie i tatusiowi, a Alan oczywiście

musi się także ukazać na scenie, bo przecież to jedyny członek rodziny Billa na tej półkuli. Bill tak się liczy z Alanem, że naprawdę zaczynam mieć stracha. Ale trudno, co ma być, to będzie.

Niedziela wieczór. Naturalnie Bill miał rację, ten brat naprawdę jest imponującą osobistością. Pojawił się w samochodzie z «waafką» przy kierownicy, wystrojoną jak lalka i z półcalową warstwą kosmetyków na twarzy. Wyglądała przy niej jak kocmołuch. A Alan... trzy naszywki i pięć wstążeczek od orderów z D.F.C. włącznie z baretką. Zdaje się, że to tego rodzaju typ, co to wszędzie był, wszystko robił, a wcale się nie chwali. Jest w nim duże podobieństwo do Billa; jakby starszy i bardziej dojrzały Bill. Widać, że są ogromnie do siebie przywiązani. Bill nic mi nie mówił, że Alan ma stypendium Rhodesa, ani że był w Christ Church College. Muszę zapytać tatusia, czy go tam spotkał. Alan i Bill byli w takiej szkole, Gellong czy coś w tym rodzaju, co najwidoczniej świadczy, że ich rodzina to nie byle kto. Muszę zapytać tatusia, czy o niej słyszał. Widocznie to taka szkoła, do której farmerzy posyłają swoich synów, ale zaczynam być trochę zaintrygowana. Chłopcy z rodzin farmerskich w Anglii może i wyrastają na takich ludzi jak Bill i Alan, tylko się nie wie, że urodzili się na farmie. Właściwie podobał mi się ten Alan i wcale się teraz nie denerwuję na temat rodziny Billa. Nie może być między nimi a nami takiej różnicy, jak początkowo myślałam."

Wkrótce potem miało miejsce zdarzenie z Junkersem.

„Sobota. 29 kwietnia. Dzisiaj zestrzeliłam Junkersa, ale wszystko obróciło się na złe. Cała załoga zabita, a podobno to byli sprzymierzeńcy, Czesi czy Polacy, którzy usiłowali przedostać się na naszą stronę. Inni też strzelali do tego Junkersa, ale zdaje mi się, że to właśnie ja go trafiłam. Nie mogę spać i nie wiem, co mam robić, a Billa nie ma, gdzieś go wysłali służbowo. Dziś rano zabrałam się z Violą na 968, żeby dostarczyć Steny LCTom, i ta maszyna nadleciała, akurat kiedy byłam na pokładzie. Zaczęli do niej strzelać z Wyspy Wight, ale nie trafili. Zeszła całkiem nisko nad Solent, chyba coś około tysiąca stóp, i zaczęła krążyć mniej lub więcej poza polem ostrzału wszystkich dział. Myśleliśmy, że robi zdjęcia. 702 leżał burta w burtę z 968, ale wszyscy kanonierzy mieli wolny dzień, a podporucznik niedojda i ja obsłużyłam lewego Oerlikona. Na 968 por. Craigie zabrał się do prawego dział, ale kiedy Junkres skręcił ku nam, pole ostrzału zasłonił Craigie'emu pomost, bo byliśmy zacumowani rufami w stronę biegu rzeki, więc krzyknął do mnie, żebym strzelała. Junkres leciał wprost na nas na wysokości poniżej tysiąca stóp. Po prostu nie można było nie trafić; miałam go w celowniku na szóstej godzinie i walnęłam trzy razy w kabinę, a wtedy wypuścił podwozie. Jakiś Bofors trafił w niego, kiedy już przeleciał nad nami, i zaraz potem runął na łące przy samym skraju moczarów. Poszliśmy zobaczyć szczątki, to było okropne. Było ich siedmiu, sami sierżanci z Luftwaffe.

Po obiedzie przysłał po mnie kapitan i mocno oberwałam: był także jakiś oficer RAFu, chyba «inteligentny». Powiedział, że oni przypuszczają, że Junkers miał pokojowe zamiary, chciał lądować i poddać się, ale właściwie na

pewno tego nie wiedzą. Mieli ochotę, żebym powiedziała, że kola wyszły, za nim zaczęłam strzelać, ale słowo daję, że chyba raczej nie. Może je wypuścili wtedy, kiedy zaczęłam strzelać, ale zdaje się, że odstrzeliłam kawałek urządzeń sterowniczych i po prostu spadły czy coś w tym rodzaju. Kapitan zbeształ mnie potężnie, że w ogóle strzelałam.

Nie wiem sama, co robić. Chyba powinnam była się zorientować, że to idzie za gładko. Maszyna nieprzyjacielska nie leciałaby wprost nad okręt na siedemset stóp, i to w dodatku tak powoli. Powinnam była się domyślić, ale przecież wszyscy do niej także strzelali, kiedy była w ich polu. Nie mogę zasnąć i czuję się okropnie. Chciałabym złożyć podanie o przeniesienie gdzieś na północ, ale przecie nie puszczą mnie przed inwazją. Nie wiem sama, co robić."

Przez parę następnych dni dziennik milczał aż do długiego opisu odwiedzin ojca w Royal Bath Hotel w Bournemouth, gdzie doktor Prentice był na przeszkoleniu formacji morskich Królewskiego Korpusu Obserwacyjnego. Ten materiał użyłem już wcześniej i wystarczy, jeśli zacytuję tylko ostatnie dwa zdania:

„...Miałam zamiar opowiedzieć tatusiowi o Junkersie, ale w końcu nic nie powiedziałam. Tatuś jest w takim świetnym nastroju i tak się wszystkim cieszy."

Po nowej kilkudniowej przerwie pojawiła się notatka o Billu.

„7 maja. Dziś rano dostałam list od Berta Fincha. Bill nie żyje. Razem z Bertem poszedł na wyprawę na drugą stronę i już nie wrócił. Bertowi nie wolno mówić, co się stało, a mnie specjalnie nie zależy, żeby to wiedzieć.

Nie jestem w stanie sobie uprzytomnić, że to się stało. Myślałam, że w takim wypadku człowiek cały się rozkleja i płacze, ale ja to jakoś inaczej odczuwam. Cały dzień robiłam swoją robotę, bo takie jej mnóstwo, że nie ma czasu na bezczynne siedzenie i myślenie. To prawie tak, jakby to spotkało kogoś innego.

Jak to dobrze, że nic nie mówiłam o Billu ani mamie, ani tatusiowi. Nie zniósłabym niczyjego współczucia. To, co było między nami, było wyłącznie nasze i nikogo nie obchodzi, a jeśli się teraz skończyło, to mimo to jest nasze i nikogo nie obchodzi. Nie zniósłabym, żeby ktokolwiek o nas wiedział.

Bill nie pisał o nas do domu, mówił tylko o tym z Alanem. Stąd wiem, że nie pisał, bo postanowiliśmy, że nikomu nic nie powiemy, dopóki sami nie będziemy zupełnie pewni, dopóki nie zerwie się balon i nie wyjedziemy razem, żeby się naprawdę poznać, poza wojskiem. Napisałam Bertowi, że rodzina Billa w Australii nie wie, co nas łączyło, i poprosiłam, żeby przejrzał rzeczy Billa i odesłał moje listy i nasze wspólne fotografie. Bert to porządny chłopak i myślę, że Bill by zaaprobował takie postawienie sprawy. Jak koniec, to koniec. Nie zniósłabym, gdyby obce osoby z drugiego końca świata wtrącały się i współczuły, nawet gdyby to miała być rodzina Billa.

Jedyną komplikacją teraz jest Dev. Bert mówi, że kazali mu go zastrzelić, jeśli ja nie będę mogła wziąć go do siebie, ale na to nie pozwolę. Poszłam do Trzeciego Oficera Collins i zapytałam ją, czy mogłabym wziąć psa tutaj, ale powiedziała, że nie. Jednakże w pół godziny później przyszedł do naszego baraku por. Parkes i powiedział, że załatwił mi to i Dev będzie niby to psem McAlistera. Gdy wróciłam do baraku, beczałam przez dziesięć minut. To okropne, kiedy ludzie okazują tyle życzliwości, ale może to i dobrze trochę sobie pofolgować. Poczulałam się potem lepiej i pojechałam w dół rzeki z amunicją do Boforsa dla desantowców. Jestem tak okropnie zmęczona."

Aż do połowy czerwca dziennik milczał. Tymczasem zbliżał się szybko dzień inwazji i w tym okresie Janet pracowała gorączkowo. Musiała także zająć się Devem i Viola mi mówiła, że każdą wolną chwilę spędzała z psem Billa. W tym okresie dziennik prawdopodobnie nie był potrzebny jako ujście dla uczuć, bo stał się nim Dev. Nie bez znaczenia może jest fakt, że następną notatkę napisała w dzienniku tego dnia wieczorem, kiedy Dev został zabity.

„Wtorek. 11 czerwca. Dev nie żyje, a ja jak wariatka załamalam się na pochylni przed wszystkimi. Wpadł pod Shermana, bo nie pilnowałam go, jak należy. Strasznie cierpiał i nic nie można było mu pomóc. Poprosiłam jakiegoś oficera z armii lądowej, żeby go zastrzelił. Wszyscy mi współczuli i to już była ostatnia kropla. Jak zaczęłam płakać, to nie mogłam skończyć.

Viola była nadzwyczajna. Jak tylko mogła, przyjechała kutrem z powrotem, zabrała mnie stamtąd i zawiozła do naszego baraku. Potem przysłała Collins i kazała mi pójść do lekarza i zameldować się jako chora. Wszyscy lekarze z rezerwowej marynarki poszli na «Overlorda» i był tylko amerykański lekarz wojskowy, kpt. Ruttenberg, całkiem młody blondyn. Byłam zadowolona, że to obcy, bo przecież nic mi nie było, ale nie mogłam wziąć się w kupę i było mi wstyd.

Przypuszczam, że to musiał być doskonały doktor czy psycholog, czy coś w tym rodzaju, bo w ogóle nic mi na razie nie zrobił. Posadził mnie na krześle, postarał się o dwie filiżanki herbaty z kasyna, poczęstował mnie papierosem i zaczął mówić o sobie. Powiedział, że jest pierwszy raz w Europie, i to dopiero od trzech tygodni. Że ma na imię Lewis, a jego żona jest Mary. Mają trzyletniego chłopczyka, którego nazywają Junior, i malutką dziewczynkę Susie i mieszkają w miejscowości Tacoma. Powiedział mi, że ma Forda, sedan 1938, myślę, że to pewnie to, co u nas saloon. W lecie wszyscy jadą na camping w góry, z namiotem, bo on lubi łowić pstrągi, a jego żona przepada za konną jazdą. Po chwili przestałam się mazać i wtedy on naprowadził rozmowę na moją osobę. Opowiedziałam mu o Billu, o tatusiu i o Devie. Musiałam być w jego gabinecie chyba półtorej godziny, zanim zabrał się do stetoskopu, ciśnienia krwi i tak dalej i zaczął notować dane o okresie mojej służby wojskowej itp. I wreszcie powiedział, że nic mi nie dolega oprócz przemęczenia i że mnie wysyła na miesięczny urlop. Zużył dwie godziny, żeby do tego dojść. Lewis C. Ruttenberg. Musi być bardzo dobrym lekarzem, bo niby to

specjalnie się mną nie zainteresował, ale po chwili ja sama miałam ochotę wszystko mu powiedzieć i chyba mi to dobrze zrobiło, że się wygadałam. Powiedział, że powinnam spać po dziesięć godzin przez następne trzy noce, i dał mi trzy małe, żółte kapsułki do zażycia przed pójściem do łóżka, jedna co noc. Nigdy przedtem nie łykałam czegoś podobnego. Mam nadzieję, że te pigułki nie spowodują takich snów, jakie miałam ostatnio. Nie wytrzymałabym wtedy dziesięciu godzin snu.

Ach, Bill! Tak strasznie jestem zmartwiona tym, co się stało z Devem! Przebacz mi. To wszystko moja wina."

Dalej była mniej więcej półroczna przerwa w dzienniku, a po niej pierwsza notatka datowana 16 grudnia 1944 roku:

„Ostatnie z tych okropnych bachorów wyjechało dzisiaj, Bogu niech będą dzięki. Miesiąc temu, kiedy wróciłam z Henley, powiedziałam urzędnikowi kwaterunkowemu, że moja matka nie jest w stanie zajmować się nimi dłużej, ale naturalnie nic nie zrobił i nadal u nas tkwiły, jak gdyby nigdy nic. Poszłam do niego w czwartek i oświadczyłam, że jeśli ich nie zabierze, to któreś zamorduję. Zrozumiał, zdaje się, że to nie żarty, bo rzeczywiście nie żartowałam. Bachory wyniosły się dzisiaj i na pewien czas mamy dom dla siebie, ale za to złą notę w magistracie. Niepatriotyczne stanowisko. Nic unikniemy kogoś znowu wobec trzech wolnych pokoi, ale zapowiedziałam, że żadnych dzieci czy niemowląt nie weźmiemy. Boże wielki, odetchnę z ulgą, kiedy będę z powrotem we WRENS. Najważniejsze teraz, żeby trzymać się z daleka od łap tych cholernych lekarzy. Nigdy w życiu nie pójde już więcej do doktora ani do żadnej lecznicy. Nie jestem pomyłona i nigdy nią nie byłam. Nikt nie może pojąć, że czasem człowiek robi coś takiego, za co musi być ukarany. Pan Bóg już tego pilnuje i tak jest sprawiedliwie, bo jeśli się bezmyślnie zabiło siedmiu ludzi, po prostu żeby wykazać, że się świetnie strzela z Oerlikona, trzeba za to ponieść karę. Cały kłopot polega na tym, że przyzwoici lekarze poszli do wojska, a ci, co zostali, są do niczego. Gdy się im chce wytłumaczyć sprawę kary, myślą, że ma się kuku na muniu, i zaraz posyłają człowieka do czubków, na przykład do Henley.

Z mamą jest niedobrze. Bardzo szybko się męczy i wydaje się, że ją nic nie obchodzi. Wzięłam ją wczoraj do kina, bo wiem, że przed wojną lubiła chodzić z tatusiem na filmy, ale tak jakby nie mogła nadażyć za treścią i ostatecznie była znudzona. Żałuję teraz, że sprzedało się samochód, bo mama wcale teraz nie wychodzi z domu, a może sprawiłoby jej przyjemność gdybym ją czasem zawiozła za miasto. Niedaleko można zresztą ujechać na kartkowej benzynie, ale zawsze byłaby pewna różnorodność. Tylko że potrzebne były przecież pieniądze. Jeżeli prędko nie wrócę do marynarki, będę musiała wziąć jakąś posadę, bo już mało co zostało z samochodowych pieniędzy i nasz kapitał nie wystarczy na długo, jeśli będziemy się wysprzedawały i z tego żyły. Płatni lokatorzy uratowaliby naturalnie sytuację, ale przecież nie te koszarne bachory.

Wygląda na to, że wojna jeszcze potrwa dłuższy czas, co najmniej jeden

rok. Przypuszczam, że powinni mnie niedługo zawezwać z powrotem. May Spikins przenieśli do Brindisi, gdzie zakładają magazyny amunicyjne. Powinni odczuwać brak «wrenek» w kategorii uzbrojenia w kraju, wobec tego że tyle ich przenoszą do rejonu śródziemnomorskiego."

W pierwszych miesiącach 1945 roku było kilka notatek w podobnym tonie, świadczących o głębokim zniechęceniu do życia wobec tego, że w czasie wojny była poza służbą wojskową, i tym się gryzła. A potem przyszło zawieszenie broni.

„9 maja. Wojna w Europie chyba się już skończyła, ale trwa nadal z Japonią. W Europie walki wstrzymane, Hitler podobno nie żyje i zaczyna się mówić o demobilizacji.

Nie wierzę, żeby to miała być prawda. Wojna z Japonią będzie trwała lata, no i musi to być wojna morska. Będą potrzebowali «wrenek» z kategorii uzbrojenia na Wschodzie. Teraz, kiedy skończyły się walki, mnóstwo dziewcząt będzie wychodziło za mąż i zwalniało się z wojska, a nie przypuszczam, żeby szkolili nowe roczniki. Chyba teraz mogą mnie przyjąć z powrotem, jeśli złożę podanie.

Nie wiem tylko, co zrobić z mamą. Nie wygląda na to, żeby jej było choć trochę lepiej, i nie wiem, czy da sobie radę sama, gdybym wróciła do wojska. Trzeba będzie na razie zostawić wszystko bez zmian, dopóki życie nie zrobi się trochę łatwiejsze i dopóki nie powołają mnie z powrotem, bo wtedy oczywiście będę musiała się stawić. A mogą mnie powołać, bo już dłuższy czas byłam na urlopie w domu, blisko rok, i w tej chwili jestem zupełnie zdrowa.

Poszłam rozmówić się z dyrektorem banku i poprosiłam, żeby sprzedał tyle akcji Associated Cement, żebyśmy miały 200 funtów na koncie. Przy takim tempie nasz kapitał nie wystarczy na dłużej jak pięć lat i byłoby lepiej, gdybym dostała pełnogodzinne zajęcie zamiast tej połówki, którą mam. Ale całe zmartwienie z tym, że mama prawie ciągle leży, i to nie byłoby takie proste. Czasem mi się zdaje, że jeśli pieniędzy wystarczy na pięć lat, to będzie dosyć. Moja biedna, kochana mama!"

Janet oczywiście nie wróciła już do WRENS. Pisała dziennik dosyć regularnie, co trzy lub cztery dni, ale w ciągu piętnastu miesięcy, do śmierci matki, nie było w jej notatkach nic szczególnie interesującego. Dziennik notował drobne, codzienne niepowodzenia i trudności, i jej bunt przeciwko okolicznościom życiowym, w których się znalazła. Pokój nie przyniósł jej ani radości, ani ulgi: oznaczał raczej przedłużenie kary więzienia. Wolność dla niej to było wojenne życie w marynarce.

Matka jej zmarła w sierpniu 1946 roku, i przerzuciwszy zapiski z tego okresu zatrzymuję się w miejscu o większym znaczeniu:

„7 września. Dziś rano zjawiała się Viola Dawson w swoim malutkim samochodziku. Strasznie było przyjemnie ją zobaczyć, ale z trudnością ją poznałam po cywilnemu. Ludzie wyglądają śmiesznie inaczej. Poszliśmy na lunch do Cadeny i gadałyśmy aż do trzeciej po południu.

Viola ma posadę w przedsiębiorstwie filmowym, nie jest aktorką, ale cos tam dłubie przy scenariuszach i dekoracjach. Zarabia 800 funtów rocznie. Ale ona świetnie rysuje i to jej pomaga przy projektowaniu dekoracji. Viola to taka wspaniała dziewczyna! Mam nadzieję, że wyjdzie za mąż za kogoś, kto będzie jej naprawdę wart. Wielką przyjemność sprawiło mi zobaczyć ją znowu. Opowiedziałam jej o mamie i o sprzedaży domu, i o moim liście do Admiralicji. Wysłałam go pięć dni temu i powinnam lada dzień otrzymać odpowiedź. Viola oblała mnie trochę zimną wodą co do tego powrotu, bo powiada, że szalenie redukuje marynarke, ale przecież «wrenki» mają niższy żołądek niż prości marynarze i po prostu będzie dla Admiralicji oszczędniej używać «wrenek» przy uzbrojeniu. Jeżeli nie powołają mnie z powrotem, trzeba będzie wziąć jakąś posadę w sklepie czy coś w tym rodzaju. Nie mam nadziei, żebym tak się wprawiła w stenografię, aby móc zarabiać na siebie jako sekretarka.

Viola mnie pytała, czy miałam drugiego psa, a gdy powiedziałam, że nie, mówiła, że powinnam go mieć i że to nie z mojej winy Dev został zabity. Powiedziałam Violi, że co wieczór modłę się za Deva, bo mi się zdaje, że psy więcej potrzebują naszej modlitwy niż ludzie. Wiadomo, że Pan Bóg opiekuje się ludźmi po śmierci i że tatusiowi i mamie, i Billowi nic nie brak, ale co do psów nie ma tej pewności. Jeżeli ktoś nie modli się stale do Boga o psy, kiedy zdechną, może o nich zagać pamięć i mogą się po prostu rozwiać czy coś w tym rodzaju. Kiedyś spotkam się znowu z Billem, ale bez Deva to nie będzie już to samo. Tak straszny zawód sprawiłam Billowi przez to, że nie dopilnowałam Deva, ale jeżeli będę się stale za niego modlić, wszystko się potem wyrówna.

May Spikins wyszła za mąż za swojego chłopca, tego co służył jako podoficer na «Tormentorze», i mieszkają w Harlow. Bardzo było przyjemnie zobaczyć znowu Violę."

A to była następna notatka:

„16 września, 1946. Wszystko skończone, nie chcą mnie przyjąć z powrotem do WRENS. Jedyna osoba, która mnie jeszcze chce, to ciocia Ellen w Seattle. Wcale jej nie pamiętam, chociaż ona pisze, że poznała mnie, gdy stryjostwo przyjechali do Anglii w 1932 roku. Majaczy mi się jakaś Amerykanka, która kiedyś odwiedziła rodziców, kiedy byłam jeszcze w szkole. Może to właśnie ona.

Chyba pojedę i pobędę u niej, przynajmniej przez jakiś czas. To okropnie daleko i strasznie kosztowna podróż. Bardzo jest miła, że proponuje przysłać mi pieniądze na drogę, ale przecież ja mam na to dosyć swoich. Nie przypuszczam, żebym polubiła Amerykę, ale czas najwyższy, żebym się ruszyła z tej mojej nory, a zresztą nie muszę tam siedzieć dłużej jak parę miesięcy.

Do Seattle można jechać cały czas morzem przez Kanał Panamski. Mają mi się dowiedzieć u Cooka o statki, w razie gdybym zdecydowała się poje-

chać po sprzedaży domu. Uważają, zdaje się, że najlepszy będzie statek holenderski: jest regularna linia statków handlowych między Rotterdamem a San Francisco i Seattle, która zabiera po kilku pasażerów. To jest taniej niż Cunardem do Nowego Jorku, a potem pociągiem przez całą Amerykę. A ja także miałabym większą ochotę jechać cały czas morzem."

Przerzucam znowu kilka notatek dotyczących sprzedaży domu w Oksfordzie i mebli. Dziennik teraz wypełnił się chaotycznymi zapiskami o stanie finansów Janet. Nie była zbyt mocna w rachunkach, ale gdy wszystko zostało spieniężone, okazało się, że ma około tysiąca siedmiuset funtów, z których około stu dwudziestu wydała na drogę do Seattle.

„15 listopada. Rotterdam. Jestem znowu na pokładzie statku, po prostu wspaniałe uczucie. «Winterswijk» zabiera tylko dziesięciu pasażerów. Mam cudną pojedynczą kabinę, ślicznie umeblowaną, pod samym mostkiem. Stoimy jeszcze w dokach, ale unosi się tu ten rozkoszny zapach słonej wody, smarów i gotowanej kapusty, a w wodzie odbija się księżyc, cały pomarszczony. Wzięłam z sobą mojego duffle'a i wrensowskie spodnie marynarskie i godzinami wiszę na nadburciu i wchłaniam w siebie to wszystko. Wyruszamy o drugiej w nocy, więc niewiele będę dzisiaj spała. Nie bardzo widzę, jak wyprowadzą statek z tego doku, nawet przy pomocy holownika, bo przecież na pewno nie ma tu dość miejsca, żeby go obrócić. Chyba będą musieli wyprowadzić go tyłem.

Żal mi wyjeżdżać z Anglii, a jednak w pewnym sensie cieszę się. Na dobre mi pójdzie wyjazd z Oksfordu i zmiana. Tyle już było tych nieszczęść. Wrócę za rok czy coś koło tego, bo nie sądzę, żebym chciała mieszkać na stałe gdzie indziej, ale to pysznie wyrwać się trochę i przez jakiś czas oglądać inne miejscowości.

Na dziobie puścili w ruch kołowrót, żeby coś włądować. Polecę zobaczyć.

18 listopada. Już jesteśmy poza Kanałem i wpływamy na Atlantyk, dosyć zresztą wzburzony. Z początku czułam się trochę niewyraźnie i wcale nie miałam ochoty ani na śniadanie, ani na obiad, ani na podwieczorek. Ten pierwszy dzień spędziłam przeważnie leżąc na koi i czytając wspaniałą książkę Hammonda Innesa. Teraz już czuję się świetnie i prawie cały czas jestem na pokładzie. Kiedy kapitan Blok zauważył mojego duffle'a, zapytał, skąd go mam, a gdy się dowiedział, że służyłam we WRENS, zaprosił mnie raz na zawsze na mostek; mogę tam chodzić, ile razy mam ochotę. Większość dnia spędzam więc na mostku, tylko uważam, żeby im się tam nie naprzykrzać, bo jakby się okazało, że im przeszkadzam, to cała przyjemność mogłaby się skończyć. Płyniemy na północ od Azorów i nie będzie widać ani kawałka ziemi, dopóki nie dojedziemy do Porto Rico, za jakieś dziesięć dni, a potem już będzie Panama. Żeby tu jeszcze było działo do konserwacji, byłoby tak przyjemnie, jakbym była z powrotem w marynarce."

Przerzucam kilka dalszych notatek w dzienniku opisujących podróż, która najwidoczniej bardzo dobrze jej zrobiła. Dziennik świadczy o równowadze nerwowej i pogodzie ducha. Janet interesowała się żywo każdym szcze-

gólem związanym z prowadzeniem statku i nawet zapisała sobie nazwiska wszystkich oficerów, stewardów i wielu marynarzy. Kanał Panamski zrobił na niej mniejsze wrażenie, niż można było przypuszczać: w jej oczach była to po prostu trasa śródlądowa, gorąca i parna, dużo mniej zajmująca niż rejs na pełnym morzu. W Colonii i Panamie, gdzie statek pobierał paliwo, zeszła na ląd, ale nie bardzo jej się tam podobało i z przyjemnością wróciła na pokład. Ostatnia notatka na statku była następująca:

„12 grudnia. Jutro przybijamy do Seattle. Jest zimno i mgliście. Ale rano była dobra widoczność i byliśmy tak blisko wybrzeży, że het, w głębi lądu widziałam śniegiem pokryte góry. Przecież jest zima i wysunęliśmy się dość daleko ku północy, prawie tak daleko jak szerokość geograficzna Anglii. Kapitan mówi, że ze względu na bliskość morza w Seattle nie bywa tak chłodno w zimie jak w amerykańskich miastach śródlądowych, ale za to jest tu często mgła i dużo oparów.

Ten miesiąc był naprawdę rozkoszny i żał mi żegnać się ze statkiem. Robią cztery rejsy rocznie między Seattle a Rotterdamem, postaram się więc złapać ten sam statek na powrót, prawdopodobnie za trzy miesiące. Bardzo przyjemna banda i dobrze się z nimi współżyło. Ciekawa jestem, jaka będzie ciocia Ellen.”

Janet bardzo się zaprzyjaźniła z ciocią Ellen, ale zastała ją chorą i cierpiącą na jakieś tajemnicze bóle. W istocie pani Prentice była umierająca, chociaż umierała całe pięć lat, i w chwili przyjazdu Janet do Seattle żadna z nich nie miała pojęcia, że choroba jest do tego stopnia poważna. Stryjenka Janet, osoba mająca około sześćdziesięciu pięciu lat, była dość dobrze sytuowana. Miała samochód, starego Pontiaca kupionego siedem lat temu, który mało co był używany, gdyż ciocia Ellen sama go już nie prowadziła. W domu był pies bokser i kot.

Janet Prentice mieszkała z ciotką w Seattle aż do jej śmierci w maju 1952 roku. Logika wskazywała, że tak właśnie powinna postąpić, i zdaje się nawet, że zupełnie jej odpowiadało to nadzwyczaj spokojne życie w podmiejskiej dzielnicy. Przypuszczam, że ujściem dla jej uczuć, czego zawsze potrzebowała, był pies i kot, bo z początku dziennik zawierał liczne o nich wzmianki. Później rzadko coś w nim notowała, jak to już raz miało miejsce, gdy opiekowała się psem Billa.

Uderzył mnie brak najmniejszej wzmianki w dzienniku o jakimkolwiek kontakcie, który by nawiązała z rybakami czy żeglarzami w Seattle, ani też o żadnej przejażdżce łodzią przez całe pięć lat, kiedy tam mieszkała. Z tego, co mi matka opowiedziała o jej życiu w Coombarganie, wynikało, że Janet stała się ogromnie powściągliwą kobietą; dziennik nie zawierał żadnych danych, że w czasie pobytu w Seattle nawiązała z kimś przyjacielskie stosunki na własną rękę. Wystarczała jej, zdaje się, spokojna, codzienna rutyna przy prowadzeniu gospodarstwa w domu ciotki. Jeśli nie było jej dane wrócić do marynarki, nie miała żadnych ambicji co do innej formy czynnego życia. Gdy w zamkniętych granicach służby w wojsku przyjacielskie stosunki same jej się po prostu narzucały, przyjmowała je z radością i ceniła, ale z natury

była zanadto zamknięta w sobie, aby je samodzielnie zdobywać. Ciekawa jest wzmianka w dzienniku mniej więcej po sześciu tygodniach pobytu w Seattle:

„29 stycznia, 1947. Stąd jest tylko 30 mil do Tacomy, a tam przecież mieszka doktor Ruttenberg. Poszukałam w książce telefonicznej i znalazłam czarno na białym: Lewis C. Ruttenberg. Ma gabinet przyjąć w mieście, a mieszka w Fircrest. Chciałabym się jeszcze kiedy z nim spotkać, bo był taki nadzwyczajny dla mnie na «Mastodoncie», ale nie mogę przecież zwracać mu głowy, chyba żebym się rozchorowała. Dziś była na lunchu znajoma cioci, p. Hobson, która właśnie mieszka w Tacomie, i zapytałam ją, czy nie zna przypadkiem doktora Ruttenberga. Osobiście go nie zna, ale słyszała o nim. Ma on podobno bardzo dobrą opinię jako wschodząca sława wśród młodych lekarzy i zadaje sobie mnóstwo trudu ze swoimi pacjentami. Przyjemna jest świadomość, że się go ma pod ręką. Tak jakby kawałek «Mastodonta» tutaj, w Seattle."

Oprócz tej wzmianki, nic w dzienniku nie jest warte przytoczenia, aż do momentu, kiedy w trzy lata później wybuchła wojna w Korei. „29 czerwca, 1950. Na Korei idzie całą parą prawdziwa wojna i Amerykanów wypierają z powrotem na południe. Tutaj wszystko rusza do akcji — wojsko zaokrętownuje się na Wschód, przy nabrzeżach stoją czołgi i działa, a krążowniki na Lake Union. Wszyscy mówią, że to początek trzeciej wojny światowej.

Chciałabym teraz być w Anglii. Na pewno będą potrzebowali w marynarce mnóstwo «wrenek» do kategorii uzbrojenia, bo powołują rezerwę. Jaka ja jestem strasznie głupia! Admiralicja nie zna mojego adresu! Pewno myślą, że nadal mieszkam przy Crick Road.

Oczywiście wysłałam zaraz wczoraj list pocztą lotniczą zawiadamiając, że jeśli mnie potrzebują, to na własny koszt wrócę do Anglii albo też mogę zameldować się w Kanadzie, w Esquimault czy gdziekolwiek. Mogę mieć odpowiedź dopiero za jakieś dwa tygodnie, nawet jeżeli napiszą pocztą lotniczą. Ale raczej sędzę, że przyślą telegram.

Myślę, że z ciocią Ellen jakoś się sprawy ułożą. Ma rodzinę w Denver i ktoś, pewnie Janice albo Frances, przyjedzie zaopiekować się nią. To zupełnie co innego niż wtedy, kiedy Mama żyła. Jeżeli zechcą mnie wziąć do wojska, to będę musiała się zgłosić."

Po sześciu tygodniach otrzymała pocztą morską wiadomość z Admiralicji, że w tej chwili nie ma zapotrzebowania na tę kategorię byłego personelu marynarki wojennej, do jakiej ona należy, i że zostanie w swoim czasie zawiadomiona, jeśli powstaną wakanse czekające na dawnych wojskowych. Był to dla Janet wielki zawód, chociaż sędzę, że w tym czasie musiała się już przyzwyczaić do życiowych zawodów. Drugi raz złożyła podanie do Admiralicji w grudniu 1950 roku, kiedy chińscy komuniści zaczęli wypierać na południe wojska Narodów Zjednoczonych. Wyglądało na to, że trzecia wojna

światowa rzeczywiście się zaczęła. Ale odpowiedź, którą Janet otrzymała była utrzymana w takim samym tonie jak pierwszym razem.

Zresztą, nawet gdyby ją chcieli w marynarce, trudno by jej było w tej chwili wyjechać od ciotki, bo pani Ellen była bardzo ciężko chora. „17 lutego. Dzisiaj rano ciocia miała operację. Wszystko odbyło się zupełnie szczęśliwie. Po południu byłam u niej przez chwilę w szpitalu; wydała mi się w niezłym nastroju, ale jeszcze bardzo oszołomiona po narkozie. Zaniósłm jej kilka chryzantem, ale siostra nie pozwoliła wstawić ich dzisiaj do pokoju. W kwaciarni widziałam śliczne goździki i myślę kupić je dla cioci jutro. Porozmawiałam chwilkę z doktorem Hunsakerem w jego szpitalnym gabinecie. Powiedział, że ciocia doskonale zniosła operację i będzie mogła za dwa tygodnie wrócić do domu, ale kiedy zapytałam, czy to było coś złośliwego, nie odpowiedział mi wprost, tylko stwierdził, że w tym stadium trudno o dokładną diagnozę. Nie wygląda to zbyt różowo. Billy jakiś kiepski, ani wczoraj, ani dziś nie chciał jeść. W domu pusto bez cioci Ellen. Wczoraj wieczorem poszłam do kina, ale film był nędzny.”

Billy był to pies, bokser, który bardzo się już postarzał. Operacja niewiele pomogła pani Ellen i w ciągu 1951 roku nastąpiło poważne pogorszenie. Troski i nadmiar pracy znowu piętrzyły się przed Janet Prentice. Pod koniec roku ataki bólów u ciotki prawie nie ustawały i jedyną na nie radą były narkotyki. Pies Billy także był umierający i we wrześniu trzeba było go stracić. Od tej chwili do dziennika wkrada się nuta znużenia i rozpaczy.

„13 listopada. Znowu namówiłam ciocię, żeby dzisiaj nie ruszała się z łóżka. Od dwóch dni nie miała w ustach żadnego stałego pokarmu. Doktor Hunsaker był dziś rano i obiecał rozejrzeć się za pielęgniarką, która by przychodziła codziennie na parę godzin. Gdy zapytałam, czego należy się spodziewać, odparł, że nie można mieć wiele nadziei, ale że ciocia może jeszcze żyć przez dłuższy czas. W końcu będzie musiała pójść do szpitala.

Tak się pewnie musi dziać zawsze pod koniec życia i jest normalną kolejną rzeczy nie mającą żadnego związku z Junkersem. Ale to już czwarta osoba, a jeśli liczyć psy, co według mnie powinno się robić, to szósta. W Junkersie było siedmiu ludzi, a więc brak tylko jednej osoby. To chyba będę ja.

Mam wrażenie, że ciocia bardzo odczuwa brak Billy'ego, ja zresztą tak samo.”

W styczniu pielęgniarka była już zaangażowana na stałe, a z początkiem marca panią Ellen przewieziono do szpitala, gdzie Janet codziennie chodziła ją odwiedzać.

„7 kwietnia. Bardzo teraz pusto w domu. Zaczęłam po trochu pakować rzeczy, bo chyba nie ma już żadnej nadziei, żeby ciocia Ellen tu wróciła. Na kilka dni przyjedzie Janice z Denver. Ciocia zawsze ją bardzo lubiła. Omówię z nią te wszystkie sprawy i zdecyduje się, co zrobić z rzeczami. Jak się to

wszystko skończy, muszę się energicznie starać, żeby mnie przyjęli z powrotem do WRENS. Napiszę chyba do attache morskiego w Waszyngtonie. Zdaje się, że to będzie najodpowiedniejszy krok dla obywatelki brytyjskiej zamieszkałej w Stanach. Nie mam pojęcia, co zrobię, jeśli mnie nie przyjmą. Ale wojna w Korei przybrała tak poważny obrót, że chyba będą potrzebowali więcej «wrenek» do kategorii uzbrojenia.

2 maja. Ciocia Ellen umarła dzisiaj około piątej rano. Janice odwiedziła ją wczoraj, ale ciocia była tak oszołomiona narkotykami, że właściwie nie poznała jej. Biedna, kochana ciocia! Zawiadomili nas ze szpitala telefonicznie, ale przecież spodziewaliśmy się tego w każdej chwili.

A więc wszystko skończone. Dom ma być sprzedany. Janice zostaje jeszcze tydzień, żeby mi pomóc to wszystko posegregować. Jest nieskończona ilość różnych gratów; trzeba je będzie rozdać czy wyrzucić, z lekami włącznie, oprócz tych, które zwędziłam dla siebie. Janice mówi, że ciocia zrobiła nowy testament jakieś dwa lata temu i dom zapisała dla mnie, ale nie chcę tu mieszkać. Jutro nadam na poczcie list do attache morskiego.

11 maja. Janice wyjechała dzisiaj; i tak była już zbyt długo poza domem. Zaprosiła mnie do nich, do Denver, kiedy tu już ureguluję wszystkie sprawy, ale nie odpowiedziałam jej nic konkretnego. Powiedziałam, że nie czuję się w porządku, jeśli chodzi o ten testament, o to, że dostałam dom w spadku, bo przecież nie jestem żadną krewną; ale Janice mówi, że wszyscy zgodzili się na ten projekt, wtedy gdy testament był sporządzany, i są ogromnie wdzięczni za to, co zrobiłam dla cioci przez ostatnie pięć lat. No więc tak zostało. Dom zarejestrowałam wczoraj u pośrednika i dziś już jacyś Pasmani-kowie przychodzą oglądać. Sądzę, że uda się go łatwo sprzedać. Meble idą na licytację w przyszłą środę i od poniedziałku zamówiłam pokój w Golden Guest House. Mam nadzieję, że wkrótce dostanę już wiadomość, jeśli mnie zechcą wziąć do WRENS. Naprawdę nie wiem, co robić, jeśli mnie nie zechcą.

28 maja. Dziś dostałam list z Admiralicji — ciągle jeszcze mnie nie chcą. List nie grzeszy zbyt przyjemnym tonem. Przypuszczam, że trzeba już na tym położyć krzyżyk, i w pewnym sensie jestem nawet zadowolona. To było okropne siedzieć tak tutaj bez żadnego zajęcia i tylko czekać na każdą pocztę. W pewnym sensie cieszę się, że to już koniec i że wiem, czego się trzymać.

Chyba wypadnie mi teraz wrócić do Anglii, ale nie mam pojęcia, co tam będę robiła. Przychodzi mi na myśl, że najlepiej będzie skończyć z tym wszystkim tu czy gdziekolwiek w Ameryce, gdzie właściwie nikt mnie nie zna i nie wybuchnie żaden skandal ani nikomu to nie sprawi kłopotu. Większość kobiet ma coś, w czym pokładają nadzieję i dla czego warto im ciągnąć to życie — dzieci, męża, rodzinę. Ale ja nie mam nikogo. Jeżeli mam ciągnąć dalej, to muszę zacząć od początku i zbudować sobie wszystko od nowa; to tak, jakbym musiała drugi raz się urodzić, a właściwie wcale mi się nie chce. Czuję za wielkie znużenie, żeby z tym się zmagać. Nie warto.

Wszystko będzie ogromnie ułatwione dzięki tabletkom cioci Ellen, których jest dosyć, żeby zabić konia. Zaśnie się po prostu, aby się już więcej nie

obudzić. Stanowiłoby to siódme ogniwo i zamknie się wtedy cały krąg. Krąg wszystkich, których kochałam; Bill przede wszystkim, a potem tatuś i Dev, mama, Billy i ciocia Ellen. A potem siódme ogniwo — ja, i wtedy już cała załoga Junkersa będzie zapłacona. Jedyny minus to pozory tchórzostwa, że się nie stawia czoła życiu, bo się nie ma na to odwagi."

Narkotyk zapisany dla cioci Ellen nie był może tak bardzo niebezpieczny, bo dalsza notatka w dzienniku, w dwa dni później, była następująca:

„30 maja. Znowu wczoraj nie mogłam zasnąć, byłam po prostu straszliwie zmęczona i przygnębiona. Koło północy wstałam z łóżka i wzięłam jedną tabletkę cioci Ellen, tak na próbę, popiwszy szklanką wody. Tabletkę podziałała co się zowie, bo obudziłam się dopiero o wpół do dziesiątej. Spałam jak zabita. Wstałam z doskonałym samopoczuciem, a rano był prześliczny, słoneczny i wesoły. Na błękitnym morzu w Zatoce roilo się od łodzi rybackich. Było już za późno na śniadanie w hotelu, więc poszłam na 85 ulicę i napiłam się kawy. Ponieważ poprzedniej nocy czułam się tak fatalnie, a dziś tak dobrze, przyszło mi na myśl, że może po prostu potrzebne by mi było jakieś lekarstwo na wzmocnienie. I wtedy, pod impulsem chwili, zatelefonowałam do gabinetu przyjęć doktora Ruttenberga w Tacomie. Powiedziałam jego pielęgniarce, że leczyłam się u doktora w Anglii w czasie wojny, i poprosiłam o zapisanie mnie do niego. Powiedziała, żeby przyjść o wpół do trzeciej, więc pojechałam Pontiakiem, zjadłam lunch w Tacomie i po południu tam poszłam. Doktor Ruttenberg niewiele się zmienił przez te osiem lat, może włosy ma mniej gęste, ale zawsze bardzo młodo wygląda. Przypomni mi sobie i rzeczywiście musiał mnie pamiętać, bo w trakcie rozmowy wspomni o Billu i o tatusiu i nawet pamiętał imię Deva. To nadzwyczajne, żeby pamiętać imię psa przez tyle lat, chociaż przecie widział mnie jeden jedyny raz. Zapytałam, jak to się stało, i wtedy mi wytłumaczył, że bardzo go zainteresował mój przypadek, bo po raz pierwszy spotkał się wtedy z kompletnym wyczerpaniem nerwowym u kobiety na skutek pracy w wojsku. Zawsze potem żałował, że nie mógł dalej śledzić tego przypadku. Potem wszystko odbyło się akurat tak samo jak na «Mastodoncie»; powiedziałam mu wszystko o Mamie i o Billy'm, i o cioci Ellen, i że się tak okropnie źle czuję i potrzebuję czegoś na wzmocnienie nerwów. Zaczął mi wtedy zadawać różne pytania, o przygody miłosne, których zresztą wcale nie mam, i to pewnie jest niedobrze. I wtedy poczułam się zanadto zmęczona, żeby dalej trzymać fason i opowiedziałam mu o Junkersie i ekspiacji, której trzeba dokonać. Już sześć osób poszło, a tą ostatnią będę ja. Powiedziałam, że nie wiem, kiedy to się stanie, ale jeżeli nie dostanę czegoś mocnego na nerwy, to na pewno całkiem niedługo. Doktor powiedział, że to nie jest rozwiązanie, i całe zło polega na tym, że znowu wyczerpuję się do ostatka, tak jak wtedy na «Mastodoncie». Mówił, że moje rozumowanie na temat ekspiacji jest wariactwem. Tkwi we mnie prawdopodobnie instynkt pielęgniarki, która poświęca się dla innych, ale pielęgniarka nie gada o ekspiacji i nie myśli o samobójstwie po ciężkim wy-

padku, kiedy pacjent umiera. Powiedział, że chce mnie jeszcze raz zobaczyć, i umówiliśmy się na przyszły wtorek o tej samej godzinie. Dał mi receptę na lekarstwo, które mają mi zrobić w aptece. Cieszę się, że go jeszcze zobaczę — ma się do niego takie zaufanie. Wizyta trwała prawie godzinę."

Przed tą wizytą doktor Ruttenberg napisał do Janet list, który wywarł duży wpływ na jej życie. List ten znalazłem wśród jej korespondencji i przytaczam go tutaj.

1206, S. 11 th St. Tacoma 1 czerwca, 1952 r.

„Droga Pani!

Przez ostatnie dwa dni bardzo dokładnie rozważałem Pani sprawę i chciałbym wysunąć pewną propozycję, która może wyda się Pani warta zastanowienia i omówienia w czasie naszego następnego spotkania.

Z punktu widzenia lekarskiego przypadek Pani nie jest skomplikowany i Pani sama zdaje sobie sprawę, że to, co Pani dolega, wchodzi raczej w zakres psychologii. Jako taki pozostaje więc raczej poza moją dziedziną, ale chciałbym po przyjacielsku wysunąć następującą propozycję, którą niech Pani sobie rozważy.

Wydaje mi się, że Pani za mało uwagi poświęciła rodzinie tego młodego człowieka, Billa Duncana, za którego miała Pani wyjść za mąż. Gdyby żył, weszłaby Pani do tej rodziny i miała obowiązki względem ludzi, z którymi by się Pani spokrewniła przez małżeństwo. Łatwo zrozumieć, że w warunkach 1944 roku było niepożądane, aby Pani przeżycia uczuciowe stały się znane obcym ludziom, ale okoliczności w roku 1952 są zupełnie odmienne.

Jeśli dobrze zrozumiałem, ostatnia żałoba, która Panią dotknęła, zapewniła Pani jednocześnie pewną niezależność finansową i nie istnieje natychmiastowa konieczność starania się o płatne zajęcie. W tych warunkach sędzę, że mogłaby Pani odszukać rodzinę Duncanów, nawet jeśli by to pociągnęło za sobą podróż do Australii, i upewnić się, jak im się powodzi i czy nie potrzebują pomocy z Pani strony. Z tego, co mi Pani mówiła obecnie, a także poprzednio, wnoszę, że są to farmerzy. Jeżeli ojciec czy matka Pani przyjaciela są w trudnym położeniu wobec podeszłego wieku, kto wie, czy nie będzie Pani mogła im pomóc, a w ten sposób osiągnąć także nowy cel i zainteresowanie w życiu.

Jeżeli ten mój pomysł pociągnie za sobą kilkutygodniową podróż do Australii, sędzę, że i to zainteresuje Panią i sprawi Jej przyjemność. Z lekarskiego punktu widzenia nic lepszego nie mógłbym Pani zalecić w obecnych warunkach.

Oczekuję Pani w przyszły wtorek i pozostaję z poważaniem

Lewis C. Ruttenberg"

A oto następna notatka w dzienniku:

„2 czerwca. Dostałam dziś rano list od doktora Ruttenberga, który dostarczył mi mnóstwa tematów do rozmyślań. Gdy Bill zginął, wszystko się

dla mnie skończyło. Nigdy nie pomyślałam, że to mógł być także koniec wszystkiego i dla innych, przede wszystkim dla jego matki. To, co pisze Kul tenberg, jest oczywiście słuszne. Gdyby się to było stało pół roku pozniej, po moim ślubie z Bille, gdyby na przykład Bill zginął pod Arnhem, wtedy na leżałabym do jego rodziny. Nazywałabym się pani Duncan. I w takim razie nie mogłabym być zabrać się i wyjechać na zawsze, pomachałabym ręką na pożegnanie. Bill miałby o mnie bardzo złe wyobrażenie, gdybym tak się zachowała, a zresztą nie sądzę, aby mi to przyszło do głowy. Ale właściwie postąpiłam mniej więcej w ten sposób. Gdyby Bill żył parę miesięcy dłużej, byłibyśmy się pobrali, zaraz po inwazji. Tymczasem nic nie wiem o jego rodzicach i wcale się o to nie zatroszczyłam.

Wpatrzyłam się w moje osobiste sprawy i cierpienia, bardzo to było samolubne z mojej strony. Przepraszam Cię za to, Billu. , . Nie będzie wcale łatwo dowiedzieć się o nich. Może im się zresztą świetnie powodzi i doskonale się czują. Ostatecznie jest przecież Alan i Helena, którzy mogli się nimi zająć. Nie wypada mi przecież tylko napisać i oświadczyć, że jestem do usług'. «Wprawdzie państwo nigdy o mnie nie słyszeli, ale chciałabym wiedzieć, co u państwa słychać?» Zdaje się, że doktor, jak zwykle, ma rację. Trzeba, żebym pojechała do Australii, rozejrzała się w sytuacji i wróciła, jeśli wszystko zastanę w porządku. Jeśli tam pojedę, spotkam może Alana i pomówię z nim. Sądzę, że on zrozumiałby, o co chodzi.

Zastanawiałam się, jak może wyglądać taka farma hodowlana w Australii. Przypuszczam, że jest tam bardzo gorąco i ludzie uganiają się konno po pustyni w wielkich kapeluszach. Bumerangi i czarni. Billabongi, cokolwiek by to miało znaczyć — tak jak w piosenkach. Chyba nie na wiele się przydam w takim miejscu, ale teraz odczuwam to w ten sposób, że zaniedbam Billa, jeśli tam nie pojedę i nie zobaczę, czy nie jestem czasem potrzebna.

W każdym razie będzie to nowa miesięczna podróż statkiem. Zesłam do tutejszej czytelnicy, żeby obejrzeć atlas. Trasa chyba przez Honolulu, Fidżi, Nową Zelandię do Sydney. W każdym razie będzie to cudowna podróż."

Na następnej stronie dziennika obliczyła swoje możliwości finansowe, jak tylko umiała najlepiej. Sprzedaż domu ciotki Pasmanikom przyniosła osiemnaście tysięcy dolarów. Po odcyfrowaniu jej nieco zawikłanych rachunków i dodaniu kwoty ze sprzedaży domu i kapitału przywiezionego z Angin wypadło, że miała około ośmiu tysięcy angielskich funtów. Sumę tę uważała za nieprzyzwoicie wysoką.

U doktora Ruttenberga była drugi raz, ale o tym spotkaniu jest tylko krótka wzmianka w dzienniku.

4 czerwca. Dzisiaj znowu widziałam się z doktorem Ruttenbergiem. Było normalne badanie lekarskie, stetoskop, mierzenie ciśnienia krwi itd., a potem rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Powiedziałam, że usłucham jego rady i pojedę drogą morską do Australii. Zobaczę tam może Alana i dowiem się, jak się mają rodzice Billa, ale nie będę mieszać się do niczego, jeśli zastanę wszystko w porządku, a prawdopodobnie tak właśnie będzie. W takim razie wrócę do Seattle, bo i tak i tak musiałabym to zrobić. Załatwienie spraw majątkowych ciotki Ellen zabierze adwokatom pół roku, ale zajmą się

tym w czasie mojej nieobecności. Doktor powiedział, żebym się pokazała u niego po powrocie. Dodał jeszcze, że kobieta bez obowiązków rodzinnych jest na ogół nieszczęśliwa, dopóki nie przystosuje się do tych nienaturalnych warunków. I to właśnie mnie dolega. Przypuszczam, że doktor ma rację. Zresztą on zwykle ma rację. Dziś rano poszłam do biura okrętowego. Mniej więcej za dziesięć dni ma wyruszyć do Sydney statek «Pacific Victor» z ładunkiem buldożerów i maszyn do robót ziemnych. Jest miejsce dla czterech czy pięciu pasażerów, ale chociaż mają wrażenie, że nie ma jeszcze kompletu, nie umieli mi tego na pewno powiedzieć. Dali mi w każdym razie list polecający do kapitana. «Pacific Victor» jest w dokach na wschodniej stronie, gdzieś koło ulicy Lander. Nie mogłam tam dzisiaj pójść z powodu wizyty u doktora Ruttenberga, ale jutro się dowiem, czy znajdzie się dla mnie kabina. 17 czerwca. Dziś rano odpłynęliśmy ze Wschodniego Kanału. Statek jest o połowę mniej przyjemny niż «Winterswijk», dużo starszy, brudniejszy i powolniejszy, i nie utrzymany tak dobrze. Ale mam dla siebie dwuosobową kabinę i rozkosznie jest być znowu na morzu. Do Honolulu jest dwa tysiące czterysta mil, a robimy około 10 węzłów, tak że podróż tam zajmie blisko 10 dni."

Aż do wylądowania w Sydney dziennik nie zawierał nic godnego szczególnej uwagi. W Suva wsiadło młode małżeństwo, państwo Anderson, którzy jechali do Sydney. Pochodzili z Anglii, ale od wielu lat mieszkali w Australii, i od nich Janet-dowiedziała się sporo pożytecznych dla siebie szczegółów.

„2 sierpnia. Wpłynęliśmy dzisiaj do portu. Wzięłam taksówkę i pojechałam do «Metropolu». Andersonowie mówią, że tutaj każdy może dostać posadę różnego rodzaju, i rzeczywiście na to wygląda, sądząc z kolumny o wolnych posadach w gazecie. Mówili mi także, że przyjeżdża tu mnóstwo angielskich dziewcząt; trzymają się przeważnie po dwie, zmieniając posady i zwiedzając kraj. Sądzę, że to najlepszy sposób. Trzeba będzie podróżować autobusami.

Sydney żywo przypomina Seattle; miasto bardzo ożywione, raz po raz widać kawałek morza. Jutro dowiem się, jaki jest rozkład jazdy autobusów, i wyruszę prawdopodobnie w poniedziałek. Zapytałam Andersonów, gdzie leży Zachodni Okręg w Wiktorii. Objasnili mnie, że to na zachód od miejscowości Ballarat. Kupiłam dziś mapę i znalazłam Ballarat. Zdaje się, że najlepiej będzie dostać się tam przez Melbourne."

Rozmawiała także z pokojówką w „Metropolu" i dowiedziała się o dotkliwym braku personelu odczuwanym przez wszystkie hotele w Australii i o wysokich płacach w tej dziedzinie. Po paru dniach wczesnym rankiem wyjechała z Sydney autobusem i w środku popołudnia dojechała do Albury na granicy Nowej Południowej Walii. Albury jest zamożnym miastem prowincjonalnym, raczej atrakcyjnym, z licznymi hotelami i pięknymi sklepami pełnymi ładnych materiałów i zegarków szwajcarskich; panuje tu atmosfera ogólnego dobrobytu. Janet zostawiła walizki w przechowalni bagażu na

dworcu autobusowym i poszła na miasto rozejrzeć się za zajęciem. Po upływie pół godziny miała już posadę kelnerki w Sweeney's Hume Hotel za dwanaście funtów tygodniowo. Dostała wspólny pokój z Holenderką, która już tu była od blisko trzech miesięcy. Po upływie półtorej godziny obsługiwała przy obiedzie.

„5 sierpnia. Gdy pani Sweeney zapytała o moje nazwisko, powiedziałam: Jessie Proctor. Dobrze brzmi i odpowiada inicjałom na mojej walizce. Mam zamiar dowiedzieć się o sytuacji w rodzinie Billa, ale jeśli tam jest wszystko w porządku, chcę mieć spokój, a od Alana prawdopodobnie o mnie słyszeli i znają moje nazwisko. W ten sposób będę bardziej niezależna.”

W Albury Janet została dwa tygodnie, a potem wymówiła i pojechała dalej. Był to dla niej dobry start, bo zadomowiła się w obcym kraju i trochę poznała jego obyczaje. Dzień roboczy był długi, ale praca niezbyt wyczerpująca. Razem z Anną obsługiwały 32 pokoje sypialne, podawały do stołu przy wszystkich posiłkach i pomagały trochę w kuchni.

Następnie Janet udała się autobusem do Ballarat spędziwszy tylko jedną noc w Melbourne, gdzie już nie wzięła pracy. W Ballarat powtórzyła się ta sama historia co w Albury. Przyjechała w południe, a o trzeciej miała już posadę kelnerki w Court House Hotel.

„24 sierpnia. Panuje dotkliwie zimno i wilgoć, chociaż zawsze sądziłam, że Australia jest krajem gorącym. Mają tutaj szczegółową mapę okręgu Wiktorii i Coombargana jest zaznaczona jako mały punkcik na kropkowanej linii niedaleko miejscowości Forfar. Nie wygląda na to, aby Coombargana była czymś na większą skalę, a o Forfar prawdopodobnie także nie warto będzie się rozpisywać. Poszukałam Forfar w przewodniku dla turystów: Hotel Pocztowy i Handlowy Hotel Ryana. Pocztowy jest lepszy i ma osiem pokoi, a u Ryana tak jakby nie było ani jednego.

Nadstawiam ucha, czy nie usłyszę czasem czegoś o Coombarganie od przygodnie spotkanych ludzi, ale jakoś do tej pory nic. Pojadę tam chyba pod koniec tygodnia.”

W przechowalni bagażu w Ballarat zostawiła dwie ze swoich trzech walizek i pojechała autobusem do Forfar.

„30 sierpnia. A więc dojechałam i okazało się, że cały ten szmat drogi przebyłam na próżno. Coombargana to nie wieś — to majątek. Całkiem imponujące miejsce, taka olbrzymia stacja hodowlana, jakie bywają w Zachodnim Okręgu. Czternaście tysięcy akrów, wielki dwór i Bóg raczy wiedzieć ile owiec. Duncanowie są jedną z tutejszych przodujących rodzin. Zatrudniają około dwudziestu robotników, którzy mieszkają na terenie majątku. Pani Collins zawsze mówi «Pułkownik» o starszym panu Duncanie. Przypuszczam, że to ojciec Billa.

Tak sprawy stoją i teraz nie mam pojęcia, co dalej robić. To pewnie Bill

miał na myśli mówiąc, że jego rodzice mają farmę z hodowlą owiec. Czyżby się bał, że go posądzą o blagę? Dostałam tutaj posadę i trzeba będzie w każdym razie posiedzieć przez tydzień. Z autobusu poszłam do Hotelu Pocztowego, zamówiłam pokój, zjadłam lunch i dopiero potem zapytałam panią Collins, czyby miała dla mnie robotę na tydzień lub dwa. Powiedziałam jej, że podróżuję po Australii zarabiając na siebie i stąd wybieram się do Adelajdy. Pokazałam jej świadectwa z Albury i Ballarat na dowód, że jestem dobrą pracownicą. Pani Collins oświadczyła, że wprawdzie jest już po sezonie i nie może mi dużo płacić, ale da mi sześć funtów i utrzymanie, jeżeli zechcę pomagać w barze. «Nigdy nie miałam do czynienia z barem i nie znam tej roboty, ale chętnie ją wezmę» — powiedziałam. Poszłam więc do baru i pan Collins pokazał mi, jak się toczy piwo, i pouczył, ile kosztuje, a potem pomagałam mu, gdy zaczął się wieczorny ruch. Około piątej przyjechało dwóch ludzi konno, jakieś zabijackie typy. Byli z Coombargany — polowi czy coś w tym rodzaju, Bóg raczy wiedzieć, co to znaczy. Przywiązali konie do płotu, tak jak się to widzi w filmach, weszli do środka i wypili po sześć piw każdy. A potem odjechali uliczką na wprost hotelu. Zapytałam, kto to taki, i pan Collins mi powiedział. Zapytałam także o Coombarganę i wszystkiego się od niego dowiedziałam. Co za wariatka ze mnie! Powinnam była się domyślić, że nie będę im wcale potrzebna."

Rozdział IX

Czytałem dalej dziennik.

„1 września. Poznałam dzisiaj ojca Billa. Właśnie zamiatałam bar zaraz po śniadaniu, kiedy zajechał wielkim samochodem, wszedł do środka i zapytał o pana Collinsa. Powiedziałam, że go zawołam; był na okólniku i karmił świnię. Gdy wróciłam z nim do baru, pan Collins mnie przedstawił i powiedział pułkownikowi Duncanowi, że jestem Angielką i podróżuję po Australii zarabiając na siebie. Pułkownik zapytał mnie, skąd pochodzę, na co powiedziałam, że z Londynu. Dodał jeszcze, że chciałby, aby więcej Anglików zwiedzało Australię. Pułkownik Duncan jest, zdaje się, przewodniczącym Rady Hrabstwa i omawiał z panem Collinsem jakieś miejscowe sprawy — doprowadzenie elektryczności do Forfar i gwarancje finansowe. Musi mieć chyba około siedemdziesiątki i wcale dobrze nie wygląda, jest okropnie blady. Ma imponujący wygląd, tak jak Alan, a mniej jest podobny do Billa. Wypił małe whisky z wodą sodową, ale odmówił drugiej porcji.

Alan i Helena są oboje w Anglii, i to już od dłuższego czasu. Dowiedziałam się tego od pana Collinsa po wyjściu pułkownika. Pan Collins mówi, że Alan jest w Oksfordzie, a w każdym razie tam był, bo teraz, zdaje się, mieszka w Londynie. Powiedział także, że Alan uległ katastrofie lotniczej pod koniec wojny i stracił obie stopy. Gdy wojna się skończyła, wrócił do Australii i był przez parę lat w domu, ale podobno ogromnie się zmienił po tym wypadku. Z nikim się nie trzymał i nie ruszał się wcale z domu, a także dosyć dużo pił, aż wreszcie po pewnym czasie wrócił do Anglii. To było już kilka lat temu. Córka państwa Duncan, Helena, pojechała do Anglii wkrótce po zakończeniu wojny i od tej pory nie była ani razu w Australii. Pan Collins powiedział, że był także młodszy syn, Bill, który zginął w czasie wojny. Do Coombargany jest stąd sześć mil.

Pani Duncan ma artretyzm i nieczęsto pokazuje się teraz we wsi. Dunca-nowie byliby czymś w rodzaju ziemian w Anglii, ale tutaj to zupełnie inaczej wygląda. Gdy pan Collins przyszedł do baru przywitać pułkownika, powiedział: «Dzień dobry, Dick», tak jakby byli dobrymi przyjaciółmi. Zdaje się zresztą, że Duncanowie są bardzo szanowani w okolicy. Pani Duncan prowadziła szkołę niedzielną w Forfar, a wycofała się dopiero ze dwa lata temu, kiedy zaczęły jej sprawiać trudność wszelkie ruchy. Nie mogę przyzwyczaić się do myśli, że Alan kusztyka na swoich protezach i nie może prowadzić czynnego życia. Był taką imponującą postacią w czasie wojny, wyglądał na bardzo kompetentnego w swoim fachu, a przecież wcale się nie chwalił.

2 września. Na obiedzie była para cudzoziemców, Litwini czy coś takiego. Po obiedzie siedzieli w barze, mężczyzna pił dżin, a kobieta piwo. On wyglądał brudno i nędznie, a ona, tłusta baba o szerokiej twarzy, była typem Rosjanki. Zabrali się autobusem jadącym do Ballarat, a pani Collins, która

była w barze, powiedziała: «Ot, i pojechali. Krzyżyk na drogę.» Gdy zapytałam, co to za jedni, odparła, że służyli w Coombarganie i pułkownik im wymówił, bo byli ciągle pod gazem. Podobno państwo Duncan nie mogą utrzymać służby domowej, bo to takie odludzie. Stąd jest do Coombargany sześć mil, ale najbliższe kino jest aż w Skipton, to znaczy w odległości około dwudziestu mil. Mają starą kucharkę, która całe życie u nich służy, ale dwór jest obszerny i potrzebują więcej służby, zwłaszcza teraz, kiedy się postarzel. Przed wojną chodziły do dworu dziewczęta ze wsi, ale teraz wolą pracować gdzieś bliżej kina, a zresztą w miastach mogą doskonale zarobić. Nikt dłużej nie pracuje w Coombarganie jak miesiąc czy dwa. I to nie tylko Coombarga-na, ale i inne wielkie majątki są w tym samym położeniu. Właściciele ich mają mnóstwo pieniędzy przy obecnych cenach wełny, ale tak jak każdy śmiertelnik muszą sami spełniać domową robotę.

3 września. Dziś wieczorem przyszedł do baru pan Fox, listonosz. Przyjechał tu z Anglii jako mały chłopiec, mniej więcej czterdzieści lat temu. Pochodzi z Beverley w Yorkshire. Gdy dowiedział się, że także jestem z Anglii, zaczęliśmy rozmawiać i powiedziałam mu, że zwiedzam Australię zarabiając na sobie. Orzekł, że wobec tego powinnam wybrać się z nim na objazd. Co rano, około dziesiątej, wyrusza z pocztą swoim starym wozem i dojeżdża do wszystkich okolicznych majątków, a potem wraca koło trzeciej czy czwartej po południu. Rozwozi także gazety. Zaproponował, żebym wybrała się z mm jutro, jeśli będzie ładnie. Wydało mi się to okazją nie do pogardzenia i zapytałam panią Collins, czy pozwoli mi pojechać, jeśli wstanę wcześniej i posprzątam bar i salę jadalną przed śniadaniem. Pani Collins zgodziła się, nastawiłam więc budzik na wpół do szóstej.

4 września. Przyjęłam posadę pokojówki w Coombarganie. Zrobiłam to pod wpływem chwilowego impulsu, właściwie bez zastanowienia. Teraz żałuję, ale stało się. Przenoszę się tam w przyszły piątek. To tylko na parę tygodni, dopóki nie znajdą sobie jakiejś nowej pary małżeńskiej. Pojechałam z panem Foxem i naturalnie wstępowaliśmy po drodze do każdego domu. Okolica jest śliczna, trochę podobna do Równiny Salisbury, ale na dużo większą skalę i o dużo mniejszej liczbie domostw i wsi. Wszystkie domy są drewniane i wyglądają na nowo wybudowane, oprócz wielkich dworów, które mają zupełnie inny charakter. W Coombarganie byliśmy około wpół do dwunastej. Posiadłość przypomina wielkie rezydencje wiejskie w Anglii. Jest długi podjazd, kamienne słupy i brama żelazna zawsze stojąca otworem, a potem aleja z pół mili długa pomiędzy okólnikami, wśród szpalerów kwitnących drzew i sosen. Dom stoi nad rzeką, w bardzo pięknym miejscu, ale sam dwór jest szkaradny. Dwupiętrowy, nieregularny dom z cegły, trochę podobny do szkockiego zamku, który zwariował. Otoczenie prześliczne i doskonale utrzymane, całe pola narcyzów w kwiecie, japońskie kasztany, w zacisznych miejscach kamelie, ogromne krzewy obok strzyżonych cisowych szpalerów.

Podjechaliśmy do bocznego wejścia, gdzie spotkała nas stara kucharka i odebrała pocztę. Nazywa się Annie. Zaprosili nas do kuchni na herbatę. Widocznie to już taki tutaj zwyczaj. Pan Fox mnie przedstawił i powiedział, że przyjechałam z Anglii, a Annie zaraz zapytała, czy spotkałam się tam z pa-

nem Alanem. Wygląda na to, że miejscowi ludzie bardzo się nim interesują.

Gdy siedzieliśmy przy herbacie za kuchennym stołem, pan Fox wspomniiał coś o tym małżeństwie, co tu służyło, i zapytał, czy mają kogoś na ich miejsce. Annie powiedziała, że pani znowu próbuje szukać przez biuro pośrednictwa pracy, ale to trudna sprawa. Teraz na wieś można dostać tylko szumowiny. Co do niej, to osobiście nie życzyłaby sobie więcej cudzoziemców. Wolałaby już raczej sama robić domową robotę przy jakiej takiej pomocy żon robotników z majątku, chociaż tej roboty jest za dużo na jedną osobę. Pani stara się o służącą Holenderkę i to może byłby lepszy wybór.

Annie mi się bardzo podobała i wyrwałam się, że chętnie przyszyłabym pomoc na parę tygodni, dopóki nie dostaną kogoś na stałe. Nie mam pojęcia, co mnie skłoniło, żeby to powiedzieć; po prostu wymknęło mi się w jakiś sposób. Ale Annie chwyciła się tego jak tonący brzytwy. Zawołała, że jeśli mówię na serio, to ona zaraz zawiadomi panią, która zechce mnie poznać. Wtedy zaczęłam się wykręcać, że mogłabym tu zostać tylko na parę tygodni, bo później wybieram się do Adelajdy, a poza tym nie chciałabym tak rzucać pani Collins w Hotelu Pocztownym i przecież nigdy nie byłam pokojówką. Ale jeśli pani Duncan załatwi to z panią Collins, to mogłabym na krótko zgodzić się do Coombargany.

Annie powiedziała, że pani Duncan jeszcze pewnie jest u siebie, bo zwykle leży w łóżku aż do lunchu w taki zimny, wilgotny czas jak dzisiaj, kiedy nie może wyjść na dwór, ale od wypadku zajrzy i sprawdzi. Za chwilę wróciła mówiąc, że pani już wstaje i pomówi ze mną za pół godziny. Pan Fox naturalnie nie mógł czekać i umówiliśmy się, że ja zostanę i zjem lunch w kuchni razem z Annie, a on wstąpi po mnie w powrotnej drodze do Forfar, około trzeciej, pod koniec swego objazdu. Zapewnił mnie, że nadłoży tylko dwie czy trzy mile.

Annie zaproponowała, żebyśmy razem z nią obejrzała dom, żeby zorientować się w robocie, zanim będę mówić z panią. Zaprowadziła mnie najpierw do wielkiej jadalni z długim politurowanym stołem. Powiedziała, zdaje się, że to czarny dąb. Wszystko tu jest tak jak w dużej rezydencji wiejskiej w Anglii, meble bardzo ładne. Hall jest na całą wysokość domu z galerią naokoło na poziomie piętra. Są tu sypialne pokoje. Potem poszliśmy do salonu ślicznie umeblowanego, z cudnymi kwiatami w wazonach. Państwo Duncan mają sypialnię na parterze, w dawnym bilardowym pokoju, bo pani Duncan nie może chodzić po schodach z powodu artretyzmu. Na parterze jest także gabinet, ale pułkownik tam właśnie był, więc nie wchodziłyśmy. Obejrzałam szybko piętro, ale są tam tylko gościnne pokoje i pokój Alana, który czeka na jego powrót. Pokój Annie jest nad kuchnią. Pokazała mi także pokój, który byłby moim. Bardzo miły, z uroczym widokiem na trawniki biegnące aż do rzeki, z zielenią pastwisk i łańcuchem wzgórz w oddali. Będzie dużo roboty z okurzaniem i froterowaniem, ale przy tak małej ilości osób nie powinno to być zbyt uciążliwe. Jest zresztą elektryczna maszyna do froterki.

Pani Duncan przyjęła mnie w hallu przed kominkiem. Szalenie przypomina Billa. Chodzi o lasce i mocno utyka. Zapytała mnie o szczegóły dotyczące mojej osoby i powiedziałam jej możliwie jak najmniej: że wędruję na-

około świata zarabiając sama na życie i że gdy zwiedzę Australię, wybieram się do Afryki Południowej. Pytała także, czy pracowałam już jako pokojówka, więc odpowiedziałam, że nie, ale że miałam posady w hotelach. Pani Duncan zapytała mnie jeszcze, dlaczego chcę pracować w takiej odludnej miejscowości. Na to powiedziałam, że mam zamiar poznać całą Australię, a jeszcze nie miałam okazji być w wielkim majątku. Uprzedziłam także, że nie będę mogła zostać tu dłużej jak parę tygodni, zanim nie dostaną kogoś na stałe. Pani Duncan powiedziała, że zatelefonuje do pani Collins, dowie się, jak się ona na ten projekt zapatruje, i da mi znać po obiedzie. Zapytała jeszcze, czy mam jakieś ciemne suknie — byłam w moim francuskim niebieskim sweterku i szarej spódnicy — więc powiedziałam, że mam granatowy kostium. Zauważyła wtedy, że przy podawaniu do stołu nie mogę być jasno ubrana, ale nie trzeba, żebym niszczyła mój najlepszy kostium używając go na co dzień. Być może, znajdzie się coś w domu, co by na mnie pasowało bez większych przeróbek. Wygląda na to, że służące w Coombarganie ubierają się według dawnej mody, mniej więcej jak pokojówki angielskie przed trzydziestu laty. Czuję, że będę musiała nosić czarne sukienki i wykrochmałone białe fartuszki.

Pani Duncan posłała mnie na lunch do kuchni; poprosiłam Annie, żeby mi pokazała, jak się nakrywa stół w jadalni. Mają tu piękne srebro, które ślicznie wygląda na politurze blatu. Całe srebro czyści się co tydzień. Na lunch były kotlety, młode kartofle i zielony groszek, a potem ser Stilton, angielski. Do stołu siedli tylko państwo Duncan. Zapytałam Annie, czy będą chcieli, żebym podała do stołu i przekąski; Annie odparła, że od lat nie mieli już służącej, która by to robiła, ale na pewno będą zadowoleni. Więc tak też zrobiłam; wyglądali na nieco zdziwionych, ale zadowolonych. Po obiedzie pani Duncan przyszła do kuchni i poprosiła mnie z sobą do hallu. Mówiła już z panią Collins, która się zgodziła, i w piątek będę mogła tu przyjechać. Powiedziałam, że przedtem muszę pojechać do Ballarat po moje walizki; wobec tego pani Duncan postanowiła, że wyślą po mnie samochód do Forfar na autobus idący z Ballarat. Będę dostawać osiem funtów tygodniowo i utrzymanie. Przy tej rozmowie był także pułkownik Duncan i potem oboje wyrazili nadzieję, że się będę dobrze u nich czuła. Pułkownik dodał, że po południu, po pracy, mogę sobie chodzić po całym majątku i że poleci swoim ludziom, aby pokazywali mi wszystko, co będę miała ochotę zobaczyć.

Przyjechał po mnie pan Fox i wróciłam z nim do hotelu w sam czas na wieczorny ruch w barze.

Pani Duncan tak mi szalenie przypomina Billa, że naprawdę to jest chwilami prawie nie do zniesienia.

8 września. Chyba musiałam zwariować, że się tutaj zgodziłam, ale stało się. Pułkownik Duncan przysłał na autobus do Forfar swego rządcę, Har-ry'ego Drew, i pojechałam z nim do Coombargany Land Roverem. Ojciec pana Drew przyjechał tu z Gloucester czterdzieści lat temu, ale on sam urodził się już w Australii. Zaprosił mnie do siebie na podwieczorek w niedzielę, żebym się poznała z jego żoną. Powiedziałam mu, że jeszcze nie wiem, kiedy będę miała wolne, ale przyjdę, jak tylko się uda, i dam mu znać jutro.

Zaniosłam swoje walizki do pokoju, który mi pokazała Annie. Zawsze sobie wyobrażałam, że służba w dużym wiejskim dworze ma pierwszorzędną rolę, a teraz już to wiem na pewno. Widok z mojego okna jest po prostu cudowny, pokój bardzo czysty i wygodny, a mamy także na spółkę z Annie rozkoszną łazienkę z prysznicem. Na moim łóżku leżała przygotowana ciemnoszara suknia, która jako tako na mnie pasuje. Włożyłam ją od razu, bo zdawało mi się, że zostawiono ją tutaj naumyślnie, żeby mi zasugerować, dość zresztą przejrzyście, że mam w niej zejść na dół do pracy. Popołudniową herbatę podaje się na tacy na kółkach. Annie pokazała mi, co trzeba przygotować, i wtoczyłam tacę przez hall do salonu. Pani Duncan siedziała w fotelu przed kominkiem i pokazała mi, jak lubi, żeby było nakryte do podwieczorku, a potem kazała mi się obrócić, żeby zobaczyć, jak na mnie leży suknia. Trzeba ją będzie trochę zebrać w talii i trochę skrócić. Powiedziałam, że zabiorę się do tego jutro po południu. Ciekawa jestem, kto tę suknię nosił przede mną.

Nakryłam do obiadu, zmyłam naczynia po podwieczorku, a potem poszłam na górę rozpakować się. Posiedziałam trochę przy stole patrząc na rzekę i pastwiska w wieczornym świetle. Jakiś człowiek jechał konno po drugiej stronie rzeki, jechał stępa. Tak tu wszędzie cicho i spokojnie.

Po tych ośmiu latach zaczynam chyba lepiej rozumieć Billa. To jest przecież otoczenie, w którym się wychował. Takiego, jakim był, urobiły go ten dom i ten widok. Nic dziwnego, że tak się różnił od wszystkich «pongów». Jakże miał się nie różnić, skoro mieszkał w tak pięknym otoczeniu, nie jako przelotny gość, ale jako człowiek związany z prawdziwą pracą na roli. Bo praca tutaj to nie żarty.

Dwadzieścia osiem tysięcy owiec nie obrządzą się same ani nie ostrzygą i bez ludzkiego współudziału nie poślą wełny na sprzedaż.

Zaczęłam wyobrażać sobie innego Billa, Billa, który był częścią Coombargany. Znałam go tylko jako sierżanta piechoty morskiej w mundurze. I to wcale nie był prawdziwy Bill; to był Bill w przebraniu i tego wtedy nie wiedziałam, chociaż powinnam była się zorientować. Prawdziwy Bill stanowił część tego uroczego otoczenia."

W tym miejscu musiałem na chwilę przerwać lekturę dziennika. Wstałem od stołu, rozpałem znowu ogień na kominku, a potem podszedłem do okna i rozsunąłem firanki. Była blisko czwarta nad ranem i księżyc już zachodził. Za niecałą godzinę będzie dniało.

Otworzyłem okno i ogarnęło mnie chłodne, nocne powietrze. Przede mną, w ukośnym, srebrzystym świetle rozciągały się łąki. Stałem tak nieruchomo i myślałem, jak słuszny był sąd Janet, jak dobrze pojęła istotę rzeczy. Bill rzeczywiście był częścią tego uroczego otoczenia.

Zanim wyjechaliśmy do Anglii przed wojną, życie Billa i moje płynęło w Coombarganie i w szkole. Niewiele myśli poświęciliśmy naszemu rodzinnemu domowi, chyba żeby utyskiwać, że mieszkamy tak daleko od rozrywek dużego miasta. Potem odjechaliśmy daleko od domu i Bill już nigdy nie wrócił. Ja zaś przewędrowałem cały świat i wreszcie stwierdziłem z lekkim zdziwieniem, że nie spotkałem wiejskiego krajobrazu, który by w sielskiej uro-

dzie dorównywał moim rodzinnym stronom. Trzeba długiego na to czasu, żeby Australijczyk przyjął za fakt, iż rozległy, niespokojny, przemądrzały świat północnej półkuli nie da się porównać do jego własnego kraju. Zbliżałem się już do czterdziestki, a dopiero teraz zacząłem zdawać sobie sprawę, że mój dom rodzinny jest najpiękniejszy przy każdym probierzu zaczerpniętym z szerszego świata. Bill miał szczęście, tak zresztą jak i ja, że się tu urodził i wychował, chociaż obydwaj byliśmy tego nieświadomi. Janet napisała w swoim dzienniczku, że Billa urobił ten dom i ten krajobraz. Może trafnie to zauważyła. Kiedy Bert Finch czekał na niego w odwodzie, Bill ruszył po ciemku, tuż pod bokiem Niemców, żeby unieszkodliwić miny nieprzyjacielskie przy słuzach w Le Tirage. Może wtedy właśnie, kiedy wypełniał swoje bojowe zadanie pod wodą zużywając tlen i przybliżając chwilę śmierci, marynarka brytyjska zainkasowała wszystko to, co Coombargana włożyła w Billa za czasów jego dzieciństwa.

Zamknąłem okno, obejrzałem się za fajką i tytoniem i z powrotem zasiadłem nad dziennikiem. Po pierwszych kartkach zapisanych w Coombarganie notatki stawały się coraz rzadsze, tak jak to już nieraz miało miejsce w powojennych latach. Mam wrażenie, że oznaczało to spokój i zadowolenie autorki dziennika. Zwracała się do niego wtedy, gdy ten spokój był zmacony. Ale jedna z tych wczesnych notatek wydała mi się ważna:

„13 września. W sypialnym pokoju pani Duncan są dwie fotografie Billa. Jedna, której przedtem nie widziałam: Bill konno, chyba na tutejszym podwórzu. Wygląda tu na dużo młodszego, na piętnaście czy szesnaście lat. Druga to taki sztywny portrecik, który Bill robił u fotografa w Portsmouth i którego nie lubię. Mam dużo lepszą jego fotografię w swojej ramce, ale naturalnie nie śmiem jej postawić u siebie w pokoju. Nie słyszałam ani razu, aby państwo Duncan mówili o Billu, ale chyba to zrozumiały, skoro przecież upłynęło już osiem lat od jego śmierci i co było do powiedzenia, zostało już powiedziane. Za to bardzo dużo mówią o Alanie.

Zresztą wszyscy tutaj mówią o Alanie; każdy się nim ogromnie interesuje. Od czasu do czasu Annie coś o nim powie, pani Drew poruszyła ten temat, gdy byłam tam na podwieczorku w niedzielę, a przy stole państwo Duncan zawsze o nim wspomną coś, co mimo woli usłyszę. Spodziewali się go tej wiosny, ale został jeszcze na jeden rok w Londynie czekając na przyjęcie do adwokatury. Nie słychać, żeby się żenił; dużo czasu poświęca wyścigom samochodowym.

W gruncie rzeczy, zdaje się, że wszyscy są trochę zaniepokojeni. Jeśli Alan tutaj nie wróci, to po śmierci pułkownika majątek zostanie sprzedany, co będzie porządnym wstrząsem dla każdego, kto jest związany z Coombarganą. Annie służy tu już od czterdziestu lat, a niektórzy robotnicy — od przeszło dwudziestu. Mają tu swoje domy, bardzo przyzwoite, ze światłem elektrycznym przeprowadzonym od głównego generatora i z miejscową kanalizacją. Podobno są tu o wiele lepsze warunki niż w innych wielkich majątkach. Duncanowie są bardzo dobrymi pracodawcami. Po każdej sprzedaży

welny wypłacają przyzwoitą premię i wszyscy ludzie mają tu swoje samochody Sądzę, że to jest właśnie źródło zainteresowania Alanem. Chcieliby, żeby się ożenił, osiadł tu na stałe i prowadził majątek.

26 października. W czasie pobytu państwa Duncan w Melbourne była śliczna pogoda, ciepłe, słoneczne dni i mało wiatru. Pani Plowden pomogła nam przy wiosennych porządkach; całymi dniami trzymamy okna otwarte, żeby ciepły wiatr przewiał pokoje. Było mnóstwo roboty, ale się już przewalila Jutro państwo wracają.

Wczoraj po kolacji siedziałyśmy razem w kuchni i Annie znowu zaczęła mówić o Alanie. «To wielkie zmartwienie dla jego matki — powiedziała — że się nie ożenił*. Rodzicie mieli nadzieję, że po powrocie z wojny zainteresuje się jedną z przyjaciółek Heleny, ale był wtedy bardzo zaabsorbowany Łą stóp i wydawało się, że nie chce mieć nic do czynienia z kobietami Mówiło się, że to z powodu jego kalectwa, ale według Annie musiał mieć kogoś w Anglii, jakąś dziewczynę, o której myślał Annie mówiła, że Alan nie uspokoił się, dopóki nie wyjechał wreszcie do Anglii, a gdy wyjechał, sądziła że w przeciągu pół roku przyjdzie wiadomość o jego zaręczynach z jakąś Angielką. Ale nic podobnego się nie zdarzyło. Ot, taka gadanina między służbą.

Strasznie mi żal Alana. Musi być bardzo samotny.

28 października. Państwo Duncan wrócili wczoraj. Pułkownik wygląda chyba lepiej po tej małej zmianie, ale pani Duncan nie bardzo dobrze. Mieszkając w klubie i chodząc za sprawunkami w Melbourne nie mogła oczywiście na siebie uważać i powiedziała mi dziś rano, że ma a silne bole, chociaż zresztą warto było pocierpieć. Namówiłam ją, żeby poleżała cały dzień w łóżku Wieczorem zapytałam, czy nie ma ochoty, żebym przyniosła mały stolik z gabinetu do sypialni i nakryła na nim pułkownikowi tak żeby obiad mogli zjeść razem. Stolik ma piękną politurę i nakrycie bardzo ładnie wyglądały ze srebrem i serwetkami, tak jak się zwykle robi w jadalni. Nie było też z tym wcale specjalnego kłopotu.

Dziś przyszedł list od Alana. Uważam, że nie pisuje do rodziców dostatecznie często

Nie było żadnej wzmianki w dzienniku świadczącej, że Janet spieszyła się z wyjazdem do Adelajdy, ani słowa też o nowej parze małżeńskiej zgodzonej na służbę do dworu. Sądzę, że dobrze się czuła w tej osobliwej pozycji, którą sobie stworzyła w Coombarganie, i zgodziła się być pokojówką na nieokreślony przeciąg czasu. Doktor Ruttenberg chyba trafnie określił jej przypadek" tkwiła w niej wielka potrzeba, by czuć się pożyteczną, i na razie ten warunek był spełniony. Po trzech miesiącach pobytu w Coombarganie ukazuje się charakterystyczna wzmianka w dzienniku świadcząca o rozwijającym się współżyciu między nią a moją matką.

11 grudnia Dziś po południu pułkownik pojechał do Ballarat; ma przemawiać na bankiecie Ligi Byłych Wojskowych. Pani Duncan jadła więc obiad sama. Gdy po obiedzie zaniósłam kawę do salonu, siedziała przy biurku przeglądając mnóstwo różnych rzeczy, które wyjęła z jednej z bocznych

szufladek. Postawiłam kawę koło niej i podałam na tacce cukier, a kiedy ocukrzyła sobie kawę, wzięła do ręki jakąś fotografię, pokazała mi ją i powiedziała: «Patrz, Jessie, to był mój drugi chłopiec, Willy.» Była to oczywiście fotografia Billa ze strzelbą i psem przed frontowymi drzwiami dworu. Musiał wtedy mieć około osiemnastu lat. Nic mi nie przychodziło na myśl, co by można w takiej sytuacji powiedzieć, a po chwili ona odezwała się znowu: «To zdjęcie było zrobione, zanim wyjechał do Anglii, przed samą wojną. Zginął w 1944 roku, na krótko przed inwazją, spełniając jakieś zadanie na wybrzeżu Normandii.» Opanowałam się przez ten czas i powiedziałam: «Wiem, proszę pani, Annie mi o tym mówiła. To musiała być straszna strata dla pani.» Przez pewien czas nie odzywała się, aż wreszcie powiedziała: «Tak. Willy nie był tak zdolny, jak Alan. Był większym domatorem. Gdyby żył, przypuszczam, że to-on prowadziłby majątek, a Alan obrałby karierę parlamentarną albo pracowałby w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Jedynym marzeniem, jakie miał Willy, to wrócić do Coombargany i gospodarować.» Nie mogłam już tego dłużej znieść i zapytałam: «Czy to już wszystko na dzisiaj, proszę pani?» Pani Duncan odparła: «Tak, dziękuję, Jessie. Dobranoc.» Zdaje mi się, że wyszłam z pokoju nie zdradziwszy swych uczuć przed nią, ale nie byłabym tego tak pewna, gdybym miała do czynienia z Annie. Nic z tego, co się dzieje w Coombarganie, nie uchodzi uwagi Annie." I jeszcze dalsza notatka:

„5 stycznia. Świetna była dzisiaj zabawa. Należy mi się półtora wolnego dnia na tydzień, do tej pory jednakże nie korzystałam z tego. Ale jakoś poczułam potrzebę świeżego powietrza i zmiany, więc wczoraj poprosiłam Har-ry'ego Drew, żeby mnie wziął z sobą na króliki. Naczelnym łowcą królików jest tutaj stary Jim Plowden, który zajmuje się także psami używanymi do polowania. Jest to zgraja ze trzydziestu chyba tak zażartych kundli, jakich świat nie widział. Jim użera się z królikami systematycznie, dzień po dniu, ale teraz postanowiono urządzić wielką wyprawę, aby załatwić się z tymi szkodnikami, i zmobilizowano do niej połowę tutejszych ludzi. Pojechałam z nimi ciężarówką na wzgórze zwane Osiemset Akrów. Jest tu strasznie dużo królików, a przynajmniej było mnóstwo w zeszłym tygodniu, bo nie zdaje mi się, żeby ich teraz wiele zostało. Do niszczenia nor króliczych używają tu rodzaju wideł ciągnionych przez traktor; widły wchodzą około dwóch stóp w głąb gruntu i straszliwie rujnują glebę, ale także i królicze nory. Następnie traktor kolejno cofa się i idzie naprzód, żeby ugnieść ziemię, a potem puszcza się wielki wał nabijany mnóstwem różnych kolców, który przejeżdża po całym terenie.

Kiedy grunt jest kamienisty i nie da się zastosować takiego systemu, wypuszczają łasice, które płoszą króliki z jam, a wtedy szczuje się na nie psy albo się do nich strzela. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby w różne strzelby z lufami zwróconymi w cztery strony świata i humory były pierwszorzędne. Zapytałam Hary'ego, czybym nie mogła trochę postrzelać. Spojrzał na mnie z niedowierzaniem i zapytał, czy miałam kiedy w ręku strzelbę; gdy powiedziałam, że tak, pożyczył mi swojej. Dwa pierwsze razy spudłowałam, ale gdy zorientowałam się, jak strzelba działa, czterema strzałami położyłam

cztery króliki w biegu. Cały dowcip na tym polega, żeby celować z wyprzedzeniem i wyobrazić sobie celownik artyleryjski. Wywołałam nadzwyczajne wrażenie, wszyscy dopytywali się, gdzie się tego nauczyłam, ale oczywiście nie przyznałam się. Skończyliśmy już z królikami, ale w drodze do domu zaproponowali mi spróbować kalibru 22 i chętnie się zgodziłam. Pewnie chcieli się przekonać, czy z tymi królikami nie udało mi się fuksem. Postawili więc butelkę po piwie na murze, dali mi mały karabinek i kazali strzelać z odległości mniej więcej trzydziestu jardów. Pierwszy strzał poszedł trochę poniżej, ale za drugim razem trafiłam. Wiedziałam, że to potrafię, więc kazałam im postawić trzy butelki w jednym rzędzie i... ta-ta-ta — rozbiłam je ślicznie trzema strzałami. Powiedziałam im, że za każdym razem, kiedy zechcą coś ustrzelić, trzeba zapotrzebować emigrantkę z Anglii, która trafi we wszystko to, do czego oni spudłują. Myśleli, że to kawał, i śmieli się z tego przez całą drogę powrotną. Dzień był śliczny. Po powrocie Harry pozwolił mi przeczyścić strzelbę i byłam u nich na podwieczorku. Usiłował znowu wyciągnąć ode mnie, gdzie się nauczyłam strzelać, ale nie chciałam się zdradzić i wykręciłam się od odpowiedzi." W następnym okresie dziennik był pisany z przerwami pięciu lub sześciu tygodni. Zdawało się, że Janet zadomowiła się w codziennym trybie zmywania i sprzątnia, ślania łóżek i podawania do stołu. Ponieważ rodziców męczyły schody, Janet zastępowała ojca w przynoszeniu wina z piwnicy i nauczyła się, jakie wina czy coctaille i w jaki sposób podaje się przy gościach. Mam wrażenie, że jej stosunki z matką pozostały zawsze na stopie pani i służącej, ale nie obeszło się bez tego, że się jednak zbliżyły. Gdy matce dokuczał artretyzm, Janet mogła wyręczać ją w czynnościach, w których nikt inny nie mógł jej zastąpić, a w ciągu zimowych miesięcy, kiedy mało kto bywał w Coombarganie i nie było innego kobiecego towarzystwa, matka mówiła z nią swobodnie o sprawach rodzinnych. Ważna jest notatka w dzienniku we wczesnym okresie zimy.

„6 maja. Było dzisiaj dotkliwie zimno, z ciemnego ołowianego nieba spadło nawet parę płatków śniegu. Powiadają tutaj, że to za wcześnie na śnieg, ale na dworze jest psie zimno. Działa już centralne ogrzewanie i w domu jest całkiem ciepło, jednakże do lunchu zatrzymałam panią Duncan w łóżku. Zawsze mi się zdawało, że Australia jest ciepłym krajem, i rzeczywiście w lecie było tu gorąco, ale teraz powietrze jest świeże i rześkie. Dzisiaj przyszły dobre nowiny — ogromny list od Alana. Definitywnie wraca i w związku z tym państwo Duncan są bardzo podnieceni. Alan zostaje jeszcze w Anglii do września czekając na przyjęcie do advokatury, ale już zamówił sobie miejsce na statku, który wyrusza z Anglii 5 października. Będzie więc w domu z początkiem listopada. Tacy są dzisiaj szczęśliwi. Wieczorem wiadomość rozeszła się już po całej Coombarganie. Zapytałam pułkownika, czy mam przynieść butelkę szampana do obiadu; powiedział, że tak, a Annie zadała sobie wiele trudu z obiadem, który zaczął się kawiozem, a skończył pieczarkami na grzankach. Są teraz miliony pieczarek na okólnikach i w każdej chwili można uzbierać cały

koszyk. Dla uczczenia tej okazji obiad się odbył przy dźwiękach muzyki. Alan był poza domem pięć lat, ale z tego, co mówią, wynika, że definitywnie wraca do domu na stałe, żeby zabrać się do roboty i prowadzić gospodarstwo w Coombarganie. Bardzo się z tego dla nich cieszę. Cieszę się także dla Alana. Nie czytałam naturalnie jego listu, ale po południu, kiedy pomagałam pani Duncan przy wstawianiu, dużo mi opowiadała o Alanie. Alan doszedł teraz do wniosku, że jego właściwe miejsce jest w Coombarganie, i nie ma zupełnie ochoty zajmować się różnymi innymi sprawami, jak na przykład adwokaturą czy polityką. Wprawdzie sądzi, że powinien jeszcze zostać w Anglii do września i doczekać się przyjęcia do adwokatury, ale z drugiej strony uważa, że jest już za stary, aby zaczynać praktykę adwokacką w Anglii. Zresztą czuje się już zmęczony pobytem w Anglii i chce wrócić na stałe do domu. Przypuszczam, że te wszystkie wiadomości zawierał jego list. Pani Duncan również wspomniała, że zaraz po wojnie, w związku z kalectwem, Alana trawił wewnętrzny niepokój, ale w tej chwili ma wrażenie, że już się tego pozbył. Spodziewa się także, powiedziała, że Alan wyszuka sobie jakąś miłą pannę i ożeni się.

Dla obojga jego rodziców był to wielki dzień.

Będę musiała się gdzieś wynieść, zanim Alan przyjedzie. On mnie na pewno pozna. Nie bardzo mam ochotę wyjeżdżać stąd przed listopadem, bo przecież oni tutaj potrzebują kogoś, kto by trochę się nimi zajął, ale wszystko się zmieni z chwilą przyjazdu Alana. Alan będzie mógł mnie zastąpić w wielu czynnościach, które teraz spełniam. Wiele rzeczy zorganizuje i rozejrzy się za zdobyciem jakiejś przyzwoitej służby, a nie takich koszmarnych postaci jak to polskie małżeństwo, które tu było poprzednio. Zupełnie nie będę tu potrzebna, kiedy Alan wróci. Będę się starała wyjechać na tydzień czy dwa przed jego przybyciem. Najpierw trzeba będzie chyba wrócić do Seattle, żeby podjąć pieniądze po cioci Ellen. W tej chwili ta sprawa powinna już być uregulowana. A potem — Bóg raczy wiedzieć, co z sobą zrobię. Chciałabym wrócić do marynarki, jeżeli mnie zechcą. Jeżeli rokowania o zawieszeniu broni w Korei zostaną zerwane, a na to wygląda, walki rozpętają się tam na nowo, a wszyscy mówią, że mogą stać się jeszcze bardziej zaciekle. A wtedy może wybuchnąć wojna na całego między Ameryką i Chinami, przy współudziale Rosji, Anglii i wszystkich krajów. Gdyby taki był obrót wydarzeń, na pewno będą potrzebowali «wrenek» w kategorii uzbrojenia, i to tyle, ile się tylko da zwerbować.

Wyjazd stąd będzie mnie jednak trochę kosztować."

W ciągu następnych tygodni Janet utwierdziła się w przekonaniu, że niełatwo jej będzie rozstać się z Coombarganą. Znadto wrosła w tutejsze życie.

„29 maja. Od pewnego czasu pani Duncan wspominała o przygotowaniu pokoju Alana, ale wydawało się to nieco przedwcześnie. Ale dziś rano wstała zaraz po śniadaniu i postanowiła pójść na górę, więc pomogłam jej przy wchodzeniu po schodach. Potem posłała mnie po papier, ołówek i centymetr i przystąpiła do rzeczy. Na górze są dwa duże pokoje przedzielone łazienką. W pokoju Alana są jakieś części samolotu, a w szafach i komodach trochę

jego ubrań i bielizny, złożonych z gałkami przeciwmolowymi. Pani Duncan powiedziała mi, że w pokoju obok mieszkał Bill, ale odnowiła go i przemeblowała po wojnie i używa się go teraz jako dodatkowego pokoju gościnnego. Zajrzałam tam dzisiaj po południu, ale nic tam nie ma, co by komukolwiek przypominało Billa. Widok jest taki sam jak z mojego okna.

Pani Duncan naprawdę wybiera się do miasta w związku z pokojem Alana. Przede wszystkim potrzebne są według niej nowe firanki. Kazała mi przynieść drabinkę i wymierzyć lambrekin i firanki. W Melbourne widziała u Georges'a jakąś włoską tkaninę, która by się zapewne nadawała do tego celu. Kosztuje cztery funty dziewięć szylingów za jard, ale wystarczy na długie lata. Na firanki potrzeba trzydzieści osiem jardów. A potem pani Duncan powiedziała, że dywan wcale się już nie nadaje, bo jest strasznie zniszczony. Mnie co prawda wydał się zupełnie dobry. W pokoju są dwa wyściełane fotele i te uznała za wystarczające. Ma się je znieść na dół i posłać ciężarówką do Ballarat, żeby dorobili do nich pokrowce, po dwa na każdy fotel. Materiał kupi się w Melbourne, dobierając go do firanek. Pani Duncan chce także kupić nową narzutę na łóżko i nowe abażury do lampy. Wszystkie framugi drzwiowe i okienne mają być odmalowane całkowicie.

Chciała także zmienić tapetę w pokoju Alana, ale przekonałam ją, żeby tego nie robiła. Tapeta jest zupełnie dobra i byłam zdania, że gdyby się ją zmieniło, pokój wyda się Alanowi kompletnie obcy. Moim zdaniem połowa przyjemności z powrotu do domu polega na powrocie do tych wszystkich starych rzeczy, które się znało i zapamiętało, a jeśli się zmieni tapetę, to pokój będzie wyglądał jak nie ten sam i Alan nie poczuje się jak u siebie. Przyznała mi w końcu rację i zgodziłyśmy się na to, że framugi trzeba pomalować możliwie na taki sam kolor, jaki był do tej pory, żeby wygląd pokoju nie zmienił się, ale jednocześnie, żeby wszystko było świeże i miłe dla oka. Powiedziałam, że wezmę bochenek czerstwego chleba i wyczyszczę tapetę naokoło kontaktu elektrycznego przy drzwiach, tam gdzie jest trochę przybrudzona. Tapeta jest w dobrym gatunku i na pewno to się da zrobić. Pani Duncan kazała mi jeszcze zmierzyć dywan, ale będzie jej trudno znaleźć dostatecznie duży. Dywan powinien mieć około dwudziestu pięciu na dwadzieścia stóp. Pani Duncan mówi, że jeżeli nie znajdzie nic, co by jej się podobało, to każe zrobić dywan w Bombaju na specjalne zamówienie.

Wszystko to zsumowałam, ot tak, przez ciekawość; zdaje się, że koszt odnowienia tego pokoju wyniesie prawie osiemset funtów.

Normalnie państwo Duncan nic nie wydają na siebie, żyją zupełnie skromnie, sporo tylko wydają na ogród. Ale pani Duncan rozpędziła się naprawdę, jeśli chodzi o pokój Alana. W każdym razie będzie wyglądał bardzo ładnie, gdy wszystko się wykończy."

Przestałem czytać i rozejrzałem się po pokoju. Były tu nowe firanki, nowe abażury do lamp, pod nogami czułem głęboką miękkość nowego dywanu z Indii, fotel, na którym siedziałem, miał nowy pokrowiec, tapeta przy kontakcie elektrycznym lekko się różniła od reszty, a na framugach lśniła nowa farba. Ale poprzednio wcale tego nie zauważyłem.

„20 czerwca. Dzisiaj pułkownik wysłał zamówienie na nowego Land Ro' vera dla Alana. Dostawa trwa około dwóch miesięcy, więc samochód powinien być tutaj na miesiąc przed jego powrotem. Nie używa się tu teraz wielu koni. Tylko polowi codziennie objeżdżają konno majątek pilnując każdego ogrodzenia i bramy i sprawdzając, czy owce nie zabłąkały się i czy nie dzieje im się jakaś krzywda. Pułkownik wszędzie jeździ swoim Land Roverem i powiada, że Alan musi mieć także swój wóz. Wtedy jego kalectwo nie będzie mu się tak dawało we znaki.

Słyszałam, jak państwo Duncan rozmawiali na ten temat przy obiedzie, i naturalnie wspomniałam o tym Annie w kuchni, bo miałam wrażenie, że nie ma co robić sekretu z faktu, że starają się o nowy samochód na użytek majątku. Każdy przecież dowie się tego w swoim czasie. Reakcja Annie była zupełnie swoista. «Starają się zdobyć dla niego wszystko, czego serce zapragnie — powiedziała — oprócz jednej rzeczy.» «To znaczy?» — zapytałam. «Oprócz żony» — odparła. Annie jest bardzo przenikliwa.

10 czerwca. Wczoraj państwo Duncan wrócili z Melbourne. Mam wrażenie, że perspektywa powrotu Alana bardzo dobrze zrobiła pani Duncan, bo mimo pełni zimy i porządnych chłódów czuje się zupełnie nieźle i powiedziała mi, że bóle nie dokuczają jej za bardzo. Dziś rano wstała do śniadania w doskonałej formie. Wybrała już wzór na dywan dla Alana i wysłała zamówienie telegraficznie. Ponieważ wykonanie trwa miesiąc, pani Duncan zapowiedziała im, że dywan ma być odstawiony pewnego określonego dnia na pewien określony statek linii «Peninsular and Oriental», bo inaczej nie dojdzie w porę, i ostatecznie dywan będzie tu na miesiąc przed przyjazdem Alana. Kupiła także materiał na firanki i w przyszłym tygodniu ma przyjechać z Ballaratu osoba, która uszyje firanki i lambrekin na miejscu i zawiesi je. Będzie tu siedziała dopóty, dopóki tej roboty nie skończy. Malarze odeszli już w zeszłym tygodniu. Pani Duncan pokazała mi narzutę na łóżko i abażury. Są naprawdę śliczne.

Upowiedziała mi także, że gdy Alan wróci, mam zajmować się jego ubraniem jak lokaj. Pani Plowden przyjdzie co rano zastąpić mnie częściowo przy sprzątanii, bo po powrocie Alana będzie dużo więcej gości, a zatem i więcej roboty, a ja mam objąć opiekę nad jego garderobą. Pani Duncan pokaże mi sama, jak to robić, będę mogła wprawiać się na garderobie pułkownika aż do przyjazdu Alana. Ceremoniał jest taki, że ubranie, które ma włożyć na siebie wieczorem, kładzie się na łóżko około szóstej po południu, zanim przyjdzie na górę przebrać się do obiadu. Pani Duncan pokaże mi, jak się zakłada spinki przy koszuli do czarnego ubrania i jak sobie życzy, żebym to robiła. Kiedy pójdę na górę rozebrać łóżko na noc, zabiorę ubranie, które Alan nosił w ciągu dnia, wyniosę je, wyczyszczę i powieszę w szafie sprawdzwszy przedtem, czy nie ma jakiejś plamy albo naderwanego guzika, żeby to doprowadzić, do porządku następnego dnia. Bez czyszczenia, przejrzenia i naprawienia niczego nie wolno chować do szafy. To samo robi się z ubraniem wieczorowym. Zabieram je i wynoszę do czyszczenia wtedy, gdy przynoszę poranną herbatę. Chciałam powiedzieć pani Duncan, że gdy Alan wróci, mnie już tutaj nie

będzie, i nie wiedziałam, jak to zacząć. Przyjdzie mi niedługo z tym wystąpić, ale będzie to okropnie trudne. Do tej pory nie mogłam wymyślić żadnego pretekstu, który by nie pociągał za sobą całego łańcucha kłamstw, a tego nienawidzę. Nie zdaje mi się także, żebym potrafiła zrećźnie kłamać.

Nie wiem naprawdę, co robić. Chciałabym bardzo zobaczyć znowu Alana. Wspaniały był w czasie wojny, a przecież nie mógł się tak bardzo zmienić. Tak mi tutaj było dobrze, że z przykrością myślę o wyjeździe. Nie mam pojęcia, co robić, jeśli nie dostanę się z powrotem do WRENS. Ale może mnie przyjmą. Nie widać, żeby rokowania pokojowe na Korei do czegoś prowadziły. To byłoby najlepsze wyjście. Jeśli znowu wybuchnie wojna na wielką skalę, powiem pani Duncan, że jestem rezerwową «wrenką» i wracam do wojska. Tu przynajmniej nie będą potrzebne prawie żadne kłamstwa.

22 czerwca. Łamię sobie głowę, czyby nie dało się zobaczyć w jakiś sposób Alana i porozmawiać z nim, zanim wróci do domu.

Mogłabym pojechać do Fremantle czy gdzie indziej i tam się z nim spotkać. Alan to taki nadzwyczajny człowiek, poradzi mi i powie, co mam zrobić, i może jakoś tak urządzi, żebym mogła wrócić i dalej tu nie siedzieć. Jediną rzeczą, której bym nie zniosła, to gdyby po powrocie wszedł do domu i zawołał: «Hallo, starsza wrenko Prentice, a co pani tu robi?! Myślałem, że gdy Bill zginął, odczepiliśmy się już od pani.» Nie powiedziałałby tego, oczywiście, ale coś w tym guście. Gdybym mogła spokojnie porozmawiać z Alanem, zanim przyjedzie do Coombargany, wytłumaczyłabym mu, jak się to wszystko stało, i może potrafilibyśmy razem wysmażyć jakiś pozór, który by umożliwił mi pozostanie tutaj. Ostatecznie nie ma powodu, żeby jego rodzice dowiedzieli się w ogóle, że cośkolwiek łączyło mnie z Billem. Tyle tylko, żeby Alan musiał trzymać język za zębami, a wszystko we dworze szłoby dawnym trybem. Jedyne Alan i ja wiemy, czym Bill i ja byliśmy dla siebie. To nie będzie za wiele z mojej strony, jeśli poproszę go o dyskrecję w tej sprawie. Ale nie obejdzie się bez wyjaśnień, nawet przed Alanem, skąd się w ogóle wzięłam w Coombarganie.

Nie mam pojęcia, co robić.

28 czerwca. Wojna w Korei jest skończona i w Panmundżon podpisano rozejm. Wobec tego nie wybuchnie nowa wojna na wielką skalę, z czego powinnam chyba się cieszyć. Ale kładzie to kres wszelkim szansom powrotu do służby w marynarce. Nie będą już teraz potrzebowali większej liczby «wrenek» w uzbrojeniu; będą ich potrzebowali mniej.

Po prostu nie mam pojęcia, co ze sobą pocznę po wyjeździe z Coombargany. Nie ma miejsca, gdzie bym mogła pojechać, ani rzeczy, którą chciałabym robić. Muszę się zdobyć na wysiłek i coś obmyślić."

Odłożyłem dziennik, rad z pretekstu, aby na chwilę zaniechać lektury. Trzeba było dołożyć parę polan do ognia. Na dworze niebo zaczynało szarzeć.

Viola Dawson miała rację, jeśli chodzi o byłych wojskowych. Janet Prentice w każdym razie stawiała na nową wojnę, która rozwiązałaby jej trudności i wprowadziła ją z powrotem w pełnowartościowe, pożyteczne życie, jakie ongiś знаła. Bez wojny była zgubiona. Odkąd skończyła się poprzednia, całą nadzieję pokładała w nowej.

Siadłem znowu przy stole i z rosnącym oporem powróciłem do dziennika. Czytanie tego, co ta dziewczyna pisała, było gwałtem zadanym jej najintymniejszym uczuciom, ale przecież ja musiałem dowiedzieć się wszystkiego.

„17 sierpnia. Już tylko sześć tygodni zostało do dnia, kiedy Alan wyruszy w drogę powrotną, a ja ciągle nie mogę się zdecydować, co robić. Stale odkładam decyzję na później albo staram się w ogóle nie myśleć, w nadziei, że coś mi się niespodziewanie zdarzy.

Nie uda mi się chyba pojechać do Fremantle i zobaczyć Alana jeszcze na statku, zanim tutaj przyjedzie. Przypuszczam, że pułkownik poleci samolotem, żeby go tam spotkać, i samolotem przywiezie go tutaj. Tak właśnie było tamtym razem, gdy Alan wrócił po wojnie, i pułkownik wspominał, że to samo ma zamiar zrobić i teraz, ale zdaje się, że nic jeszcze nie zostało postanowione. Gdyby pułkownik rzeczywiście pojechał, nie mogłabym zobaczyć Alana przed jego przyjazdem, to jasne. A ciągle mam wrażenie, że to byłby jedyny sposób na rozwikłanie całego problemu. Wiem, że Alan potrafiłby mnie wyciągnąć z tej sytuacji, w jaką zabrnęłam. Ale nawet gdyby pułkownik nie pojechał do Fremantle, nie widzę możliwości poproszenia o urlop właśnie wtedy. Wszyscy tutaj na mnie liczą i tak się cieszą na powrót Alana. Nie zdaje mi się, żebym się odważyła poprosić o urlop akurat w tym czasie. Wyglądałoby to okropnie dziwnie, a gdyby zaczęli się dopytywać i wyszłoby na jaw, że byłam we Fremantle, aby spotkać się z Alanem — to już byłoby najgorsze, co można sobie wyobrazić.

Wczoraj w nocy przyszło mi do głowy, że najlepiej będzie napisać do Alana i wszystko mu wyjaśnić. Usiłowałam nawet napisać ten list na brudno. Ale to jest taka sprawa, której chyba nie da się załatwić listownie. Alana widziałam tylko jeden raz, dziesięć lat temu i on prawdopodobnie ledwie mnie pamięta. Myślę o nim jak o tej samej osobie, którą był wówczas, ale tu wszyscy mówią, że się szalenie zmienił. Właściwie Alan jest dla mnie zupełnie nieznanym człowiekiem, choć ja bym go nie uważała za nieznanego. Co to będzie, gdy Alan dostanie list od pokojówki swojej matki z zapytaniem, czy nie robi mu różnicy okłamać matkę po powrocie do domu, a to po to, żeby pokojówka nie straciła zajęcia. A trzeba dodać, że ta osoba okłamywała swoją chlebodawczynię i przez cały rok przebywała w jej domu pod fałszywym nazwiskiem.

Wczoraj w nocy próbowałam zabrać się do tego listu i ubrać te wszystkie fakty w taką formę, aby brzmiały prawdopodobnie. Ale wcale mi się to nie udało. Alan jest prawnikiem; od razu przejrzy mnie na wylot i stanie się podejrzliwy. Gdybym mogła go zobaczyć i spokojnie z nim pomówić, zanim przyjedzie tutaj, na pewno potrafiłabym mu wytłumaczyć, jak do tego wszystkiego doszło. Ale nie wierzę, żeby się to dało zrobić listownie. Firanki w pokoju Alana są skończone i założone. Wyglądają wprost ślicznie. Dywanu spodziewamy się w ciągu miesiąca. Meble są spiętrzone na środku pokoju, wokół nich nawoskowałam posadzkę i froteruję ją elektryczną froterką. Posadzka jest z jakiegoś tasmańskiego drzewa, chyba mirtowego. Jest złotawego koloru z różowawym odcieniem. Pokój Alana zaczyna wyglądać bardzo ładnie na jego przyjęcie.

25 września. Za dziesięć dni Alan wyjeżdża z Anglii. Żyłam z dnia na dzień nadzieją, że coś się zdarzy, ale dłużej tak żyć nie mogę. Wczoraj rano ścierałam kurze w hallu i gdy tam skończyłam, przeszłam do jadalni odkurzyć kredens i krzesła. Pani Plowden szorowała podłogę w kuchni i rozmawiała z Annie. Robiły przy tym masę hałasu i nie przypuszczały, że jestem obok, a drzwi wahadłowe były otwarte i słyszałam każde słowo. Rozprawiły o Alanie i jakiejś pannie, Sylwii Holmes, której rodzice mają majątek koło Hamilton. Pani Plowden i Annie opierały się w swoich domysłach na fakcie, że sześć lat temu Alan zabrał Sylwię na wyścigi. Obie marzą o tym, żeby Alan się ożenił, i ciągle plotkują na ten temat. «Na mój rozum, nie trafiłby gorzej zaglądając do własnej kuchni» — powiedziała pani Plowden. A Annie dodała: «A tak. Nie pierwszy raz to by się zdarzyło i nie ostatni.» Wróciłam do hallu. Z całą pewnością nie wiedziały, że byłam obok.

Skoro już wylazło szydło z worka, jestem nawet zadowolona. W tym od dłuższego czasu tkwiło całe zło: w moim zainteresowaniu osobą Alana. I to właśnie zatrzymywało mnie w Coombarganie w ciągu ostatnich miesięcy, chociaż sama sobie nie przyznawałam się do tego; to właśnie, i wygodne życie, którego niechętnie bym się wyrzekła. Bywają takie rzeczy tyżące nas samych, które nieprzyjemnie sobie uświadomić.

Cały ten czas oszukiwałam samą siebie na temat Alana. Kładłam sobie w głowę, że uda mi się pojechać do Fremantle i pomówić z nim jak ze starszym bratem, a on mnie wydobędzie z tego bigosu, w który się wpakowałam. Ale rzeczywistość wygląda mniej ładnie. W rzeczywistości wyobrażałam sobie, że jeśli z Alanem pogadam od serca o Billu i o całej mojej roli tutaj, w Coombarganie, uda mi się go rozkochać w sobie, a wtedy nie musiałabym stąd wyjeżdżać. Nadszedł czas, żeby być uczciwą z samą sobą, i to mam zamiar teraz zrobić. Coombargana jest dla mnie jednoznaczna z wygodnym i swobodnym życiem, z bezpieczeństwem i dostatkiem przez resztę życia. Zdaje mi się, że w istocie do tego właśnie zdążałam. I cel prawie osiągnęłam. Gdyby Alan się ze mną ożenił, wywołałoby to ogólne zadowolenie.

Ale nie przyżywamy czarodziejskiej bajki. Nie chodzi o Króla Kofetwę i Żebraczkę. Treść bajki jest zupełnie inna: Żebraczka, mianowicie, knuje plany, żeby opowiedzieć królowi łzawą historyjkę, on się w niej zakocha, zabierze ją z kuchni, pojmie za żonę i zrobi z niej królową, która będzie panowała nad resztą służby i żyła w wygodach do końca swoich dni. W mojej bajeczce nie będzie «happyendu» ani dla mnie, ani nawet dla Króla Kofetuy, bo on połamie się od razu, w jaką wpadł pułapkę. O Billu! Nie mogę teraz zrozumieć, jak mogłam coś podobnego zrobić, w jaki sposób wpakowałam się w taką okropną sytuację.'

10 października. Alan już wyjechał przed pięciu dniami i przypuszczam, że w tej chwili jego statek musi być gdzieś w okolicy Gibraltaru i co minuta zbliża się do nas. Do Fremantle przybija trzydziestego; spodziewają się tutaj listu od Alana z wiadomością, że stamtąd przyleci samolotem. Jeszcze tylko około trzech tygodni przede mną.

Z tej sytuacji nie ma wyjścia. Muszę się z nim spotkać albo tu, albo we Fremantle i teraz już mi się zdaje, że nie ma najmniejszego znaczenia czy tu,

czy tam... Tkwią we mnie jakieś potworne instynkty. Gdy zetknę się z nim, będę dążyła, żeby się we mnie zakochał, wiem, że to zrobię, a mam przecież takie dobre karty do wygrania. Ale to wszystko jest grzeszne. To wszystko jest okropne, wstrętne i grzeszne, bo tylko dlatego myślę o nim w ten sposób, że chcę zostać w Coombarganie.

Ja naprawdę kochałam Billa, kochałam go szczerze i nadal go kocham. Nie wiedziałam, że jego rodzice to tacy bogacze. Bill był dla mnie po prostu Billem. Ale teraz zabawiam się koncepcją przerwania się na drugiego brata oszukując samą siebie, że mogłabym się w nim zakochać. Czas najwyższy, żebym się wreszcie ocknęła. Przed chwilą obejrzałam się w lustrze i to, co zobaczyłam, nie jest zbyt pochlebne. Raczej brzydka, niemłoda kobieta, która naprawdę kochała jednego brata, snuje teraz praktyczny plan zakochania się w drugim, bo ten drugi brat jest dziedzicem majątku. Ale nic z tego, co pokazało zwierciadło, nie wskazuje, aby sztuka się udała. Prawdopodobnie robię z siebie kompletną wariatkę, tak jak to robiłam przez ostatnie miesiące.

A najgorsze w tej całej historii jest to, że tkwi w niej ziarno prawdy, i to czyni ją tak zdradliwą. Gdy poznaliśmy się wtedy, dziewięć lat temu, Alan mi się podobał. Przeczytałam dawne notatki w dzienniku i widzę z nich, że wydał mi się wtedy postacią zgoła imponującą. Ciągle o nim myślę w tym duchu i z chęcią bym go znowu zobaczyła. Ale to nie ma nic wspólnego z uczuciem miłości. Przecież nie można być zakochanym w kimś, kogo widziało się dziewięć lat temu przez jeden dzień, i to właśnie wtedy, kiedy się kochało na zabój brata tego kogoś.

Z tej sytuacji nie ma wyjścia. Nie mogę spotkać się z Alanem. Zbyt intymnych wyjaśnień wymagałoby podanie powodów, skąd się tu w ogóle wzięłam, aby umożliwić współistnienie w tutejszych warunkach na bazie pana i służącej, a choćby nawet na bazie neutralnych dobrych stosunków. W istocie wiem na pewno, że dążyłabym do tego, aby Alan mnie pokochał i ożenił się ze mną. A gdyby tak się stało, byłabym pewnie nieszczęśliwa do śmierci mając świadomość, że wszystko to było błagą i fałszem. Gdyby zaś tak się nie stało — byłby wstyd i zamieszanie, zachwiałby się tutejszy spokój i ja musiałabym odejść. A z tego, co mówi lustro, wynika niezbicie, że zdarzy się właśnie to, a nie co innego.

Z tej sytuacji nie ma wyjścia.

17 października. Poprosiłam o wolny dzień i poszłam dzisiaj na daleki spacer naokoło Coombargany, sama jedna; wróciłam dopiero koło szóstej. Ślicznie tu i cieszę się, że obejrzałam sobie całą okolicę. Jest teraz pora strzyży, koniec przewidziany na piątek i wszyscy są w szopie pracując całą parą. Przez cały dzień nikogo prawie nie spotkałam.

Czułam potrzebę całodziennego spaceru, żeby zastanowić się i upewnić o słuszności tego, co robię, bo jest to jeden z tych postępów, których nie można cofnąć. Bo to już na wieczność. Ale teraz wiem na pewno, że się nie mylę. Nie sądzę, abym mogła być szczęśliwa gdziekolwiek indziej po roku spędzonym w Coombarganie, ale w tej chwili nie sposób tu dłużej zostać. Jedyne, co mi pozostaje, to uciec, pojechać pod jakimkolwiek pretekstem do

Ballarat, wsiąść w samolot i pojechać do Europy czy gdzie indziej i tam zaczynać od nowa. Chyba jednak zostanę tutaj. Ciągle jeszcze mam tabletki nasenne cioci Ellen, jest ich zresztą pełen flakon. Powinny być skuteczne, bo gazety w Seattle zawsze je reklamowały. Używały ich gwiazdy filmowe, gdy już były wykończone. A to jest najwyższa rekomendacja. I wtedy będzie zapłacona cała załoga Junkersa.

Statek Alana przychodzi do Fremantle w piątek, więc chyba zrobię to w niedzielę w nocy. Zanim dojedzie do domu, do soboty, wszystko się skończy i załatwi, a podniecenie z racji jego powrotu odwróci myśl państwa Duncan. Naturalnie będzie to dla nich pewien wstrząs. Żal mi ich, bo przecież byli dla mnie tacy dobrzy, ale po paru dniach przyjedzie Alan i wszystko pójdzie w niepamięć. Starzy ludzie upodabniają się trochę do dzieci; ich smutki me trwają długo.

23 października. Dziś po południu obeszałam cały ogród przypatrując się i ciesząc wszystkim. W szklarni Cyryl ma mnóstwo azalii w doniczkach. Wybrałam jedną, olbrzymią, całą w czerwonych pąkach, wzięłam ją do domu i zapytałam panią Duncan, czy mogę ją wstawić do pokoju Alana. Pozwoliła, więc umieściłam doniczkę w ciemnobłękitnej wazie, zaniiosłam na górę i postawiłam w pokoju Alana. Za parę dni będzie prześliczna. Mam nadzieję, że nie zapomnę jej podlewać." . .

Na tym dziennik się kończył. Azalia w pełnym kwiecie stała ciągle na moim stole.

Rozdział X

Na kominku ogień wygasł prawie zupełnie, a jasny brzask ukazywał się za mną w szybie okiennej. Zamknąłem dziennik i ułożyłem jego tomiki jeden na drugim na podłodze. Zdrętwiały podniosłem się z krzesła i sięgnąłem po neseser, aby włożyć je tam z powrotem. Przy tej okazji zwróciła moją uwagę książeczka bankowa i oszczędnościowa Janet. Zastanowiłem się tępo, co, u licha, powinienem z tym zrobić, bo i w Seattle, i w Anglii dziewczyna rozporządzała sporymi sumami pieniędzy.

Nie ma żadnej rady, gdy zdarza się taka historia. Nawet cierpienie wydaje się daremne. Podeszedłem do okna, otworzyłem jedno skrzydło i chłodne powietrze wtargnęło do ciepłego pokoju przenikając mnie na wskroś jak ulewa. Przede mną rozciągała się Coombargana. W pierwszych błyskach słońca kilka owiec poruszyło się na wilgotnej trawie pastwiska po obu stronach cichej rzeki. Widok ten Janet znała i kochała tak, jak kochaliśmy go obydwaj z Billem nie zdając sobie z tego sprawy. Dwa razy mogła być panią Coombargany, ale stało się inaczej.

Po dłuższej chwili odwróciłem się od okna, wziąłem kule i wyszedłem ze swego pokoju na galerię. W całym domu panowała martwa cisza, tylko wielki zegar głośno tykał w jadalni. Wszyscy jeszcze spali. Powoli schodziłem ze schodów zadziwiony nieco konwencjonalnym spokojem mojego rodzinnego domu po tym, czego dowiedziałem się z całonocnej lektury. Nawet do tego cichego zakątka wdarła się wojna jak macka ośmiornicy i poraziła śmiertelnie tę dziewczynę. Niby straszliwy potwór, jadowity jeszcze po śmierci, wojna nadal zabijała ludzi, choć sama już dawno szeszła.

Zatrzymałem się w hallu i patrzyłem na kwiaty ułożone przez Janet, na stoły i krzesła, które pewnie okurzyła, na adapter, który pewnie nastawiała dla matki, gdy rodzice obchodzili małą uroczystość po otrzymaniu wiadomości o moim powrocie. Zrzuciłem płaszcz na smoking i wyszedłem przed dom, na trawnik, kierując się powoli ku rzece. Teraz już samotność nigdy mnie nie opuści w Coombarganie, towarzyszyć mi będzie w mojej sypialni o lśniącej posadzce, ze skrawkiem tapety koło kontaktu wyczyszczonym przez nią, w jadalni, gdzie podawała do stołu, czy wśród sfory psów do polowania na króliki. Czułem się w domu samotny już wtedy, gdy wróciłem z wojny w 1946 roku — teraz będę podwójnie samotny. Wówczas sądziłem, że nie wytrwam w Coombarganie, ale teraz, z obrazem Janet Prentice na zawsze wyrytym w moich myślach, życie tutaj stanie się nie do zniesienia.

Poszedłem wzdłuż brzegu rzeki i usiadłem na niskim murku kamiennym przy wylegarni pstrągów, tam gdzie przed ledwie dwunastoma godzinami rozmawiałem z ojcem. Długo się stąd nie ruszałem, zapatrzony w to, co rozciągało się przede mną. Miałem przed oczami trzy spośród domów mieszkalnych, jakie ojciec postawił w majątku w czasie mojej nieobecności, i kiedy tu

przetrawiałem swoje cierpienie, zaczęły się koło nich budzić drobne przejawy życia. Z jednego domu wyszła kobieta z czterogalonowa bańka na oliwę, która służyła jej jako zbiornik na popiół, i wypróżniła ją na śmietnik za domem. Z drugiego wyszedł mężczyzna w brudnym niebieskim fartuchu i podążył ścieżką między grupką drzew w stronę zabudowań folwarcznych. Może szedł uruchomić motor Diesla. Słońce wznosiło się coraz wyżej i cała Coombargana budziła się do życia.

Nie znałem nazwisk połowy ludzi zatrudnionych w majątku, ale oni wszyscy mnie znali. Wynikało to jasno z kartek dziennika, który przed chwilą czytałem. Każdy tu wiedział o mnie wszystko — czym się interesuję, jak daleko mogę dojść na piechotę, ile piję, jak długo byłem poza domem i co robiłem w Anglii. Wszyscy z niepokojem śledzili, do czego się wezmę pierwszego dnia po powrocie do Coombargany, usiłując odczytać wróżbę z moich pierwszych ruchów i wyrobić sobie sąd, czy poprowadzę nadal gospodarstwo, czy też sprzedam majątek, a więc czy mogą zaniechać obaw i uspokoić się co do swojej przyszłości, czy też wypadnie im nastawić się na możliwe zmiany. Wiele o mnie wiedzieli, ale nie wiedzieli chyba wszystkiego. Nie wiedzieli, że byłem zakochany w Janet Prentice. Nie do zniesienia byłoby teraz życie w Coombarganie. Niemniej zatrudnialiśmy dwudziestu jeden ludzi, z których każdy wpatrzony był we mnie czekając na znak. Jeśli się teraz usunę i z powrotem wyjadę do Anglii, będzie to sytuacja także nie do zniesienia, gdyż Janet życzyła sobie, abym został. Tylko tchórz ucieka ze strachu przed duchami zmarłych.

Siedziałem przy pstrągami przez godzinę czy nawet dłużej, aż zrobiło mi się bardzo zimno. Wtedy wstałem i cały czas myśląc o Janet Prentice i jej prostolinijności, powoli skierowałem się wśród drzew w stronę podwórza. Dwóch ludzi siodłało konie przed stajnią. Nie znałem nazwiska żadnego z nich, ale machinalnie powiedziałem im „dzień dobry”. Rzucili mi zdziwione spojrzenie, a potem także powiedzieli „dzień dobry”. Minąwszy ich zastanawiałem się przez chwilę nad ich dziwnym zachowaniem, aż przypomniałem sobie, że byłem ciągle w smokingu i luźno zarzuconym płaszczu na ramionach. Poszedłem więc do domu, żeby się przebrać.

Annie zobaczyła mnie widocznie z okna kuchni, bo wyszła do hallu na moje spotkanie.

— Mam imbryk świeżej herbaty, panie Alanie — powiedziała. — Może panu przynieść filiżankę? — I dodała: — Boże wielki, pan się wcale nie kładł!

— Nie — odparłem. — Nie kładłem się. Znalazłem tę walizkę.

— Znalazł pan?

Potwierdziłem to i dodałem patrząc jej prosto w oczy:

— Annie, czy wiedziałaś, że to była narieczona Billa? Milczała chwilę, wreszcie powiedziała:

— Nie byłem tego pewna, panie Alanie. Ale czasem myślałam, że mogło to być coś w tym rodzaju.

— Tak właśnie było — powiedziałem posepnie. — Wiesz, chętnie bym się napił tej herbaty.

— Proszę pójść na górę, panie Alanie, i przebrać się. Tam ją panu zaniosę. Poszedłem na górę, puściłem wodę do wanny i zacząłem się rozbierać.

Annie przysłała po chwili z herbatą i sucharkami na tacy, którą postawiła na stole obok czerwonej azalii w błękitnej wazie. Spojrzała na neseser stojący na drugim stole przed zagasłym kominkiem, tam gdzie zeszła mi cała minioną noc.

— Czy pan znał ją także? — zapytała.

— Spotkałem ją raz w czasie wojny, na krótko przed śmiercią Billa. — Popatrzyłem na Annie i dodałem: — Ale to jest ściśle prywatna, rodzinna sprawa, Annie. Nie chcę, żeby była omawiana na terenie majątku.

— Będę na to uważać — odparła.

Annie oddaliła się, a ja poszedłem do łazienki, odjąłem protezy i zanurzyłem się w wannie. Z rozkoszą poddałem się błogosławieństwu gorącej wody, bo byłem mocno zziębnięty, i siedząc w kąpieli powoli wracałem do siebie; zdolność rozumowania zaczęła panować we mnie nad uczuciami.

Jak zawsze w tej łazience, czułem i teraz realną obecność Billa. Ale przecież Bill nigdy tu już nie wpadnie ze swego pokoju, niecierpliwymi osiemnasto-latek, któremu pilno dostać się pod natrysk. Bill stał się dla mnie jednym z duchów nawiedzających Coombarganę, do niego przyłączył się nowy duch zajmując właściwe miejsce u jego boku. Obie zjawy były przyjazne i na wskroś dobrotliwe, ale niemniej były to widma. Mimo jednoznaczności swoich pragnień nie mogły spełniać w Coombarganie tej roli, jaką by spełniły za życia. I swoją niema obecnością odwoływały się do mnie, abym za nich to zadanie wykonał.

Dziwną mocą były obdarzone te zjawy, bo naprowadziły mi myśl na małą restauracyjkę „Bruna” na Earls Court Road o dwadzieścia tysięcy mil od Coombargany w Zachodnim Okręgu. „Tam szukaj pomocy, jeśli jej potrzebujesz” — mówiły. Siedziałem w gorącej wodzie, otepiałem ze zmęczenia, i tak jakbym ich widział oboje tuż obok mnie; stali trzymając się pod rękę jak wtedy w Lymington dziewięć lat temu. Czułem, że mówią mi prawdę. Że tylko jedna jedyna istota może podać mi dłoń we wspólnym pochodzie z dobrotliwymi duchami Coombargany, jedyna istota, która mnie zrozumie i pocieszy i której obcy będzie wszelki lęk. Wyszedłem z kąpieli i w pokoju ubrałem się odpowiednio na moje nowe życie. Włożyłem szarą flanelową koszulę, brunatnozielone spodnie, jakie noszą tutaj hodowcy owiec, wełniany pulower i tweedową marynarkę. Potem z neseserem w ręce zszedłem do hallu. Ojciec właśnie wychodził z pokoju, który służył mu obecnie za ubieralnię, a dawniej mieścił naszą kolekcję broni.

— Dzień dobry, Alanie — powiedział. — Wcześniej jesteś gotów.

— Tak, tatusiu — odparłem. — Właściwie wcale się nie kładłem. Znalazłem neseser tej dziewczyny, który zostawiła ze wszystkimi dokumentami. Muszę ci powiedzieć mnóstwo rzeczy, zanim mama się obudzi.

— Chodźmy do gabinetu — zaproponował ojciec. Weszliśmy tam zamykając za sobą drzwi.

— Zanim zaczniemy — powiedziałem — chciałbym jeszcze zamówić rozmowę telefoniczną.

Ująłem słuchawkę i czekałem, aż nastąpi połączenie Forfar z Ballarat, a telefonistka z Ballarat połączy się z zamorską centralą radiotelefoniczną w Melbourne.

— Chciałbym zamówić rozmowę z Anglią — powiedziałem. — Londyn, numer Western 55841, panna Viola Dawson. Będę potrzebował około kwadransa.

Telefonistka powtórzyła numer, zanotowała zamówienie, a ja odłożyłem słuchawkę i zwróciłem się do ojca.

— Lepiej siądź od razu, tatusiu, bo się strasznie zdziwisz. Jadę z powrotem do Anglii samolotem, i to natychmiast. Nie sądzę, abym zabawił dłużej jak około tygodnia, a potem wrócę już tutaj na zawsze.

— Dla jakichś powodów, których jeszcze nie zgłębiłem — rzekł ojciec. — I przypuszczam, że przywieziesz ze sobą pannę Violę Dawson.

— Mam nadzieję — odparłem stawiając neseser na biurku ojca i otwierając go. — A teraz opowiem ci dlaczego.

KONIEC